



Simone van der Vlugt

Zjazd szkolny

Czy spotkanie po latach
może wyrócić twój świat
do góry nogami?

MIROCIŹNY THRILLER PSYCHOLOGICZNY

Simone van der Vlugt

Zjazd szkolny

Ostatni odcinek przejeżdża sama. Długo macha przyjaciółce, po czym patrzy na ścieżkę przed sobą. Nuci cicho, plecy ma wyprostowane, wzrok spokojny.

Jest poniedziałek, już po szkole, zaczyna się popołudnie.

Dżinsową kurtkę przyczepiła do czarnej torby szkolnej na bagażniku. Słońce ogrzewa jej nagie ramiona.

Dzień jest wspaniały: początek dobrze zapowiadającego się lata. Niebieskie niebo rozpościera się nad nią jak wysoka świetlna kopuła.

Na światłach przyciska mocno hamulce i zsiada z roweru. Skrzyżowanie znajduje się z dala od centrum, tu nie ma takiego tłoku; mniej uczniów na rowerach i motorowerach, mniejszy ruch.

Stoi na światłach zupełnie sama, nie ma ani samochodów, ani autobusów. Patrzy na prawo i lewo, niecierpliwie przeczekując bezsensowną sytuację.

Tuż za nią zatrzymuje się furgonetka z głośno pracującym silnikiem.

Zielone.

Wsiada na rower i pedałuje prosto przed siebie. Furgonetka wyprzedzają, zasłaniając chmurą spalin z rury wydechowej. Krztusi się, wachluje, przystaje, nie zdejmując stopy z pedału.

Furgonetka pędzi w kierunku Ciemnych Wydm. Dziewczynka myśli o randce. Przez chwilę czuje jakiś opór. Powinna była chyba wybrać mniej odległe miejsce.

1

Stoję przy zejściu na plażę i patrzę na morze. Trzymam ręce w kieszeniach zamszowej kurtki. Szósty maja; jest o wiele za zimno jak na tę porę roku. Oprócz paru osób zbierających przedmioty wyrzucone przez fale nie ma nikogo. Morze ma kolor ołowiu, jest wzburzone, groźne; zagarnia coraz więcej plaży w swoje posiadanie.

Opodal na ławce siedzi dziewczynka, opatulona w ciepłą kurtkę. Wpatruje się w morze tak jak ja. Na nogach ma ciepłe buty chroniące przed wiatrem i zimnem. U stóp leży ciężki tornister. Tuż obok stoi jej rower, który przyczepiła do drutu kolczastego, mimo iż siedzi obok.

Przyglądam się jej. Spodziewałam się ją tu znaleźć.

Dziewczynka patrzy daleko ponad wodę, oczyma, które jakby niczego nie dostrzegały. Nawet porywisty wiatr szarpiący ubraniem i mierzwiący włosy nie może jej wyrwać z zamyślenia. Nie zwraca na to uwagi.

Choć dziewczynka wydaje się obojętna na zimny wiatr, jest w niej jakaś bezbronność, i to mnie wzrusza.

Znam ją, mimo to waham się, czy ją zagadnąć, ponieważ ona mnie nie zna. To jednak bardzo ważne, żeby się dowiedziała, kim jestem, żeby mnie wysłuchała, żeby mogła do niej dotrzeć.

Wolno, ze wzrokiem utkwionym w morzu, podchodzę do ławki, jakby mi sprawiał przyjemność widok wzburzonych fal.

Dziewczynka odwraca głowę w moim kierunku; jej twarz jest bez wyrazu. Przez chwilę wydaje się, że chce wstać, lecz wnet godzi się z tym, że wtargnęłam w jej krąg samotności.

Siedzimy obok siebie na ławeczce, obie trzymamy ręce w kieszeniach, patrząc, jak powietrze łączy się z wodą.

Muszę ją zagadnąć. Zaraz odejdzie, a nie powiedziałam jeszcze ani słowa. Lecz co mam mówić, skoro każde słowo jest ważne. Te właściwe muszę dopiero znaleźć.

Kiedy już nabieram powietrza, by się do niej odezwać, dziewczynka spogląda w moim kierunku. Mamy ten sam kolor i najprawdopodobniej ten sam wyraz oczu.

Wygląda na piętnaście lat. Dokładnie w tym wieku była Isabel, kiedy została zamordowana.

Kiedyś, dawno, chodziłam tutaj do szkoły. Jeździłam rowerem codziennie dziesięć kilometrów w tę i z powrotem; czasem z wiatrem, najczęściej pod wiatr.

Wiało ostro od morza, lecz mnie się wydawało, że na płaskim polderze nie mam przeszkód, dopóki wiatr nie uderzał w mój rower. Codzienna walka z nim poprawiła mi pojemność płuc i zapewniła dobrą kondycję. Był to również doskonały sposób odreagowania frustracji.

Te dziesięć kilometrów między szkołą i domem, ta niczyja kraina łąk i słonego wiatru tworzyły strefę graniczną pomiędzy dwoma światami, w których żyłam.

Patrzę na morze; wraz z falami przyplływają wspomnienia. Nie powinnam była tu przyjeżdżać.

Co mnie właściwie sprowadziło?

Ogłoszenie w gazecie. Dwa tygodnie temu, stojąc z kubkiem kawy przy stole kuchennym, przeglądałam gazetę. Dochodziła ósma. Byłam ubrana i już po śniadaniu. Miałam jeszcze chwilę czasu, żeby przejrzeć gazetę, choćby tylko same nagłówki.

Przewróciłam stronę i mój wzrok padł na niewielkie ogłoszenie z boku kolumny: spotkanie uczniów szkół średnich z Den Helder.

Przebiegłam wzrokiem ogłoszenie. To była moja dawna szkoła średnia, z czasem połączona z innymi szkołami z Den Helder. Organizuje się tam spotkanie absolwentów. Mam dwadzieścia trzy lata. Czas chodzenia do szkoły należy na szczęście do przeszłości.

Ani mi w głowie jechać.

Dziewczynka odeszła. Pozwoliłam jej zniknąć. Przez chwilę się zamyśliłam. Nie szkodzi, jeszcze ją spotkam.

Wiatr wieje mi prosto w twarz, chwilami zapierając dech. Dawniej też tak było. Pedalowałam pod wiatr, a po policzkach spływały mi łzy. Długie włosy wiązałam w koński ogon, bo inaczej nie rozczesałabym niezliczonych kołtunów. Wieczorem, myjąc się pod prysznicem, czułam we włosach zapach słonej morskiej wody.

Zapachy się nie zmieniają. Ogarniają cię, odświeżają dawne wspomnienia i pozwalają myszkować w mrocznych zakamarkach pamięci.

Dlaczego tu przyjechałam? Co chcę przez to osiągnąć? Czy myślałam, że ta wizyta mnie z czegoś oczyści lub wyzwoli?

Tak się nie stało. Sytuacja zmusza mnie do konfrontacji z czymś, co jest bolesne i niejasne. To jedna wielka pomyłka.

Moje pojawienie się tutaj rozjaśnia sytuację. Nie wiem jednak, czy jestem na nią przygotowana.

Wracam do samochodu. Wiatr unosi piasek pod nogami, popycha i ponagla. Nie jestem tu mile widziana. Jestem obca.

Mimo wszystko wcale nie mam zamiaru od razu wracać do Amsterdamu. Nawet kiedy zaczyna mocno padać, nie przyspieszam kroku. Mój samochód stoi samotny na ogromnym parkingu. Zwykle parking jest wypełniony, ale teraz lato na chwilę nas opuściło. Myślę o rzędach blaszanych pudeł ustawionych tutaj w upalne dni. Miło było mieszkać tak blisko morza. Przejeżdżało się po prostu obok stojących w korku przegrzanych turystów. Zostawiałam rower pod drutem kolczastym, wyciągałam spod zapięcia na bagażniku ręcznik i szukałam miejsca, żeby się wyciągnąć w słońcu. Denerwowały mnie dołki w piachu wypełnione niemieckimi puszkami po piwie. Czułam się jednak u siebie. W Zandvoort nie znajdziesz dzisiaj miejsca na plaży, jeśli się nie pojawisz tam już o dziewiątej rano.

Otwieram drzwi samochodu i wślizguję się z radością do środka. Ogrzewanie, radio nastawione na jakąś miłą stację, paczka dropsów na siedzeniu obok, włączyć silnik i w drogę. Wyjeżdżam z opustoszałego parkingu, jadę wzdłuż lasu przy Ciemnych Wydmach w kierunku centrum.

Den Helder wygląda ponuro w deszczu, Amsterdam też, ale Amsterdam żyje. Den Helder podobne jest do miasta, w którym ogłoszono alarm lotniczy.

Lubię miasta z duszą, z historycznym centrum. Jedyne, co jest stare w Den Helder, to jego mieszkańcy. Młodzi ludzie wyjeżdżają po maturze do Alkmaar lub Amsterdamu. Zostają marynarze i turyści czekający na prom na wyspę Texel.

O mało nie wylądowałam tam dziś rano. Odkąd moi rodzice pięć lat temu przenieśli się do Hiszpanii, nie byłam w Den Helder. Znam to miasto jako rowerzysta, nie kierowca. Przegapiłam jeden zjazd, wjechałam na tamę, musiałam skręcić w prawo i nagle znalazłam się w kolejce samochodów czekających na prom na Texel. Włączyłam wsteczny bieg, ale zablokował mi drogę samochód z rodziną wyjeżdżającą na wakacje. Dopiero kiedy stałam już zupełnie blisko, udało mi się uciec od niezaplanowanych wakacji wśród owiec.

Jadę Middenweg w kierunku mojej dawnej szkoły średniej. Od razu spostrzegam, że dziedziniec jest prawie pusty. Grupka uczniów mimo siąpiącego deszczu zaciąga się pożądliwie papierosami, żeby jakoś wytrwać do końca lekcji. Mijam szkołę drogą, którą zawsze wracałam na rowerze do domu. Wzdłuż bazy wojskowej Deibelkamp do Lange Vliet. Nie muszę teraz pedałować pod wiatr; jadę wolno ścieżką rowerową, którą przemierzałam przez tyle lat. Isabel mieszkała w tym samym miasteczku co ja. Tego dnia nie wracałyśmy razem do domu, musiała jednak jechać do Lange Vliet.

Pamiętam, jak opuszczała na rowerze szkolne podwórko. Sama świadomie zamarudziłam, nim w końcu odjechałam. Gdybym ruszyła od razu za nią, być może nic by się nie stało.

Dodaję gazu i jadę tak szybko, jak jest dozwolone na trasie do Lange Vliet. Zbliżam się do Julianadorp i skręcam w pierwszą ulicę w lewo, w kierunku autostrady. Kiedy znajduję się na wysokości kanału, włączam piąty bieg i nastawiam głośniej radio.

Jak najdalej stąd, z powrotem do Amsterdamu.

Śpiewam na całe gardło, wtórując dudniącej w radiu liście przebojów, i wyciągam jeden po drugim dropsy z leżącej koło mnie paczki. Dopiero zostawiając za sobą Alkmaar, wracam do rzeczywistości. Myślę o swojej pracy. Zaczynam znowu w poniedziałek. Jest czwartek, zostały mi jeszcze trzy dni dla siebie. Tak naprawdę nie mam wcale ochoty wracać do pracy. Chyba jednak dobrze mi to robi. Za dużo siedzę sama w domu, a przed oczyma, jakby we śnie, przesuwiają mi się niespodziewane i niezrozumiałe obrazy. Najwyższy czas, abym wróciła do wspólnoty ludzi pracujących. Zaczynam od paru godzin dziennie, na zasadzie terapii. Po południu mam czas na przyjemności. Tak mi zalecił lekarz.

Pracuję w głównym oddziale dużego banku, który ma też filie za granicą. Praca nie odpowiada moim aspiracjom. Ukończyłam studia pedagogiczne. Chciałam pracować jako nauczycielka niderlandzkiego i francuskiego. Po studiach nie mogłam jednak znaleźć szkoły, która by mi odpowiadała. Muszę przyznać, iż szybko przestałam szukać takiej pracy. Rozczarowało mnie już pierwsze, odbywające się w ramach praktyk, spotkanie z klasami zbuntowanych nastolatków.

Dlatego na ostatnim roku studiów zaczęłam chodzić na kursy dla sekretarek. Poznałam podstawy informatyki i zaczęłam szukać innego zajęcia. I tak oto znalazłam się w banku, dziewięć pięter ponad obwodnicą.

Przekraczając pierwszy raz drzwi głównego oddziału, byłam pod wrażeniem przepychu gmachu. Wchodziło się jak do pałacu, wprost z pięknego parku, i kiedy się znalazłam za obrotowymi drzwiami, w świetle przestrzeni i marmuru, doznałam uczucia, jakbym się skurczyła do nic nieznaczących rozmiarów w tym świecie luksusu.

To wszystko nie było jednak takie straszne, jak się wydawało. Garnitury i kostiumy wokół mnie zdawały się okrywać zupełnie zwykłych ludzi. Sprawiałam sobie nową garderobę, pamiętając o radzie mojej mamy, że lepiej mieć niewiele, ale porządnych ubrań niż worki pełne szmatek. Dżinsy wrzuciłam w najgłębszy kąt szafy; dopasowane żakieciki i spódniczki do kolan wraz z ciemnymi pończochami stały się moim zwykłym strojem. Tak wkraczałam codziennie do ogromnego hallu, przebrana za kobietę światową.

Praca trochę mnie rozczarowała. Wydawało się, że będzie to ważniejsze stanowisko: sekretarka w głównym oddziale bankowym, z umiejętnością nawiązywania kontaktów, z dobrą znajomością języków.

Po to, żeby w kółko powtarzać *Hold the line* i uzupełniać zużyty klej Pritt, nie musiałam brać pożyczki na finansowanie studiów. Najprawdopodobniej to miała na myśli dyrekcja, pisząc o wymaganej elastyczności.

Praca nie podobała mi się zbytnio, za to atmosfera była miła. Mieszkałam sama i miałam pracę. Zaczęłam nowe życie.

Rok później przeżyłam kompletne załamanie.

2

Nie ma tortu na powitanie. Nie wiszą papierowe łańcuchy. Nie liczyłam na nie - no, może trochę. Stoję na progu, ciężko dysząc z powodu wspinaczki po tyłu schodach; nadzieja mija wraz z zadyszką.

Mogłam pojechać windą, ale podobno za mało się ruszam. Lekarz mówi mi, że powinnam częściej chodzić po schodach. Nie wie oczywiście, że pracuję na dziewiątym piętrze.

Mija chwila, zanim koledzy i koleżanki mnie zauważają. Jednym spojrzeniem ogarniam wszystkie zmiany: moje biurko zajęte przez kogoś innego, naturalny, przyjacielski sposób, w jaki osoba, która mnie zastępuje, rozmawia z innymi, wiele nowych twarzy. Czuję się, jakbym przysłała się tu starać o własną pracę.

Dostrzegają mnie i podchodzą się przywitać. Przyglądam się twarzom, szukam jednej konkretnej, lecz nie znajduję.

- Cześć, Sabine, jak się masz!

- Jesteś gotowa zaczynać od początku?

- No to bądź przygotowana na wszystko, mamy tu dom wariatów!

- Witaj, ładnie wyglądasz.

Nikogo z nich nie widziałam, siedząc cały ten czas w domu, nikogo oprócz Jeanine.

Renée podchodzi do mnie z kubeczkiem kawy.

- Witaj, Sabine - mówi z uśmiechem. - Wszystko w porządku?

Kiwam głową, patrząc na swoje biurko. Renée podąża za moim wzrokiem.

- Przedstawię cię Margot, dziewczynie, która cię zastępuje. Przez cały ten czas wykonywała twoją pracę. Zostanie tutaj do momentu, kiedy wrócisz na pełny etat.

Uśmiecham się do Margot. Odpowiada uśmiechem, ale nie wstaje, żeby podać mi rękę.

- My się już znamy - mówi.

Renée patrzy zdziwiona.

- Widziałyśmy się na spotkaniu bożonarodzeniowym - przypomina Margot, a Renée kiwa głową. Pamięta.

Robię krok w kierunku swego dawnego biurka, lecz Renée mnie wstrzymuje.

- Sabine, z tyłu jest jeszcze jedno wolne biurko. Margot pracuje już tak długo; nie byłoby sensu kazać jej się teraz przenosić.

Usiłuję przekonać samą siebie, że nie miałoby wielkiego sensu pierwszego dnia robić scenę o coś tak nieważnego jak biurko. Bez słowa kieruję się w najdalszy kąt sekretariatu, ku swemu nowemu biurku, które ustawione jest niezachęcająco, z daleka od wszystkich. Przechodząc, patrzę na biurko, naprzeciw którego zawsze siedziałam.

- Gdzie jest Jeanine? - pytam, lecz właśnie zaczyna hałasować drukarka.

- Może kawy? - proponuje Renée zdecydowanym tonem.

- Chętnie.

- Z mlekiem?

Potakuję, Renée znika.

To jest tylko biuro. Wciągnij powietrze, wypuść powietrze. Wdech, wydech.

Coś się zmieniło. Trudno mi to opisać, ale wyczuwam inną atmosferę.

Zainteresowanie moim powrotem szybko znika. Spodziewałam się, że pogadam sobie trochę, przede wszystkim z Jeanine, tymczasem otacza mnie tylko pusta przestrzeń. Każdy jest czymś zajęty, a ja siedzę w swoim kąciuku. Wyciągam górę poczty z koszyka i pytam od niechcienia:

- A gdzie Jeanine? Ma urlop?

- Jeanine zwolniła się z pracy w ubiegłym miesiącu - odpowiada Renée, ze wzrokiem wciąż utkwionym w komputerze. - Na jej miejsce przyszła Zinzy. Zobaczysz ją pod koniec tygodnia, ma teraz parę dni wolnego.

- Jeanine odeszła? - pytam zdumiona. - Nie wiedziałam.

- Jest jeszcze wiele innych zmian, o których nie wiesz - mówi Renée, patrząc wciąż w komputer.

- Na przykład jakich? - pytam.

Renée odwraca się w moim kierunku:

- Z początkiem stycznia zostałam mianowana przez Woutera kierowniczką sekretariatu.

Przez chwilę nasze spojrzenia się krzyżują.

- Naprawdę, nie wiedziałam, że taka funkcja istnieje.

- Takie było zapotrzebowanie. - Renée odwraca się z powrotem w kierunku komputera.

Tyle pytań mi chodzi po głowie, że nie wiem, co powiedzieć. Milczę więc i wracam do swego biurka. Siadam, kładę stos poczty przed sobą i nagle rano wydaje się ciągnąć w nieskończoność. Tłumię w sobie chęć zatelefonowania do Jeanine. Dlaczego nie powiedziała, że się zwolniła?

Wyglądam przez okno do momentu, kiedy zauważam, że Renée patrzy w moim kierunku. Dopiero kiedy się pochylam nad listami, odwraca ode mnie wzrok.

Witaj z powrotem, Sabine.

Jeanine i ja pojawiłyśmy się tutaj w tym samym czasie; w sekretariacie nikt jeszcze wtedy nie pracował. Bank postanowił właśnie utworzyć nowy fundusz powierniczy, który trzeba było zorganizować od podstaw. Czas upływał nam z Jeanine przyjemnie.

Plotkowałyśmy o kolegach z działu handlowego i administracyjnego, którym organizowałyśmy sekretariat; razem zakładałyśmy archiwum; kiedy któraś chciała wyjść na pół godziny do sklepu, odbierałyśmy za siebie telefony. W gruncie rzeczy byłam zadowolona z pracy.

Z czasem obowiązki zaczęły nas przytłaczać. Z dnia na dzień przybywało ludzi werbowanych dla funduszu powierniczego, zatrudnianych w dziale handlowym. Nie mogliśmy już sobie poradzić. Nam również potrzebni byli nowi pracownicy, i to szybko.

Razem z Jeanine prowadziłyśmy rozmowy kwalifikacyjne i w ten sposób pojawiła się u nas Renée. Pracowała dobrze, ale atmosfera zmieniła się natychmiast. Renée była sekretarką dyrektora; wiedziała, jak powinien być prowadzony sekretariat. Nasz styl działania nie nadawał się według niej do niczego - tak samo jak ja i Jeanine. Renée niechętnym okiem patrzyła na przedłużane przerwy obiadowe czy wypadki na zakupy w wolnych chwilach. W gruncie rzeczy miała rację, nie mogliśmy jej jednak darować, że musiała to osobiście omawiać z Wouterem za zamkniętymi drzwiami. Wouter był bardzo zadowolony z Renée; uważał, że jest dla funduszu cennym nabytkiem.

- I pomyśleć, że same ją przyjęłyśmy do pracy - zastanawiała się Jeanine.

Wouter postanowił, że Renée osobiście poprowadzi rozmowy kwalifikacyjne mające na celu znalezienie czwartej sekretarki. Twierdził, że ona potrafi trafnie ocenić kandydatki. My zaś nie - z czym musiałam się zgodzić.

- To właśnie się potwierdziło - dodała Jeanine.

Renée zamieszczała ogłoszenia w wielkich dziennikach, telefonowała do biur pośrednictwa pracy. Tak była tym zajęta, że większość roboty spadła na nas: Jeanine i mnie. Renée całymi popołudniami prowadziła rozmowy z mniej lub bardziej obiecującymi dziewczynami, nikogo jednak nie przyjęto.

- Tak trudno znaleźć dobrze zapowiadającą się kandydatkę - potrząsała głową, wychodząc z sali konferencyjnej. - Nim się spostrzeżesz, masz przed sobą kogoś, kto uważa, że praca sekretarki polega na pisaniu na maszynie i wysyłaniu faksów. Spróbuj z takich ludzi zrobić zgrany zespół.

Musiałśmy stawać na głowie, bo fundusz się rozrastał i pracy przybywało. Codziennie zostawałyśmy po godzinach, a często także w przerwach obiadowych. Zaczęłam odczuwać przemęczenie. Nie sypiałam nocami. Czułam się wykończona, leżałam ze wzrokiem wbitym w sufit, z walącym sercem, a kiedy tylko zamykałam oczy, zaczynało mi się kręcić w głowie, coraz szybciej, jakby w wirze szalonego tańca.

Wytrzymałam tak parę miesięcy, aż w ubiegłym roku się załamalam. Nie mogę tego inaczej nazwać. Zawładnęła mną wszechogarniająca apatia; wszystkie kolory straciły blask.

W maju poszłam na zwolnienie. Pierwszą okazją do pojawienia się znowu w pracy było spotkanie gwiazdkowe. Wypiłam kieliszek wina i pogadałam z kolegami. W każdym razie próbowałam. Nie zadawali sobie trudu, żeby spojrzeć w moją stronę, mówili o sprawach, o których nic nie wiedziałam. Przybyło wiele nowych twarzy. Jeanine leżała w łóżku z gripą.

Sączyłam wino i rozglądałam się wokół siebie. O awansie Renée nie było jeszcze wtedy mowy, uderzyło mnie jednak, że zawsze do niej należało ostatnie słowo. Pracownicy, którzy przyszedli do pracy po mnie, na przykład Margot, udawali, że mnie nie widzą.

Nie mają śmiałości, pomyślałam. Uśmiechałam się do nich przyjaźnie, lecz oni odwracali wzrok.

Chciałam pogadać z Luukiem i Royem, dwoma pracownikami z administracji, z którymi zawsze mogłam znaleźć wspólny język. Odpowiedzieli na moje pełne ciekawości pytania, lecz nie starali się podtrzymać rozmowy. Jakby się umówili, zaczęli rozmawiać o piłce nożnej, a potem o pewnym trudnym kliencie, który stale żądał wglądu w rachunki. Słuchałam, pociągnęłam jeszcze łyk wina i rozejrzałam się. Wouter, który stał obok mnie, spojrzał w inną stronę.

Wróciłam wcześniej do domu.

Nie cieszyłam się na powrót do pracy, ale co tam, na razie to tylko pół dnia. Musi się udać.

Przysuwam bliżej stos pocztę, zaczynam otwierać koperty, zdejmować gumki. Po półgodzinie mam już wszystkiego dosyć. Która to, na miłość boską? Jeszcze nie ma dziewiątej! Jak ja przeżyję ten dzień?

Rzucam okiem na sekretariat. Parę metrów dalej siedzi Margot, jej biurko dotyka biurka Renée. Mogą ze sobą rozmawiać, a i tak nie usłyszę ani słowa.

Pracownicy z działu handlowego wchodzą i wychodzą z listami i sprawozdaniami, które muszą być przepisane na maszynie, z pocztą, która musi być pilnie wysłana, i z dziesiątkami innych spraw. Renée zarządza i wydaje polecenia jak kapitan okrętu. Bardziej nieprzyjemne zadania, a jest ich wiele, wyznacza mnie. Składanie kartonów, w których będzie schowane archiwum, parzenie kawy i zanoszenie jej do sali konferencyjnej, przyprowadzanie klientów z głównego hallu. Tak mija jednak dopiero część przedpołudnia. Kiedy o wpół do pierwszej pakuję torbę, stwierdzam, że nie zamieniłam z nikim miłego słowa i że jestem ledwie żywa.

Wychodzę na parking, wsiadam do samochodu i powoli wyjeżdżam z terenu banku.

3

Wracam do domu wykończona. Jestem szara na twarzy, mam plamy potu pod pachami, a mój pokój to istna stajnia Augiasza. W porównaniu z funkcjonalnymi meblami w biurze moje wyglądają jak powyciągane z rupieciarni.

Nigdy nie udało mi się uczynić z mieszkania przytulnego miejsca i nadać mu osobistego charakteru. Jako nastolatka nie mogłam się doczekać dnia, w którym zamieszkać sama. Wiedziałam dokładnie, jak urządzić swój dom. Oczywiście wyobraźni ogarniałam całość.

Nikt jednak mnie nie uprzedził, że całą pensję pochłonie hipoteka i zakupy, że trudno mi będzie utrzymać obowiązujący styl życia. Malowałam więc ściany na biało, pokrywałam farbą łuszczące się framugi, jasnym dywanem próbowałam zasłonić łysinę podłogi.

Nadal jednak przebywając w kuchni, siłą muszę powstrzymywać w sobie pragnienie skucia ze ściany brązowo-pomarańczowych kafelków w stylu lat siedemdziesiątych. Mogłabym kupić nowe, lecz w ten sposób naruszyłabym ich harmonijne zestawienie z brązowymi szafkami i wykładziną barwy kawy z mlekiem. Nie zabieram się więc do niczego. Teraz czuję się wypalona i pusta wewnątrz; opadam na kanapę jak wyciśnięta cytryna. Kładę torbę na stole, a w drodze do kuchni rzucam okiem na telefon. Mruga do mnie światełko włączonej sekretarki. Zatrzymuję się zdziwiona. Jakaś wiadomość.

Z ciekawością naciskam klawisz. Nic się nie nagrało, oznajmia mi piszczący dźwięk po sygnale. Ten, kto dzwonił, nie zadał sobie trudu, by coś powiedzieć. Poirytowana, kasuję zapowiedź wiadomości; sekretarka przestaje do mnie mrugać. Nie znoszę ludzi, którzy odkładają słuchawkę, gdy usłyszą, że rozpoczyna się nagranie, kto i dlaczego dzwoni. Mogę teraz spędzić całe popołudnie, rozmyślając nad tym, kto to był.

To nie mogła być mama, ponieważ jeśli ona dzwoni, nagrywa całą kasetę.

Większość roku spędza z ojcem w Hiszpanii. Rzadko ją widuję.

To najprawdopodobniej był mój brat Robin. Prawie nigdy nie dzwoni, ale jak już, to naprawdę ma ochotę porozmawiać. Automatyczne sekretarki strasznie go frustrują, więc rzadko się nagrywa.

Idę do kuchni, kładę deseczkę do pieczywa, wydaję z lodówki opakowanie z truskawkami, wyciągam z torebki dwie kromki ciemnego chleba i przygotowuję sobie lunch. Nie istnieje nic bardziej smacznego niż świeże truskawki z chlebem. Jestem od nich uzależniona. Z pewnością to one pomogły mi wyjść z depresji. Truskawki z jogurtem, truskawki z bitą śmietaną, truskawki na toście. Co roku, kiedy truskawki w supermarkecie

tracą coraz bardziej smak, zaczynam się martwić. Ratunku, sezon się kończy, trzeba będzie się odzwyczaić. Może truskawki zawierają te same pobudzające składniki co na przykład mleko czekoladowe? Od niego również jestem uzależniona. Zimą wcinam chleb grubo posmarowany nutellą i przybieram na wadze.

Kroję truskawki na pół i kładę na chlebie. Myśli moje krążą tymczasem wokół niedoszłej rozmowy telefonicznej. Kto to mógł być? Może to nie był Robin, tylko Jeanine. Dlaczego jednak miałyby do mnie dzwonić? Od dawna nie utrzymujemy ze sobą kontaktu.

Wkładałam do ust ogromną truskawkę i wyglądałam w zamyśleniu przez kuchenne okno. Nawet jeśli rozumiałyśmy się z Jeanine bardzo dobrze, nasze spotkania ograniczały się do biura. Tak jakby krok od koleżanek z biura do przyjaciółek był zbyt trudny do zrobienia. Takie miałam wrażenie, kiedy przestałam chodzić do pracy i musiałam siedzieć w domu. Początkowo Jeanine pojawiła się tu parę razy, lecz moje towarzystwo - towarzystwo człowieka, który siedzi na kanapie ze wzrokiem wbitym w jeden punkt - nie mogło być dla nikogo miłe. Po paru próbach zabawienia mnie - co zresztą nikomu by się wtedy nie udało - nasze kontakty osłabły. Mimo wszystko cieszyłam się na chwilę ponownego spotkania. Nie mam jej za złe, że nie ponawiała starań; nie można było wtedy nic ze mnie wydobyć.

Nasza przyjaźń nie miała po prostu szans się rozwinąć. Teraz wyobrażałam sobie, że wszystko będzie tak, jak było do chwili, kiedy kontakt się urwał. Nie umiem czuć nad tym, by związki rozwinęły się w bliskie i trwałe przyjaźnie. Mimo że nie jestem nieśmiała i nie mam problemów z rozmową o niczym, nie potrafię jej skierować na tematy bardziej osobiste, tak by mogła zaowocować bliższym kontaktem. W rezultacie dużo mówię, ale niewiele opowiadam o sobie. Niemniej wcale nie mam ochoty tego zmieniać, bo i z jakiej racji ludzie mieliby wszystko o mnie wiedzieć? Skutek jest jednak taki, że nie chcą mi powierzać żadnych spraw osobistych. Tak było już podczas studiów. Koledzy lubili mnie, zawsze byli serdeczni i mili - co nie znaczy, że przez te cztery lata nie czułam się obco.

Na pierwszym roku mieszkałam w domu. Dwa razy chyba pojechałam wtedy do Amsterdamu, poszukać pokoju. Ogłoszenie było z ulicy Rhijnvis Feithstraat. Udałam się tam pełna nadziei. Ulica była długa i wąska, zadzwoniłam, drzwi otworzyły się automatycznie, na górze naciśnięto guzik. Na schodach ukazał się gruby mężczyzna w białym. - O co chodzi? - wrzasnął w moim kierunku. Spojrzałam na nieogoloną twarz i brzuch piwosza. - Nic takiego, przepraszam - odpowiedziałam.

Drugi pokój oglądałam w de Pijp, a konkretnie na Govert Flinckstraat. Była to smutna dziura na poddaszu, o wilgotnych ścianach, z widokiem na zaniedbane podwórko obwieszone bielizną, z brudną kuchnią i ubikacją, w której źle spływała woda. Rozglądałam się,

wyobrażając sobie, że to miałyby być moje nowe mieszkanie. W gruncie rzeczy w codziennej dwugodzinnej jeździe pociągiem nie było nic przyjemnego. Widziałam już siebie przemierzającą na rowerze Herengracht, gdzie mieścił się mój wydział. Widziałam dostojne kamienice odbijające się w wodzie kanału, a siebie poruszającą się z nonszalancją mieszkańca miasta, który wypełnione ulice i place traktuje jak swój duży pokój. Wyobrażałam sobie siebie chętnie w takiej roli; w głębi serca byłam prowincjuską, która się bała wejść w wielki świat.

Praktycznie rzecz biorąc, pozostanie w domu miało swoje dobre strony. Nie musiałam się zajmować praniem i prasowaniem, a wieczorem na stole pojawiała się mięso i jarzyny, a nie podle jedzenie typu junk food, którym moi koledzy rujnowali sobie zdrowie. Poza tym w domu było przytulnie. Nie szukałam więcej pokoju, dopóki rodzice nie zaczęli snuć planów o wyjeździe. Miałam dziewiętnaście lat. W dniu, w którym mi o tym powiedzieli, kompletnie się załamalam. Moi rodzice, ostoja i podstawa mojego życia, odwracają się ode mnie! Jak do tego doszli, że uznali mnie za osobę dorosłą, która może stać na własnych nogach i nie potrzebuje ich pomocy? Kto im naopowiadał takich bzdur? Nigdy sobie bez nich nie poradzę, nigdy! Gdzie mam się podziąć podczas weekendu, dokąd mam się udać? Siedziałam w domu rodziców na kanapie, zakryłam twarz rękami i płakałam.

Z perspektywy czasu wstydzę się trochę, że tak im wszystko utrudniałam. Robin opowiadał mi później, że nosił się z myślą zrezygnowania ze swoich planów, lecz on przekonał ich, by nie pozwolili mi do tego stopnia ingerować w swoje życie. - Niedługo znajdzie chłopaka i nie zobaczycie jej więcej - przekonywał. - Jesteście jeszcze zbyt młodzi, by zrezygnować ze swoich marzeń. Za dziesięć lat, kiedy Sabinę będzie żyła własnym życiem, nie zdecydujecie się na coś podobnego.

Rodzice wsparli mnie finansowo, bym mogła kupić sobie mieszkanie w Amsterdamie, a potem wyjechali. Co jakiś czas odwiedzali mnie w Holandii, lecz tylko na początku.

Okres moich studiów był czasem samotności. Później niewiele się zmieniło. Nie utrzymywałam kontaktów z nikim spośród kolegów i koleżanek ze studiów. Rozjechaliśmy się po kraju; poza tym nie mogłam się zdobyć na to, by się spotykać po pracy. Mój świat zamykał się w pięciu dniach tygodnia spędzanych w pomieszczeniach, gdzie podłogi wyłożone były niebieską wykładziną, a w toaletach światło energooszczędnych żarówek sprawiało, że człowiek wyglądał jak przybysz z innej planety. Czas wolny spędzałam w kantinie lub przy automacie ze słodyczami na dziesiątym piętrze, gdzie się zaszywałyśmy z Jeanine około czwartej, by trochę skorzystać z przerwy.

Oficjalnie kończyłam pracę o piątej, lecz raz na dwa tygodnie dyżuruwałam przy telefonie do szóstej. Zaczynałam wtedy godzinę później. Wracając do domu o wpół do

siódmej, nie miałam już ochoty nawet na ugotowanie czegokolwiek, nie mówiąc o utrzymaniu kontaktów towarzyskich.

Było mnie stać jedynie na to, by rzucić się na kanapę przed telewizorem z gotowym daniem kupionym w Albert Heijn i podgrzanym w mikrofalówce. Kiedy siedziałam w toalecie i patrzyłam na zegarek, musiałam sobie samej przypominać, że jestem w domu, że spokojnie mogę kartkować kalendarz z zabawnymi powiedzeniami i że nie ma Renée, która z wymówką spojrzy na zegarek, kiedy stąd wyjdę. Moja przyjaźń z Jeanine rozciągnęła się na weekendy właśnie wtedy, kiedy zachorowałam. Teraz czuję się lepiej. Dlaczego Jeanine nie została ze mną?

Jeanine, z głową owiniętą folią aluminiową, otwiera drzwi.

- Sabinka - mówi zaskoczona. Patrzymy na siebie, trochę nam nieswojo. Właśnie kiedy usiłuję wydobyć z siebie słowa przeprosin za niezapowiedzianą wizytę, Jeanine otwiera drzwi szerzej. - Myślałam, że to Mark. Wejdz, proszę!

Całujemy się w oba policzki.

- Do twarzy ci z tym - mówię, kierując wzrok na głowę owiniętą w folię.

- Wiem. Farbuję włosy, stąd ten stary szlafrok, jeszcze widać na nim plamy z poprzedniego farbowania. Okropnie się przestraszyłam dzwonka.

- Trzeba było nie otwierać.

- Dziękuję za radę. Zawsze chcę wiedzieć, kto stoi przed moimi drzwiami. Na szczęście to tylko ty.

Postanawiam uznać to za komplement.

- Kto to jest Mark? - pytam, idąc wąskim korytarzykiem do dużego pokoju.

- To sympatyczny chłopak, z którym chodzę od paru tygodni. Mark ogląda mnie bez makijażu, widzi moje majtki w koszu na brudną bieliznę, wie, że mlaskam podczas jedzenia, ale nie chciałabym, aby widział, że farbuję włosy. - Jeanine uśmiecha się i opada na kanapę. Jej szlafrok trochę się odchyła i odsłania spraną, tu i ówdzie podartą różową podkoszulkę.

Mogę sobie wyobrazić, że dziś wieczorem Mark nie byłby mile widziany. Może ja też nie jestem?

Siadam w wiklinowym fotelu, opieram się o białą poduszkę i jest mi wygodniej, niż się spodziewałam.

Spoglądamy na siebie, uśmiechając się niepewnie.

- Chcesz kawy? - pyta Jeanine. - A może jest już czas na coś mocniejszego? - Patrzy na zegar. - Wpół do dziewiątej. Możemy spróbować. Wina?

- Najpierw kawy - odpowiadam jej w kierunku kuchni. - Ale wino postaw obok!

Z kuchni dobiega mnie jej śmiech. Rozglądam się zadowolona wokół siebie. To był dobry pomysł: odwiedzić Jeanine. Zamienić nudny wieczór u siebie na przyjemne plotkowanie przy lampce wina. Tak to sobie wyobrażałam, kiedy zamieszkałam sama.

- Czy już wróciłaś do pracy? - Jeanine wchodzi do pokoju z dwoma kubkami kawy. Wyjmuje z szafy dwa kieliszki i stawia obok.

- Dziś był mój pierwszy dzień.

- No i jak?

Biorę kubek.

- Masz może mleko? - pytam.

- Tak, rzeczywiście, zawsze pijesz z mlekiem - przypomina sobie Jeanine. - Że też ci coś takiego smakuje; przecież to nie ma nic wspólnego z kawą.

- A ta twoja gorycz nie może być zdrowa - odpowiadam.

Jeanine robi minę zde gustowaną i przynosi mleko. - Proszę bardzo, droga pani. Czy coś jeszcze? Poza tym pytałam o pracę.

- Było... - zastanawiam się przez chwilę nad właściwym słowem - strasznie. Odetchnęłam z ulgą, kiedy wybiło wpół do pierwszej.

- To znaczy, potwornie.

- Tak można powiedzieć.

Pijemy kawę w milczeniu.

- Dlatego odeszłam - mówi Jeanine po chwili. - Atmosfera bardzo się zmieniła. Renée cierpi na manię wielkości i zatrudnia tylko tych, którzy są jej posłuszni. Wiesz, powiedziałam to Wouterowi, kiedy składałam rezygnację. Ale znasz go przecież, jest bardzo zadowolony z wszechwładnej Renée. A jak się zachowywała wobec ciebie?

- Prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. Właściwie to nie rozmawiałam z nikim. Większości nie znam, a połowa tych ludzi nie zadała sobie trudu, żeby się przedstawić. Zajmowałam się więc otwieraniem poczty i składaniem kartonów.

- Musisz stamtąd jak najszybciej odejść.

- I co dalej? Co będę robić? Nie mam oszczędności, nie mogę sobie pozwolić na rezygnację z tej pracy. A jeśli nie znajdę innej!

- Znajdziesz na pewno. Zarejestruj się w biurze pośrednictwa pracy.

- No tak, też mi przyjemność, być posyłanym to tu, to tam, żeby porządkować archiwa i całymi dniami wypisywać jakieś kolumny. Nie, dziękuję, ten czas jest już za mną. Zobaczę, jak mi tu pójdzie. Pierwszy dzień jest zawsze najtrudniejszy. Poza tym, jeszcze się nie dowiedziałam, co ty teraz robisz!

- Pracuję w niewielkiej kancelarii adwokackiej - odpowiada Jeanine. - Jest tam wyjątkowo miło. Praca niczym się nie różni od poprzedniej, ale atmosfera...

Czuję ukłucie zazdrości i przygaszona wypijam resztkę kawy.

- Będę się rozglądać za pracą dla ciebie - obiecuje spontanicznie Jeanine. - Po znajomości zawsze jest łatwiej, rozmawiam w pracy z tyloma ludźmi.

Patrzę na nią z wdzięcznością.

- Naprawdę mogłabyś to zrobić?

- Oczywiście, nie ma sprawy. Czekaj, Sabinka, czy ten Olaf jeszcze ciągle pracuje w banku?

- Olaf, jaki Olaf?

- No tak, ty go oczywiście nie znasz. Pracuje w dziale informatyki, superfacet. Komputery działały, ale pracowniczki były wyłączone z obiegu. - Jeanine uśmiecha się znacząco.

- Jeszcze go nie spotkałam.

- Musisz kiedyś wpaść do informatyków - doradza Jeanine. - Wyciągnij kabel z komputera i wezwij Olafa.

- O co chodzi? - pytam.

- Renée jest nim zauroczona - mówi Jeanine z uśmiechem.

- Przyjrzyj się jej, kiedy facet stanie w drzwiach. Można boki zrywać!

Jeanine naśladuje kokietującą Renée, wzbudzając mój głośny śmiech.

- Na szczęście on wcale nie jest nią zainteresowany - stwierdza z zadowoleniem. - Wypiłaś już kawę, no, to się zabieramy do wina.

Nalej, a ja tymczasem zdejmę tę folię z głowy. Muszę tylko splukać włosy, bo inaczej zrobią się pomarańczowe.

Jeanine hałasuje, chlapiąc wodą w łazience, podczas kiedy ja napełniam kieliszki. Dawno nie czułam się tak dobrze. Czasem warto podejmować inicjatywę. Powinnam częściej to robić. Nie czekać, lecz wychodzić do ludzi. Może nawet Renée zechce pójść ze mną do kina.

Uśmiecham się do siebie i pociągam łyk wina.

Jeanine wraca z mokrymi włosami w kolorze rudym. Ma na sobie dżinsy i biały Tshirt. Wygląda na wesołą i pełną życia. Taką ją pamiętam, tylko nie ten kolor włosów.

- Ładny odcień - mówię pełna podziwu. - Choć szokujący po tamtym brązowym. Jesteś odważna!

- Ten kolor teraz wydaje się jeszcze ciemny, bo włosy są mokre. Kiedy wyschną, będą błyszczą jak miedź. Sama jestem ciekawa. Mój prawdziwy kolor uważam za banalny.

Odrobinę zazdrosna patrzę na gęste, falujące włosy Jeanine. Z taką czupryną nie potrzeba miedzianego pobłysku; ja też zrobiłabym wszystko, żeby tylko moja fryzura nie była banalna. Sama codziennie rano modeluję włosy suszarką, lecz ciągle nie jestem zadowolona. Nawet chciałam je obciąć. Nie za bardzo, po prostu zwyczajne półdługie, byle tylko wyglądały na zadbane. Ufarbować, i metamorfoza byłaby totalna. Niestety, jeszcze mi się to nie udało.

Robi się późno. Pijemy, śmiejemy się i plotkujemy o Renée. Jeanine opowiada szczegółowo o nowych pracownikach. Na ogół można powiedzieć, że ludzie są na poziomie, nikt jednak nie zdaje sobie sprawy, jak Renée owija sobie wszystkich wokół palca.

- Renée wylewała całą złość na ciebie w obecności innych. Nie oczekuj, że przyjdą do ciebie; nie zrobią tego. Sama wyjdź im naprzeciw i udowodnij, że jesteś inna, niż twierdzi Renée.

- Naprawdę tak źle o mnie mówiła? - pytam, nie dowierzając. - Czyżby była aż tak fałszywa?

- Tak - odpowiada twardo Jeanine. - Według niej człowiek jest chory dopiero wtedy, kiedy zawiozą go na oddział intensywnej opieki albo zagipsują od stóp do głów. O tobie powiedziała kiedyś, że jesteś chora, bo chcesz być chora, i że ona, nawet kiedy się bardzo źle czuje, i tak przychodzi do pracy. To prawda. Zużywa paczkę chusteczek w pół godziny, a następnego dnia całe biuro kicha i kaszle. Według niej depresję należy w sobie przezwyciężyć. To kwestia silnej woli, której ty, jej zdaniem, nie masz. Tak też przedstawiała cię wszystkim nowo zatrudnionym. Byłam przy tym, wiem, co mówię.

Zrzuciłam buty, siadłam na kanapie, podwijając nogi i grzejąc sobie zimne stopy.

- Ale ty mi wierzysz? - pytam pełna niepokoju.

- Oczywiście. - Jeanine dolewa mi wina, idzie do kuchni, cały czas mówiąc, może tylko trochę głośniej, żebym ją słyszała. - Znam tylu załamanych ludzi. Mój wujek to przeżył, mój ojciec, a i w pracy jest paru takich. Na to przecież chorowałam, prawda? - Jeanine wchodzi z talerzykiem czipsów i patrzy na mnie pytająco.

Potakuję, ponieważ wydaje mi się, że tego rodzaju przypadki depresji i załamań w gruncie rzeczy są do siebie podobne.

Jeanine nalewa sobie do pełna i także podwija nogi.

- Rozumiem, co Renée ma na myśli; depresja i załamanie są zaraźliwe niczym epidemia. Cały świat ma z tym problemy, jest tyle odmian tej choroby i nigdy nie wiadomo,

czy ktoś może już wrócić do pracy, czy też musi jeszcze zostać w domu. Na pewno niektórzy ludzie nadużywają zwolnień, a Renée należy do tych, którzy uznają, że sami mogą postawić diagnozę. Najprawdopodobniej w innym życiu skończyła medycynę. Miałam kiedyś gripę, wzięłam dzień zwolnienia. Od razu posłała do mnie lekarza, by to skontrolował. Zwykle przychodzą oni dopiero następnego dnia albo po dwóch dniach. Tym razem lekarz był już w godzinę po moim telefonie. Na specjalne polecenie szefa, jak mi powiedział. Zgadnij, kto namówił Woutera.

Wypijam łyk wina. Patrzę na nią, starając się zrozumieć.

- Dlaczego ci nie zaufała? Każdy przecież może się rozchorować na gripę.

- Cóż, że poprzedniego dnia skarżyłam się, że mam tak mało wolnych dni. Ale narzekałam, bo czułam się kiepsko, to chyba logiczne. Chętnie wzięłabym wolny dzień, nie mogłam sobie jednak na to pozwolić. Tego wieczoru rozbolało mnie gardło i dostałam gorączki, następnego dnia zadzwoniłam, że jestem chora. Nie uwierzyła. Nawet Wouter do mnie dzwonił, niby pytając, jak się czuję. Byłam tak przestraszona, że się nie odważyłam wyjść po pomarańcze do sklepu za rogiem, bo w tym czasie mogłaby być kontrola!

- Co za dranie - mówię i wyciągam rękę po czipsy. W jakiś dziwny sposób duży czips łąduje w mojej tchawicy. Zaczynam się krztusić, łyzy leją mi się z oczu, ale uparty czips tkwi w gardle, wbijając się w nie boleśnie.

- Napij się trochę wina - radzi Jeanine, podając mi kieliszek.

Nie słucham jej rady, ponieważ kaszlę tak mocno, że zbiera mi się na wymioty.

- Może się jednak napijesz? - powtarza zatroskana Jeanine.

Macham ręką, że to niemożliwe, lecz ona trzyma kieliszek i nalega, bym się napiła.

- Wypłuczesz go - twierdzi.

Być może byłoby lepiej, gdyby mnie poklepała po plecach. Chcąc jej to dać do zrozumienia, klepię się sama. Nisko. Jednak nie sięgam wyżej, między łopatki.

Jeanine wstaje i mocno uderza mnie w plecy, o wiele za nisko i za mocno. Podnoszę rękę na znak, żeby przestała. Jeanine jednak myśli, że ma próbować dalej, i uderza jeszcze mocniej.

- Może zastosować chwyt Heimlicha? Wstań! - krzyczy Jeanine, lecz właśnie w tym momencie wypluwam czipsa i łapię powietrze. Kaszląc, rzucam się na poduszkę, wycieram z twarzy łyzy i piję łyk wina.

- Wszystko w porządku? - pyta zatroskana Jeanine. - Mówiłam przecież, żebyś wypila łyk wina.

Stawiam kieliszek na brzegu kanapy.

- Zwariowałaś - mówię. - O mały włos to walenie po kręgosłupie by mnie sparaliżowało.

- Walenie po kręgosłupie? Uratowałam cię! - wykrzykuje Jeanine oburzona.

- Tak, najpierw patrząc, jak się duszę, i proponując mi wino, a potem tłukąc mnie po kręgosłupie! Trzeba klepać pomiędzy łopatkami; Bóg raczy wiedzieć, co by ze mnie zostało, gdybyś zastosowała chwyt Heimlicha! - odkrzykuję.

Patrzemy na siebie bez słów, po czym wybuchamy śmiechem.

- W takim razie gdzie uderzyłam? - śmieje się Jeanine. - Tam? A gdzie miałam? No tak, to przecież blisko! - Znowu wybuchamy śmiechem.

Jeanine wyciera załzawione oczy.

- Może rzeczywiście powinnam zrobić kurs pierwszej pomocy. W pracy też potrzeba ochotników.

Pustą butelką, która stoi na podłodze, wskazuję na nią.

- To całkiem dobry pomysł, to absolutnie dobry pomysł.

Lody zostały przełamane, znowu jest jak dawniej.

Pijemy, gadamy, plotkujemy i znowu pijemy. W pewnej chwili wstaję, by pójść do ubikacji, lecz sufit zaczyna nade mną tańczyć. Jęcząc, osuwam się na kanapę.

- Myślisz, że za dużo wypiliśmy? - mamroczę.

- Chyba tak - odpowiada Jeanine. - Widzę tylko dwie Sabinki, zwykle widzę cztery.

Chichoczymy obie.

- Musisz spać u mnie - Jeanine wymawia słowa z trudem. - Nie mogę cię tak wypuścić na ulicę. A która to godzina? Rany boskie, druga.

- Co ty! - Zrywam się, otrzeźwiona. - Muszę być jutro w pracy!

- To poprosisz o wolny dzień - doradza Jeanine. - Renée na pewno zrozumie.

Śmiejąc się, ściągamy kołdrę z pawlacza, oblekamy ją wspólnymi siłami i ścielimy dla mnie na kanapie.

- Dobranoc - mówi Jeanine sennym głosem.

- Dobranoc - mamroczę i wsuwam się pod kołdrę. Kładę głowę na poduszce i odpływam w cudowną miękkość.

4

Mówi się o mnie. Nie otwarcie, ale za plecami. Widzę to po ciszy, jaka zapada, kiedy wchodzę do biura z paczką listów, po oczach, które szybko się ode mnie odwracają jak oczy

kogoś przyłapanego na gorącym uczynku. Czuję się niepewnie, a ranek ciągnie się w nieskończoność.

Biorę formularz i zamawiam dodatkowe nożyczki, dziurkacze i spinacze. Rzucam okiem na zegar. Czy on się, u licha, zatrzymał?

Niski męski głos przerywa ciszę biurowego pomieszczenia.

- Dzień dobry, czy to tutaj był problem?

Odwracam się razem z krzesłem i w tej samej chwili spostrzegam prawie dwumetrową postać o gęstych blond włosach, szerokim uśmiechu i miłej twarzy.

- O rany, Sabine! - Przybysz wielkimi krokami przemierza sekretariat i staje przy moim biurku. - Już wczoraj myślałem, że to ty, ale teraz jestem pewien. Nie poznajesz mnie, prawda? Widzę po twojej minie.

Gwałtownie usiłuję sobie przypomnieć, skąd znam tego mężczyznę, ale na próżno.

- Czy to nie było?... Wydaje mi się... - bąkam, zdając sobie sprawę, że moje koleżanki patrzą na mnie ze zdumieniem, ale także z odrobiną niechęci. Najprawdopodobniej podejrzewają mnie o podwójne życie: za dnia grzeczna sekretarka, a nocą Bóg wie kto.

- Olaf - przedstawia się młody człowiek. - Olaf van Oirschot, pamiętasz, przyjaciel Robina.

Moja przyćmiona świadomość nagle się rozjaśnia. Z ulgą wciągam głęboko powietrze. Oczywiście! Wysoki Olaf, jeden z przyjaciół brata. Kiedy chodziliśmy do szkoły średniej, Robin zadawał się z grupką szaleńców, których bardziej interesowały głupie dowcipy niż nauka.

- Przypomniałaś sobie - zauważa Olaf zadowolony.

Potakuję i odchylam się trochę do tyłu, by mu się dokładniej przyjrzeć.

- To chyba ty udawałeś wtedy w barze, że jesteś niewidomy.

Olaf uśmiecha się zażenowany.

- Tak, znasz tę historię? I co mam powiedzieć? Nie grzeszyliśmy mądrością. Pokryliśmy jednak wszystkie koszty.

W sekretariacie wszyscy skupili uwagę na nas. Renée udaje, że nagle czegoś gwałtownie potrzebuje z półki z dokumentami, której zwykle prawie nie zauważa. Zwraca się do Olafa z uśmiechem, jakby go dopiero teraz dostrzegła:

- Ach, Olaf! Mam problem z komputerem. Kiedy chcę coś zapamiętać, na ekranie wyskakują mi różne informacje. Mógłbyś zobaczyć? - Nie przerywając, prowadzi Olafa do swego biurka. - O, popatrz.

Olaf odwraca się do mnie:

- Do zobaczenia, Sabinko.

Kiwam mu głową i usiłuję się skoncentrować na zamówieniu. Nie udaje mi się; nieoczekiwana konfrontacja z czasami, z którymi już dawno się pożegnałam, zburzyła mój spokój. A oprócz tego nie mogę uwierzyć, że z takiego nieociosanego chłopaka zrobił się przystojny mężczyzna...

Kiedy o wpół do pierwszej wreszcie mogę iść do domu, spotykam go w windzie.

- Cześć, też idziesz na obiad? - pyta.

- Nie, wracam do domu.

- To jeszcze lepiej.

- Pracuję tylko na pół etatu - czuję się zmuszona wyjaśnić.

- W gruncie rzeczy ja też, chociaż cały dzień można mnie tu znaleźć - krzywi się Olaf.

Opiera się o ścianę z lustrem, zakłada ręce i beczelnie na mnie patrzy. Winda na chwilę robi się za ciasna.

W podobnie nonszalancki sposób opieram się o drugą ścianę, tak samo krzyżuję ramiona, ale nie wiem, gdzie skierować niepewne spojrzenie.

Kwituję jego słowa uśmiechem, lecz widać, że jestem speszona. Nie zachowuj się jak nieśmiała nastolatka, Sabinko, mówię do siebie. To Olaf, znasz go przecież.

Wcale mnie to nie przekonuje. W każdym razie nie teraz, kiedy w ten sposób na mnie patrzy. Rozpaczliwie próbuję być spontaniczna:

- Pewnie nie pracujesz tu zbyt długo? Jeszcze cię tutaj nie widziałam.

- Pracuję już parę miesięcy.

Bezwstydnie lustruje moje nogi i piersi, ale uznanie w jego oczach jeszcze bardziej odbiera mi pewność siebie.

- Chorowałam długo, byłam w złej formie - wyjaśniam. Słowo depresja kojarzy mi się nagle z kaftanem bezpieczeństwa.

Olaf wzdycha ze współczuciem.

- To przykre. Długo cię nie było?

- Długo.

- A teraz znowu ostrożnie próbujesz?

Kiwam głową. Zapada cisza, podczas której trochę śmiesznie się sobie przyglądamy, a raczej ja przyglądam się jemu, bo Olaf spogląda na mnie zupełnie na luzie i z uśmiechem. Dlaczego uważam go za przystojnego? Twarz ma za bardzo kanciastą, rysy zbyt nieregularne, by je nazwać ładnymi; niebieskie oczy zanadto spłowiałe, by mogły kontrastować z jasnymi rzęsami i brwiami. Jego gęste, lekko kręcone włosy nigdy nie będą wyglądać na uczesane.

Mimo to wysoki wzrost i mocne ramiona czynią go bardzo pociągającym. Zmienił się, nie ma co.

Olaf z kolei też się wydaje zaskoczony moim wyglądem, choć zawsze byłam przekonana, że niewiele się zmieniłam od szkoły średniej. Jestem jasną szatynką, mam, jak wtedy, włosy do ramion i prawie się nie maluję, co najwyżej cień na powiekach i trochę tuszu. Moje upodobania w dziedzinie mody również się nie zmieniły. Próbuję się do niej dostosować, ale nie naśladowuję niewolniczo jej wzorów. Do nowego trendu muszę się najpierw przyzwyczaić, przekonać o jego zaletach, by z czasem dobrać nową garderobę. Najczęściej nowy trend przestaje być wtedy krzykiem mody. Tak było dawniej i tak jest dziś. Olaf patrzy na mnie jednak, jakbym była najmodniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkał, co jest oczywistym nonsensem. Najprawdopodobniej po prostu ze mnie drwi.

- Co za przypadek, że się tu właśnie spotkaliśmy - mówi Olaf, uśmiechając się szeroko. - Z drugiej strony, wygląda, jakby wszyscy się przeprowadzili do Amsterdamu. Nie wyobrażasz sobie, ilu dawnych znajomych już tu spotkałem. Prędzej czy później na kogoś się natkniesz. To co, wracasz do siebie czy zjemy coś razem?

Spoglądam na niego przestraszona. Zjeść coś razem? Jego oczy wbite we mnie, podczas gdy ja drżącą ręką próbuję podnieść widelec do ust.

- Nie, dziękuję, muszę już iść, może innym razem - odpowiadam niepewnie.

Winda staje i drzwi się otwierają. Po drugiej stronie spostrzegam Renée i koleżanki wychodzące z windy naprzeciw.

- Nie przesadzaj, coś musisz zjeść. Możemy równie dobrze zjeść lunch razem.

Renée patrzy z niedowierzaniem to na mnie, to na Olafa.

- No to chodźmy, fajnie, chwilę pogadamy.

Jakbyśmy się znali od lat, swobodnie wchodzimy do stołówki.

Renée kroczy za nami w otoczeniu swoich dam dworu.

Bierzemy z Olafem tace i oglądamy bufet.

- Biorę krokiety* - mówi Olaf. - Ty też?

- Chętnie.

* Broodjes krokiet - rozdrobniony chleb zmieszany z jajkiem, mąką, opiekany w bułeczce, przypominający trochę zwinięty naleśnik. Krokiety z dodatkiem mięsa, krewetek, jarzyn, kartofli itd. są ulubionym przysmakiem Holendrów (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

W minionym roku prozac i pitna czekolada sprawiły, że przybyło mi około pięciu kilo; jeden krokiet niczego nie zmieni.

Zajmujemy stolik obok Renée i jej świty. Renée tak usiadła, by móc mnie cały czas obserwować.

Próbuję się odprężyć i uśmiechnąć do Olafa.

- Czytałaś może o zjeździe uczniów naszej szkoły? - pyta Olaf, smarując swój krokiet grubo musztardą.

Potakuję, dzieląc krokiet na drobne kawałki. Nie ma mowy, abym go mogła wziąć w rękę.

- Wybierasz się? - zagaduje Olaf.

Przypomina mi się podwórko szkolne w czasie przerwy, grupki uczniów i ściana, pod którą stałam sama.

- Nie - odpowiadam zdecydowanie, wkładając do ust kolejny kęs.

Olaf wybucha śmiechem.

- Ja też nie mam na to ochoty - stwierdza, rozgniatając swój krokiet. - Gdybym chciał z kimś utrzymywać kontakt, już bym to zrobił. Choć my, na przykład, nie widzieliśmy się od lat, a przecież miło spotkać kogoś po tak długim czasie.

Ciągle czuję się nieswojo w jego obecności. Za każdym razem, kiedy na mnie patrzy, uświadamiam sobie, że jestem nieuczesana, zmęczona, blada i mam plamy potu pod pachami. Chciałam w domu wziąć prysznic i zrobić sobie parę tostów. Zamiast tego trafiło mi się, że siedzę w stołówce naprzeciw fajnego chłopaka.

W tym momencie Olaf rzuca się na krokiet jak sokół na swoją ofiarę i zjada go z widoczną przyjemnością. Nie lubię mężczyzn, którzy pochłaniają jedzenie tak żarłocznie, gdy na mnie patrzą. Nie pomoże nawet miła twarz. Tym razem jednak rozwesela mnie to i przywraca mi wiarę w siebie. Plamy potu nie są przyjemne, lecz kawałki krokietu wypadające z ust są gorsze.

Najdziwniejsze jest to, że Olaf zupełnie tego nie zauważa. Nie przeprasza, dalej dziubiąc krokiet widelcem i wpychając go sobie do ust. Jeszcze nie przełknął, a już mówi dalej.

- Im dłużej o tym zjeździe myślę, tym większą mam ochotę zobaczyć tych ludzi. Jak się namyślisz, to daj znak. A co słychać u Robina?

- Wszystko w porządku. Mieszka w Anglii - odpowiadam, zadowolona, że porzuciliśmy temat szkoły średniej.

- Ach tak. - Olaf spogląda z zainteresowaniem. - A co tam robi?

- Pracuje jako informatyk - odpowiadam.

- A dla jakiej firmy? - pyta Olaf.

- Odzieżowej. Van Gils.

- Chce tam zostać? Czy mieszka tylko tymczasowo?

- Wydaje mi się, że zostanie tam tylko przez jakiś czas - odpowiadam. - Jeśliby i on chciał wyjechać na stałe... Wiesz, moi rodzice już od lat mieszkają w Hiszpanii. Zostaliśmy z Robinem oboje w Amsterdamie, tu pracowaliśmy, ale trzeba było otworzyć nowy zakład dla jego firmy. Jak się rozkręci, myślę, że wróci; taką przynajmniej mam nadzieję.

- Zawsze mieliście ze sobą dobry kontakt. W każdym razie tak was zapamiętałem.

Olaf wkłada do ust tak ogromny kawałek, że przezornie odwracam wzrok. Patrzę znowu w jego stronę, kiedy jestem przekonana, że już przełknął. Obciera usta i przepłukuje łykiem kawy. Rzuca okiem na zegarek i szybko się podnosi.

- Muszę iść do roboty. Było mi bardzo miło. Musimy się częściej spotykać.

Uśmiecha się do mnie tak serdecznie, że mimo woli odwzajemniam uśmiech.

- Koniecznie - odpowiadam z przekonaniem, mimo tego krokieta.

Odnosimy tace z talerzem oraz sztuczcami i równym krokiem idziemy razem do windy.

- Na dół - mówi Olaf. - Jadę z tobą.

Nie musi wcale tego robić, może skorzystać z innej windy. Ogarnia mnie dziwne uczucie. Kiedy na dole drzwi się otwierają, Olaf wychodzi razem ze mną.

Patrzę na niego trochę zażenowana. Wiem, co zaraz nastąpi: faza badania terenu. Umówić się na spotkanie albo bawić w podchody, spróbować wyczuć, czy druga strona jest tak samo zainteresowana. A ja mam się uśmiechnąć, odrobinę poplirtować i spróbować skłonić go do tego, żeby mi sam zaproponował. Właśnie tego nie umiem...

- No to jutro znowu się spotkamy? Jak widzisz, rwę się do pracy! - rzucam wesoło. Poprawiam torebkę na ramieniu, macham ręką i zdecydowanym krokiem wychodzę z korytarza. Nie odwracam się, ale wiem na pewno, że Olaf patrzy za mną zaskoczony.

5

Świeże powietrze! Ledwie wyszłam na zewnątrz, żeby wsiąść na rower, poczułam łagodne ciepło majowego słońca. Mam samochód, forda ka, ale jeżdżę nim tylko wtedy, kiedy pada. W Amsterdamie i tak wszędzie można szybciej się dostać rowerem, a już na pewno w czasie porannych korków. Cieszę się, że tym razem przyjechałam na rowerze; potrzebuję świeżego powietrza. Głowa mi pęka.

Jadę powoli po parku Rembrandta, gdzie wiosenna zieleń okrywa mgiełką drzewa. Ludzie wyprowadzają psy, paru uczniów pali papierosy na ławeczce, zającąc chipsy. Na stawie kwaczą kaczki. Pedaluję tak wolno, że biegacze prześcigają mnie bez wysiłku.

Och, jak wspaniale jest być na świeżym powietrzu. Czuję się jak skazaniec, którego właśnie wypuszczono z więzienia i który ostrożnie smakuje swoją wolność. Jakiś pies biegnie koło mnie, szczekając, ale nie wzbudza we mnie lęku; lubię psy. Sama chętnie miałabym psa. Nie sposób pozostać obojętnym wobec ich wierności i nieskomplikowanych reakcji. Dasz mu jeść, zapewnisz dach nad głową, pogłaszczesz go i trochę się z nim pobawisz, a już masz przyjaciela na zawsze. Kocha cię nawet wtedy, kiedy wymierzysz mu kopniaka albo nawymyślasz. Także wówczas pozostanie ci wiemy, wdzięczny za każde dobre słowo.

Podobno właściciele psów wybierają rasy, do których są podobni; to bardzo do mnie przemawia. Jeżeli reinkarnacja istnieje, chciałabym wrócić po tym życiu jako pies, najchętniej retriever złoty. Mój brat Robin jest na przykład trochę podobny do pitbulla. Robin nie znosi posłusznych psów, które na wszystko pozwalają. Lubi, kiedy pies ma charakter.

Robin i ja nie jesteśmy do siebie w niczym podobni, ani pod względem charakteru, ani wyglądu. Jest o dwie głowy wyższy ode mnie, ma ręce murarza, tylko bez tatuażu, strzyże się na języka. Jeśli dodamy do tego wylewny i władczy charakter, wiemy, że jest to ktoś, z kim się trzeba liczyć. To się odnosi do innych, nie do mnie. Dla mnie jest bratem, o jakim marzy każda dziewczyna; brakuje mi go jeszcze bardziej niż rodziców.

Pamiętam pewien słoneczny kwietniowy dzień. Miałam czternaście lat, jechałam na rowerze do domu, wśród pól, a rzędy żonkili o jaskrawożółtych główkach machały do mnie na wietrze. Pomyślałam sobie, jak bardzo ucieszyłaby się mama, gdybym przyniosła jej bukiet żonkili. Nie namyślając się długo, zostawiłam rower obok drogi i rzuciwszy okiem na dom w pobliżu łąki z żonkilami, przeskoczyłam niewielki strumyk, który oddzielał ścieżkę rowerową od łąki.

Było to do mnie niepodobne. Okropnie się bałam, że nagle wyskoczy rozzłoszczony właściciel. Nic jednak tego nie zapowiadało, toteż ośmielona zrobiłam kilka kroków w głąb łąki. W tej chwili zauważyłam właściciela. Miał twarz wykrzywioną złością, ale było już za późno, by się wycofać. Biegł szybko po łące, odcinając mi drogę. Sparaliżowana strachem, zatrzymałam się z żonkilami w ręku. Mężczyzna zbliżył się, ja usiłowałam wykrztusić coś o zapłacie, lecz on zaczął mnie szarpać za ramię i na koniec wepchnął do strumienia, ot tak, po prostu. Jeszcze przez wiele dni nie mogłam usiąść z powodu siniaków.

Płacząc, wdrapałam się na brzeg i w mokrym ubraniu ruszyłam do domu. Kiedy wróciłam, mama i Robin siedzieli w ogrodzie przy herbacie. Dłuższą chwilę trwało, zanim zrozumieli, o co chodzi w moim chaotycznym opowiadaniu.

- No widzisz, dziecko, nigdy nie należy wchodzić na czyjś teren - zauważyła praktycznie mama. - Gdyby on pozwolił wszystkim uczniom zrywać żonkile na swoim polu...

Takie spostrzeżenie mogło paść tylko z ust mojej matki. Miała oczywiście rację, ale te żonkile miały być dla niej i spodziewałam się od niej przynajmniej trochę współczucia. Mama była jednak zawsze racjonalistką. Kłótnia z nauczycielem? Pewnie byłaś pyskata, a jeśli nie, to w każdym razie w czymś zawiniłaś. W centrum handlowym przewróciłaś się z roweru i zwichnęłaś nadgarstek? No tak, w centrum handlowym nie wolno jeździć rowerem. Sama o tym dobrze wiedziałam, niemniej wróciłam przerażona i oczekiwałam pocieszenia. Z czasem zrozumiałam, że jej współczucie tylko pogłębiałoby moją nadwrażliwość. Mama próbowała desperacko uczynić mnie dzielniejszą i odporniejszą na ciosy. W tamtej chwili jednak czułam się opuszczona przez wszystkich.

Robin zareagował inaczej. Z rosnącym oburzeniem słuchał mojego opowiadania, przeplatanego łzami, spoglądał na mamę, słuchał jej rzeczowych komentarzy, po czym stwierdził:

- Być może, ale on mimo wszystko nie musiał jej wrzucać do wody. Co to za bohater, który szarpie czternastoletnią dziewczynkę. Zobacz, ona ledwie siedzi. Z powodu żonkili. Czy on kompletnie zwariował? Powiedz, gdzie on mieszka, Sabinę.

Opisałam mu dokładnie to miejsce. Robin wstał, włożył skórzaną kurtkę i wyszedł.

- Co chcesz zrobić? - zapytała podejrzliwie mama.

- Powiem temu draniowi, żeby następnym razem trzymał ręce przy sobie - odpowiedział mój brat.

- Nie zrobisz tego, zostaniesz tutaj - zdecydowała mama. Z reguły słuchaliśmy jej, lecz Robin miał już szesnaście lat, był wysoki i silny, jak na swój wiek, a ponadto uparty i w gorącej wodzie kąpany.

Usłyszałyśmy terkotanie jego motoru i już go nie było. Wieczorem podczas kolacji dowiedziałam się, co zaszło. Robin wszedł na podwórze, zobaczył mężczyznę w niebieskim kombinezonie, pchającego taczkę. Podeszedł do niego, pytając, czy to on jest tym łobuzem, który wrzucił jego siostrę do kanału. Mężczyzna potwierdził i usiłował się tłumaczyć, lecz zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, Robin kopnął go i wepchnął do wody.

Mężczyzna nie złożył zażalenia. Mama długo się tego bała, a ja zaczęłam jeszcze bardziej uwielbiać swego brata.

Skręcam w prawo, opuszczam park i jadę do domu wzdłuż szyn tramwajowych. Nie mieszkam w eleganckiej dzielnicy, za to mam przytulnie. Lubię turecką piekarnię na rogu i warzywniak z wystawionymi pudłami bananów. Nadają tej dzielnicy koloryt i sprawiają, że różni się od tych, w których są wystawione porcelanowe drobiazgi w oknach. Być może łączy

w sobie coś z rozmaitych dzielnic Amsterdamu, i naprawdę ją lubię. Dobrze się tu czuję i nie mam zamiaru wracać do Den Helder.

Przewietrzona, wjeżdżam w swoją ulicę, z kieszeni zamszowej kurtki wyciągam klucz i otwieram drzwi. Stawiam rower w korytarzu; na szczęście nie przeszkadza to pani Bovenkerk, która mieszka na drugim piętrze.

Na wszelki wypadek przypinam rower łańcuchem i przy drzwiach wejściowych zaglądam do skrzynki na listy. Jest poczta! Dwa listy. Wyjmuję je niecierpliwie. Rachunki.

Biegnę na górę, przekręcam klucz w zamku i wchodzę do mieszkania. Wita mnie cisza. Nie miga światelko sekretarki w telefonie.

Kładę truskawkę na kromce chleba i zjadam na stojąco w kuchni. Słońce oświetla domy po drugiej stronie ulicy. Wyglądają, jakby czekały na pędzel i farbę. Za gęstwiną zielonych drzew ktoś się opala nago. Spostrzegam to przy podmuchu wiatru.

Mam przed sobą całe popołudnie, bezpieczna w swojej kryjówce. A może wyjść na dwór? Przejść się trochę po parku? Może umyję okna, bo w promieniach słońca szyby wyglądają na matowe. Najpierw jednak musiałabym sprzątnąć parapet. Zabrać stamtąd stosy papierów oraz z płynem do mycia szyb, zamaszystymi ruchami zmyć kurz i brud, a potem wytrzeć do sucha, by nie zostały ślady. To jeszcze nie byłoby trudne, najgorsze są okna zewnętrzne. Dostać się do nich ze szmatką i gąbką na kiju jest zadaniem prawie niewykonalnym. Kiedyś zamówiłam kogoś do mycia szyb. Mężczyzna przyszedł cztery razy, a potem zniknął.

Wzdycham ciężko, zmęczona na samą myśl o takim wysiłku. Przeglądając papiery na parapecie, znajduję parę niezapłaconych rachunków. Płacę od razu przez Internet. Odkurzam parapet i drewniane figurki kotów, wyrzucam zeschnięte kwiaty. Myję doniczki i stawiam na szafce kuchennej. Mogłabym kupić nowe kwiaty, ale po co? Uschną i tak, ponieważ zawsze zapominam je podlać. Parę plastikowych roślin rozwiązałoby problem. Można kupić kwiaty, które nie różnią się niczym od prawdziwych. Może by tak spróbować?

Wyglądam przez okno, na które pada słońce, budząc we mnie wyrzuty sumienia. Ogarnia mnie niewymowne zmęczenie. Opadam na kanapę, przeglądam jakieś czasopismo, znowu się gapię przez okno, usiłuję coś przez nie dojrzeć, w końcu włączam telewizor. Przez dłuższą chwilę nie ma nic interesującego, potem zaczyna się mój ulubiony serial *As the World Turns*. Mogę liczyć na przyjaciół z telewizora. Za każdym razem pomagają mi przetrwać. Zajmuję się ich problemami, bo moje w porównaniu blakną. Głośno się denerwuję ich głupimi pomysłami, wiem dokładnie, co powinni byli zrobić. Przekonanie, że mogę poradzić sobie z kłopotami lepiej niż inni, uspokaja mnie. Nie zachodzę w niechcianą ciężę i

nie cierpię na żadną zagrażającą życiu chorobę. W zasadzie nie muszę się na nic skarżyć. Jeśli oczywiście poczytam sobie na plus, że nie ma nikogo, z kim mogłabym zająć w ciężę albo kto by mnie pielęgnował w chorobie.

Pomyślałam nagle o Barcie. Skąd to skojarzenie? Bart. Od lat o nim nie myślałam. Może przypomniał mi się dzięki dzisiejszemu spotkaniu z Olafem? Tak, to spotkanie jest także przyczyną niepokoju, który mnie ogarnął. Zaczęłam myśleć o przeszłości. To nie ma nic wspólnego z Bartem, lecz ze wspomnieniami, które nagle ożywają.

Usiłuję nad nimi zapanować i skupić się na *As the World Turns*, lecz niestety daremnie. Bart patrzy na mnie z telewizora, a Isabel przejmuje rolę Rose. Ze złością przełączam na inny kanał, ale to nie pomaga. Wspomnienia mnie nie opuszczają. Co gorsza, pojawiają się obrazy, o których zapomniałam. Wyłączam telewizor, wkładam dzinsową kurtkę, biorę czerwoną torbę, odpinam rower z łańcucha i wyjeżdżam. Plastikowe rośliny. Gdzie je kupić? Najprawdopodobniej wszędzie, aleja chcę ładne, a takie można dostać tylko w domu towarowym Bijenkorf. Mam kawałek do centrum, ale jazda dobrze mi robi. Amsterdam lębi się i huczy. Tramwaje hałasują, tarasy kawiarni są wypełnione, a drzwi balkonów otwarte.

Na Dam pojawili się znowu turyści z wyciągniętymi ramionami, na których przysiadają gołębie. Patrzą niepewnym wzrokiem, ale uśmiechają się obowiązkowo do aparatu.

Schodzę z roweru i przypinam go naprzeciw obrotowych drzwi przy Bijenkorf. Zanurzam się w tłumie kupujących. Dlaczego kiedy na dworze świeci słońce, sklepy nagle się wypełniają? Czego ci ludzie szukają w taki piękny dzień? Najprawdopodobniej nagle mają dość swoich kanap, krzeseł, ubrań, butów, podkoszulków i spodni, bo wszędzie są tłumy. Schodami ruchomymi dostaję się na piętro, gdzie od razu spostrzegam to, czego szukam: białe plastikowe kwiatki jak prawdziwe. Białe i różowe gałązki groszku, w pięknych glinianych doniczkach. Pęki lawendy, od której się rozchodzi śródziemnomorski zapach. Biorę przy kasie koszyk i wypełniam go z nieznaną mi łąpczywością. Mój dom jest smutny i bez wyrazu, potrzebuję kwiatów, żeby się znowu dobrze w nim poczuć. Wyrzucę cały ten śmietnik, jutro umyję okna, uporządkuję szafy i usunę niepotrzebne drobiazgi.

Zadowolona stoję przy kasie, wyładowując wszystko na taśmę. Kasjerka przesuwając moje skarby palcami o niesamowicie długich paznokciach i obwieszcza obojętnym tonem:

- Pięćdziesiąt pięć euro i dziesięć centów.
- Co takiego? - pytam przestraszona.
- Pięćdziesiąt pięć euro i dziesięć centów - powtarza.

- Aż tyle? - Patrzę na leżące przede mną rzeczy; nie jest tego tak dużo.

- No, tak - potwierdza kasjerka.

Pięćdziesiąt pięć euro i dziesięć centów za parę sztucznych badyli i lalka doniczek. To śmieszne. Przypominam sobie nagle, że na rogu ulicy Bilderdijk widziałam stragan z kwiatami.

- Niech pani nie nabija - mówię, wkładając zakupy z powrotem do koszyka. - Sama odstawię na półkę.

- Dobrze - odpowiada kasjerka.

Z żalem i złością z powodu takich cen odkładam rośliny i doniczki na miejsce. Z uczuciem niespełnienia kieruję się ku ruchomym schodom.

Zjeżdżam na dół i rzucam okiem na białe, niebieskie i groszkowe bluzki i spódnice. Sprzedawczyni podchodzi do mnie z uśmiechem. Ma krótkie czarne włosy, ciemnoniebieskie oczy; przez chwilę wydaje mi się, że to Isabel wstała z grobu i w postaci ducha zbliża się do mnie.

Odwracam się i wpadam na schody. Oby jak najszybciej stąd wyjść. Z powrotem na powietrze. Znaleźć się znowu na rowerze, między tym spacerującym tłumem kupujących czy jedzących lody. Z powrotem do domu, do mojej kryjówki. Pedaluję tak szybko, że kiedy docieram do domu, jestem cała mokra. Znowu rower do korytarza, łańcuch, potem schodami do góry, do mojego zacisznego domu. Drzwi zamykają się za mną uspokajającym kliknięciem.

Żadnych wiadomości na sekretarce.

Żadnych kwiatów.

Tylko wspomnienia.

6

Isabel Hartman zniknęła dziewięć lat temu w pewien ciepły majowy dzień. Wracła na rowerze ze szkoły do domu, lecz nigdy tam nie dojechała. Byłyśmy przyjaciółkami od pierwszego dnia przedszkola i w pewnej chwili - miałam wtedy piętnaście lat - zniknęła z mojego życia. W zasadzie jako przyjaciółkę straciłam ją już wcześniej, kiedy byłyśmy w ostatniej klasie szkoły podstawowej i nasze drogi coraz bardziej się rozchodziły. Odegrała w moim życiu ważną rolę. Prawdę mówiąc, odgrywają do dziś. Widzę, że Isabel znowu opanowuje moje myśli. Od początku szkoły podstawowej była moją najlepszą przyjaciółką, byłyśmy nierozłączne. Siedziałyśmy godzinami w jej pokoju, na wygodnej kanapie. Barykadowałyśmy się tam z colą, czipsami i dipami o różnych smakach. Słuchałyśmy

muzyki, rozmawiając o wszystkim: przyjaźni, zakochaniu, pierwszym biustonoszu, o tym, która w klasie miała miesięczkę, a która jeszcze nie.

Przypominam sobie swoją bezradność i smutek, kiedy po ostatniej klasie nas rozłączono.

To było piękne lato, podczas którego każdy dzień spędzałyśmy razem. Wrzesień także był ciepły i słoneczny. Miałyśmy po dwanaście lat i chodziłyśmy już do szkoły średniej. Jechałyśmy razem na rowerach, zbliżałyśmy się do podwórka szkolnego i wtedy każda z nas wchodziła w inny świat. Ja się kurczyłam, a ona kwitła.

Zmieniała się w oczach, w chwili kiedy była bliżej szkoły. Prostowała się, przestawała chichotać i rozglądała się wokół siebie z królewską wyniosłością. Nawet chłopcy ze starszych klas oglądali się za nią.

W ogóle się zmieniła. Zaczęła się inaczej ubierać i kupowała już biustonosze w rozmiarze B, podczas gdy ja nosiłam jeszcze aparacik korygujący zgryz, a moje hormony znajdowały się w stanie uśpienia. Długie ciemne włosy obcięła na krótko, chodziła stale w skórzanej kurtce i wytartych džinsach, a nos i pępek przekłuła kolczykami. Miała w sobie coś, co stwarzało dystans.

Pewnego dnia zostawiła mnie od razu, kiedy tylko wjechałyśmy na podwórko szkolne. Przyczepiła rower daleko od mojego i z niezwykłą pewnością siebie podeszła do grupki uczniów. Spotkało się to z uznaniem.

Nie odważyłam się do niej zbliżyć. Patrzyłam tylko w jej kierunku i obserwowałam inne dziewczęta z mojej klasy. Były wysokie i szczupłe, a ubrane tak, by to uwydatnić: w obcisłe bluzeczki pokazujące goły brzuch. Włosy miały ufarbowane na blond lub rudo, rozpuszczone lub upięte kunsztownie, choć niby od niechcienia, i opalone twarze. Wszystkie trzymały papierosy, rozglądając się dumnie wokół siebie; rozmawiały językiem, którego nie znałam.

Zrozumiałam, że przegapiłam coś, co one dostrzegły w czas, i że już było za późno, by to zmienić.

Isabel chorowała na padaczkę. Na początku nikt o tym nie wiedział. Poważne napady pozostawały pod kontrolą dzięki lekarstwom, zdarzało się jednak, że miała krótkie zaburzenia świadomości albo słaby atak. Zwykle szybko się orientowałam, kiedy taki atak się zbliżał. Jeśli mogła, sama dawała mi znak, najczęściej jednak rozpoznawałam napad po jej wzroku wbitym w jeden punkt albo po skurczu rąk.

W pierwszej klasie gimnazjalnej jeździłyśmy jeszcze codziennie razem na rowerze z domu do szkoły i z powrotem. Czasami musiałyśmy się zatrzymać, ponieważ zbliżał się atak

padaczki. Stawiałam wtedy szybko nasze rowery na skraju drogi i siadałyśmy w trawie - jeśli trzeba było to nawet w strugach deszczu - otulone w peleryny. Po poważniejszym ataku Isabel była bardzo zmęczona i musiałam ją prawie ciągnąć do domu.

Nasza przyjaźń jakby się urywała, w chwili kiedy przekraczałyśmy szkolne podwórko.

Do dnia, w którym Isabel zniknęła, nie miałyśmy z sobą kontaktu, prawie dwa lata. Dlatego też, wracając do domu, jechałam za nią rowerem w pewnej odległości. Ona towarzyszyła Miijam Visser, z którą się wtedy blisko trzymała, a ja nie miałam ochoty się do nich przyłączać. One też niechętnie by to widziały. Jechałam w tę samą stronę, zwalniałam więc, żeby nie musieć ich wyprzedzać. Isabel i Miijam pedaływały wolno, z rękami na ramieniu koleżanki, na znak nierozłącznej przyjaźni. Widzę jeszcze ich wyprostowane plecy, słyszę wesołe, bez troskie głosy. Pogoda była piękna, w powietrzu czuło się lato.

W pewnym momencie Miijam musiała skrócić w prawo, podczas kiedy Isabel jechała dalej prosto. Miijam rzeczywiście skręciła w prawo, lecz Isabel także skręciła w tym samym kierunku. Pojechałam za nimi, nie wiem dlaczego; to nie była moja trasa. Najprawdopodobniej chciałam wrócić do domu przez wydmy i choć rodzice stanowczo mi tego zabronili, wracałam tamtędy raz po raz. Wydmy były zbyt odległe i opuszczone.

Jechałam za nimi w kierunku ulicy Jana Verfaillie, która prowadziła ku wydmom. W jednej z bocznych uliczek mieszkała Miijam; skręciła, pomachała Isabel, a ta pedaływała dalej. To mnie zastanowiło, gdyż spodziewałam się, że Isabel wstąpi do niej. Zachowując odstęp, jechałam dalej za Isabel. Zobaczyłam, że na skrzyżowaniu zatrzymała się na czerwonym świetle. Przyhamowałam, licząc na to, że światła szybko się zmienią na zielone. Głupio by mi było stanąć nagle obok, usiłując nawiązać rozmowę. Na szczęście zatrzymała się za nią furgonetka, która zasłoniła mnie, kiedy się zbliżyłam. Zapaliło się zielone światło i samochód odjechał, pozostawiając za sobą chmurę spalin. Isabel wsiadła na rower i pojechała dalej. Gdybym podążyła za nią, szybko znalazłabym się obok niej, a ponieważ chciałam tego uniknąć, skręciłam w prawo, by, nadkładając drogi, dojechać na wydmy.

Wtedy po raz ostatni widziałam Isabel. Wspomnienia z tamtych czasów przesłonięte są jakby mgłą. Dziwne, nieważne szczegóły pamiętam bardzo dokładnie, a rzeczy ważnych nie mogę sobie przypomnieć. Na przykład niczego, co zdarzyło się w tamtym dniu, poza tym, że jechałam na rowerze za Isabel i Miijam i śledziłam ich przyjacielskie gesty. Nie mogę sobie nawet przypomnieć chwili, gdy usłyszałam, że Isabel zaginęła. Nasi rodzice widywali się, kiedy byliśmy przyjaciółkami, lecz później ten kontakt osłabł, tak jak i nasza przyjaźń. Tego wieczoru zadzwoniła podobno mama Isabel, bardzo zaniepokojona, ponieważ Isabel nie wróciła do domu. Moja mama przyszła na górę do mojego pokoju, gdzie odrabiałam lekcje, i

zapytała, czy wiem, gdzie jest Isabel. Odpowiedziałam przecząco. Nie zdziwiło jej to, ponieważ od pewnego czasu Isabel nie pojawiała się w naszym domu.

Ze wstrząsu, jaki wywołało zniknięcie Isabel, niewiele pamiętam. Przypominam sobie różne komentarze. Rodzice Isabel podobno zawiadomili policję. Piętnastoletnia dziewczyna, która nie wraca na noc do domu? Na pewno została u koleżanki - stwierdził dyżurny policjant. Ojciec Isabel szukał jej całą noc w miasteczku i okolicy, a matka dzwoniła do wszystkich, którzy ją znali.

Kiedy nie wróciła po dwóch dniach, policja włączyła się do akcji. Policjanci przesłuchiwali jej koleżanki, ale ponieważ nie należałam do nich, nikt mnie o nic nie pytał. Niewiele mogłabym im też powiedzieć poza tym, że to ja, a nie Mijam Visser, widziałam Isabel ostatnia. I czy to byłoby ważne? Ostatecznie skrzyłam wcześniej i nawet nie potrafiłabym ustalić, czy Isabel wracała do domu przez wydmy.

W przeczesywaniu terenu brała udział specjalna jednostka policji, helikoptery, tresowane psy, użyto aparatów na podcierwień. Matka Isabel, korzystając z pomocy sąsiadów, umieściła w całej okolicy na przystankach autobusowych i w widocznych miejscach plakaty ze zdjęciem Isabel i napisem ZAGINEŁA.

Nigdzie nie znaleziono po niej śladu.

W szkole oczywiście nie mówiono o niczym innym. Każdy miał coś do powiedzenia, jednak niewiele sobie z tego przypominam.

Robin pamięta, że wysuwano omawiane w grupkach najśmielsze przypuszczenia. W paczce, do której należała Isabel, panowało przygnębienie i lęk.

Została uprowadzona, zgwałcona lub zamordowana, albo wszystko po kolei. I jeśli to się zdarzyło jej, mogło się zdarzyć każdemu. Nikt nie przypuszczał, żeby Isabel chciała uciec z domu. Była w szkole najbardziej lubianą dziewczyną, miała mnóstwo kolegów i koleżanek, rodzice na wszystko jej pozwalali.

Podjezwano nauczycieli, z którymi Isabel miała ostatnio problemy. Patrzone nieufnie na chłopaków, którym niedawno dała odprawę. Przeszukano dno Noordholland Kanaal, z samolotu sprawdzono dokładnie plażę. Policjanci na motocyklach jeździli po wszystkich ścieżkach na obszarze wydmy od Huisduinen po Callantsoog.

Rodzice Isabel wystąpili z apelem w programie telewizyjnym Policja poszukuje, a także w innym, Program o piątej.

Po emisji zgłosiły się tysiące ludzi z całego kraju, by pomóc w akcji, ponieważ policja nie chciała angażować wojska. W końcu w poszukiwaniach wzięło udział i wojsko, nie brakowało nawet ródźkarzy, jednak Isabel nie znaleziono.

Musiałam się bardzo zamknąć w swoim świecie, skoro tak niewiele z tego pamiętam. Z czasem emocje ucichły. Zbliżał się koniec roku, a z nim stopnie. Baliśmy się, czy nas Niedawno znowu powrócono do jej sprawy w programie Zaginieni. Siedziałam, skacząc po kanałach, i nagle doznałam szoku, widząc na ekranie uśmiechniętą twarz Isabel z krótko obciętymi włosami. Jak zaczarowana oglądałam rekonstrukcję wydarzeń tamtego dnia. Wszystkie możliwe rozwiązania nieszczęśliwego wydarzenia przedstawiono w szczegółach. Cały czas przesiedziałam wpatrzona, jak z prawej strony ekranu uśmiecha się do mnie Isabel.

- Musi się znaleźć ktoś, kto zna więcej szczegółów związanych ze zniknięciem Isabel Hartman - mówił poważnie Jaap Jongbloed. - Jeśli chciałby się tym z nami podzielić, może zatelefonować do naszej redakcji, pod numer, który państwo widzą na ekranie. Jeżeli ktoś z państwa coś wie, proszę nie zwlekać i zadzwonić do nas. Za wskazanie właściwego tropu wyznaczono nagrodę w wysokości dwudziestu tysięcy euro.

Z najgłębszych zakamarków pamięci usiłuję wydobyć coś, o czym wcale nie jestem przekonana, że istnieje. Obejrzone przed chwilą sceny poruszyły we mnie myśl, która przyprawia mnie o ból głowy. Nie potrafię pojąć dlaczego, ale jestem pewna, że Isabel nie żyje.

7

Wieczorem z butelką wina na wyciągnięcie ręki usadawiam się przed komputerem, włączam czat i wylewam swoje żale wobec przyjaciół, których nigdy nie spotkałam i najprawdopodobniej nie spotkam. Przyzwyczyłam się do czatu; powoli zaczynam się od niego uzależniać.

Podskakuję ze strachu na głos dzwonka. Rzucam okiem na zegarek; jest dziewiąta. Podnoszę się powoli, w głowie szumi wino; naciskam guzik, drzwi wejściowe na dole otwierają się.

- To ja! - woła Jeanine, wchodząc na górę. Rozgląda się dookoła: - Co robisz?

- Jestem na czacie, zaczekaj, odmelduję się. - Podchodzę do komputera i wylogowuję się.

Jeanine wchodzi do kuchni i zatrzymuje się zdumiona. - Ile czasu na to potrzebowałaś? - wykrzykuje, widząc blat kuchenny zastawiony pustymi butelkami.

- Sama nie wiem - odpowiadam niepewnie.

- A mnie się wydaje, że niezbyt wiele. - Spogląda na mnie krytycznym wzrokiem. - Co się z tobą dzieje?

- Nic takiego, po prostu lubię się napić wina.

- Nieprawda, jeśli tyle pijesz, to chodzi o coś więcej niż „lubię się napić”. Znaczy, że potrzebujesz alkoholu, a to już jest problem.

Czuję się skonsternowana pod badawczym wzrokiem Jeanine.

Poczułam się nagle alkoholizką, która ukrywa puste butelki pod łóżkiem.

- Może po prostu spróbujesz określić, co cię niszczy od wewnątrz, zamiast oszukiwać siebie, mówiąc, że lubisz się napić - mówi Jeanine.

Spogląda na mnie z taką troską, że w jednej chwili znika moje poirytowanie. Już dawno nikt w ten sposób na mnie nie spojrzał, może poza moją panią psycholog, ale jej za to płacę.

Siadamy przy stole kuchennym. Wzrok mam wbity w blat.

- Temu winna jest nie tylko Renée, prawda? To jeszcze ciągle niewyleczona depresja - stwierdza Jeanine.

Przytakuję.

- Chodziłaś przecież do psychologa. Czy to nie pomogło?

- Niezupełnie. W pewnym momencie ta kobieta powiedziała nawet, że nie wie, czy może mi jeszcze w czymkolwiek pomóc. Czulałam się trochę lepiej, lecz ona twierdziła, że nie dotknęłyśmy sedna sprawy. Tak to dokładnie nazwała.

- A ty sama wiesz, o co chodzi z tym sednem sprawy?

Podświadomie bawię się ułożonymi na paterze owocami. Kupiłam tę ładną ceramikę kiedyś w Hiszpanii, sporo przepłacając. Opowiadam o tym i uśmiecham się.

- Sabine... - mówi Jeanine z wyrzutem.

Patrząc ciągle w paterę, próbuję podjąć decyzję. Podnoszę nagle głowę i pytam ostrożnie:

- Czy masz czasem wrażenie, że w pamięci tkwi ci coś, do czego za nic nie możesz dotrzeć?

- Czasem - odpowiada Jeanine. - Gdy zapomnę jakiegoś nazwiska. Mam je na końcu języka i właśnie wtedy, kiedy chcę je wypowiedzieć, znika.

- No, właśnie. - Biorę banana, kiwając głową. - To się i mnie przytrafia.

- A czego to dotyczy? - pyta Jeanine. - Też nie pamiętasz?

Powolnym ruchem obieram banana i wtedy nagle pojawia się ów błysk, owo nagle powracające wspomnienie. Siedzę jak zamurowana.

- Może po prostu spróbujesz określić, co cię niszczy od wewnątrz, zamiast oszukiwać siebie, mówiąc, że lubisz się napić - mówi Jeanine.

Spogląda na mnie z taką troską, że w jednej chwili znika moje poirytowanie. Już dawno nikt w ten sposób na mnie nie spojrział, może poza moją panią psycholog, ale jej za to płacę.

Siadamy przy stole kuchennym. Wzrok mam wbity w blat.

- Temu winna jest nie tylko Renée, prawda? To jeszcze ciągle niewyleczona depresja - stwierdza Jeanine.

Przytakuję.

- Chodziłaś przecież do psychologa. Czy to nie pomogło?

- Niezupełnie. W pewnym momencie ta kobieta powiedziała nawet, że nie wie, czy może mi jeszcze w czymkolwiek pomóc. Czułam się trochę lepiej, lecz ona twierdziła, że nie dotknęliśmy sedna sprawy. Tak to dokładnie nazwała.

- A ty sama wiesz, o co chodzi z tym sednem sprawy?

Podświadomie bawię się ułożonymi na paterze owocami. Kupiłam tę ładną ceramikę kiedyś w Hiszpanii, sporo przepłacając. Opowiadam o tym i uśmiecham się.

- Sabine... - mówi Jeanine z wyrzutem.

Patrząc ciągle w paterę, próbuję podjąć decyzję. Podnoszę nagle głowę i pytam ostrożnie:

- Czy masz czasem wrażenie, że w pamięci tkwi ci coś, do czego za nic nie możesz dotrzeć?

- Czasem - odpowiada Jeanine. - Gdy zapomnę jakiegoś nazwiska. Mam je na końcu języka i właśnie wtedy, kiedy chcę je wypowiedzieć, znika.

- No, właśnie. - Biorę banana, kiwając głową. - To się i mnie przytrafia.

- A czego to dotyczy? - pyta Jeanine. - Też nie pamiętasz?

Powolnym ruchem obieram banana i wtedy nagle pojawia się ów błysk, owo nagle powracające wspomnienie. Siedzę jak zamurowana, wpatrzona w reprodukcję na ścianie, i wtedy wszystko znowu znika. Bezradnie nadgryzam banana.

Jeanine niczego nie zauważyła.

- Ja już tyle zapomniałam z przeszłości - mówi.

- Opowiadałam ci chyba o Isabel? - pytam.

- Tak.

- Wydaje mi się, że wiem, co się z nią stało - dodaję.

Jeanine patrzy na mnie ze zdumieniem.

- Przecież nie znaleziono jej ciała. Więc jak możesz wiedzieć, co się z nią stało?

- O to chodzi - odpowiadam zmęczonym głosem. - To właśnie usiłuję sobie przypomnieć.

Tej nocy znowu źle śpię. Budzę się z głową pełną męczących myśli. Śniła mi się przeszłość, szkoła średnia, lecz kiedy się w końcu rozbudzam, nie wiem, co to było. Jedyne, co pamiętam, to uśmiechniętą twarz Barta tuż przy mojej twarzy i jego niski głos brzmiący w uszach.

Bart był moją pierwszą wielką miłością, jedynym chłopakiem, z którym poszłam do łóżka. Nie widziałam go od czasów szkoły, lecz często o nim myślałam. Nie przypominam sobie jednak, aby mi się śnił. Dlaczego przeszłość prześladowuje mnie teraz tak uparcie?

Następnego dnia siedzę z bólem głowy w biurze. Biorę aspirynę i przyłapuję się na tym, że czekam na Olafa. Fajnie by było, gdybym mogła wezwać go w sprawie komputera, który jednak pracuje dobrze.

- Mam propozycję - mówi Renée, wchodząc do sekretariatu. Zdejmuje płaszcz i demonstracyjnie stawia na swoim biurku dużą, różową świnkę skarbonkę. - Rozmawiałam o tym z Wouterem; zgadza się ze mną, że zbyt wiele papieru marnuje się na skutek błędów w pisaniu na komputerze. Często są to błędy, które można by usunąć, po prostu czytając tekst na monitorze. Każdemu to się zdarza, lecz ostatnimi czasy kosz na papier jest zawsze pełny.

Renée ostentacyjnie patrzy w innym kierunku. Od razu wyczuwam, kto według niej ponosi odpowiedzialność za ten kryzys.

- Mam pomysł: wrzucamy do skarbonki dziesięć centów za każdą zmarnowaną kartkę papieru. Zaoszczędzone pieniądze wykorzystamy na drinka w piątkowe popołudnie. Co o tym myślicie? - Renée rozgląda się, pełna oczekiwaniami.

Patrzę na nią z niedowierzaniem.

- No, wiesz - mówi Zinzy.

Spotkałam ją dziś rano po raz pierwszy i wydaje mi się sympatyczna. Nieduża, o ciemnych włosach. Potrafi stawić czoło Renée.

- Uważam, że to świetny pomysł - stwierdza Margot, która pisze najmniej listów. - Rzeczywiście marnujemy mnóstwo papieru.

- Zastanówcie się nad tym - rzuca Renée energicznym tonem. - Sądzę, że pomysł jest znakomity.

Ja wcale tak nie uważam, ale nie mam ochoty nadstawiać głowy. Zinzy też nic nie mówi.

By uniknąć wzroku Renée, odwracam się z krzesłem do komputera; na monitorze pojawia się mejl od Olafa. Otwieram i czytam: Dzień dobry, Sabine. Widzę, że z komputerem wszystko w porządku. Szkoda!

Uśmiecham się do siebie. Odpowiadam od razu: Chodzi jednak wolniej niż zwykle.

Po krótkiej chwili nadchodzi odpowiedź: Wpadnę za moment, zobaczę. Asap!

Asap? Zastanawiam się. Przez sekundę łamię sobie głowę nad tym, co to może znaczyć. Wzruszam ramionami i odsuwam krzesło, by nalać kawy. W korytarzu spotykam Olafa.

- Masz tempo - śmieję się.

- Napisałem przecież: asap - mówi Olaf.

- Co to takiego?

- Jak to, nie wiesz? As soon as possible.

- Ach, a ja myślałam, że to rodzaj nawierzchni.

Olaf wybucha śmiechem; to zoab*. Śmiejemy się oboje, patrząc na siebie.

- Twój komputer coś nawala - podejmuje Olaf w chwili, kiedy zaczynam:

- Waśnie... - przerywam, lecz Olaf ruchem ręki zachęca, bym mówiła dalej.

- Co chciałaś powiedzieć? - pyta. - Ze co właśnie?

- Właśnie w chwili, kiedy wysyłałaś mejla, pomyślałam sobie, że komputer wolno chodzi - kończę, idąc do automatu z kawą.

Olaf idzie za mną i opiera się o blat kuchenny w kącie ze zmywarką, szafkami i wielkim jak szafa automatem.

- Po to istnieje dział komputerowy, od tego tu jestem - odpowiada.

- Chcesz kawy?

- Chętnie. Czarnej.

Wkładam kubeczek do aparatu i naciskam odpowiedni guzik. Niespieszno nam wracać do sekretariatu.

- Co robiłaś wczoraj po południu? - pyta Olaf, wyjmując kubeczek z automatu i wstawiając nowy dla mnie. Sama naciskam guzik „Kawa z mlekiem” i odpowiadam:

- Próbowałam myć okna, szybko się jednak rozmyśliłam. Potem pojechałam do Bijenkorf, żeby kupić sztuczne kwiaty, ale już stojąc z nimi przy kasie, zrezygnowałam i odniosłam je na półkę. Do domu zdążyłam jeszcze na Modę na sukces.

Olaf śmieje się tak histerycznie, że wylewa kawę na swój but, a przechodząca obok Renée odwraca się w jego stronę. Przez chwilę patrzy na mnie surowo. Odsuwam się trochę, by Olaf mógł dostrzec jej skwaszoną minę.

* Zeer Open Asfaltbeton - rodzaj asfaltu z głębokimi porami.

- A co będziesz robić dzisiaj? - pyta, zanosząc się ciągle od śmiechu.

- Dzisiaj pojedę do Den Helder. - Dmucham we wrzątek i ostrożnie biorę do ręki gorący kubeczek.

Olaf spogląda na mnie z ciekawością.

- Do Den Helder? A czego tam szukasz?

Wzruszam ramionami i uśmiecham się, lecz nie odpowiadam.

- Czy twoi rodzice jeszcze tam mieszkają? - pyta Olaf.

- Pięć lat temu wyprowadzili się do Hiszpanii.

- Rzeczywiście, wczoraj o tym wspominałaś. Niegłupi pomysł.

- Zależy, jak na to spojrzysz. Robin w Londynie, rodzice w Hiszpanii... - stwierdzam ze smutkiem, upijając łyk kawy.

- Biedactwo, a więc jesteś tu zupełnie sama?

Olaf spontanicznie obejmuje mnie ramieniem i tak trwamy przez chwilę. Od razu czuję się nieswojo. Jego ramię ciąży mi. Byłoby śmieszne, gdybym usiłowała je teraz z siebie zrzucić, ale właśnie na to mam ochotę. Sposób, w jaki ogarnia mnie ramieniem, mocno i w geście pocieszenia, sugeruje zaprzyjaźnienie, a o tym nie może być mowy. Jeszcze nie teraz. Ten gest mógłby się kojarzyć z czymś, co w chwili obecnej wydaje się niemożliwe. Czyżbym wpadła Olafowi w oko?

- Muszę wracać do roboty - mówię, uśmiechając się przeproszająco.

- Twój komputer chodził podobno za wolno - przypomina Olaf.

- Nie wolniej, niż ja sama pracuję. Jakoś sobie damy radę - dodaję i szybkim krokiem wracam do sekretariatu.

Od tej chwili cały poranek myślę tylko o Olafie. Za każdym razem, kiedy ktoś wchodzi, podnoszę głowę, bo wydaje mi się, że słyszę jego głos. Co dziesięć minut zaglądam do poczty, żeby sprawdzić, czy nie ma od niego mejla. Nie ma. Czyli to, co się miało zdarzyć dzisiaj, minęło. W jednej chwili niepewność gasi we mnie radosne uczucie oczekiwania.

Dawno się tak nie czułam. Pierwszy raz zakochałam się w Barcie. To było na zabawie szkolnej. Jego zainteresowanie moją osobą wzbudziło wtedy we mnie takie samo zdumienie jak obecnie w przypadku Olafa. To, że nasza znajomość nie trwała długo, było moją winą. Każda znajomość ma szansę na przetrwanie, jeśli chce się ją naprawdę utrzymać. Do podjęcia takich prób trzeba mieć odwagę, a tej zawsze mi brakowało.

Renée wchodzi do biura, więc spiesznie wracam do pracy. Ogarnia mnie chłodnym wzrokiem, przysuwa krzesło do biurka i co chwilę sprawdza, czy coś robię. Z ulgą biorę o wpół do pierwszej torebkę i wychodzę, nie żegnając się z nikim.

Całe popołudnie leżę na kanapie, przełączając kanały telewizyjne w oczekiwaniu na serial *As the World Turns*. Słońce wpada do pokoju, oświetlając kurz na każdym przedmiocie.

Zamierzałam posprzątać, ale nie mogę się do tego zabrać. Nie mam nawet siły się podnieść, by zrobić sobie herbaty, z ochotą bym się jej napiła.

Od niechcenia przyciągam stopą książkę ze stolika koło kanapy. Okładkę zdobi wyglądająca odważnie kobieta, podparta pod boki. Kobieta asertywna - czerwone litery tytułu wyglądają groźnie.

Wypożyczyłam ją ostatnio z biblioteki. Zawiera wiele cennych porad oraz informacji z dziedziny psychologii, ułatwiających rozwiązywanie rozmaitych problemów. Wystarczy tylko nauczyć się na pamięć wydrukowanych tam asertywnych zdań i powtarzać je w odpowiednich sytuacjach.

To nie jest mój problem.

Idę, do widzenia.

A co mnie to może obchodzić?

Proszę mnie teraz zostawić w spokoju.

Nie akceptuję tego.

Sam to zrób.

Nie mam zamiaru się do tego zabierać.

Nie mam ochoty.

Nie zgadzam się.

Wymyślałam dobre asertywne zdanie, które mogłabym powiedzieć Renée, i dochodzę do przekonania, że wszystkie by się nadawały. Uczę się ich na pamięć do chwili, w której się rozlega melodia z *As the World Turns*.

8

- No i jak, namyśliłyście się? - pyta Renée następnego ranka, kiedy już wszyscy siedzimy za biurkami.

Nie mówię nic, spokojnie piszę dalej na komputerze.

- Nad czym? - chce wiedzieć Zinzy.

- Nad moją propozycją, żeby płacić karę za zmarnowany papier - odpowiada Renée.

- Jestem za - wtrąca Margot. - To znakomity pomysł.

Oczy Renée zwracają się w stronę Zinzy i moją.

- A ty, Sabine? - dopytuje się Renée.

Widzę przed sobą rząderek asertywnych zdań. Najbardziej pożądane wydaje się użycie zaimka „ja” albo „mój”; to wzmacnia przesłanie i wzbudza respekt.

- Ja jestem przeciw - obwieszczam zdecydowanie.

Przez chwilę trwa cisza.

- Twoja reakcja nie dziwi wcale, jeśli się weźmie pod uwagę liczbę błędów w Ustach pisanych przez ciebie - mówi z naciskiem Renée.

- Jestem przeciw - powtarzam. - To jest bezsensowny pomysł.

Margot i Zinzy milczą.

- Zinzy - zwraca się do niej Renée - ty też tak uważasz?

- Właściwie... może... Sama nie wiem... Jeśli myślisz, że to konieczne... - płacze się Zinzy.

- Musimy wszystkie poprzeć ten pomysł - powtarza z naciskiem Renée.

W jednej chwili uświadamiam sobie, że cytuję słowa Woutera. Odwracam się z krzesłem do Renée i patrzę jej prosto w oczy.

Słuchaj, Renée - mówię. - Przychodzę tu po to, żeby zarabiać, nie po to, żeby płacić i w ten sposób finansować piątkowego drinka. Ponadto wcale nie wydaje mi się, abyśmy naumyślnie robiły więcej błędów. Jeśli się więc umówimy, że będziemy dokładniej sprawdzać napisane teksty przed ich wydrukowaniem, to to powinno wystarczyć.

Patrzą na mnie z otwartymi ustami. Najwidoczniej udało mi się.

- Jednemu zdarza się więcej błędów niż drugiemu - zauważa chłodno Renée.

- Jeśli twoja propozycja zostanie umieszczona w umowie o pracę, będziemy musiały ją respektować, w przeciwnym razie nie jesteśmy zobowiązane - kontynuuję równie chłodno, odwracając się do niej plecami.

Renée nie odzywa się do mnie przez całe przedpołudnie. Margot i Zinzy unikają mnie.

Atmosfera jest tak napięta, że każdy, kto wchodzi do sekretariatu, mimowolnie ścisza głos.

Moja półka z papierami wypełnia się poleceniami wypisanymi na żółtych karteczkach. Jeśli gdzieś wymagane jest ustne wyjaśnienie, zadanie zostaje przekazane Margot lub Zinzy.

- Wiesz, w czym tkwi problem? - zastanawia się Zinzy. Stoimy chwilę przy automacie ze słodyczami, przy którym często stałam z Jeanine. - Wcale nie sprawiasz wrażenia, jakbyś miała ochotę wracać do pracy. Siedzisz za biurkiem skwaszona. To odstrasza. Każdy się zastanawia, co to za zgorzkniała, mrukliwa baba, która woli być na zwolnieniu niż w pracy.

- Jak mogą ludziom przychodzić do głowy takie myśli? - pytam.

Zinzy wydaje się miła. Szczupła, drobna, duże brązowe oczy i gładko uczesane czarne włosy. Chciałabym tak wyglądać. W zachowaniu Zinzy czuć wahanie. Jakby się miało do czynienia z osobą niepewną. Zinzy wcale nie jest jednak niepewna, czego dowodzi zgłaszany raz po raz sprzeciw wobec Renée. Ostrożnie i przeprasza ją, ale jednak.

O niezależności myślenia świadczy fakt, że z marszem w rękę pojawia się ze mną tu, przed automatem ze słodyczami.

Jej słowa wiele wyjaśniają. Wiem, jak mnie tu widzą. Nie mogę jej nie przyznać racji. Nie mam zapału do pracy; kiedyś tak nie było.

- Czy uważasz, że jestem zgorzkniała? - pytam.

- Teraz nie. Kiedy jednak pojawia się Renée, po prostu sztywniejesz. Co ci się w niej nie podoba?

Zgniatam papierek po marsie i wrzucam do kosza.

- Kiedyś sama na to wpadniesz - odpowiadam.

O wpół do pierwszej idę do windy. Zaczął się lunch, muszę długo czekać. Mogłabym zejść schodami, ale sama myśl o takiej liczbie stopni przyprawia mnie o zawrót głowy. Windy mają służyć ludziom; byłabym szalona, nie korzystając z nich.

Słyszę sygnał i staję przed drzwiami, przy których miga czerwone światelko. Po chwili winda się otwiera i przede mną wyrasta ściana ciał.

- No tak - mówię. - Pełno.

- Ależ skądże, Sabine! Jeszcze się zmieścisz! Chłopaki, wszyscy wciągamy brzuchy! - Z wnętrza kabiny dobiega mocny głos Olafa.

Koledzy posłusznie ustępują miejsca, jeszcze bardziej się ściskając. Wchodzę, drzwi się zamykają i czuję się jak sardynka w puszcze.

Na drugim piętrze, na którym jest stołówka, o mało nie wypadam z windy w momencie, kiedy drzwi się otwierają. Olaf usiłuje się wydostać; przychodzi mu to z trudem. Czekam, aż winda zupełnie się opróżni i będę mogła znowu wsiąść.

- Następnym razem idę schodami - śmieję się, stawiając stopę tak, by zatrzymać drzwi.

- O wpół do pierwszej każdy rzuca wszystko i pędzi do windy - zauważa Olaf.

Spoglądam w kierunku stołówki, gdzie ustawił się przed bufetem długi ogonek czekających z tacami. Czuję poffertjes*; rozpoznaję z przyjemnością unoszący się w powietrzu zapach tłuszczu i cukru.

- Lubisz poffertjes?

- Uwielbiam. Do tego odrobinę masła i dużo cukru pudru... Mniem, mniem.

Olaf krytycznie lustruje moją sylwetkę.

- Nie wygląda na to, żebyś się nimi zajadała.

- Nigdy ich nie jem. Zakazałam sobie.

Olaf kręci głową z dezaprobatą.

- Jeśli czegoś naprawdę nie lubię - mówi - to tego, że kobiety zawsze czegoś sobie odmawiają.

- Dlaczego?

- Ponieważ jest to głupota. Miałem kiedyś dziewczynę, która ciągle się odchudzała. Nie umiała o niczym innym mówić. Montignac, dieta polegająca na picciu soków, slimfast itd. Stałem się z czasem ekspertem. Traciła funty, przybierała kilogramy. Jak coś dobrego ugotowałem, mówiła, że jest na diecie marchewkowej. Oszaleć można.

Śmieję się, choć nagle, kiedy Olaf zaczyna opowiadać o swojej byłej dziewczynie, czuję ukłucie zazdrości.

- Ty chyba nie jesteś na diecie? - pyta Olaf podejrzliwie.

- A co cię to tak interesuje? Nie jestem przecież twoją dziewczyną.

- To prawda. - Patrzy na mnie z zagadkowym uśmiechem. - A co jeszcze lubisz oprócz poffertjes?

- Lubię jeść w greckiej restauracji - odpowiadam. - Uwielbiam grecką kuchnię.

* Małe kulki słodkiego ciasta, smażone w tłuszczu jak frytki.

Olaf kiwa głową i mówi:

- No to idziemy do Greka.

- Dobrze - odpowiadam mile zaskoczona.

Olaf się zęga, machając ręką.

- Do zobaczenia, Sabinę. Spotkamy się wkrótce.

- Do zobaczenia - odpowiadam z uśmiechem.

9

Ledwie wchodzę do domu, rozlega się dzwonek, głośno i przenikliwie. Wyglądam przez okno i widzę Olafa. W jednej chwili serce zaczyna mi tłuc w piersi tak, że o mało nie wyskoczy. Naciskam przycisk w korytarzu i drzwi na dole się otwierają. Kroki Olafa dudnią. Wbiega na górę i oto stoi pod drzwiami z greckim daniem na wynos w dużym pudle kartonowym pod pachą.

- Pomyślałem sobie, że pewnie jesteś głodna - mówi uradowany. - Podobno lubisz greckie dania.

Spoglądam na niego zaskoczona.

- Właśnie robię sobie tosta.

- Tosty! - prychnął Olaf pogardliwie, wchodząc do pokoju. Kładzie na stół opakowania z ryżem, sałatą, gyrosem i szaszłykami; zapach tłuszczu rozchodzi się po mieszkaniu. W kuchni przypalają się tosty. Szybko tam biegnę i wyciągam sznur z kontaktu.

- Oszalałeś! Kto zamawia coś u Greka w południe? - mówię z uśmiechem.

- Grecy - odpowiada Olaf. - Siadaj, bo ostygnie.

Siedzimy przy stole naprzeciw siebie, między nami leżą plastikowe opakowania.

- Byłem pewien, że lubisz takie spontaniczne akcje – mówi Olaf z pełnymi ustami. - Smakuje ci? Dobry Grek, prawda?

- Tak, bardzo smaczne. Gdzie go znalazłeś?

Biorę kawałek bułki, żeby wydobyć resztki tzaziki z opakowania i przełożyć na swój talerz.

- U Irodiona, zaraz za rogiem. Chcesz jeszcze wina?

Olaf trzyma dopiero co odkorkowaną butelkę. Kiwam głową. Nalewa do pełna i nakłada sobie jeszcze trochę gyrosa. Odsuwam talerz, podziwiając jego apetyt.

- Apetyt to ty masz - zauważam.

- Zawsze miałem - potwierdza Olaf. - Mama mnie kompletnie rozpuściła. Przygotowywała moje ulubione potrawy, nakładając mi potem po trzy razy pełen talerz. Uwielbiała gotować.

- Co takiego? Twoja matka nie żyje? - pytam, zbierając puste opakowania i wkładając je z powrotem do kartonu.

- Oczywiście, że żyje, ale już nie gotuje tak często jak dawniej. Jestem jedynakiem, mój ojciec zmarł pięć lat temu. Mama nie ma teraz o kogo dbać. Gotuje raz w tygodniu, zamraża i ma jedzenie na siedem dni. Co dzień to samo. Kiedy przyjeżdżam do domu, zawsze przyrządza dla mnie coś ekstra. Zwykle gotuje za dużo i znowu zamraża.

Olaf opróżnia swój talerz do czysta, nadziewa go na patyczek od szaszłyka i wrzuca do kartonu. Głośno mu się odbija. Klepie się po pełnym brzuchu z zadowoleniem.

- To było dobre.

- Musi ci się zawsze tak głośno odbijać? - Nie mogę się powstrzymać, by nie zadać tego pytania.

- Tak - odpowiada. - W niektórych kulturach uznano by to za przejaw dobrego wychowania. Dopóki ci się nie odbije, będą ci dokładać na talerz. Gospodarze nie chcą, abyś był głodny.

- W jakich kulturach? - dopytuję.

- Nie pamiętam dokładnie, wydaje mi się, że w krajach azjatyckich.

Olaf odsuwa krzesło, szybkim i wprawnym ruchem sprzęta ze stołu, odnosi wszystko do kuchni i na koniec unosi mnie z krzesła. Obejmuje mocno i całuje. Ta lepkość w ustach, myślę, czując jego język opleciony wokół mojego. Trzeba kogoś naprawdę lubić, by całowanie było przyjemne.

Olaf odsuwa się, mówi cicho i delikatnie:

- Muszę wracać do banku. Moja przerwa trwa już trochę za długo. Czy coś planujesz na dzisiejszy wieczór?

- Tak, chcę obejrzeć na video *As the World Turns*, no i zajrzeć do książki *Kobieta asertywna* - odpowiadam.

Olaf śmieje się głośno.

- A może pójdziemy coś zjeść razem?

- Chętnie - odpowiadam, dziwiąc się, że to mój głos. - Z przyjemnością. Tylko nie za wcześnie, bo brzuch mi pęka.

- Podaj mi numer twojej komórki, żebym w razie czego mógł zadzwonić. - Olaf wyciąga komórkę i wpisuje mój numer. Sama też dla pewności notuję jego numer. - W porządku, będę o ósmej. Do zobaczenia wieczorem.

Całuje mnie jeszcze raz i wychodzi. Staję w oknie i patrzę, czy się obejrzy. Macham mu ręką, po czym się odwracam z uśmiechem.

Mam umówioną randkę. Yes! Mogę całe popołudnie zastanawiać się, jak się uczeszę i co na siebie włożę. Natychmiast idę do sypialni i otwieram szafę. W ciemnym zapomnianym kącie wisi sukienka, która mogłaby się nadawać na wieczór, ale jest za długa, zbyt jaskrawo-pomarańczowa i za ciasna.

Przymierzam ją wbrew rozsądkowi. Pomarańczowy dawno już wyszedł z mody, aczkolwiek dobrze mi w jaskrawych barwach. To znaczy byłoby mi dobrze, gdybym mogła tę sukienkę przeciągnąć przez biodra. Jak mogłam w nią kiedyś wchodzić? Jaki to rozmiar? 36? Patrząc na metkę, widzę rozmiar 40. I nie mogę w nią wejść? Nosилаm przecież 38, kiedy kończyłam studia. Co się ze mną stało, że teraz mój rozmiar to 42?

Łapię się za udo i z obrzydzeniem patrzę na wałki tłuszczu.

To jeszcze pół biedy; trudniej mi się pogodzić z faktem, że ktoś się dobrał do mojego biurka. Jak w filmie przewijanym do tyłu, widzę siebie leżącą na kanapie z paczkami dropsów, pitną czekoladą, czipsami i pistacjami. Uwielbiam pistacje. Kładę paczkę przed sobą i łuskam orzechy z prędkością światła.

Ściągam z siebie sukienkę i rzucam ją w kąt. Z rękami opartymi na biodrach stoję przed lustrem szafy.

- W porządku - oświadczam głośno do wałków tłuszczu, które majtki usiłują zakryć przed moimi oczyma. - Już dość. Od tej pory żadnego tłuszczu, nie ma wymówek.

Pożałowałam dzisiejszego wyjścia do restauracji. - Sałatka by wystarczyła - mówię stanowczo do swego odbicia w lustrze. - Zdrowa sałatka i chude mięso. Tylko małe porcje. Może znajdzie się restauracja, która chętnie przyjmie odchudzającego się klienta?

Nie rozwiązałam jednak jeszcze problemu stroju. Przymierzam wszystko, co mam w szafie, i odrzucam z dezaprobatą. Za stare, za monotonne, niemodne, za ciasne, o wiele za ciasne.

Zdesperowana chwytam za telefon i dzwonię do Jeanine na komórkę. Jeanine jest w pracy, odrywa się jednak od razu, kiedy słyszy, że mam randkę z Olafem van Oirschotem.

- Nie udawaj! - wykrzykuje. - Ten fajny chłopak z działu informatyki? O rany, Sabine, jak ci się to udało?

- Biust do przodu - odpowiadam buńczucznie, lecz uśmiech jakoś mi nie wychodzi.

- To zawsze działa - podśmiewa się Jeanine, lecz zaraz pyta poważnie: - A w co się ubierzesz?

- To jest właśnie problem. Nie mam niczego, co mogłabym na siebie włożyć. Wiem, że tak mówią wszystkie kobiety, aleja naprawdę nie mam nic. Czy nie mogłabyś mi pomóc?

- Oczywiście! Po pracy jestem u ciebie. Zjemy coś razem, ty gotujesz, a potem pójdziemy do miasta. Dziś w sam raz, sklepy otwarte są dłużej.

- Jestem z nim umówiona dziś wieczorem.

Po drugiej stronie słuchawki zapada cisza.

- No tak - mówi Jeanine. - To urywam się z pracy.

Jestem mile zaskoczona.

- Ale ja potrzebuję tylko paru telefonicznych porad.

- To się tak nie da. Muszę zobaczyć twoje ubrania, może się coś wybierze. A jak nie, pójdziemy do sklepu, też fajnie.

Jeanine mnie przekonała. Wydaje się tak zadowolona, że się nie sprzeciwiam. Rozumiem, że popołudnie w mieście nie jest dla niej zbyt wielkim poświęceniem.

- Jesteś kochana - mówię.

- Wiem o tym. Zobaczę, czy mogę się zwolnić. Jak nie, dam ci znać.

Pół godziny później dzwoni do drzwi. - Okay, pokaż tę twoją szafę - słychać z dołu jej głos.

Jeanine wchodzi szybko, mija mnie i kieruje się prosto do sypialni. Jedno spojrzenie na panujący tam straszliwy bałagan sprawia, że staje w drzwiach jak wryta.

- O rany! - woła na widok sterty spranych podkoszulek, sfilcowanych sweterków, znoszonych dżinsów i porządných, ale niemodnych kostiumów. Podchodzi do łóżka. Jej wzrok pada na bezkształtne legginsy. Kupiłam je w czasach depresji, ponieważ były na mnie dobre. Wtedy był to niezwykle ważny zakup.

Sytuacja robi się naprawdę przykra, kiedy Jeanine otwiera szafę i jej oczom ukazują się góra znoszonej bielizny. Obok leżą w braterskim uścisku dwa biustonosze, które kiedyś były białe, a teraz straszą drutami w miejscach, gdzie materiał jest przetarty.

- Co to jest? - pyta zaszokowana.

Wyjaśniam, że to moje majteczki i biustonosze. Jeanine kręci głową.

- To są majtasy - mówi z naciskiem - a nie majteczki. Miałaś rację; potrzebujesz gwałtownie pomocy. Wyrzuć te wszystkie starocie, idziemy kupić nową bieliznę.

- Wszystko? Wiesz, ile to kosztuje? Zbliża się koniec miesiąca - usiłuję protestować.

- To raz zrobisz debet na koncie. Tego się naprawdę nie da nosić. - Jeanine patrzy pogardliwie w stronę szafy i sterty ubrań na łóżku. - A co masz na wieczór?

Zastanawiałam się nad długim Tshirtem z napisem Bank, ale nie śmiem jej tego powiedzieć.

- Po prostu, piżamę - odpowiadam.

- Piżamę?

- A co, ty nie masz piżamy? - występuję we własnej obronie. - Czy może śpisz nago, kiedy na dworze jest mróz?

- Mrozu nie ma, jest lato, poza tym w nocy leżę w łóżku, a nie na zewnątrz. Oczywiście, że mam flanelową piżamę, ale mam również cienką koszulkę na ramiączkach, jaka należy do podstawowego wyposażenia kobiecej garderoby. Chodź, wszystko już widziałam. Idziemy w miasto.

Na świecie słońce. Widzę młode dziewczyny w moim wieku w kolorowych spódnicach z podpiętymi halkami, w koszulkach na ramiączkach, i nagle czuję niezwykłą ochotę, by ubrać się kompletnie od nowa. Taką spódnicę muszę mieć, i taką koszulkę.

Z uczuciem radosnego podniecenia siedzę koło Jeanine w tramwaju numer 13, który nas wiezie na Dam. Mam randkę, mam nawet przyjaciółkę, z którą idę kupować nowe ciuchy. Znowu jestem wśród ludzi. Boże, jak ten tramwaj wolno jedzie. Czy naprawdę musi się zatrzymywać na każdym przystanku? Chcę już rzucić się w wir zakupów!

Kiedy wreszcie wysiadamy przy Nieuwezijds Voorburgwal, od razu giniemy w tłumie na Kalverstraat.

Tak długo mnie tu nie było. Kiedy przestałam interesować się swoim wyglądem? Jak do tego doszło? Można się czuć o wiele lepiej, mając świadomość, że się dobrze wygląda. Jedno wiem dobrze: w nudnym biurowym stroju wyglądam do niczego. I kto mi wmówił, że w pracy nie można być atrakcyjną i zadbaną, że trzeba nosić czarną spódnicę i białą bluzkę?

- Najpierw bieliznę, tego potrzebujesz przede wszystkim - ponagla Jeanine.

Wchodzimy do sklepu z bielizną, w którym nigdy przedtem nie byłam, ponieważ, odkąd pamiętam, kupowałam bieliznę w Hema*, i tanecznym ruchem prześlizgujemy się pomiędzy rzędami pełnymi ciepłego pastelu, wyzywającej czerni i czerwieni majteczek i biustonoszy. Jeanine bierze wieszak, na którym dostrzegam tylko prześwitujące koronki. Po dokładniejszym zbadaniu okazuje się, że to majteczki z biustonoszem do kompletu.

* Dom towarowy, symbol taniochy.

- To musisz koniecznie wziąć. I to także! - Pewnym ruchem Jeanine sięga po prześwitującą różową koszulkę. Patrzę z niedowierzaniem.

- Czy to nie pasuje bardziej do kobiety lekkich obyczajów? - pytam.

- Powinnaś użyć słowa sexy - poprawia mnie Jeanine po przyjacielsku.

- Przymierz, w takich fataląszkach trzeba najpierw samą siebie obejrzeć.

Popycha mnie ostrożnie w kierunku przymierzalni. W czasie kiedy się rozbieram i ostrożnie wciągam przezroczystą koszulkę przez głowę, wrzuca mi do kabiny coraz to nowe sztuki. Po chwili zagląda przez kotarę:

- No i co? Pasuje?

Patrzę na siebie w lustrze i widzę kociaka w kolorze pastelowym.

- Nie wiem, Jeanine, to nie jestem ja - mówię, nie czując się dobrze we własnej skórze.

- Nieprawda. Ubieramy się nie według tego, jacy jesteśmy, ale jacy chcielibyśmy być. Wyglądasz fantastycznie, Sabine. Musisz koniecznie to kupić. Nie odwieszysz tego z powrotem! Weź tabletkę uspokajającą i wprowadź swój PIN - nalega Jeanine.

Nie potrafię oprzeć się jej sile przekonywania. Wszystko z siebie zdejmuję, przymierzam jeszcze parę kompletów mniej wyzywającej, przyzwoitej bielizny, ubieram się

znowu i idę do kasy. Kiedy wprowadzam PIN, świadomie nie patrzę na sumę, szybko przyciskam zielony klawisz akceptacji i chowam kartę.

- No to - pyta Jeanine - what's next?

Wchodzimy do wielu sklepów po kolei, za każdym razem coś znajdując. Udaje mi się wybrać nie jedną, lecz wiele koszulek i spódnic w najróżniejszych kolorach. Plastikowe torby ze sprawunkami wrzynają mi się w ręce podczas dalszej pogoni, tym razem za odpowiednimi butami.

Cały miesiąc przeleżałam we własnym mieszkaniu, blaknąc coraz bardziej. Co mnie napadło? Od dziś będę każdego popołudnia jeździć do Amsterdamse Bos albo do Zaandfoort.

Sklep z kosmetykami jest dodatkową pokusą. Ulegam, kupując parę przyjemnych zapachów z przeceny, nowy zestaw do makijażu, spinki do włosów i tubkę kremu samoopalającego. Jeszcze jedna plastikowa torba.

Buty! Gdzie jest sklep Manfielda albo Invito?

Około szóstej siedzimy wykończone w tramwaju.

- Idę do domu, już nie daję rady - twierdzi Jeanine, kiedy dochodzimy do drzwi swojego mieszkania. - Ciesz się, że to nie ja mam randkę dziś wieczorem.

- Ja też już nie mogę - stękam.

- Idź pod prysznic i wymasuj sobie stopy, to ci przejdzie - radzi Jeanine. - I zadzwoń do mnie jutro. Chcę o wszystkim wiedzieć!

Żegnamy się, wchodzę na górę na ołowianych nogach. Z trudnością, trzymając tyle toreb, otwieram drzwi do mieszkania, zamykam je nogą i rzucam swoje nabytki na podłogę. Zdejmuję buty i osuwam się na kanapę. Shop till you drop - mówią Anglicy. Rozumiem teraz dlaczego.

Masuję stopy mocnymi kolistymi ruchami i kiedy już sądzę, że się utrzymam na nogach, wstaję i idę do łazienki. Letni prysznic - właśnie taki jest teraz potrzebny - przywraca mi siły. Nago idę do przedpokoju, biorę torby i wchodzę do sypialni. Starannie odcinam etykiety z kompletów bielizny, spódniczek, sweterków, wkładam wszystko jeszcze raz na siebie. To prawda, piękna bielizna sprawia, że czujesz się zupełnie inaczej. Nikt nie wie, że ją masz na sobie, tylko ty, i tym samym zaczynasz się inaczej nosić, jakby z większą pewnością siebie. Przynajmniej ze mną tak się dzieje.

Ustawiam się w pozie podkreślającej pewność siebie, kładę ręce na biodrach, przysłaniając wałeczki tłuszczu, i patrzę w lustro aroganckim spojrzeniem modelki.

Femme fatale, póki nie odsłonię zaokrąglonych bioder, które przypominają mi, że jeszcze musi minąć czas, zanim osiągnę wymarzone rozmiary. Moja nowa spódniczka leży na

mnie znakomicie, a bluzeczka wypuszczona na zewnątrz dodatkowo wyszczupła. Jestem bardzo zadowolona z ostatecznego rezultatu.

Suszę świeżo umyte włosy i zapinam nonszalancko spinkę. Jeszcze się maluję, kiedy z zewnątrz dobiega mnie dźwięk klaksonu.

10

Nie zwracam uwagi na hałas, starannie nakładam na rzęsy jeszcze jedną warstwę tuszu, a do uszu przypinam szklane kolczyki.

Znowu słyszę klakson. Marszczę brwi, podchodzę do okna i wychylam się.

To Olaf! W czarnym peugeocie; okna szeroko otwarte, papieros w kąciu ust. Przez okno widać opalone ramię. Olaf nonszalancko wystukuje palcami o dach samochodu rytm puszczanego na cały regulator najnowszego hitu Robbiego Williamsa. Od razu spostrzegam, że nie zadał sobie trudu, by włożyć coś innego niż dzinsy i biały Tshirt.

Moja metamorfoza wydaje mi się nagle przesadna - ten różowy kolor za cukierkowy, a szeroka spódnica zbyt wyzywająca. Buty na obcasach, zapięte na wiele paseczków, są bardzo fajne, ale koszulka na ramiączkach ciśnie mnie, a ramiączka ciągle spadają.

Rzucam ostatnie spojrzenie w lustro. Włosy układają się jak trzeba, zapięte spinkę. Dobrze mi z odsłoniętą twarzą. Szkoda tylko, że jestem - taka blada, ale krem samoopalający, który rozsmarowałam na nodze, dał efekt koloru marchewki. Nie ośmieliłam się posmarować nim twarzy. Nie posmarowałam także drugiej nogi, więc mam teraz tylko jedną lekko pomarańczową łydkę. Ale w restauracji będę trzymać nogi pod stołem, a w samochodzie założę nogę na nogę, pomarańczową na białą.

Dźwięk klaksonu odbija się od murów. Zdenerwowana wychylam się przez okno. Olaf dostrzega mnie.

- No i jak? Jesteś gotowa?

Daję mu znak ręką, żeby zachowywał się trochę ciszej, biorę torebkę, klucze i wychodzę. W mgnieniu oka jestem na dole, co jednak nie powstrzymuje Olafa od wesołego trąbienia.

- Wariat - mruczę pod nosem. Rozzłoszczona przechodzę przez ulicę. Olaf bez żenady blokuje wąską uliczkę, nie zadając sobie nawet trudu, żeby zostawić miejsce komuś, kto chciałby się prześliznąć. Szybkim ruchem otwieram drzwi samochodu i rzucam:

- Jedź!

- Okay, madame! Wyglądasz fantastycznie!

Odwracam głowę i milczę.

- Co się dzieje? Tak trzeba się chyba wyrażać, jeśli się wychodzi z damą? - Olaf jest lekko zdezorientowany, niepewnie spogląda w moją stronę.

- Jeśli zapraszasz damę, to chyba nie musisz trąbić jak szalony na całą ulicę - wyrzucam z siebie niezadowolona i natychmiast tego żałuję. Chciałabym zachowywać się jak osoba młoda i nowoczesna. Nie zależy mi przecież, aby odniósł wrażenie, że się umówił z własną babcią, by ją zabrać z domu opieki na przejażdżkę. Tymczasem właśnie tak jest, widzę to po jego spojrzeniu. Poza tym wcale nie ma zamiaru ruszać. Stoi cały czas na środku ulicy.

- Mogłeś zadzwonić do drzwi - sugeruję trochę łagodniejszym tonem.

- Musiałbym wtedy zaparkować nieprawidłowo, a widzisz chyba blokady na kołach samochodów stojących opodal.

- W takim razie mogłeś zadzwonić na komórkę. Dlaczego nie jedziesz? Już pięć samochodów stoi za nami! - Zdenerwowana odwracam się do tyłu. Jeden z kierowców wysiada z samochodu, ktoś inny zaczyna trąbić.

- Ej, czarnuchu, nie pozwalaj sobie za dużo! Możesz do mnie dzwonić na komórkę! - wykrzykuje Olaf przez okno samochodu. Naciska gwałtownie na gaz i samochód rusza z piskiem opon.

Nie mogę się powstrzymać i wybucham śmiechem.

- Czujesz się tu jak ryba w wodzie, prawda? Nie do wiary. Nikt by nie powiedział, że jesteś Jutterem*.

- W Den Helder jestem Jutterem, w Amsterdamie czuję się jak amsterdamczyk. Wiesz, jak nazywają mieszkańców Tilburga?

- Nie mam pojęcia.

- „Sikający w dzbanek”. Pochodzi to z czasów, kiedy Tilburg było centrum włókienniczym. Do filcowania materiałów potrzebna była między innymi uryna. Zbierano ją od mieszkańców. Płacono za pełny nasikany dzbanek. Śmieszne, co?

- Zabawne - odpowiadam.

Teraz Olaf wybucha śmiechem.

- Co za powściągliwość! Trudno cię rozśmieszyć - mówi.

- Cieszę się, że nie pochodzę z Tilburga, bo nie uniknęłabym przezwiska. Dawniej zresztą też mnie przezywał.

- Ja?

- Już nie pamiętasz?

- Może Sabinę?

- Nie, panna Gazela.

Olaf uderza rękami po kierownicy i wybucha śmiechem.

- Ależ tak! Mój Boże, co za beznadziejna pamięć! Byłaś prawdziwą panną Gazelą. Sprawiałaś zawsze wrażenie bardzo nerwowej i niespokojnej.

Skręcamy w Nassaukade i pakujemy się prosto w korek. Olaf patrzy jeszcze w tylne lustro, lecz za nami ustawia się już tyle samochodów, że nie możemy zawrócić.

- Cholera - rzuca. Gwałtownym ruchem skręca kierownicę i wjeżdża na tory tramwajowe. Za nami protestuje głośnym dzwonkiem tramwaj. Olaf daje znak ręką, że jeszcze przez chwilę pozostanie na torach. Zbliżamy się do Marriotta.

* Jutter, ktoś urodzony w Den Helder lub okolicach. Nazwa pochodzi od jутten - kraść, zbierać z plaży przedmioty wyrzucone przez morze.

Prostuję się na siedzeniu zaniepokojona. Nie jestem na to przygotowana. To znaczy, jestem być może odpowiednio ubrana, jednak w tym przypadku wymagany jest inny styl.

Przejeżdżamy koło Marriotta i skręcamy w lewo na Leidseplein. Czyli wybrał Américain. Kurczę, gdybym wiedziała. Ustawiam lustro i kontroluję makijaż. W porządku, da się wytrzymać. Na szczęście mam ze sobą kredkę do ust. Zaraz pójde do toalety.

Olaf wjeżdża w boczną uliczkę i parkuje na miejscu zarezerwowanym dla inwalidy.

- Co ty robisz, przecież zaraz cię odholują - ostrzegam.

- Nie, nie zrobią tego. - Wyciąga kartę inwalidzką i kładzie za szybą. Biorę ją do ręki i oglądam.

- Od kiedy jesteś inwalidą?

- Nie mogę zbyt długo chodzić. Zaczyna mnie wtedy mocno kłuć w boku. Jeden z przyjaciół nie mógł już na to patrzeć i załatwił mi taką kartę - wyjaśnia.

Potrząsając głową, odkładam kartę z powrotem za szybę. - Czy w Américain nie ma miejsc do parkowania?

- Pewnie są. - Olaf zamyka samochód. - Ale tylko dla gości.

Chcę przejść przez tory tramwajowe, lecz Olaf odwraca się i macha do mnie. Mój wzrok pada na rozbrzmiewający głośną muzyką kram z poffertjes, otoczony plastikowymi krzeselkami.

- Gdzie chcesz usiąść? Może tam w kącie? Będziemy mogli oglądać stamtąd wszystkich przechodniów. - Olaf wskazuje na podwyższenie i eleganckim ruchem odsuwa jaskrawoczerwone krzeselko. Patrzy na mnie z oczekiwaniem, przytrzymując krzeselko niezręcznie.

Oczy mu błyszczą. Ogarnia mnie uczucie tkliwości. Nagle kram z poffertjes wydaje mi się o całe niebo przyjemniejszy niż Marriott lub Américain. Nie trzeba się przynajmniej przejmować ubraniami.

Zjawia się kelner, by przyjąć zamówienie. Dwie duże porcje poffertjes, dodatkowa porcja cukru pudru i piwo. Kelner potakuje ruchem głowy i odchodzi.

Olaf zakłada ręce na kark, opiera się, o mało nie przewracając małego krzeselka.

- Miałaś znakomity pomysł z tymi poffertjes - mówi Olaf zadowolony. - Dawno już ich nie jadłem.

- Nie przypominam sobie, żebym to zaproponowała.

- Tak, dzisiaj w stołówce. Powiedziałaś, że je lubisz.

- Powiedziałam, że zapachniało poffertjes.

Olaf, zatroskany, przechyla się do przodu.

- Może chcesz iść gdzie indziej?

- Nie, skądże! - zapewniam. - Tu jest bardzo dobrze. - Opieram się wygodnie, potwierdzając tym swoje zapewnienie.

- To miło.

Zapada taka cisza, podczas której szukamy głęboko w pamięci listy z odpowiednimi tematami rozmowy. Bo cóż możemy sobie opowiadać? Co wiemy o sobie?

- Jak ci się pracuje w banku? - pytam trochę bez sensu.

- Nieźle. W dziale informatyki mam fajnych kolegów. Może powtarzają niewybredne dowcipy, ale co tam. Tak jest zawsze w dziale, w którym są sami mężczyźni.

- Jak to, przecież pracują u was dwie kobiety?

Olaf uśmiecha się trochę ironicznie.

- Obawiam się, że giną pod masą męskich dowcipów. U was jest inaczej, prawda? Same baby.

- Tak.

- Fajnie?

- Nie masz pojęcia, jak fajnie!

Olaf nie dostrzega ironii w moim głosie.

- Ta Renée wydaje mi się władcym typem.

- Renée? To wyjątkowo sympatyczna dziewczyna. Zawsze pełna zrozumienia, koleżeńska i serdeczna. Tak, taka właśnie jest.

Olaf marszczy czoło, patrzy w moją twarz i uśmiecha się.

- Czyli innymi słowy: czarownica.

- Czarownica - potwierdzam.

- Tak myślałem. Zawsze jest wyjątkowo uprzejma, gdy mnie widzi, ale jak ją kiedyś słyszałem strofującą kogoś, zanim wszedłem do sekretariatu, to nie daj Boże; niezły z niej gagatek.

Milczę, a i Olaf nie ma ochoty rozmawiać o Renée. To, co nas łączy, to przeszłość. Nie dziwi mnie wcale, kiedy Olaf zaczyna o niej mówić. Zapala papierosa, dmucha wysoko dymem i patrzy w powietrze.

- Panna Gazela. Nie byłaś pewnie zadowolona z tego przezwiska.

- Byłam przyzwyczajona do przezwisk. Miałam starszego brata.

Olaf śmieje się.

- A co tam u Robina?

- Dużo pracuje. Dawno z nim nie rozmawiałam, ale ostatni raz opowiadał mi z entuzjazmem o niejakiej Mandy.

- Czyli złowił jakąś londyńską piękność - mówi Olaf. - Brawo dla Robina. Zadzwoń kiedyś do niego. Masz jego numer?

- Nie mam przy sobie. Wyślę ci jutro mejlem.

Olaf kiwa głową i patrzy zamyślony w dym papierosa, po czym zadaje pytanie na temat, który za wszelką cenę chciałabym pominąć.

- Byłaś kiedyś zaprzyjaźniona z Isabel Hartman? Czy może coś o niej słyszałaś?

Biorę do ręki paczkę papierosów leżącą między nami i zapalam jednego. Zapada niewygodna cisza.

11

Nie pamiętam wiele z czasów szkoły średniej. Kiedy przeglądam swój dziennik albo słucham opowieści Robina, żadne z tych wydarzeń nie wydaje mi się znajome. Jakby przeżywała je inna osoba. Mimo to czasem przecina mi mózg wspomnienie jak ostry promień światła wpadający w szarą masę komórek. Nie rozumiem, jak to się dzieje, jak pracuje pamięć, że w jednej chwili absolutnie zawodzi, a za moment konfrontuje cię wbrew twojej woli ze wspomnieniami.

Błysk, który przebiega przez moją głowę, kiedy Olaf wymawia imię Isabel, nie jest przyjemny. Widzę siebie w stołówce szkolnej, szukając miejsca, gdzie mogłabym zjeść kanapkę. Parę metrów dalej siedzą koledzy i koleżanki z klasy. Isabel przysiadła na brzegu stołu i peroruje. Mam dwanaście lat i jeszcze nie tak dawno należałam do ich paczki. Z czasem powoli zaczęto się ode mnie odsuwać, aż w końcu znalazłam się na marginesie. Biorę

krzesło i podchodzę do nich. Nie patrzą na mnie, lecz widzę, że wymieniają spojrzenia, jakby wszyscy przebywali w polu magnetycznym, które wysyła sygnały alarmowe, kiedy tylko się zbliżam.

Niepewnym ruchem usiłuję wstawić swoje krzesło pomiędzy inne, lecz tamte jednym przesunięciem niedostępnie zwierają się w koło. Słyszę tylko szuranie nogami i stuk oparć. Odwracam się, siadam nieopodal przy pustym stole i patrzę na zegar ścienny, licząc minuty do końca przerwy.

Nasze spojrzenia krzyżują się tylko raz. Isabel nie odwraca wzroku; jakby jej spojrzenie miało mnie przeszyć.

- To była przecież twoja przyjaciółka? - Olaf pije łyk piwa i patrzy na mnie pytająco.

- Isabel? Tak, w szkole podstawowej - odpowiadam, zaciągając się mocno papierosem.

- Do dzisiaj nie wiadomo, co się z nią stało, prawda?

Nie brzmi to jak pytanie, lecz jak stwierdzenie; mimo wszystko odpowiadam.

- Jej zniknięcie było niedawno tematem telewizyjnego programu Zaginieni.

- Cholera - rzuca Olaf. - Co się z nią mogło stać? Czy na coś nie chorowała?

- Na padaczkę.

Obrazy z przeszłości pojawiają się coraz szybciej; usiłuję je zatrzymać, ukryć, lecz Olaf mówi dalej.

- Padaczka to coś poważnego. Może dostała ataku?

- Nie sądzę. Atak przechodzi. Czujesz, kiedy nadchodzi, a potem trzeba przez chwilę dochodzić do siebie. W każdym razie jeżeli nie jest to poważny atak. Wiem wszystko na ten temat, byłam przy niej często w takiej sytuacji.

- Czyli nie uważasz, że padaczka miała coś wspólnego z jej zniknięciem?

Przywołuję kelnera, zamawiając kolejny kufel piwa, i potrząsam przecząco głową. Nie sądzę, i nigdy nie sądziłam.

- Wiesz - odpowiadam. - Prawie niczego nie mogę sobie przypomnieć z tamtych dni, kiedy Isabel zniknęła. Dziwne, prawda? To znaczy, czymś naturalnym byłoby wspomnienie chwili, w której po raz pierwszy usłyszałam, że się jej szuka, że nie wróciła do domu. Jej matka dzwoniła do mojej. Jej rodzice przyszli nawet do nas, żeby porozmawiać, w nadziei, że coś im będę mogła powiedzieć. Tej sprawie poświęcono w szkole tyle uwagi, gazety były pełne materiałów na ten temat, a ja mam w głowie tylko to, co inni mi później opowiadali. Sama nie pamiętam prawie niczego.

Olaf patrzy na mnie sceptycznie.

- To niemożliwe. Coś musisz pamiętać.

- Nie.

- Przecież cała szkoła o tym mówiła!

- Możliwe, ale ja po prostu nie pamiętam. Być może dlatego, że z przykrością myślę o tamtych dniach. Mam wrażenie, że zapomniałam o rzeczach, które były ważne. Wiesz, co mam na myśli. W danej chwili wydają ci się zbędnymi detalami, później jednak okazują się elementami dopełniającymi obraz. Mam wrażenie, że wtedy wiedziałam więcej, niż sobie uświadamiałam, i że to właśnie zniknęło z mojej pamięci.

Olaf posypuje poffertjes cukrem pudrem.

- Dlatego chciałaś jechać do Den Helder?

- Tak. Miałam nadzieję, że wszystko stanie się jaśniejsze, jeśli się tam pojawię, ale tak nie jest. Minęło zbyt wiele czasu - wzdycham.

Olaf wpycha w usta pięć poffertjes naraz.

- Może byłaś w szoku i znajdowałaś się przez jakiś czas w stanie odrętwienia. Mogę to zrozumieć. Isabel była kiedyś twoją najlepszą przyjaciółką. To by każdego dotknęło.

Bez entuzjazmu wbijam widelec w zimny poffertje. Czy zniknięcie Isabel coś we mnie zmieniło?

- W ubiegłym roku, kiedy poszłam na zwolnienie, zapytałam moją mamę, jak zareagowała na zniknięcie Isabel - opowiadam. - Mama niewiele mi o tym mogła powiedzieć. Kiedy Isabel zniknęła, ojciec leżał w szpitalu po zawale, miała więc inne sprawy na głowie.

Jasnoniebieskie oczy Olafa patrzą na mnie z powagą.

- Moja mama uważała od samego początku, że Isabel uciekła z domu - mówię dalej. - Miała wielu starszych kolegów, nawet w Amsterdamie. Bóg jeden wie, skąd ich wzięła. Może - I ty w to wierzysz?

Chwilę się zastanawiam, po czym kręcę głową przecząco.

- Nie. Dlaczego miałyby to robić? Rodzice zostawiali jej wolną rękę, pozwalali w zasadzie na wszystko. Moi uważali, że zbyt wolną. W głębi serca byli zadowoleni, że nasze kontakty się rozluźniły. Isabel sama decydowała, jak często, z kim się będzie umawiać i kiedy wróci. Rodzice nie pilnowali jej przy odrabianiu lekcji, tak jak moi. Pozwalali z grupką przypadkowo poznanych ludzi jechać do Amsterdamu. Moja mama nie była zaskoczona, że coś takiego przydarzyło się właśnie Isabel. Była przekonana, że coś złego ją spotkało w Amsterdamie.

- To niemożliwe - mówi Olaf. - Isabel zniknęła w biały dzień, po lekcjach.

Podnoszę głowę, zdziwiona, że tak dobrze pamięta szczegóły.

- Przypominam sobie, że jechałam za nią na rowerze. Isabel jechała z Miijam Visser, a kiedy ta skręciła, Isabel została sama. Jechałam w tym samym kierunku, a ponieważ nie chciałam, żeby mnie dostrzegła, skręciłam w pewnym momencie w boczną uliczkę, żeby zniknąć jej z pola widzenia. Wróciłam do domu przez wydmy, ale nie była to wcale spodziewana, miła przejażdżka. Wiał ostry wiatr i musiałam mocno pedałować, tak że dotarłam do domu wykończona. Dziwne, że to właśnie pamiętam, ale nie to, co robiłam tego popołudnia. Byłam w bibliotece albo odrabiałam lekcje.

- A następnego dnia? A w jakiś czas później? Kiedy już było jasne, że Isabel naprawdę zniknęła? O niczym innym przecież w szkole wtedy nie mówiono! - dziwi się Olaf.

- Niczego nie pamiętam. Tak jakbym miała lukę w pamięci. Od czasu do czasu coś się pojawia, po czym natychmiast znika - mówię bezradna.

- No tak. - Olaf usadawia się wygodniej i zapala papierosa, częstując mnie, lecz odmawiam.

Długo milczymy. Dużymi łykami wypijam piwo. Nie jestem przyzwyczajona do milczenia, nie umiem sobie z nim poradzić, choć milczenie Olafa wcale nie jest nieprzyjemne. Nie oczekuje wytłumaczenia ani wylewnych opowieści, a ja nie mam ochoty przerywać tej ciszy gadaniem o byle czym. On nic nie mówi i ja milczę.

Siedzimy tak obok siebie, on pali, ja w końcu też zapalam. W pewnych chwilach papieros może wyjątkowo smakować.

- Znałeś dobrze Isabel? - pytam, strząsając popiół do popielniczki.

- Tylko z knajpy. Później widziałem ją na podwórku szkolnym. Robin opowiadał mi, że byłyście przyjaciółkami. Ale to musiało być w czasach, zanim się pojawiłem u was w domu, bo już jej tam nie spotkałem.

- Tak, to prawda, wtedy już nasza przyjaźń się skończyła - odpowiadam.

Oczy Olafa spoczywają na mnie. Nic nie mówi, tylko patrzy mi prosto w oczy, co zawsze jest dobrym sposobem, by sprowokować innych do mówienia, zrodzić w nich niepokój.

- Ostatnie lata w szkole podstawowej były bardzo fajne. Pierwsze lata szkoły średniej niezbyt przyjemne, lecz później zrobiło się po prostu nie do wytrzymania - rozkręcam się. - Bardzo się wtedy zmieniłam. Otwarta, wygadana, zadowolona. Nikt mi nie mógł nic zrobić. Byłam inna. Jakbym miała w sobie drugą Sabinę. Nie znałeś mnie takiej. Czasami mam wrażenie, jakbym miała różne osobowości. Pojawiają się, kiedy chcą, a ja nie mam na to wpływu.

Po co to wszystko opowiadam? Nerwowo strząsam popiół z papierosa i uśmiecham się z przymusem.

- To brzmi tak, jakbym miała rozdwojenie osobowości, prawda?

- Och, bynajmniej - mówi Olaf. - Znam to dobrze. Czy nie nosimy w sobie wielu wcieleń? W każdej sytuacji przybieramy inną twarz, inną postawę, inaczej mówimy. Zawsze usiłujemy się dopasować. W pracy też jestem innym Olafem.

Znowu zapada cisza. Kelner podchodzi, by zabrać talerze. Nie pyta, czy nam smakowało, tylko patrzy pytająco.

Kelner kiwa głową i znika.

- Wszystko było smaczne, dziękujemy.

Kelner odchodzi, nie zwracając uwagi na pochwałę, a Olaf przewraca oczyma.

- Ten sobie pomyśli: Człowieku, to tylko poffertjes!

- Dlatego powinny być smaczne.

- Waśnie.

Czekamy na kawę, dopalając papierosy. Trudno teraz zmienić temat na weselszy.

- A co ty pamiętasz z tamtego dnia, kiedy zniknęła Isabel? - pytam.

- Niewiele, poza tym, że miałem egzamin z matematyki. W sali gimnastycznej panował upał, coś okropnego. Na szczęście egzamin był łatwy. Matematyka była moim najlepszym przedmiotem, szybko więc skończyłem. Robinowi szło gorzej, siedział i męczył się. Nie czekałem na niego, wsiadłem na motorower i pojechałem do domu. That's it. Wieczorem Robin zadzwonił, pytając, czy nie widziałem Isabel.

- Robin do ciebie zadzwonił? Dlaczego?

- Być może właśnie po telefonie matki Isabel, która się niepokoiła o córkę.

- Ale dlaczego właśnie ty miałbyś wiedzieć, gdzie się podziewa Isabel?

- Nie mam pojęcia. Robin wiedział, że ją znałem. Isabel chodziła wtedy z... Jak on miał na imię? Był w mojej klasie, dzinsowa kurtka i czarne włosy. Bart! Tak, Bart de Ruijter. Powiedziałem mu, żeby zadzwonił do Barta.

Ogarnia mnie lęk, lecz staram się, aby na mojej twarzy nie pojawiło się nic innego niż zainteresowanie.

- I Robin zadzwonił? - pytam dalej.

- Zadzwonił do matki Isabel, podając numer Barta. Ten jednak ślęczał do końca popołudnia nad egzaminem z matematyki i nie widział Isabel. Przesłuchiwała go później policja.

Kelner stawia przed nami dwie malusieńkie filiżanki kawy.

- Espresso - stwierdzam z obrzydzeniem.

- Nie lubisz?

- Tej goryczy? Nie, raczej nie. Proszę, wypij moją kawę. - Przesuwam filiżankę w kierunku Olafa.

- Może chcesz coś innego? Kawę z mlekiem?

- Nie, nie. Nie mam ochoty na kawę. Ale może serwują tu coś mocniejszego?

Olaf się śmieje.

- Tego poszukamy za chwilę, dobrze? Knajpek jest tu wystarczająco dużo.

Niebieskawe powietrze przybiera coraz ciemniejszy odcień. Neonowe światła przyciągają wzrok w niemal agresywny sposób. Zaczyna się nocne życie Amsterdamu.

Zapalam kolejnego papierosa i przyglądam się Olafowi, który zadumany popija kawę.

- Robin stracił dla niej głowę, prawda? - odzywa się Olaf w pewnej chwili.

Zaskoczenie odbiera mi mowę.

- Co takiego? Robin zakochany w Isabel? Ależ skądże!

Olaf patrzy na mnie zdumiony.

- Chyba wiedziałaś?

- Nie, i zupełnie w to nie wierzę. Robin i Isabel? To śmieszne! - odpowiadam gwałtownie.

- Dlaczego? To była ładna dziewczyna. Gdyby mi ktoś powiedział, że ma osiemnaście lat, też bym uwierzył. Nie wiedziałem, ile ma lat, do chwili kiedy Robin powiedział mi, że chodzą do jednej klasy. Wiem jednak na pewno, że był nią zauroczony, choć wcale się o nią nie starał. Nikt tego nie rozumiał, bo ona go wykorzystywała.

- Nie starał się? - pytam dotknięta.

- Nie. - Oczy Olafa patrzą ciepło. - Nie starał się, choć widziałem, że dużo go to kosztowało. Owinęła go wokół palca, potrafiła to robić, mała diablica. Jeśli ktoś jej się podobał, musiał do niej należeć, choćby przez krótką chwilę.

Milczę, siedzę jak sparaliżowana, wciśnięta w czerwone krzeselko. Robin zakochany w Isabel. Zakochany. W Isabel!

- On jej nienawidził - mówię cicho. - Sam mi to powiedział. Olaf dopija kawę i stawia filiżankę tak energicznie na spodeczku, że mimowolnie patrzę, czy jej nie stuknęł.

- Tak - potwierdza. - Bo rzeczywiście jej nienawidził. Miłość i nienawiść leżą blisko siebie. Dlaczego tak się tym przejmujesz?

Patrzę na niego zmatowiałymi oczyma.

- Sam dobrze wiesz.

Olaf pochyla się ku mnie i kładzie swoją rękę na mojej. Po chwili milczenia pyta:

- Tak ci się dała we znaki?

Patrzę w bok na tramwaj dzwoniący na nonszalanckiego rowerzystę.

- Tak. - Słyszę swój głos. - Do chwili, kiedy Robin wziął sprawy w swoje ręce. Ale przedtem to było straszne.

Nagle znika przyjemny nastrój wieczoru; w ramionach i w brzuchu czuję znajomy ból. Drżącą ręką sięgam po papierosa.

Olaf to dostrzega. Jego wzrok napotyka mój. Nic jednak nie mówi. Jestem mu za to wdzięczna.

12

Mam dwadzieścia trzy lata i jeszcze nigdy z nikim nie byłam związana, poza romanssem z Bartem. W czasie studiów spotykałam się z różnymi sympatycznymi młodymi ludźmi, ale z nieznanych mi powodów nigdy wspólnie spędzony wieczór nie kończył się bliższym związkiem. Przyczyna leży we mnie, teraz to wiem. Nie mogę po prostu znieść, by ktoś mnie obejmował, by czyjeś żadne posiadania ramię spoczywało na moim ramieniu. Nie znoszę być przyciskana do ściany w czasie sesji całowania. Wyszarpuję się wtedy i mam ochotę uderzyć.

Pani psycholog, do której chodziłam na wizyty, będąc w depresji, usiłowała dotrzeć do ewentualnych bolesnych przeżyć w sferze seksualnej. Była o nich przekonana, wszystko za tym przemawiało. Niewiele mogła ze mnie wyciągnąć, w końcu zmieniła temat. Sama mogę w całkowitej szczerości wyznać, że u mnie wszystko jest na swoim miejscu.

Po Barcie nie spotkałam po prostu nikogo, kto by wzbudził we mnie podobne uczucia lub kto byłby mną zauroczony. Świadomość pobudzenia seksualnego dotarła do mnie po raz pierwszy, kiedy miałam czternaście lat. W naszej bibliotece publicznej znalazłam książkę, według której nakręcono film; obejrzałam go wcześniej. Pomyślałam, że książka jest może tak samo interesująca jak film, i wzięłam ją do domu. Podczas kiedy w filmie sceny łóżkowe były pokazane w dyskretny sposób, w książce opisano je wyjątkowo barwnie. Była to najbardziej podniecająca książka, jaką miałam kiedykolwiek w rękach. Leżałam na łóżku, czytając z wypiekami na twarzy. Moje ciało reagowało tak silnie, że nie umiałam nad tym zapanować.

Chowałam tę książkę do szafy z ubraniami, choć rodzicom nie przyszłoby do głowy kontrolować moje lektury i na pewno by mi niczego nie zabronili. Sama jednak wstydziłam się doznań, jakie ta książka we mnie wywoływała.

Od tego momentu nie umiałam patrzeć na chłopców tak jak dawniej. Nie zwracałam uwagi na kolegów z klasy, którzy byli o głowę niżsi niż dziewczyny, lecz na tych starszych, z którymi przestawała Isabel na podwórku szkolnym, takich jak Bart de Ruijter, najprzystojniejszy i najbardziej lubiany chłopak w szkole.

Był o dwie klasy wyżej niż Olaf i Robin i należał do paczki, z którą się zadawała Isabel. Zauważyłam go już wcześniej, ale zawsze myślałam, że nie mam żadnych szans. Dlaczego miałby zaprzętać sobie głowę taką szarą myszą jak ja? A mimo wszystko tak się stało. Było to na balu bożonarodzeniowym. Miałam czternaście lat. Wcale nie chciałam iść na bal szkolny, ale rodzice o nim wiedzieli, więc nie mogłam zostać w domu. Gdybym nie poszła, oznaczałoby to, że nie lubię tego, co normalny nastolatek powinien lubić. Rodzice byliby smutni, zaczęliby się o mnie martwić. Ich troska i współczucie byłyby dla mnie bardziej bolesne niż sam bal. Tato podwiózł mnie i dał mi pieniądze na taksówkę z powrotem, żebym nie musiała po ciemku sama wracać rowerem przez polder. Mógł mnie także odebrać samochodem, ale tego nie chciałam za żadną cenę. Nie do zniesienia była myśl, że widziałby mnie gdzieś na skraju ulicy stojącą zupełnie samotnie.

Wmieszałam się w tłum kolegów i koleżanek i usiłowałam się nie zbliżyć do grupy Isabel. Nie bardzo mi się to udawało. Oni obecni byli wszędzie, z głośnym śmiechem i krzykiem.

Poruszałam się w rytmie muzyki dyskotekowej, nie tańcząc z nikim, tak jak większość przytupujących, kiedy nagle znajoma grupka znalazła się po mojej prawej stronie. Zaczęli machać rękami w moim kierunku, śmiać się i przewracać oczyma. Isabel mnie przedrzeźniała, próbując wciągnąć w to Barta. Nie znaliśmy się z Bartem i zauważyłam, że patrzy to na mnie, to na Isabel, nie rozumiejąc sytuacji.

Isabel zrobiła głupawą minę i wykonała parę pokracznych kroków tanecznych. Widząc to, wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Słuchajcie, odchudzam się - powiedziała Isabel z naciskiem, przesuując rękami po biodrach. - Schudłam już dwa kilogramy.

Bart, wodząc oczyma za jej ruchami, skomentował:

- Naprawdę? Te dwa przesunęły się na pewno w stronę tyłka.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Isabel, niby żartem, kopnęła Barta w łydkę. Złowiłam jego mrugnięcie do mnie.

Jeżeli ktoś staje w twojej obronie w chwili, kiedy otoczenie się z ciebie naśmiewa, to odczuwasz wobec niego tak wielką wdzięczność, że od zakochania dzieli cię już tylko krok. To się właśnie wtedy ze mną stało.

Im częściej i wyraźniej Bart zwracał na mnie uwagę, tym bardziej byłem w nim zakochana. Był dyskretny, nie chciał się stawać przyczyną mojego zakłopotania. Bawiący się nie zdawali sobie sprawy, co się między nami działo.

W pewnym momencie tamci wyszli na zewnątrz, a ja tańczyłam wśród swoich kolegów. Nagle pojawił się przede mną Bart. Rozejrzałam się dookoła, ale nikogo z tamtej paczki nie było koło mnie; pewnie zostali na dworze.

Bart stanął blisko i uśmiechnął się do mnie w szczególny sposób. Wyciągnął rękę i przygarnął mnie do siebie. Zaczęliśmy tańczyć. Piliśmy. W barze nie było alkoholu, lecz uczniowie mieli przy sobie małe butelki whisky, której dolewali do coli. To miało w sobie coś z intymnej zмовы: dolewać odrobinę whisky do szklanek i wspólnie wypijać. Uczucie łaskotania w brzuchu było coraz mocniejsze.

Im później, tym stawałam się swobodniejsza; było to w dużej mierze zasługą whisky. Tamci wrócili, lecz niczego nie spostrzegli, ponieważ znowu tańczyliśmy wśród innych, w oddaleniu od siebie. Wieczór już się prawie kończył, kiedy wyszliśmy razem. To znaczy Bart złapał mnie za łokieć, poprowadził do tańca i dalej na podwórze szkolne. Na początku wieczoru był dla mnie kimś obcym, teraz, objęci, kierowaliśmy się ku ciemnemu pomieszczeniu, w którym zostawiano rowery. To było ekscytujące. Nagle zaczęliśmy się całować. Bart potrafił fantastycznie całować, na pewno próbował już wcześniej. Ja nie wiedziałam, co mam zrobić.

- Otwórz szerzej usta - powiedział, kiedy jego język napotykał ciągle moje zęby. Uczyniłam to. Czułam język powoli penetrujący moje usta i zapierało mi dech. Całowałam się z najbardziej w całej szkole pożądanym chłopakiem!

Nagle dotarła do mnie świadomość, że wszystko to mogło być jednym wielkim żartem. Nie rozumiałam go, ale bałam się, że ze mnie zakpiono. Otworzyłam oczy, patrząc, czy ktoś się nie podkrada. Pomieszczenie z rowerami było puste. Ręka Barta skierowała się powoli ku suwakowi moich spodni, lecz odsunęłam ją delikatnie. Nie poczuł się urażony.

- Nie? - zapytał łagodnie. - W porządku.

Całowaliśmy się dalej; a tamci gdzieś zniknęli. Wróciliśmy w końcu do głównego wyjścia. Byłam w siódmym niebie. Zabawa się skończyła, większość uczniów poszła już do domu.

Nie dziwiłoby mnie, gdyby Bart teraz się ze mną pożegnał i oznajmił, że idzie szukać swojej paczki. Nie wzięłabym mu tego nawet za złe. Lecz on zapytał, gdzie stoi mój rower. Kiedy usłyszał, że przywiózł mnie ojciec, sięgnął po swój stary zardzewiały rower i zawołał:

- Wskakuj na bagażnik.

Przywiózł mnie do domu. Równie dobrze mógł mnie przywieźć taksówką, w końcu dostałam na to pieniądze. Dziesięć kilometrów w jedną stronę, dziesięć samotnie z powrotem. U drzwi wejściowych zegnaliśmy się tak długo, że dopiero po godzinie weszłam do domu. Przeleżałam całą noc, nie mogąc zasnąć oczarowana, z bijącym sercem. Bart, Bart, Bart, wszystko śpiewało we mnie jego imię.

Oczekiwałam, że od tego momentu moje życie się zmieni. Miałam nadzieję, że będzie mnie bronił, będzie się mną opiekował, wciągnie mnie do grupy. Ze Isabel okaże mi szacunek i znowu zostaniemy przyjaciółkami - choć nie o tym marzyłam. Chciałam przede wszystkim, Zapomniałam, że zaczęły się ferie świąteczne i że na razie nie będzie szkoły. Bart do mnie zadzwoni, umówimy się, będziemy mieli wspaniałe ferie.

Bart nie zadzwonił.

Dwa tygodnie żyłam między nadzieją a rozpaczą. Nie zauważyłam nawet, że były święta, a w sylwestra, patrząc na fajerwerki, wypowiedziałam życzenie, bez większej nadziei, że zostanie spełnione.

Po feriach pierwszą osobą, którą zobaczyłam, wjeżdżając rowerem na dziedziniec szkolny, był Bart. Stał otoczony kolegami i koleżankami ze swojej paczki, obok Isabel. Patrzył w moją stronę, lecz nie widział mnie. Takie przynajmniej odniosłam wrażenie. Dojechałam do garażu na rowery i zaparkowałam swój. Na dziedzińcu rozległ się dźwięk dzwonka. Tłum uczniów ruszył, wciskając się przez drzwi wejściowe do wnętrza wielkiego ceglanego budynku. Ci z paczki przechodzili obok mnie właśnie w chwili, gdy zostawiałam rower, zarzucając sobie tornister na plecy. Los chciał, że natknęłam się akurat na Barta, choć może on się o to postarał. Do dziś nie wiem, jak było naprawdę, choć w gruncie rzeczy niczego to nie zmienia. Bart uśmiechnął się do mnie i dał mi lekkiego prztyczka w nos. Był to delikatny, pieszczotliwy gest, który znaczył więcej niż pocałunek. Tylko że to było wszystko. Nic już się tego dnia nie zdarzyło, Bart mnie nie zauważał. Nic z tego nie rozumiałam, także po południu, kiedy, w czasie gdy odrabiałam lekcje, pojawił się przed moim domem na rowerze.

Moje biurko stało tak, że mogłam wyglądać przez okno, zbiegłam więc szybko na dół, by otworzyć drzwi. Przekładał właśnie nogę przez ramę, kiedy stanęłam w progu. Z promiennym uśmiechem na ustach zawołał:

- Cześć! Może poszlibyśmy na plażę?

Leżeliśmy na plaży w ów zimny dzień, w zagłębieniu wydmy, całując się. By się rozgrzać, zjedliśmy później u Zandlopera paatatje oorlog*, szukając schronienia koło wejścia na plażę.

* Frytki z keczupem, majonezem, sosem arachidowym, curry i cebulą.

Następnego dnia Bart zupełnie mnie nie dostrzegł, natomiast po szkole znalazłam w teczce liścik: „W piątek do kina? Bart”.

Wtedy zrozumiałam. Nasz związek był tajemnicą. Nie zastanawiałam się nad powodem tego stanu rzeczy, ale uznałam to za całkiem naturalne. Fakt, że zostaliśmy parą, wzbudziłby wielkie poruszenie. Wcale mi na tym nie zależało.

Umawialiśmy się regularnie przez pół roku, ale zawsze tak, żeby się nie natknąć na znajomych. Wydawało mi się, że nikt nas nie zauważył, chociaż miałam wrażenie, że Isabel coś podejrzewała. Przenikliwy wzrok przenosiła badawczo z Barta na mnie. Musiałam się wtedy bardzo opanowywać, zwłaszcza ze względu na jej zachowanie wobec Barta w obecności innych. Przesuwała palcami po jego włosach, droczyła się z nim i śmiała. Musiała go mieć za wszelką cenę, choćby tylko po to, żeby innym udowodnić, że potrafi go zdobyć.

Ale on był mój. Do dnia, kiedy Isabel zniknęła. W tym momencie skończyło się moje chodzenie z Bartem. Tamtego lata skończył szkołę i jakkolwiek w wyobraźni przeżywałam ponowne spotkanie, nigdy go już nie zobaczyłam.

A teraz Olaf siedzi naprzeciw mnie. Taki sam pogodny, niezależny jak Bart. Czyżby dlatego mnie tak pociągał? Nagle odczuwam to samo pożądanie. Od czasów Barta nie poszłam z nikim do łóżka i teraz dopiero dociera do mnie, że to bardzo dziwne.

Dzisiaj to jednak nastąpi. Wiem, czuję, chcę tego. Zbyt długo byłam sama.

Po paru kieliszkach wina w przytulnym barze Olaf odprowadza mnie do domu. Podchodzi ze mną pod same drzwi, widzę w jego oczach pytanie. Uśmiecham się, zapraszającym gestem otwieram drzwi i pełna oddania całuję go w usta.

13

Budzi mnie chrapanie. Przestraszona, obracam się na bok i o mało nie dostaję łokciem w oko.

Olaf leży na brzuchu, z rękami pod poduszką. Natychmiast wraca mi świadomość.

Czyli nie śniłam; po latach kochałam się znowu.

Nie mogę już zasnąć. Przeszkadza mi nie tylko bezustanne chrapanie, lecz także świadomość tego, że tak szybko doszło do zbliżenia. I co dalej? Olaf jest fajnym chłopakiem. Czy z tego jednak coś będzie, zobaczymy. Na razie po prostu cieszymy się.

Sennie przewracam się na drugi bok i patrzę na budzik. Zrobiło się jasno, więc nie może być wcześnie. Jest piętnaście po szóstej, lecz dla mnie dzień może się zacząć. Myślami wracam do wczorajszego wieczoru; laskotanie w brzuchu przegania resztki snu.

Początkowo Olaf nie miał innych planów, jak tylko parę pocałunków na ławce. Siedzieliśmy przytuleni do siebie, opowiadając cicho, żartując i całując się na przemian. Ręka Olafa na mojej nodze powoli przesuwiała się wzdłuż uda, potem biodra. W tej pieśczoicie przez ubranie było coś wyjątkowo zmysłowego, może dzięki nadziei, że bez ubrania pieśczoicota będzie jeszcze bardziej zmysłowa.

Nie trwało to długo. Nasze ubrania leżały porozrzućane po pokoju, nie poszliśmy również spać. Żałować? Ani myślę! Zastanawiam się, jak zdołałam wytrzymać cały ten czas bez seksu. Zamykam oczy i czuję Olafa w całym ciele.

Nowe odgłosy chrapania wyganiają mnie ostatecznie z łóżka. Towarzyszą mi nawet pod prysznicem, a potem w kuchni, gdzie nastawiam kawę i przygotowuję tosty.

W momencie kiedy zaczynają wyskakiwać z tosterów, słyszę za sobą kroki. Olaf stoi w progu, ma na sobie bokserki. Ziewa i wygląda na niewyspanego.

- Dzień dobry! Ale z ciebie ranny ptaszek - mówi zaspanym głosem.

- Nie mogłam zasnąć. Wiesz, jak okropnie chrapiesz? - skarżę się, smarując tost dżemem.

- Trzeba było trochę mną potrząsnąć. Wtedy przestaję. - Olaf podchodzi do blatu kuchennego i nalewa sobie kawę. - Zobacz, już nawet kawa gotowa.

- Masz ochotę na tosta?

- Nie, dziękuję. Nigdy nie jem śniadania. Kubek czarnej kawy i papieros mi wystarcza.

- Na tym nie przeżyłabym.

Wyciągam gazetę i rozkładam na stole, nie mając ochoty rezygnować ze swoich porannych rytuałów. Muszę zjeść dobre śniadanie i przejrzeć gazetę.

- Skorzystam z pryszniców, można? - pyta Olaf.

- Czuj się jak u siebie w domu.

Zagłębam się w lekturę, lecz nie aż tak głęboko, by nie usłyszeć dźwięków dochodzących z ubikacji. Olaf nie zamknął za sobą drzwi, lecz wydaje się tym wcale nie przejmować. Zaczyna lecieć woda i słyszę, jak Olaf śpiewa. Oby tylko nie wziął żelu, który kupiłam sobie ostatnio jako prezent dla samej siebie.

Zapach jabłka dociera do moich nozdrzy. Rozdrażniona, popijam kawę. Cóż to za dziwne zdanie: „Czuj się jak u siebie w domu”. Wypowiadasz je, podkreślając gościnność, ale jednocześnie oczekujesz, że zostaną zachowane prawa własności.

Kiedy w chwilę później idziemy ulicą, rozpoczynając dzień pracy, zapominam o tym nieprzyjemnym uczuciu. Olaf jest w dobrym humorze. Prosto spod pryszniców, z mokrymi

włosami zaczesanymi do tyłu, ubrany w biały Tshirt wygląda wyjątkowo pociągająco i znowu czuję owo przyjemne łaskotanie w podbrzuszu. Otaczający go jabłkowy zapach mojego żelu jeszcze potęguje to wrażenie.

Idziemy w kierunku jego samochodu. Wczoraj wieczorem znalazł miejsce do parkowania prawie tuż przed domem. Wsiada i otwiera mi drzwi od wewnątrz. Siadam, stawiam torbę koło nóg. W samochodzie panuje bałagan. Światło poranka bezlitośnie ujawnia walające się pudełka od płyt kompaktowych, papierki po batonach Mars i w połowie puste pudełka po papierosach. Czuć jakiś nieprzyjemny zapach. Wkładam okulary przeciwsłoneczne i otwieram okno.

- Ciekawe, co sobie pomyślą, kiedy przyjedziemy razem - mówię.

- Co takiego?

- W pracy. Coś sobie pomyślą.

- Ach, o to ci chodzi - odpowiada Olaf, nie okazując większego zainteresowania.

- To nie ma dla ciebie znaczenia?

- Nie, prawdę mówiąc, nie.

Olaf wypowiada ostatnie zdanie tonem, który uniemożliwia dalsze wałkowanie tematu. Babskie gadanie. On ma rację. Co mnie może to obchodzić? Dlaczego, na miłość boską, interesuje mnie to, co myślą inni?

Wjeżdżamy na parking banku. Olaf parkuje samochód tyłem i wysiadamy. O tej porze panuje tu potworny tłok. Wszyscy przyjeżdżają mniej więcej w tym samym czasie. Olaf obejmuje mnie ramieniem, przeprowadzając przez drzwi obrotowe, tak jak bym sama nie była zdolna przez nie przejść. W odbiciu szyby drzwi widzę za nami Renée.

- Muszę jeszcze zejść na dół. Wyślę ci mejla - mówi. Przytrzymuje mnie i całuje długo. Trochę zażenowana, odrywam się od niego. Śmieje się do mnie, puszcza oko i rażno rusza korytarzem.

Renée przechodzi obok i ogląda się za Olafem. Spotykamy się przy windzie. Witamy się i milczymy.

Winda wypełnia się ludźmi i nabrzmiała cisza spowija grupę obcych sobie osób, przymuszonych do wdychania zapachu innych niż własne pasta do zębów i dezodorant. Winda rusza w górę. Gdy tylko zatrzymuje się na dziewiątym piętrze, Renée przepycha się do wyjścia i wielkimi, prawie męskimi susami biegnie w kierunku biura. Idę za nią w zdecydowanie spokojniejszym tempie. Kiedy wchodzę, Renée jest w swoim żywiole. Włącza komputery, nastawia ekspres do kawy, otwiera kluczami szafki.

Komputery włączają się z szumem, wesołymi tonami.

Renée otwiera od razu Outlook i swoją skrzynkę.

- Sabine, wysłałaś wczoraj to upoważnienie dla Price&Waterhouse, prawda? Mam tutaj mejl, w którym się o nie upominają.

- Upoważnienie? O jakie upoważnienie ci chodzi? - pytam.

- To, które wczoraj miałaś wysłać. Przykleiłam ci notkę do komputera, ponieważ musiałam wczoraj wcześniej wyjść. Zauważyłaś ją chyba? Przyczepiłam ją na środku monitora!

- Nie widziałam żadnej notki.

Renée patrzy na mnie bez słowa.

- Niesłychane! - kwituje w końcu. - Czyli to upoważnienie do tej pory nie zostało wysłane?

- Nie, jeśli nie jestem o czymś poinformowana, to tego nie robię, prawda?

Renée łapie się za głowę, otwiera usta, zamyka, zaczyna chodzić po pokoju tam i z powrotem.

- Cholera! - mówi sfrustrowana.

Spoglądam na stertę faksów na moim biurku. Przyczepiona jest do nich spinaczem karteczka: „Proszę wysłać przed wpół do jedenastej”.

- Dzień dobry! - Wouter pojawia się w biurze i od razu otwiera swoją pocztę.

Renée spada na niego jak jastrząb na swą ofiarę.

- Mamy problem. Sabine zapomniała wysłać upoważnienie do Price&Waterhouse.

- Co takiego? - Wouter odwraca się gwałtownie.

- Nie przejmuj się. Jakoś to załatwimy. Daj mi kluczyki od swojego samochodu, sama je zawiozę. Wyciąga rękę w stronę Woutera, lecz on patrzy złym wzrokiem na mnie.

- Mówiłem wielokrotnie, jak ważne jest, żeby mieli upoważnienie już dzisiaj. Przed dziesiątą. Powtarzałem to w kółko - mówi Wouter spokojnie.

Za spokojnie.

- Każdy popełnia błędy - łagodzi sytuację Renée.

- Ale nie takie! Price&Waterhouse to nasz najważniejszy klient!

Renée robi uspokajający gest.

- Nie denerwujemy się. Daj mi kluczyki. Zaraz dostarczę to upoważnienie. - Spogląda na zegarek. - Jeszcze zdążę.

Wouter daje jej kluczyki od swojego bmw.

- No to jedź, tylko ostrożnie!

- Oczywiście! - odpowiada Renée. Bierze torebkę i wychodzi z sekretariatu, nie patrząc nawet w moim kierunku.

Wouter i ja zostajemy sami. Nabrzmiała cisza cięży wyraźnie.

- O niczym nie wiedziałam - mówię. - Renée twierdzi, że przyczepiła mi notkę na monitorze, lecz ja niczego nie zauważyłam.

Wouter zmęczonym gestem przeczesuje palcami siwiejące włosy.

- O dziesiątej przychodzą klienci z Illycaffè - zapowiada. - Czy mówisz po włosku?

- Nie, tylko po niemiecku i po francusku.

- To są Włosi - mówi Wouter. - Postaraj się, by w sali konferencyjnej wszystko było przygotowane.

Kiwam głową i patrzę na trzymane faksy, które powinny być wysłane przed wpół do jedenastej.

- Gdzie są Zinzy i Margot?

- Skąd mam wiedzieć? - Wouter wychodzi z biura.

Włączam kalendarz w komputerze i pod piątkiem 14 maja widzę:

Zinzy - wolne. Margot - u dentysty.

Wspaniale.

Szkoda, że dziś rano nie włożyłam butów sportowych zamiast nowych eleganckich pantofli na wysokich obcasach. O mało nie skręcam sobie nogi w drodze do recepcji, gdzie czeka już delegacja Włochów. Witam ich najserdeczniejszym *buon giorno*, a ponieważ potem mogłabym jeszcze tylko dodać *grazie* i *pizza margherita*, przechodzę od razu na angielski.

Odprowadzam gości do sali konferencyjnej, gdzie uprzednio w pędzie przygotowałam mleko, cukier, talerz z ciasteczkami. Kawa już się parzy, lecz panowie wolą herbatę.

Powiadamiam Wouter, że Włosi z Illycaffè już czekają, i biegnę do automatu z kawą. To się nazywa automat do kawy, ale jest w nim zupa, gorąca czekolada i wrzątek do herbaty. Wylewam kawę z termosu, przepłukuję go i nalewam kilka kubeczków wrzątku. Kładę obok torebeczki z herbatą i gotowe. Normalnie takie rzeczy przygotowuje personel stołówek, jeśli się wcześniej poprosi.

Widocznie nikt o nic nie poprosił, inaczej wszystko by już czekało.

Wchodząc, czuję na sobie poirytowany wzrok Wouter. Ze zdenerwowania rozlewam trochę wrzątku.

- Nie trzeba, Sabinę, sami sobie poradzimy. Czy masz może kawę? - pyta zimno Wouter.

- Oczywiście - odpowiadam. - Zaraz przyniosę.

- Weź przy okazji szmatkę - mówi Wouter, wskazując wzrokiem mokre ślady na bukowym blacie.

- Już biegnę. - Uśmiecham się do Włochów. Odpowiadają uprzejmym uśmiechem.

Biegnę do automatu. W sekretariacie nie ma nikogo. Słyszę telefon i przez chwilę się waham nad porządkiem rzeczy. Wybieram Wouter, który bez kawy jest drażliwy jak stary pies. W biegu łapię szmatkę spod umywalki i spieszę do sali konferencyjnej. Wchodzę, udając zupełny spokój. Aby się tylko nie potknąć.

Stawiam kawę z uśmiechem i grzecznym „proszę bardzo”. Wracam do sekretariatu. Dzwonią wszystkie telefony. Na korytarzu spotykam Tessę z działu handlowego.

- Nie odebrałaś tak telefonu? Dzwoni już od godziny - mówi Tessa.

W biegu wpadam do biura i odbieram pierwszy telefon.

- Oddział banku, dzień dobry, Sabine Kroese przy aparacie. Chwileczkę, proszę, już łączę.

- Oddział banku, dzień dobry, Sabine Kroese przy aparacie. Bardzo mi przykro, jest na posiedzeniu. Czy ma oddzwonić? Przekażę. Miłego dnia.

- Oddział banku, dzień dobry, Sabine Kroese przy aparacie. Bonjour, madame Boher. Un moment, je vous passe.

Urwanie głowy. Pojawia się Margot, dostrzega chaos i od razu wkracza do akcji. O jedenastej robi się trochę spokojniej, same możemy wypić kubek kawy.

Tessa wchodzi do sekretariatu. - Czy pan Alessi już dzwonił?

- Nie, jeszcze nie odbierałam telefonu od niego - odpowiadam.

- Ja też nie - mówi Margot.

Tessa patrzy niespokojnie.

- To dziwne. Czekam niecierpliwie na jego odpowiedź, a za chwilę mam posiedzenie z akcjonariuszami. Jesteście pewne?

Tessa przegląda skorowidz wysłanych faksów.

- Faks do Allesiego wcale tu nie jest zaznaczony. Czyżby nie został wysłany?

Cała aż podskakuję. O rany! Faksy!

- Cholera - zapomniałam. - Cały rano był taki ruch, że nie zdążyłam ich wysłać. Zaraz to zrobię.

- Jak to, jeszcze niewysłane! Matko jedyna! - Tessa patrzy na mnie ze złością. - Renée miała rację - dogryza mi, wychodząc z sekretariatu.

- Wiem na pewno, że nie było żadnej notki na ekranie mojego komputera - opowiadałam wieczorem Olafowi. Zamówiliśmy pizzę i siedzimy na balkonie w moim mieszkaniu.

- Może spadła na podłogę?

- Niczego nie zauważyłam - podkreślam.

- Może pod biurko. Albo ona kłamie. - Olaf bierze stojącą między nami butelkę frascati i dolewa do kieliszków. - Tak, pewno kłamie - dodaje.

- Mnie też się tak wydaje - odpowiadam.

Siedzimy na dworze do momentu, kiedy słońce znika za budynkami, po czym idziemy do sypialni. Kochamy się, rozmawiamy, opowiadamy dowcipy o Renée i jeszcze raz się kochamy. Śmieję się, ale nie jest mi wesoło. Kiedy Olaf wychodzi - musi jeszcze wstąpić do kolegi, któremu się popsuł komputer - włączam telewizor i wypijam do końca frascati.

Za dużo piję. Za dużo, jestem tego świadoma. Postanowiłam coś z tym zrobić, ale jeszcze nie teraz. Jest mi lepiej. Mimo nieprzyjemnej atmosfery w pracy czuję się mocniejsza i mam więcej energii. Dobrze mi robi to, że jestem znowu wśród ludzi, a po południu odpoczywam. Tego wieczoru jest jednak wszystko po staremu. Reklama o przyjaciółkach w telewizorze, dziennik, nawet sentymentalna scena w serialu, wszystko sprawia, że jestem na krawędzi łez. Nie mogę nic poradzić. Stary smutek wychodzi na zewnątrz i dręczy mnie.

Jest już dziesiąta, kiedy dzwoni Jeanine.

- Cześć, jak się masz. Nie leżysz chyba w łóżku?

- Nie, oglądam telewizję.

- To dobrze. Kiedy zadzwoniłam, uświadomiłam sobie, że jest już dziesiąta. No, jak było?

- Masz na myśli Olafa? - pytam i wyłączam pilotem telewizor.

- Oczywiście, że Olafa! Fajnie było?

- Tak, było fajnie - odpowiadam neutralnym tonem.

Przez chwilę trwa cisza, potem Jeanine wykrzykuje:

- No co ty, opowiadaj! Byłaś z nim w łóżku?

- Nie chcesz wiedzieć, jak wyglądał nasz wieczór?

- Najpierw chcę wiedzieć, czy poszłaś z nim do łóżka, a potem możesz mi opowiedzieć o waszym romantycznym wieczorze. A może wcale nie był romantyczny? - pyta Jeanine, czymś zaalarmowana.

- No, jeśli lokal, w którym się podaje poffertjes, można nazwać romantycznym...

Przez chwilę jest cicho.

- Jak to: wziął cię na poffertjes? Czy on oszalał?

Głęboko w sercu zgadzam się z Jeanine, ale jednocześnie odczuwam potrzebę wystąpienia w obronie Olafa.

- W gruncie rzeczy było bardzo fajnie, i naprawdę oryginalnie. Mógł mnie równie dobrze zaprosić do pizzerii. Ale...

- Pizzeria - Jeanine wpada mi w słowo wyniosłym tonem. - Powinien cię zaprosić do Américain albo co najmniej do Franschmana. Tam przychodzi tout Amsterdam.

- Wyobrażasz sobie Olafa siedzącego w Américain? To nie dla niego. Nie, cieszę się, że nas tam nie było - mówię i jestem o tym przekonana.

- Ale lokal z poffertjes... - Jeanine nie może się z tym pogodzić.

- Wiem, wiem, następnym razem ubiorę się jak do baru mlecznego - podśmiewam się.

- Czyli będzie następny raz? - docieka Jeanine.

- Tak mi się wydaje, choć nie rozmawialiśmy o tym dziś rano. - Chcąc nie chcąc, wracam do tematu tak bardzo interesującego Jeanine.

- Dziś rano w pracy czy u ciebie w domu? - docieka Jeanine.

- Dziś rano u mnie w domu, ciekawska. - I, żeby odpowiedzieć na kolejne pytanie: - Tak, byłam z nim w łóżku - mówię, śmiejąc się.

- Czyli dobrze się stało, że kupiłaś tę seksowną bieliznę - stwierdza Jeanine z zadowoleniem.

- Zwracam honor. Miałaś rację. Ładnie bym wyglądała w tych swoich starych majtkach.

- Opowiesz mi jeszcze wszystko, ale teraz muszę kończyć. Nie umówiłybyśmy się na jutro.

- U ciebie czy u mnie?

- Jutro będzie ciepło. Może pojedziemy do Zandvoort, jeśli masz ochotę.

- Ochotę! Masz chyba dar telepatii. Chciałam właśnie wystawić na słońce swoje białe ciało.

- No to w porządku, jedziemy. Zabiorę cię o wpół do drugiej spod domu.

- Dobrze.

- Do jutra. Nie zapomnij wziąć kremu ochronnego. I ostrzegam: jutro chcę wszystko wiedzieć. Wszystko!

Śmieję się i odkładam słuchawkę.

Nazajutrz po południu wędrujemy plażą w Zandvoort. Jest sobota, tłumnie, ale do zniesienia. Wybieramy miejsce pod wydumą, rozkładamy plażowe ręczniki i usypujemy pod głowami poduszcзки z piasku. Wyciągamy z toreb okulary przeciwsłoneczne i krem do opalania. Smarujemy sobie wzajemnie plecy i kładziemy się na ręcznikach.

Jeanine wzdycha z zadowoleniem.

- Ach, słońce, słońce, czyni swoją powinność! Lato jest cudowne. Chcę być kompletnie brązowa. Będę się smażyć w każdej wolnej chwili.

- Wtedy za dziesięć lat będziesz wyglądać jak stara skórzana torba - odpowiadam z głową opartą na ramieniu.

- No cóż, chyba jednak nie, mam tak mało wolnego czasu! Poza tym nie mamy w Holandii takiego wspaniałego lata, więc spokojna głowa. Najprawdopodobniej do końca miesiąca będzie pochmurno.

Jeanine odwraca się na plecy i jeszcze raz wzdycha z zadowoleniem.

Bo też czuć słońce na skórze to prawdziwa przyjemność. Człowiekowi od razu jest lepiej.

- No to teraz mów ze szczegółami - prosi Jeanine, właśnie w momencie kiedy udaje mi się zdrzemnąć. - Opowiadaj! Jaki był Olaf?

- No, normalny. Dobry, myślę - odpowiadam wymijająco.

- Co to za odpowiedź! Jezus, miałaś orgazm czy nie?

Uśmiecham się, trochę zażenowana. Nie mam zwyczaju omawiać z innymi szczegółów swojego życia seksualnego. Nie tylko dlatego, że długo go nie miałam, lecz ponieważ uważam temat za prywatny. Jeanine jednak najwidoczniej myśli inaczej, a ja nie mam ochoty robić z tego problemu.

Mój kontakt z Jeanine zamienia się coraz bardziej w to, co rozumiem przez damską przyjaźń, a do niej należy opowiadanie o życiu prywatnym. Muszę się do tego przyzwyczaić. Już czas najwyższy, żeby się otworzyć dla innych.

- Tak - mówię krótko, w odpowiedzi na jej pytanie. Moim zdaniem jestem bardzo szczerą i nie mam się ochoty rozwodzić o szczegółach. Jeanine jednak nagabuje dalej i w ciągu dziesięciu minut wyciąga ze mnie najbardziej pikantne szczegóły. Prawdziwy wyczyn.

- Jest fajny - mówi Jeanine zadowolona. - Jesteś w nim zakochana?

- Jeszcze tego dobrze nie wiem. - Podnoszę się, podciągam kolana, obejmuję je ramionami i patrzę zamyślona w morze. - Jest naprawdę fajny, ale być zakochanym to co innego. Myślę o nim dużo, ale nie odczuwam potrzeby, żeby do niego biec. A takie uczucie miałam dawniej, kiedy byłam zakochana.

Kiedy byłam zakochana w Barcie - uświadamiam sobie, ale nie wymawiam tego imienia głośno. Trudno nazywać to zakochaniem. Byłam nastolatką. Mimo wszystko mogę ciągle wrócić do tego uczucia pożądania, kiedy na niego patrzyłam, albo zachwytu, kiedy niespodziewanie przechodził koło mnie i w zatłoczonym korytarzu szkolnym głaskał mnie po rękę. Czuję ciągle tamten stan, w którym moje myśli obsesyjnie krążyły wokół niego, gdy siedziałam sama w domu i rysowałam w kółko serduszka w zeszycie. To było pożądanie, i choć byłam tak młoda, to uczucie nie pojawiło się nigdy później, przy Olafie również nie.

- A w lam byłaś naprawdę zakochana? - pyta Jeanine w zaufaniu i wtedy wspominam jej o Barcie. Im dłużej o nim opowiadam, tym bliższy wydaje mi się tamten czas. Nie zdziwiłabym się, gdyby nagle Bart stanął koło mnie.

Kiedy kończę, Jeanine zaczyna mówić o swoich sprawach sercowych i zajmuje jej to o wiele więcej czasu niż mnie.

Kładę się na plecach, słucham jej głosu i cieszę się ciepłem słońca padającego na moją twarz. Piętami wykopuję dołki w piasku, słyszę szum fal i krzyk mew krążących w niebieskim powietrzu i czuję znajomy zapach frytek oraz kremu do opalania.

Pojawia się wspomnienie. Mam trzynaście lat i leżę na plaży. Pełnia lata, jestem sama. Często chodzę sama na plażę. Jest blisko, a ja uwielbiam czytać, wsłuchana w szum fal.

Nieopodal pojawia się grupka dziewcząt, kątem oka spoglądam w ich kierunku. To Isabel, Mirjam i jeszcze parę innych. Moja przyjaźń z Isabel nie jest już tym, czym była kiedyś, jednak nie stanowi jeszcze źródła przykrości.

Podnoszę się, biorę swoje rzeczy i idę w ich kierunku. Z uśmiechem stoję obok, przesłaniając oczy ręką przed ostrym słońcem. Przepraszającym tonem pytam, czy mogę się dosiąść. Mogłabym równie dobrze powiedzieć wesoło „cześć” i po prostu usiąść obok, lecz instynktownie wyczuwam, że grupa nie dopuściłaby do takiej bezczelności.

Isabel wpatruje się we mnie. Nasz wzrok przez chwilę się spotyka, potem się odwracam. Dziewczyny pochylają się ku sobie i radzą, komunikując mi po krótkiej chwili, że to niemożliwe.

Zabieram swoje rzeczy, które już rzuciłam na piasek, i wracam na stare miejsce. Z ręcznikiem na ramionach i torbą plażową w rękach patrzę na zagłębienie, które zrobiłam w piasku. Wiatr, który nagle powiał, wydaje mi się chłodny. Odwracam się i wolno schodzę z plaży, idąc w kierunku domu.

- Sabinę? - Głos Jeanine dochodzi mnie z daleka. Powrót z przeszłości do terażniejszości trwa parę sekund.

- Słucham.

- Wydawało mi się, że śpisz!

- Nie, słuchałam morza - odpowiadam z poczuciem winy.

- A co ja takiego ostatnio powiedziałam?

- Hm?

- No więc dobrze. - Jeanine przewraca się na bok i patrzy surowo zza okularów przeciwsłonecznych. - O czym myślałaś tak intensywnie, że straciłaś wątek mojej interesującej opowieści?

- O tym, co było dawniej. O szkole średniej.

Jeanine, podnosi okulary wyżej, na włosy.

- Dlaczego o tym?

- Ponieważ mieszkałam dawniej nad morzem. Mogłam chodzić piechotą na plażę.

- No tak, ty przecież mieszkałaś w Den Helder!

- W Julianadorp - odpowiadam. - Mieszkałam w Julianadorp.

- Julianadorp - powtarza Jeanine. - To brzmi jak wesołe miasteczko.

- Wesołe miasteczko nazywa się Julianatoren - wyjaśniam.

- Masz rację. Byłam tam kiedyś z kuzynem.

Rozmowa schodzi na inne tematy. Mówimy o jej kuzynie, René, i przeskakujemy oczywiście na Renée, komentujemy to, co przeszła z nią Jeanine, kiedy ja siedziałam w domu w depresji. Leżymy obie z zamkniętymi oczyma na ręcznikach, a jej głos dźwięczy blisko mnie.

- Nie pozostało mi nic innego jak odejść - opowiada Jeanine. - Renée była tak władcza i tak ambitna. Ty też powinnaś odejść, Sabine.

- I co dalej? - pytam sennym głosem. - Najpierw powinnam znaleźć inną pracę.

- Jeśli wchodzi w grę problemy finansowe, to chętnie ci pomogę. Jeśli nie znajdziesz pracy i będzie ci trudno związać koniec z końcem, w ostateczności wprowadzisz się do mnie.

- Mark na pewno się ucieszy.

- Kto?

- Mark. Tak ma przecież na imię twój chłopak?

- A ten, nie, już się rozstaliśmy. A w ogóle to skąd go znasz? Nigdy się przecież nie spotkaliście?

- Czekałaś na niego, kiedy pojawiłam się u ciebie pewnego poniedziałku. Przypominasz sobie? Kiedy przyszłam pierwszy raz.

- Czekałam na niego? Że ty to jeszcze pamiętasz! Ja już o nim zapomniałam.

- To nie było głębokie uczucie.

- Na pewno nie.

Jeanine podnosi się, wsparta na łokciach, błądzi oczyma po plaży. Podążam za jej spojrzeniem: patrzy na dwóch młodych mężczyzn, biegnących w kierunku morza. Są bardzo przystojni i wysportowani, a po ich zachowaniu widać, że również tego świadomi.

- Popływamy? - proponuje Jeanine.

- Woda jest jeszcze bardzo zimna - protestuję.

- Trzeba się tylko przez chwilę przyzwyczaić. Chodź!

Jeanine wstaje i ciągnie mnie za ramię. Dwaj młodzi ludzie stoją po kostki w wodzie, namyślając się, lecz kiedy się zbliżamy, natychmiast się zanurzają.

- O rany - wzdycha Jeanine. - Nie będzie baywatch. Chodź Sabinę, nie będziemy tu stać i trząść się jak dwie śliczne idiotki.

Młodzi ludzie się wynurzają, śmieją do nas i jawnie prowokują. Jeanine eleganckim ruchem zanurza się w morzu, a mnie nie pozostaje nic innego, jak podążać za nią.

Zostajemy na plaży na całe popołudnie. Dopiero koło siódmej zabieramy naszą lodówkę, torby plażowe i idziemy do samochodu. Opalone, upiaszczone, w krótkich spodniach i koszulkach wracamy do Amsterdamu.

- Pizza u ciebie? - proponuje Jeanine.

- Z tą pizzą to muszę uważać, wczoraj też jadłam - odpowiadam.

Wdrapujemy się po schodach, rzucajemy torby i po kolei wchodzimy pod prysznic.

- Skąd ty w ogóle znasz Olafa? Powiedziałaś, że znasz go z dawnych czasów. Czy to było w Den Helder? - pyta Jeanine, kiedy odkręcam prysznic.

Rozbieram się, wchodzę pod ciepłą wodę i opowiadam Jeanine, że Olaf był kolegą mego brata i czasem bywał u nas w domu. Jeanine siedzi na sedesie i słucha. Nie wiedząc kiedy, zaczynam jej opowiadać o Barcie i w końcu o Isabel.

- To niesamowite, że ją znałaś - mówi Jeanine. - Ze byłyście koleżankami! Tak często widywałam ją dawniej w telewizji. Czy naprawdę niczego sobie nie przypominasz z tamtych czasów?

- Niestety bardzo niewiele.

Jeanine wchodzi pod prysznic, ja siadam na sedesie i maluję sobie paznokcie u nóg.

- Czytałam kiedyś o tym - Jeanine usiłuje przekrzyczeć szum wody. - Już nie pamiętam gdzie, pewnie w jakimś czasopiśmie. Chodziło o ludzi, którzy byli wykorzystywani seksualnie i nic o tym nie wiedzieli. Dopiero dużo później powracało to wspomnienie. Wyrugowali je kompletnie ze świadomości, ponieważ nie mogli w niej znieść tego dramatu. Z

różnych powodów podejmowali psychoterapię, ich życie się stabilizowało i wtedy pojawiało się wspomnienie.

- Nie byłam wykorzystywana seksualnie - odpowiadam.

- Ależ nie, głuptasie, wcale tego nie twierdzę. Ten artykuł mówił o rugowaniu ze świadomości. Przecież mogło się zdarzyć, że coś wyrzuciłaś ze swojej pamięci, coś, co było zbyt bolesne, aby mogło w niej pozostać.

Maluję sobie w wielkim skupieniu paznokcie u nóg i w każdym błyszczącym odbiciu widzę twarz Isabel; twarz, w której nie ma śladu życia. Przeżona zamykam oczy. Kiedy dochodzę do siebie, spostrzegam, że nie tylko moje paznokcie, ale całe palce są czerwone.

Woda przestaje lecieć. Jeanine wychodzi z granitowej kabiny prysznicowej, owinięta ręcznikiem.

- Zamówiłaś już pizzę? - pyta.

15

Miesiąc przed moimi piętnastymi urodzinami przewieziono mego ojca z pracy karetką pogotowia do szpitala w Den Helder. Zawał.

Pan Groesbeek zabrał mnie z lekcji niemieckiego i zawiózł do szpitala Gemini. Był to z gruba ciosany, zawsze człapiący i krzyczący woźny w szkole. Każdy z respektem patrzył na jego ogromne ręce, którymi rozdzielał walczących ze sobą chłopców, chwycił za ramię bezczelnych małych, kleił dętki i podlewał kwiaty w klasach. Pan Groesbeek był w moich oczach staruszką budzącą strach rozwianymi siwymi włosami i grzmącym głosem. Codziennie jeździł furgonetką z Callantsoog, gdzie mieszkał, do Den Helder. Po drodze zabierał nieraz uczniów zdążających do szkoły na rowerach i zmagających się z wiatrem i ulewnym deszczem. Mnie samą podwoził wielokrotnie.

W drodze do szpitala patrzyłam przez brudne okno i czułam, że pan Groesbeek mi się przygląda.

- Nie jest ci łatwo ostatnio, prawda? - powiedział.

Spojrzałam nierozumiejącym wzrokiem.

- W szkole, a teraz jeszcze to - dodał.

Nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć, więc tylko kiwnęłam głową.

Pan Groesbeek klepnął mnie w udo, a jego ręka przez chwilę na nim pozostała. Rękę miał ogromną i owłosioną. Wbiłam w nią wzrok i czułam, jak zaczyna mi ciążyć. Trwało chwilę, zanim ją zabrał.

Jechaliśmy dalej w milczeniu. Wysadził mnie przed szpitalem Gemini.

- Trzymaj się - powiedział. - I życz tacie zdrowia.

Wyskoczyłam z furgonetki i patrzyłam, jak odjeżdża; dopiero wtedy odwróciłam się i weszłam do szpitalnego budynku.

16

Zawał to poważna sprawa, jednak nie sądziłam wtedy, że życie mojego ojca jest zagrożone. Nie mogłam sobie tego wyobrazić, a jego postawa w czasie wizyt umacniała mnie w tym przekonaniu. Za każdym razem, kiedy wchodziłam, witał mnie szerokim uśmiechem, dowcipkując, jakby cały jego pobyt w szpitalu też był jednym wielkim żartem. Wyprowadzał mamę z równowagi, machając ręką, którą był podłączony do monitora. Nagle monitor zaczynał szaleć. Robin śmiał się do rozpuku, ale ja nie uważałam tego za zabawne. Siedziałam cicho na stołku, patrzyłam na bladą twarz ojca, mimo wszystko ożywioną, na dziwną niebieską koszulę zapinaną na zatrzaski i na elektrody przyłączone do jego piersi.

W tamtej chwili zdałam sobie sprawę, że bardzo kocham mojego ojca. Przebaczyłam mu, że za głośno klaskał podczas koncertu w szkole, a nawet, że wołał „brawo”, co tylko rozśmieszyło moich szkolnych kolegów i koleżanki. Przebaczyłam mu, że z uporem przygotowywał mi rano kanapki ze zdrowego ciemnego chleba, który mama przynosiła z piekarni. Ojciec kroił go na grube kromki, nakładał na nie równie grube plastry sera edamskiego, odkrajanego nożem z wielkiej kuli. Nie mogłam tej kanapki włożyć do ust w czasie przerwy, z czego oczywiście się naśmiewano. Koniecznie chciałam sama robić sobie kanapki, ponieważ drażniło mnie naigrzanie się z mojego ojca. Mało tego, nie przyszło mi do głowy poprosić rodziców, żeby chleb kroili w piekarni lub żeby kupili maszynkę do krojenia sera, ponieważ okazałabym przez to swoją niewdzięczność. Ojciec wstawał specjalnie, żeby mi zrobić kanapki. Był to jedyny moment w ciągu dnia, kiedy mogliśmy być sami razem, jak twierdził. Mama nie była rannym ptaszkiem, a Robin nie jadł śniadania. Wstawał o wiele za późno i od razu wychodził. Ojciec parzył specjalnie dla mnie herbatę.

Był przyzwyczajony do wczesnego wstawania. Pracował dawniej jako maszynista na kolei: Nederlandse Spoorwegen. Często musiał już o piątej wychodzić z domu. Budziłam się wtedy. Byłam jeszcze mała, miałam może z sześć lat. Pamiętam, że cichutko w skarpetkach schodził ze schodów, żeby nam nie przeszkadzać. Wysuwałam się wtedy z łóżka, w koszuli nocnej i boso, aby mu pomachać. Trwało to chwilę. Wkrótce ojciec był już na zewnątrz, mnie wydawało się jednak, że trwało to w nieskończoność, ponieważ zawsze gwałtownie chciało mi się siusiu. Pewnego razu pobiegłam do ubikacji, wysiusiałam się i wróciłam do okna. Jakież było moje rozczarowanie, kiedy okazało się, że już go nie ma. Wyobrażałam sobie, że

z oczekiwaniem patrzył w stronę mojego okna, podczas kiedy mnie tam jeszcze nie było i nie mogłam mu pomachać. Następnego ranka stałam wiernie na swoim posterunku, przykucając i ściskając uda.

Po pierwszym zawale nastąpił drugi, lżejszy, w czasie którego ojciec leżał jeszcze w szpitalu. Na szczęście wydobrzył również po tym drugim. Odwiedzałam go często po szkole albo w czasie wolnym między lekcjami. Często także wagarowałam.

Po jednej z takich wizyt wróciłam do szkoły i zobaczyłam, że cała moja klasa zebrała się w stołówce.

17

Isabel była cały dzień w doskonałym nastroju, brylując w przepięknej białej skórzanej kurtce, którą dostała na urodziny. Zbierała z jej powodu same komplementy.

Na mój widok zapadła cisza. Napięta cisza, z dyskretnymi uśmiezkami i szybko wymienianymi spojrzeniami. Nie chcąc od razu znaleźć się w centrum zainteresowania, zatrzymałam się przez chwilę przy automacie, by wziąć kubeczek zupy pomidorowej. Ruszyłam w drugi kąt stołówki, lecz tamci podążyli za mną.

- Hej, Sabinę, znowu tu jesteś? - wycodziła Mijiam. - Gdzie się pałętasz przez cały ten czas?

- Na Ciemnych Wydmach - powiedział ktoś. - Na afwerkplek*.

Wszyscy się roześmieli.

- Mój ojciec miał zawał - powiedziałam. - Leży w szpitalu Gemini.

Na chwilę zapadła cisza.

Pierwsza otrząsnęła się Isabel.

Wydawało mi się przez moment, że widzę w jej oczach lęk, lecz słowa nie potwierdziły mojego pierwszego wrażenia. Musiałam się pomylić.

- Zawał? Czy to nie dziwne? Z takim wielkim kutasem - dodała lekceważąco.

* Miejsce, gdzie stoją prostytutki, zabierane stamtąd przez klienta samochodem.

Pomyślałam o ojcu, który się troszczył o Isabel, kiedy pojechaliśmy wspólnie na ferie jesienne do ośrodka wczasowego w Limburgii. Miałyśmy po dziesięć lat. Isabel dostała ataku padaczki i chciała od razu wracać. Ojciec zaraz wsiadł do samochodu i jechał trzy godziny do domu. Przypomniałam sobie, ile razy smażył dla nas naleśniki, zabierał nas do wesołego miasteczka i zabawiał sztuczkami, które szybko udawało się nam rozszyfrować.

Zobaczyłam jej lekceważący wyraz twarzy i poczułam dziwny szum w głowie. Narastał do tego stopnia, że przesłonił mi oczy i zaciemnił wzrok. Serce biło mi tak szybko, że poczułam ból, a zimną ręką ścisnęłam mocno kubek pomidorowej zupy.

W przyływie ślepej złości wylałam jego zawartość na nową, skórzaną białą kurtkę Isabel.

Mam wciąż przed oczyma jej pełną oburzenia twarz. Była tak przerażona, tak wyprowadzona z równowagi, że przez chwilę zrobiło mi się jej żal. Do momentu, kiedy podniosła wzrok i zaczęła się we mnie wpatrywać. Zrozumiałam wtedy, że mam wielki problem, lecz nie było już odwrotu. Zamiast cierpliwie znosić dokuczanie, wypowiedziałam jej wojnę, która niebawem miała się rozpocząć.

Dziewczyny z klasy zagradzały mi drogę, szczypały, kiedy usiłowałam się pomiędzy nimi precyzyjnie przesuwać. Dziurawiły mi dętki. Wyrzucały zawartość tornistra na podwórko szkolne, darły moje zeszyty.

Czekały na mnie w szkole, wyśmiewały mnie, cięły moje nowe sweterki, przytrzymały mnie, by mi obciąć włosy i poprawić „durną fryzurę idiotki”. Uciekałam w głąb szkoły, do pana Groesbeeka. Odwoził mnie wtedy furgonetką do domu i mówił, żebym do niego przychodziła, kiedy mi znowu będą dokuczać, i że mi naprawi i przywiezie rower. Jak można mi coś takiego robić, dziwił się. Skąd im to do głowy przyszło? Czy coś im się w mózgu pomieszało? Sam jednak nigdy nie zwrócił im uwagi. Być może bał się siły paczki albo uważał, że i tak by nic nie wskórał.

Nie miałam odwagi wchodzić do szkoły głównym wejściem. Czasami wchodziłam z jakimś nauczycielem ich wejściem. Wtedy jednak musiałam przejść przez podwórko szkolne po rower. Często szłam do pokoju pana Groesbeeka, ale to było tymczasowe rozwiązanie. Pan Groesbeek miał swoisty sposób pocieszania. Kładł ramię na moim ramieniu, przy czym ręka jego zwisała na wysokości moich piersi, czasem przez przypadek ich dotykała. Albo przyciągał mnie ku sobie i chropawą ręką gładził po szyi. W pokoju pana Groesbeeka czułam się w zupełnie inny sposób przyparta do muru.

Kiedy już uznał, że wystarczająco mnie pocieszył, pozwalał mi się wymknąć przez okno. Ukrywałam się wtedy w krzakach. Oczekiwałam moment, kiedy cała paczka dość już miała czekania na mnie, i ciągnęłam swój popsuty rower do domu. Tam Robin naprawiał dętkę. Nie zadawał żadnych pytań, tylko kiedyś przepisał mój plan lekcji. Od tej chwili, ilekroć mógł, czekał na mnie na podwórku szkolnym przy moim rowerze. Wracaliśmy razem do domu, ja uczipiona jego ramienia. Po drodze mijaliśmy Isabel.

Jak to jest możliwe, że wszystko, czym jesteś, co jest twoim przekonaniem, z czego czerpiesz swoją siłę, pewnego dnia zostaje unicestwione? Jak to możliwe, że nie pozostaje z ciebie nic więcej jak tylko ktoś, kto przemyka się z podniesionymi w geście obronnym rękami, kto musi zebrać w sobie całą odwagę, żeby wymówić słowo, kto się lęka ostrego tonu własnego głosu?

Niepewność wkrada się powoli. W pewnej chwili przesądza o twojej postawie, o tym, czym promieniujesz na zewnątrz.

Rodzice zawsze bardzo się troszczą o wychowanie dzieci, o to, co jest dobre albo niedobre dla ich rozwoju, na przykład tępią wieczorne imprezy, picie piwa, zażywanie narkotyków, złe towarzystwo. Uważają za swoje życiowe zadanie uczynić ze swoich dzieci zrównoważonych, samodzielnych ludzi i odczuwają jako osobistą porażkę, jeśli im się to nie udaje.

W rzeczywistości nie mają nawet w połowie na to wpływu. Osobowość dziecka rozwija się w szkole, zależy od kolegów i koleżanek w klasie, od tych, z którymi dziecko się przyjaźni - albo z którymi prowadzi wojnę. Osobowość kształtuje się w odniesieniu do pozycji w klasie, grupy przyjaciół, którzy trzymają z tobą albo się od ciebie odwracają.

To nie jest niewinne dokuczanie, kiedy ktoś wkleja ci gumę do żucia we włosy albo je obcina, bo pewnie są w nich wszy. To nie jest normalne być kopanym lub szczypanym przy każdej nadarzającej się okazji, aby nieustannie żyć w napięciu, w pogotowiu, gotowości do ucieczki.

Jeden uczy się szybko, drugi przyswaja sobie naukę powoli. Ja potrzebowałam dużo czasu, by zrozumieć, że nie muszę znosić wszystkich cierpień, jakie mi zadawano. i6

Moja mama zawsze mówiła, że jestem zbyt wierna w przyjaźniach i że powinnam więcej wymagać dla siebie.

Według mnie wierność jest warunkiem zachowania przyjaźni, aczkolwiek widzę, że wielu ludzi podchodzi do tej sprawy swobodniej. Kiedy przeszłam do czwartej klasy szkoły średniej, gdzie nikogo nie znałam, postanowiłam posłuchać rady mamy.

Od tego czasu wszystkie przyjaźnie, jakie zawierałam, były powierzchowne.

Jeanine pierwsza zdołała się przedrzeć przez przywdziany przeze mnie obronny pancerz. Pracowałyśmy wówczas od niedawna w banku i nie znałyśmy się jeszcze dobrze, kiedy musiała odebrać telefon ze szpitala. Jej ojciec miał wylew krwi do mózgu. Widziałam, jak jej twarz staje się biała jak kreda; popchnęłam ją w kierunku krzesła i podałam jej szklankę wody.

Wyjaśniłam Wouterowi, o co chodzi. Postarałam się, by ktoś z działu handlowego przejął nasze zadania, i zawiozłam Jeanine do szpitala uniwersyteckiego, w którym leżał jej ojciec.

Jeanine poszła od razu na oddział intensywnej opieki medycznej. Na odchodnym objęła mnie i powiedziała:

- Sabinę... Dziękuję.

Tylko tyle, lecz z drzeniem w głosie, co mnie bardzo wzruszyło. Miło było zaofiarować pomoc, nie musząc jej przyjmować. Wieczorem zadzwoniłam do niej i robiłam tak, dopóki nie wróciła do pracy. To że ktoś mnie potrzebował, że zależało mu na mojej pomocy i interesował się tym, czego ja doświadczyłam, kiedy mój ojciec się znalazł w szpitalu, było dziwnym uczuciem.

Ojciec Jeanine przeżył, choć był częściowo sparaliżowany i nigdy już nie wrócił do dawnej formy. Od tego momentu zostałyśmy czymś więcej niż tylko koleżankami z pracy. Kiedy Jeanine całkowicie przejęła opiekę nad ojcem, jej matka już nie żyła. Jeanine nie miała rodzeństwa, toteż wszystko było na jej głowie. Do mnie powracały wspomnienia z młodości, pociągając mnie w czarną czeluść. Głęboka depresja przykuła mnie do łóżka. Wychodziłam z domu tylko na sesję z psychologiem. Przyszłość wydawała mi się wtedy tak beznadziejna i tak pozbawiona perspektyw, że obecnie, rok później, trudno mi uwierzyć, że mimo wszystko czuję się zupełnie dobrze. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby przeszłość przestała mnie dręczyć. Moja pani psycholog nie wydobyła ze mnie wszystkiego, a odkąd poznałam Olafa, wspomnienia dobijają się gwałtownie. Drzwi zostały otwarte, muszę wejść do środka i rozprawić się z każdym wspomnieniem z osobna. Pani psycholog miała rację: można próbować biec jak najszybciej, ale pewnego dnia przeszłość i tak cię dogoni.

Po dwóch godzinach przewracania się w łóżku wstaję. Chce mi się pić. Zrezygnowana idę po ciemku do kuchni. Okna wydają się wielkie i czarne, odbijają moją bladą twarz, zmierzwione włosy i pomięty Tshirt. Otwieram lodówkę, żeby wyjąć karton mleka; mój wzrok pada na wypitą do połowy butelkę wina. Nie namyślając się długo, nalewam sobie pełen kieliszek. Pierwszy łyk smakuje najbardziej. Czuję, jak zimny płyn spływa do gardła, zamykam oczy i rozkoszuję się. Jeszcze jeden łyk.

Opieram się o blat kuchenny i patrzę w ciemną noc. Czuję chłód, moje stopy robią się zimne, na nogach, a potem na ramionach, pojawia się gęsia skórka. Wino jest zimne, lecz rozgrzewa moje serce i przegania obrazy z przeszłości pojawiające się w ciemnym oknie.

Nalewam sobie drugi kieliszek i szybko wypijam. Alkohol zaczyna działać. Po trzecim kieliszku idę niepewnie do łóżka. W końcu zapadam w sen.

Następnego dnia budzę się z bólem głowy i brzucha; jest mi wyjątkowo niedobrze. Początkowo wydaje mi się, że mam po prostu kaca, ale później czuję się równie źle. Dzwonię do pracy, że jestem chora.

- Mam grypę brzuszną - mówię do Renée, która podnosi słuchawkę. - Potwornie boli mnie brzuch.

- Och - dziwi się Renée. - Tak nagle? No to życzę poprawy.

Wpełzam z powrotem do łóżka i podkurczam kolana, żeby przytłumić kolkę w brzuchu. Nie tylko nie czuję ulgi, ale fala bólu wygania mnie z łóżka do ubikacji. Górą i dołem wszystko ze mnie wychodzi; tosty z wczorajszego wieczoru, wino, wino i jeszcze raz wino. Przytrzymuję jedną ręką włosy, by nie przesłaniały twarzy, wymiotuję, po czym w pędzie siadam na sedesie. Spóźniam się oczywiście i wokół mnie rozchodzi się smród nie do zniesienia. Kiedy wszystko mija, podnoszę się, dysząc i pocąc się, biorę wiadro z szafki w korytarzu, nalewam gorącej wody i środka do mycia o wiosennym zapachu i szoruję podłogę. Ledwie kończę, czuję kolejny skurcz.

Ktoś dzwoni do drzwi. Nie wiem, kto za nimi stoi, ale w tej chwili naprawdę nie mogę otworzyć.

Dzwonek jest coraz bardziej natarczywy. W nowym napadzie bólu trzymam się deski sedesowej, wymiotuję, spuszczam wodę i, zataczając się, idę do drzwi. Naciskam przycisk domofonu i ze zboląłego gardła wydobywam:

- Słucham.

- Kontrola. Czy mogę wejść na górę?

Kontrola, rany boskie, ci są szybcy. Słyszę, jak drzwi na dole się otwierają, słyszę ciężkie kroki, ktoś wchodzi na górę. Śniady, dobrze zbudowany mężczyzna z teczką w ręce patrzy na mnie pytająco:

- Sabinę Kroese?

Odwracam się i biegnę do łazienki. Mężczyzna stoi w korytarzu, lecz kiedy jęcząc, siedzę na sedesie, słyszę, że wchodzi do dużego pokoju.

Wyjątkowo nieprzyjemnie jest cierpieć na grypę brzuszną ze wszystkimi towarzyszącymi jej dźwiękami i zapachami, kiedy parę metrów dalej jakiś zupełnie obcy człowiek cierpliwie czeka, aż skończę. Myję ręce i ledwie mam odwagę wejść do dużego pokoju.

- Ale panią złapało - mówi mężczyzna ze współczuciem.

- To tylko grypa brzuszna - odpowiadam.

- Rzeczywiście na to wygląda. Pani pracodawca zażądał natychmiastowej kontroli. Najwidoczniej nie wierzył, że jest pani chora. Kiedy zamierza pani wrócić do pracy?

Kontroler przegląda swoje papiery i spogląda na mnie pytająco.

- Skąd mogę wiedzieć? Dopiero co zameldowałam, że jestem chora - odpowiadam.

Mężczyzna zapisuje coś, po czym patrzy na mnie po ojcowsku:

- Niech pani lepiej parę dni zostanie w domu.

Tak właśnie planowałam. Kontroler odchodzi, a ja jak staruszka osuwam się na kanapę. Natychmiastowa kontrola! Świadomość, że zastosowano wobec mnie wotum nieufności wystarczy, by napadł mnie kolejny skurcz.

Przez kilka dni przemieszczam się z wysiłkiem między kanapą a ubikacją, nie mogę nic przełknąć i przymuszam się do picia litrami bulionu instant. Kiedy ma się grypę brzuszną, a już zwłaszcza tak poważną jak ja teraz, trzeba koniecznie dużo pić. Co robić jednak, kiedy to, co wypijesz, opuszcza cię natychmiast inną stroną?

Dopiero w środę rano jestem zdolna coś w sobie zatrzymać, przyjmowane minimalnymi porcjami. Kiedy dzwoni telefon, ruszam ku niemu na trzęsących się nogach; czuję się wycieńczona.

- Sabine Kroese przy telefonie - mówię.

- Sabine, tu Renée. Jak się miewasz? - W jej głosie brzmi coś nieszczerego, co od razu budzi moje zastrzeżenia.

- Nie za dobrze - odpowiadam krótko.

- Jeszcze ci nie przeszło?

- Nie, jeszcze nie.

Przez moment trwa cisza.

- To dziwne - mówi po chwili Renée. - Właśnie zadzwoniłam do swojego lekarza domowego, który mi powiedział, że taka grypa po jednym, no, najwyżej dwóch dniach musi przejść.

- Dzwoniłaś do swego lekarza domowego? - powtarzam w najwyższym zdumieniu.

- Tak, uznałam, że to już trochę za długo trwa.

- To dopiero trzeci dzień, odkąd nie ma mnie w pracy - wpadam jej w słowo.

- Szczerze mówiąc, oczekiwałam cię dzisiaj w biurze. No dobrze, umówmy się, że po Wniebowstąpieniu będziesz znowu w pracy.

Nie wierzę własnym uszom.

- Ja sama decyduję o tym, kiedy wracam do pracy, Renée. A jeśli nie wierzysz, że jestem chora, dlaczego po prostu nie przyjdiesz? W moim mieszkaniu już od paru dni czuć

szczególny zapach; nie opłaca się po każdej wizycie w toalecie myć ubikacji, ślady rozwolnienia i wymiotów są jeszcze dobrze widoczne pod deską sedesową. Jeślibyś na niej usiadła, mogłabyś się przekonać. Aha, moja pościel zabrudzona wymiotami leży jeszcze gdzieś w kącie, więc...

Renée odkłada słuchawkę. Potrząsam głową. Jeszcze co najmniej przez pół godziny drżą mi ręce.

Po południu dzwoni Olaf, jest serdecznie zatroskany. Chce przyjść, lecz wybijam mu to z głowy. W domu panuje potworny bałagan, a ja sama źle wyglądam. Nie ma mowy, żeby mnie zobaczył w takim stanie.

Wreszcie czuję się trochę lepiej. Kawałek chleba, który zjadam ostrożnie, zostaje w brzuchu, także talerz zupy z puszki, potem w końcu opanowuje mnie niesłychane uczucie głodu, więc się rzucam na swoją lodówkę. Zjadam wszystko, co nie jest przeterminowane, choć nie ma tego zbyt wiele. Ser wygląda, jakby włożył sweterek z angory, mleko wylewa się kawałkami z kartonika. Biorę worek na śmieci i wyrzucam wszystko. Od razu też nalewam trochę środka czyszczącego do zlewozmywaka i pucuję do czysta lodówkę. Kiedy już się zaczęło, nie sposób się powstrzymać. Dlaczego by nie posprzątać reszty mieszkania? Z wszystkimi pozostałymi środkami czyszczącymi zabieram się do mycia łazienki, otwieram wszystkie okna, zaścielam łóżko, nastawiam pralkę, wlewam chlor do ubikacji, krótko mówiąc: jestem jak reklamowe białe tornado w akcji.

Nie mogę się powstrzymać, wszystko musi dziać się w jednej chwili. Wyciągam spod szafy stare kartony po butach i zbieram koty kurzu z kątów. Ustawiam wszystko z powrotem, ścieram środkiem do mycia szyb ślady palców z drzwi szafy. Końcówką odkurzacza wsysam kurz z listew, kładę się na brzuchu, by posprzątać pod łóżkiem. Jeśli jest za mało miejsca w szafie, wsuwam kartony i torby plastikowe pod łóżko. Nie mam pojęcia, co się w nich znajduje. Wiem tylko, że na wszystkim spoczywa gruba warstwa kurzu, że mi to latami nie przeszkadzało, ale w tej chwili jest po prostu nie do przyjęcia. Leżąc na brzuchu, wyciągam wszystko, ocieram z kurzu kartony oraz torby i od razu je otwieram. Stare buty turystyczne, stare podręczniki, nowiuteńki strój do karate z czasów, kiedy wydawało mi się, że będę ćwiczyć samoobronę, namiot, dziurawy materac, torba pełna sztang. Mój Boże, po co mi to wszystko?

I nagle spostrzegam pudełko z pamiętnikami. Wydawało mi się, że leżały na pawlaczu. Gwałtowna konfrontacja z dobrze znanymi zapisanymi przez siebie zeszytami sprawia, że przez chwilę zamieram.

Moje pamiętniki. Oczywiście, że nie zapomniałam o nich, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby do nich zaglądać. Wiem przecież mniej więcej, co jest w nich zapisane; tak mi się przynajmniej wydawało.

Z ciekawości otwieram zeszyt leżący na wierzchu. Obłożony jest w papier z motywem róż. Widzę jeszcze siebie przy swoim biurku, zajętą obkładaniem. Ile mogłam mieć wtedy lat? Czternaście? Piętnaście?

Otwieram zeszyt i patrzę, kiedy się zaczyna. Oczywiście, pierwszego stycznia, jestem bardzo systematyczna. Jeśli to było możliwe, starałam się rozpoczynać nowy pamiętnik od takich szczególnych dat.

Miałam wówczas czternaście lat - stwierdzam, przerzucając kartki. Pamiętnik obejmuje dłuższy okres, zapisy były raczej krótkie, staccato. W zasadzie mogłam równie dobrze posługiwać się notatnikiem.

Z pamiętnikiem w ręku idę do dużego pokoju i siadam na kanapie. Czas najwyższy przerwać sprzątanie, bo zaczynam opadać z sił.

Powoli otwieram pamiętnik. Na pierwszej stronie plan lekcji z tamtego roku szkolnego, ten z następnego roku wklejony jest dalej.

Przez te wszystkie lata zapomniałam o nich, teraz jednak przedmioty i klasy pojawiają się przed moimi oczami i mam ochotę zacząć odrabiać lekcje. Kartkując, przemieszczam się w czasie. Na każdej stronie namalowana jest chmurka albo słońeczko, albo jedno i drugie, albo kreski deszczu. Notowałam to wtedy, sama nie wiem dlaczego.

Przyglądam się znajomemu okrągłemu pismu, tajemnicom zapisanym niebieskim atramentem. Czytam na chybił trafił mały fragment, lękając się tego, co mnie spotka.

Nic szczególnego.

Coś o burzy, przez którą się spóźniłam do szkoły, o wietrze, który zmienił kierunek, tak że w drodze do domu znowu musiałam pedałowac pod wiatr, o książkach, które wypożyczyłam w bibliotece. Ani słowa o Isabel.

Kartkuję do ósmego maja, dnia zaginięcia Isabel.

Okropny dzień. Szkoda, że weekend już się skończył. Właśnie wróciłam ze szkoły, zaraz pójdę do łazienki. Jechałam tak szybko w drodze powrotnej, że jestem cała spocona. Ach, gdybyśmy tak mieszkali bliżej szkoły.

To wszystko. Ani słowa o Isabel. Ale dlaczego miałabym o niej pisać; nie wiedziałam wtedy, że ten dzień będzie taki ważny. Również przez kolejne dni nie ma o niej ani słowa. Są tylko chmurki i słońeczka, nic więcej.

Mój wzrok pada na słoneczko namalowane przy ósemce owego ósmego maja. Było ładnie. Ciepło jak na tę porę roku. Przypominam sobie, że Olaf też wspominał o upale w sali gimnastycznej podczas egzaminu z matematyki.

Nagle ogarnia mnie niepokój i zaczynam się gorączkowo zastanawiać nad jednym pytaniem. Tego dnia było bezwietrznie. Pogoda była wspaniała. Dlaczego tak szybko jechałam?

18

Myślę o tym całe popołudnie i wieczór. Próbuje nie zwracać uwagi na leżący na stole pamiętnik w kwiatki. W pewnej chwili wrzucam go nawet z powrotem do pudła, lecz mimo wszystko nie daje mi on spokoju. Gwałtowne zanurzenie się w przeszłość przyspieszyło coś, co było już puszczzone w ruch i czego nie mogę zatrzymać. Jakby od tamtej chwili upłynęło mniej niż dziewięć lat. Czy naprawdę od zniknięcia Isabel minęło aż tak dużo czasu?

Tak długo nie widziałam Barta? Brak mi go nagle. Wiem, że to szalona myśl, a mimo wszystko mi go brak. Często opanowywała mnie nostalgia; stąd ta masa pamiętników. Kiedy nadchodził mnie taki stan, nie potrafiłam się powstrzymać. Byłam gotowa szukać Barta i prosić go, czy nie moglibyśmy zacząć po prostu od nowa.

Im dłużej czytam swój pamiętnik, tym bardziej gotowa jestem to zrobić.

Z głośnym klapnięciem zamykam zeszyt, wkładam do pudła i wsuwam pod łóżko. Było, minęło. Powracam do rzeczywistości.

Kładę się wcześniej, ale sen nie przynosi ukojenia. Moje sny opanowała Isabel. Od nowa przeżywam tamten dzień, lecz tym razem wszystko się ociera o absurd. Błąkam się w labiryncie wysokich drzew. Korony liści zasłaniają niebo. Musi być niebieskie, ponieważ jest gorąco, nawet w cieniu drzew. Ptaki ćwierkają, a w oddali szumi morze. Jestem sama, błędę. Nie wiem, dlaczego tu jestem i czego szukam.

Nagle znajduję się twarzą w twarz z Isabel. Stoi na polanie i uśmiecha się do mnie. Nie wiem, dlaczego się uśmiecha. Czuję tylko lęk.

Uświadamiam sobie, że nie uśmiecha się do mnie. Nie dostrzega mnie. W jakiś sposób jestem niewidzialna. Zauważam postać mężczyzny nadchodzącego z boku spomiędzy drzew. Isabel mówi coś do niego. On odpowiada miłym, niskim głosem, który dobrze znam. I nagle coś się zmienia.

W powietrzu zawisło niebezpieczeństwo. Ptaki przestały śpiewać. Jakaś postać wyłania się zza drzew, zbliża do Isabel. Wiem, co ten człowiek chce zrobić. Jestem tego pewna, tak jakbym oglądała film, który już raz widziałam.

Mężczyzna się zbliża do Isabel, przewracając ją na ziemię i chwytając za gardło. Całym swoim ciężarem przygniata ją do ziemi. Zaczyna dusić, coraz mocniej.

Nie widzę jej twarzy, lecz słyszę charczenie i widzę bezsilne próby uwolnienia się z uścisku. Wiem, że powinnam coś zrobić. Krzyczeć na alarm. Rzucić się na tego mężczyznę.

Stoję jednak nieruchomo. Patrzę, po czym powoli się wycofuję w cień drzew. Nie lękam się. Znam tego mężczyznę. Nie potrafię sobie wyobrazić, by mógł zrobić mi coś złego. Wydaje mi się jednak, że lepiej jeśli nie ujawnię tego, że jestem świadkiem tej sceny.

Kiedy znikł, przyglądam się dalej nieruchomemu ciału leżącemu na polanie. Widzę martwą twarz, ciało leżące na piasku, jakby pustą powłokę czegoś, co jeszcze przed chwilą było po prostu Isabel.

Odwracam się i zaczynam biec przez las, lecz stopy mam ciężkie, ołowiane. Raz po raz patrzę za siebie i ciągle widzę polanę z ciałem Isabel. Nie mogę się oddalić od tego miejsca, choć staram się biec szybko.

Budzę się. Otwieram oczy. Jest ciemno, cicho. To był tylko sen. Koszulę mam mokłą. Włosy na czole zlepione potem. Odrzucam kołdrę. Ogarnia mnie chłód nocy. Powoli dochodzę do siebie. W ciemności zaczynam rozróżniać znajome kontury łóżka, szafy, krzesła, na którym leży ubranie. Widzę na ścianie oprawione zdjęcia.

To był tylko sen. Nieprzyjemny, napawający lękiem, lecz tylko sen. Sięgam do nocnej lampki. Zapalam światło. Jestem w miejscu dobrze mi znanym. Idę boso do toalety, potem spuszczam wodę. Wchodzę do kuchni po szklankę wody. Mam jednak ochotę na kieliszek wina. Wypijam najpierw szklankę wody, przepłukując suche gardło, potem łyk wina, żeby się uspokoić.

Oparta plecami o szafkę kuchenną, sączę zimne frascati. Myślę o postaci mężczyzny widzianego we śnie. Do momentu przebudzenia wiedziałam, kto zabił Isabel. Co to znaczy? Czyżbym była świadkiem zabójstwa? Czyżby moja podświadomość usiłowała uwolnić się od tego ciężaru? Nie pamiętam szczegółów owego dnia. Dlaczego miałabym się znajdować w miejscu, w którym napadnięto Isabel?

Jeśli każdy, choćby najbardziej niesamowity sen byłby traktowany na serio, to ludzie baliby się zasypiać. Jeżeli zabójca Isabel naprawdę odszedł z miejsca zbrodni, to na pewno znaleziono by jej ciało. W tym śnie nic się nie zgadza.

Dopijam ostatni łyk wina, wracam do łóżka i gaszę światło. Naciągam kołdrę i usiłuję zapomnieć o śnie. Pozostaje jednak we mnie uczucie niepokoju; podświadomość usiłuje mi coś powiedzieć.

Następnego ranka budzę się wcześniej. O wiele za wcześniej. Kiedy otwieram oczy, wiem, że już nie zasnę. Wstaję więc spokojnie i biorę ciepły prysznic. Wkładam dzinsową spódniczkę, białą kamizelkę i białe buty z krótkimi cholewkami. W kuchni zjadam dwie kromki chleba z truskawkami. Robię kawę, wlewam do termosu. Biorę kurtkę, torebkę i wychodzę.

Jest dzień Wniebowstąpienia. Dobrze się składa. Muszę stąd na chwilę uciec. Muszę pojechać do Den Helder. Nie wiem co prawda, czego tam szukam. Przeszłość ciągnie mnie siłą. Jeżeli chcę się uwolnić od lęku i męczących snów, muszę odkryć prawdę o przeszłości.

Wsiadam do samochodu. Torebkę rzucam na siedzenie obok. Stawiam termos koło kierownicy. Jestem gotowa, ruszam. W drodze do Den Helder puszczam wodze fantazji. Coś mi mówi, że nie na darmo nie pamiętam szczegółów z ósmego maja, dziewięć lat temu. Nie tylko byłam na miejscu zabójstwa, ale znam mordercę. Dlaczego jednak wyrzuciłam to wszystko z pamięci? Byłam czymś zagrożona? Przeżywałam śmiertelny lęk, a może fakt, że znałam mordercę, przyczynił się do tego, że zablokowałam pamięć? Taki był sen, lecz czy mogę mu wierzyć?

Jest upalnie. Nie mam klimatyzacji i nim dojeżdżam do Alkmaar, jestem spocona. O wpół do dziesiątej docieram do Den Helder. Powietrze drży z upału. Otwieram okna i powoli wjeżdżam do centrum. Gdzie teraz?

Odczuwam nagłą potrzebę zobaczenia swojej dawnej szkoły. Długa, znajoma ulica prowadzi do budynku szkolnego. Nie mogę go jeszcze dostrzec. Widzę jednak park, gdzie chodziliśmy podczas przerwy, a latem leżeliśmy na trawie. Tak było, kiedy chodziłam do czwartej klasy licealnej i miałam z powrotem kolegów i koleżanki. Przedtem w czasie wolnej godziny siedziałam w stołówce albo szłam do miejskiej biblioteki.

Skręcam w lewo. Przede mną się wyłania wysoki budynek z cegły, taki, jaki pamiętam sprzed lat.

Parkuję, wysiadam. Wodzę wzrokiem po zimnym murze swojej szkoły. Spędziłam tu kawał życia. W dniu, w którym rodzice opuścili to miasto, przysięgłam sobie nigdy tu nie wracać. Lecz oto jestem i serce tłucze mi się niespokojnie, jak dawniej.

Wchodzę na podwórko szkolne.

Dziewczynka jest tutaj. Czuję jej obecność, zanim ją dostrzegam. Rozglądam się, szukając jej. Siedzi na bagażniku roweru, u jej stóp leży ciężki tornister. Wydaje się zagłębiona w swoim dzienniczku, ale to tylko pozór. Jest boleśnie świadoma obecności grupy uczniów i pustki wokół siebie. Gdyby paliła, trzymałaby papierosa, przybierając odpowiednią pozę. Ma jednak tylko swój dzienniczek. Gdyby paliła, i tak niczego by to nie zmieniło. Nie

rozumiała po prostu, jak powinna się zachowywać w podobnych sytuacjach. To niezrozumienie oczekiwań innych zamykało jej dostęp do grupy.

Żał mi jej bardzo. Chciałabym podejść i objąć ją ramieniem. Tymczasem przechadzam się po podwórku i tylko przypadkiem staję obok niej. Przygląda mi się, nic nie mówiąc. Jej wzrok błądzi po podwórku.

Mam ją zagadnąć?

Nasze spojrzenia spotykają się i znowu gubią. W jej oczach jest coś ciepłego.

- Jak się masz!

- Cześć - opowiada trochę nieufnie.

- Nie znasz mnie, lecz ja znam dobrze ciebie. Czy mogę cię o coś spytać?

Dziewczynka patrzy wyjątkowo podejrzliwie.

- Chciałabym się czegoś dowiedzieć o Isabel Hartman.

Zapada cisza.

- Przecież ją znasz?

Odwraca się ode mnie.

- Co możesz mi powiedzieć o dniu, w którym Isabel zniknęła? - pytam dalej.

- Nie chcę o tym mówić! - ucina dziewczynka, gwałtownie zwracając się w moją stronę.

- Dlaczego?

- Isabel nie żyje. Nie ma sensu o niej mówić.

- Skąd wiesz, że nie żyje?

- Jak mogłoby być inaczej? Już tak długo jej nie ma.

- Co mogło się jej przydarzyć?

- Nie wiem, może jej chłopak wie.

- Jaki chłopak?

- Ten, z którym była umówiona na plaży.

- Była umówiona na randkę w dniu, w którym zniknęła? Z kim?

- Dobrze wiesz z kim - odpowiada, patrząc na mnie jasnymi, niebieskimi oczyma.

To prawda. Jak mogłam o tym zapomnieć? Isabel była umówiona w kawiarence przy Ciemnych Wydmach. Słyszałam, jak opowiadała w szkole swoim koleżankom, że ma go dość i że z nim zerwie, i jak mu będzie przykro. Mówiła, śmiejąc się. Zadrzałam. Wydawało mi się, że usłyszałam, z kim ma tę randkę. Wmawiałam sobie, że się przesłyszałam.

Wiedziałam, że Isabel przebierała w chłopcach. Miałam jednak głęboką nadzieję, że przynajmniej dwóch oprze się jej urokom. Dlatego też tego dnia jechałam za nią na rowerze.

Nie po to, by jechać na wydmy, lecz by się dowiedzieć, z kim jest umówiona. Kiedy dotarłam do kawiarenki, nikogo tam nie było. Przy wejściu do farmy dziecięcej na brzegu lasu zamajaczyła mi z daleka znana sylwetka w białej skórzanej kurtce. Towarzyszyła jej wysoka postać. Bez namysłu wskoczyłam na rower, objechałam farmę, ale oboje zniknęli mi z pola widzenia.

Ogarnia mnie lęk, gwałtowne uczucie bólu rozcina czaszkę. Obraz natychmiast znika. Nie ma również dziewczynki. Odeszła, kiedy nie patrzyłam.

Z rozsadzającym czaszkę bólem głowy wracam do samochodu. Zatrzymuję skinieniem przejeżdżającego sprzedawcę lodów.

- Dla pani porcję lodów? - pyta uprzejmie.

- Tak, poproszę, waniliowe.

- Z bitą śmietaną?

- Ze śmietany chyba zrezygnuję.

Płacę jedno euro. Biorę wafel i wracam do samochodu. Otwieram szeroko drzwi, by wpadło trochę świeżego powietrza. Zjadam lody, włączam radio i jadę do domu. i8

Trudno mi wyjść do pracy następnego ranka. Mimo iż jestem spóźniona, w sekretariacie nie zastaję nikogo. Tym lepiej, nikt nie wie, o której się tutaj pojawiłam. Włączam komputer i biorę kopertę położoną demonstracyjnie na klawiaturze. Jest na niej napisane dużymi literami w poprzek „Sabine”.

Otwieram ją i wyjmuję karteczkę. Nie jest podpisana, lecz rozpoznaję pismo Renée:

Sabine, czy nie zechciałabyś w przyszłości załatwiać swojej prywatnej korespondencji w domu? Mam wrażenie, że powinnaś odrobić ten czas nadgodzinami.

Przez chwilę się przyglądam tym słowom, po czym zdecydowanym ruchem drę karteczkę na kawałki. Wkładam je z powrotem do koperty. Piszę na niej „Renée” i wrzucam ją do odpowiedniej skrzynki pocztowej.

Pierwsza korespondencja jest już załatwiona.

Tymczasem moja skrzynka mejlowa się zapełnia. Są to przede wszystkim informacje biurowe, ale widzę też trzy mejle od Olafa: dwa dowcipy i zaproszenie z okazji moich urodzin. Wysyłam mejl z pytaniem: Skąd wiesz, że wkrótce mam urodziny?

Było napisane w twoim kalendarzu z datami urodzin przyjaciół i znajomych.

Co planujemy?

Niespodzianka.

Umieram z ciekawości!

Przekładam papiery na biurku, porządkuję teksty do przepisania na maszynie według ważności i przynoszę sobie kawę. Zaczynam od poczty, której nagromadzony stos zapełnia biurko.

Wchodzi Zinzy z teczką z archiwum.

- Gdzie jest Renée? - pytam.

- Gdzieś z Wouterem. - Zinzy odkłada teczkę i siada na brzegu biurka.

- Sabine - mówi.

Patrzę na nią. Zinzy odwzajemnia spojrzenie z wyrazem zakłopotania.

- Chciałam cię ostrzec - zaczyna.

- Przed czym?

- Różnie się mówi za twymi plecami. Wszyscy uważają, że za mało się starasz.

Pracujesz tylko na pół etatu, a mimo to robisz bardzo dużo błędów. To denerwuje.

Nie wiem, co mam odpowiedzieć. Czuję ciężar na piersiach, jakbym się miała udusić.

- Ludzie mówią, że udajesz, że naciągasz - mówi cicho Zinzy.

- Pracuję na pół etatu, bo tak mi zalecił lekarz. Rok temu zupełnie się załamałam. A praca do południa i tak kosztuje mnie wiele energii - odpowiadam zdenerwowana.

- Wiem o tym - zapewnia współczująco Zinzy. - Jednak dla niektórych człowiek jest dopiero wtedy chory, kiedy leży podłączony do respiratora. W przeciwnym razie musi pracować. Tak myśli Renée, a inni to potwierdzają. Co się dzieje? Chcesz wody?

- Proszę.

Zinzy przynosi mi wodę; wypijam parę łyków.

- Już lepiej? Nagle bardzo zbladłaś - mówi zaniepokojona.

- Przeszło mi, dziękuję, Zinzy - odpowiadam słabym uśmiechem i przysuwam się do biurka.

Zinzy wraca do swojego.

Zabieram się do poczty. Po trzech kwadransach ciągle jeszcze jestem zajęta, a ból głowy narasta w miarę sortowania kopert.

Przekładam papiery na biurku, porządkuję teksty do przepisania na maszynie według ważności i przynoszę sobie kawę. Zaczynam od poczty, której nagromadzony stos zapełnia biurko.

Wchodzi Zinzy z teczką z archiwum.

- Gdzie jest Renée? - pytam.

- Gdzieś z Wouterem. - Zinzy odkłada teczkę i siada na brzegu biurka.

- Sabine - mówi.

Patrzę na nią. Zinzy odwzajemnia spojrzenie z wyrazem zakłopotania.

- Chciałam cię ostrzec - zaczyna.

- Przed czym?

- Różnie się mówi za twymi plecami. Wszyscy uważają, że za mało się starasz.

Pracujesz tylko na pół etatu, a mimo to robisz bardzo dużo błędów. To denerwuje.

Nie wiem, co mam odpowiedzieć. Czuję ciężar na piersiach, jakbym się miała udusić.

- Ludzie mówią, że udajesz, że naciągasz - mówi cicho Zinzy.

- Pracuję na pół etatu, bo tak mi zalecił lekarz. Rok temu zupełnie się załamalam. A praca do południa i tak kosztuje mnie wiele energii - odpowiadam zdenerwowana.

- Wiem o tym - zapewnia współczująco Zinzy. - Jednak dla niektórych człowiek jest dopiero wtedy chory, kiedy leży podłączony do respiratora. W przeciwnym razie musi pracować. Tak myśli Renée, a inni to potwierdzają. Co się dzieje? Chcesz wody?

- Proszę.

Zinzy przynosi mi wodę; wypijam parę łyków.

- Już lepiej? Nagle bardzo zbladłaś - mówi zaniepokojona.

- Przeszło mi, dziękuję, Zinzy - odpowiadam słabym uśmiechem i przysuwam się do biurka.

Zinzy wraca do swojego.

Zabieram się do poczty. Po trzech kwadransach ciągle jeszcze jestem zajęta, a ból głowy narasta w miarę sortowania kopert.

Wczesnym przedpołudniem wraca Wouter z Renée. Rozmawiają, śmiejąc się.

Zinzy jest w archiwum. Z chwilą kiedy Renée się orientuje, że jesteśmy same, uśmiech znika z jej twarzy. Milcząc, siada przy komputerze. Kątem oka widzę, jak otwiera zaadresowaną przeze mnie kopertę. Nic nie mówi.

Ja także milczę i spokojnie pracuję dalej. W biurze zawisła nabrzmiała cisza.

To prawda, że popełniam wiele błędów. Wysyłam faksy pod zły adres. Chowam dokumenty do nieodpowiednich teczek, a moje teksty pisane na maszynie roją się od literówek. Staram się usilnie odsunąć od siebie wszystkie myśli, które przeszkadzają mi w koncentracji. Przez dłuższą chwilę mi się udaje. Sprawdzam faksy, wysyłam je ponownie, porządkuję papiery na biurku, dzieląc je na ważne i mniej ważne.

W pewnym momencie do biura wchodzi Roy i podniesionym głosem pyta, dlaczego poczta przyniesiona przez kuriera przez cały ranek leży w recepcji.

- Prosiłam cię przecież, Sabine, żebyś ją przyniosła! - mówi z wyrzutem Renée. Rzuca pojednawcze spojrzenie w stronę Roya, który patrzy na mnie czerwony z hamowanej złości. - Już idę, Roy, powinnam była sprawdzić, czy przyniesiono pocztę.

- To nie jest twoja wina, Renée. Sabine chyba wie, jaką pracę może wykonywać - mówi zgryźliwie Roy.

Renée macha ręką i wychodzi z sekretariatu. Roy idzie za nią. Słyszę w korytarzu ich stłumione głosy. Trzęsą mi się ręce.

Twarze Zinzy i Margot nie zdradzają najmniejszego zainteresowania.

- Wcale sobie nie mogę przypomnieć, żeby Renée mnie o coś prosiła - mówię.

- Aleja słyszałam - odpowiada Margot, nie podnosząc oczu znad komputera.

- Pytała o mnie konkretnie? Spojrzała w moim kierunku i wymieniła moje imię?

Margot odwraca się gwałtownie.

- Jezus, Sabine, o co ci chodzi? Czy trzeba stanąć przed tobą, spojrzeć ci w oczy i zwrócić się do ciebie po imieniu, żebyś załapała?

- Najwidoczniej tak - odpowiadam.

- W takim razie nie rozumiem, co tutaj robisz - cedzi Margot.

Patrzę na Zinzy, która odwzajemnia moje spojrzenie, jakby chciała przeproszać.

- Jesteś często nieobecna, Sabine, to się rzuca w oczy.

Zaciskam wargi, usiłując kontrolować emocje.

- Widocznie mam powody.

- Jeszcze ciągle? Po roku spędzonym w domu? Niektórzy nie chcą po prostu pracować - odzywa się Margot z pogardą.

Ta złośliwość pobrzmiewa długo między drukarkami, komputerami i wypełnionymi szafkami. Pojawiają się Tessa i Luuk, lecz po chwili wahania szybko znikają. Słyszę, jak rozmawiają cicho na korytarzu.

Idę do toalety, otwieram kran, trzymam nadgarstki pod strumieniem zimnej wody. Nie mogę uspokoić drżenia. Robi mi się słabo, huczy w głowie. Ciemne plamy pojawiają mi się przed oczyma, nie mogę złapać tchu. Oddycham coraz szybciej i coraz bardziej mi duszno. Wyciągam ze śmietnika worek plastikowy i przykładam go do twarzy. Wdech, wydech.

Dopiero po półgodzinie pojawia się w biurze.

- Czy możesz podejść, Sabine? Chciałabym z tobą porozmawiać - słyszę Renée, kiedy już siedzę za biurkiem. Pojawia się nagle przede mną z wyrazem stanowczości, jakim się strofuje nieposłuszne dziecko.

- Może przejdziemy do sali konferencyjnej - proponuje.

- Dobrze. - Niespiesznie składam papiery, które przed chwilą rozłożyłam. Umyślnie powoli odsuwam krzesło, przekładam jeszcze coś na biurku i dopiero wtedy spoglądam w stronę Renée, jakbym sobie właśnie o niej przypomniała. Czeka na mnie, oddalona o parę kroków od mojego biurka; spodziewa się, że natychmiast za nią pójde, i jest już mocno poirytowana.

- O czym chcesz ze mną rozmawiać? Nie mam zbyt wiele czasu - podkreślam, dając do zrozumienia, że ta rozmowa przeszkadza mi w pracy.

- Zaraz usłyszysz - odpowiada krótko Renée.

Idziemy do tego samego pomieszczenia, w którym odbywała się jej rozmowa kwalifikacyjna. Renée otwiera przede mną drzwi i przepuszcza mnie z takim wyrazem twarzy, jakby wprowadzała do więzienia Bijlmerbajes*. Głośno zamyka za nami drzwi. Popelnia błąd, siadając na krześle, ponieważ ja się usadawiam na brzegu stołu, spoglądając na nią z góry. Niezadowolona, wskazuje na krzesło, lecz nie zwracam uwagi na ten gest. Mogę przecież siedzieć, gdzie mi się podoba.

Renée składa ręce i patrzy na mnie spokojnie.

- Bez owijania w bawełnę powiem ci, dlaczego chciałam z tobą porozmawiać. Z powodu twojej postawy. Wiem, że długo chorowałaś i że musisz się odrobinę przyzwycząić do pracy w biurze. Dlatego też pozwoliłam ci się przez jakiś czas aklimatyzować. Rozumiem, że musisz zaczynać w spokoju. Nie podoba mi się jednak, że nie starasz się niczego robić szybciej. Częściej można cię spotkać przy automacie z kawą niż przy biurku. Ciągłe chodzisz na górę po marsy. Zauważyłam także, że już kwadrans po dwunastej pakujesz swoje rzeczy. A teraz znowu jesteś chora.

Zaczyna mi walić serce i szumieć w uszach. Mam sucho w ustach. Muszę odpowiedzieć. Muszę koniecznie odeprzeć oskarżenie.

- No... - rozpoczynam.

- Nie tylko ja, inni też tak uważają - przerywa Renée. - Z Margot i Zinzy postanowiłyśmy wspólnie oceniać twoją pracę i naradzić się za dwa tygodnie.

* Więzienie w Amsterdamie, zaprojektowane w 8 roku jako „humanitarne”, bez krat w oknach.

Nie wierzę własnym uszom. Opanowuje mnie złość, podnoszę głos.

- Nie polegasz już na własnej ocenie? - pytam z sarkazmem.

- To nie ma z tym nic wspólnego. Jesteśmy koleżankami. Pracujemy w zespole - odpowiada Renée.

- Koleżankami! No właśnie - wyrzucam z siebie. Patrzę na pustą salę konferencyjną i zastanawiam się, co w takim razie tu robimy.

Renée wzdycha.

- Byłam pewna, że się nie pogodzisz z moim awansem, dlatego też poprosiłam Margot i Zinzy, by także ciebie oceniły.

- To nie należy do ich obowiązków.

- Poprosiłam je, więc należy.

Jest mi bardzo przykro.

- W ten sposób będziemy się do siebie zwracać w przyszłości? - mówię wolno.

- Uwierz mi, wcale mi na tym nie zależy - odpowiada Renée.

Zastanawiam się, co by zrobiła, gdybym ją uderzyła w twarz. Wyraźnie rozkoszuje się teraz przewagą nad kimś, kto ją przyjął do pracy i na początku jej osobiście pomagał. Nade mną, która się nią zajęła, nauczyła ją paru słów po francusku, by się nie musiała wstydzić klienta Francuza. Broniłam ją przed Wouterem i oceniłam jej funkcjonowanie jako „dostateczne”.

Gorzko tego żałuję.

- Jeśli masz jakiś problem, musisz mi powiedzieć, Sabine - tłumaczy Renée cierpliwie.

- Wiem dobrze, że pracowałaś tu wcześniej niż ja. Nie znaczy to jednak, że dano by ci tę funkcję, gdybyś się nie rozchorowała.

- Nie wiedziałam, że taka funkcja istnieje.

- Takie było zapotrzebowanie i Wouter uznał, że jest dla mnie stworzona. Będziesz się do tego musiała przyzwyczaić. Jeśli o mnie chodzi, to wszystko już powiedziałam. Zmień swoje podejście do pracy, a nie będzie sprawy. Porozmawiamy za dwa tygodnie. Czy coś ci jeszcze leży na sercu?

Tak wiele, że się obawiam, iż nie udźwignę ciężaru.

19

W poniedziałek dwudziestego czwartego kończę dwadzieścia cztery lata. W niedzielę piekę szarlotkę, by uczcić swoje urodziny. Uwielbiam piec ciasta. Kiedyś piekłam regularnie, ale już nie wiem, jak dawno porzuciłam męczące obieranie jabłek, przesiewanie mąki i oddzielanie żółtek od białek.

Nastawiam nie za głośno płytę Norah Jones i tłukę się po kuchni. Nagrzewam piec, muszę otworzyć okno, by wytrzymać upał; kuchnia leży po stronie południowej. Z miską jabłek siadam na balkonie w białym wiklinowym fotelu i zaczynam obierać.

Na balkonie jest przyjemnie. Całą fantazję i pasję ogrodniczą, której nie mogę przelać na nieistniejący ogród - a bardzo mi go brak - wykorzystuję na dwóch metrach betonu. Na poręczy wiszą skrzynki pelargonii i fuksji. Prawie nie ma gdzie usiąść między doniczkami pełnymi ziół i lawendy. Słońce mocno przygrzewa, rośliny pachną intensywnie.

Niespiesznie kończę obieranie i wchodzę do rozgrzanej kuchni.

Mogłam naturalnie kupić ciasto, nie ma to jednak jak własny przepis i składniki. Tak jak robiła to moja mama, polewam jabłka i rodzynki kieliszkiem koniaku.

Zapachy mają to do siebie, że przywołują wspomnienia różnych etapów życia. Wystarczy, bym poczuła zapach tenisówek, a już widzę siebie stojącą pod ścianą sali gimnastycznej w oczekiwaniu, iż ktoś z kolegów zaprosi mnie do swojej grupy.

Zapach szarlotki przypomina mi dzień czternastych urodzin. Kupno gotowego ciasta uraziłoby dumę mojej mamy, piekła je więc sama. Cały tydzień przychodzili znajomi z wizytą. Jeden nie mógł tego dnia, inny następnego. Cały tydzień dom był pełen gości. Mama piekła bezustannie. W pewnej chwili nie mogłam już znieść zapachu szarlotki.

Nie miałam zamiaru obchodzić czternastych urodzin w szkole. Zdarzyło się jednak coś, co pokrzyżowało moje plany.

Któregoś dnia na początku tygodnia Isabel źle się poczuła. Na jej twarzy pojawił się dziwny grymas, zaczęła wydawać odgłosy jakby cmokania, tracić dech. Upadła na środku podwórka. Niektóre dziewczynki odskoczyły przerażone, inne uklęknęły przy niej, przyglądając się, jak w ataku padaczki skręca się jej ciało. Trwało to tylko chwilę, lecz wystarczająco długo, bym zdążyła podłożyć jej pod głowę swój płaszcz i odsunąć rower, żeby się nie poraniła.

Byłam cały czas przy niej, szepcząc do niej cicho. Atak padaczki nie był silny; widziałam, że dociera do niej każde kojące słowo.

Skurcze rąk i nóg powoli mijały, wreszcie ciało się uspokoiło. Pomogłam jej wstać i dyskretnym ruchem, jak zawsze od lat, wskazałam na strużki śliny zaschnięte w kącikach ust. Wytarła je. Najchętniej wstawiała od razu, mówiła coś dowcipnego i dalej wodziła rej w grupie. Tym razem potrzebowała chwili, by dojść do siebie w pokoiku pana Groesbeeka. Odprowadziłam ją tam, po drodze otrzepując jej dżinsową kurtkę z piachu i zeschniętą gumę do żucia.

- Czy mam cię odwiedzić do domu? - zapytał pan Groesbeek z troską.

Isabel nie chciała wracać do domu. Zostałam przy niej. Pozwolono mi opuścić angielski.

- Jesteś dobrą koleżanką - zwrócił się do mnie serdecznie pan Groesbeek.

Nie patrzyłyśmy na siebie. Nie rozmawiałyśmy nawet wtedy, kiedy woźny zostawił nas same, ciągnąc za kołnierz jakiegoś wagarowicza. Siedziałyśmy tak całą godzinę lekcyjną. Obserwowałam ją, podawałam szklankę wody, by mogła połknąć lekarstwa. Wypowiadałyśmy tylko niezbędne słowa: „proszę, napij się, dziękuję, już lepiej, tak, już mi lepiej”.

Potem poszłyśmy na matematykę i nikt już nie zaczepił mnie do końca lekcji. Nie słyszałam uszczypliwości za plecami. Nikt nie wyciągnął mi podręczników z tornistra. W portmonetce miałam pieniądze, gdy w czasie przerwy chciałam kupić sobie ciastko z kremem. Zostawili mnie w spokoju cały tydzień. Ledwie mogłam w to uwierzyć. Nastąpiło zbliżenie do grupy; byłam tolerowana.

Chcąc wypróbować swoją nową pozycję, bez żenady weszłam do szkoły głównym wejściem. Paczka Isabel stała jak zwykle pod schodami, paląc i rozmawiając. Isabel spojrzała w moim kierunku; nasze oczy się spotkały. Nie powiedziała ani słowa.

W teczce leżały zaproszenia na moje urodziny. Zastanawiałam się, czy nie wysłać ich pocztą. W końcu uznałam, że to śmieszne. Zbierając w sobie całą odwagę, wyciągnęłam z teczki starannie zaadresowane koperty.

- Za tydzień mam urodziny - powiedziałam, starając się, by mój głos zabrzmiał jak najbardziej nonszalancko. - Urządzam małe przyjęcie. Może wpadniecie?

Wręczyłam pospiesznie zaproszenia. Pomachałam wszystkim i szybko odjechałam na rowerze. Nie odważyłam się odwrócić. Za mną zaległa cisza.

Cały tydzień w napięciu oczekiwałam na swoje urodzinowe przyjęcie. Zrobiłam z tatą sprawunki. Zastanawiałam się, jak mogę go przekonać, by na stole pojawiło się piwo i wino. Moi rodzice nie lubili alkoholu. Mimo to ojciec wykazał wiele zrozumienia. Włożył do wózka puszki piwa i parę butelek taniego wina, okazał jednak sprzeciw na widok drogiego francuskiego sera i paru opakowań świeżego tataru.

W dniu urodzin Robin z paroma przyjaciółmi - wydaje mi się, że Olaf też tam był - przez kilka godzin pracował, rozwieszając w ogrodzie oświetlenie i sprzątając szopę, żeby mogła służyć jako bar.

Umocowali pochodnie, by zapalić je w ciemności, i rozstawili namiot, gdyby miał nas zaskoczyć deszcz.

Byłam zadowolona, że wychodził gdzieś tego wieczoru i że jego przyjaciele nie mieli być świadkami ciszy, która panowała na moim urodzinowym przyjęciu. Najchętniej nie widziałabym na nim także rodziców i nie musiała się poddawać ich ostrożnemu współczuciu.

Czekałam wbrew przekonaniu.

Nikt nie przyszedł.

Na swoje urodzinowe śniadanie kupiłam croissanty. Teraz czekając, aż piec się rozgrzeje, biorę prysznic. Wycieram się, wkładam szlafrok i układam croissanty na wyłożonej papierem blasze. Ubieram się, czując coraz bardziej intensywny zapach. Wyciskam pełną szkalnkę soku z pomarańczy i stawiam dymiące croissanty na stole. Pierwszy bardzo mi smakuje, przy drugim robi mi się mdło. Wcześniej niż planowałam, wychodzę do pracy.

Panuje zwyczaj, by przynosić coś dobrego z domu albo zbierać listę zamówień na smakołyki z cukierni i tak obchodzić urodziny. Ja tylko puszczam w obieg listy do podpisania.

Dzień mija niepomyślnie. Im bardziej się staram, tym więcej robię błędów. Gdy słyszę głośno wypowiedziane swoje imię, ogarnia mnie panika. Coraz trudniej skoncentrować mi się na pracy. Jestem wszystkiego świadoma: wyrażanej ukradkiem irytacji, tłumionych westchnień, poszeptywania Renée i Roya.

Roy idzie do niej z fotokopiami, które ułożyłam w odwrotnym porządku; brakuje w nich wielu stron. Nalewając kawę z automatu, słyszę ich narzekanie.

- Daj to mnie, to niewdzięczna robota - mówi Renée.

Śmieją się. Roy wychodzi na korytarz. Patrzymy sobie prosto w oczy. Uśmiech znika mu z twarzy; pospiesznie przechodzi obok.

Przewracam kubeczek kawy.

Pod koniec pracy spotykam w korytarzu Olafa.

- Hej, wszystkiego najlepszego - woła już z daleka.

Podchodzi, obejmuje mnie i całuje.

- Zarezerwowałam dziś wieczorem stolik w Den Klos.

Ponury korytarz nagle się rozjaśnia. Z uśmiechem wracam do biura, natykając się na Roya.

- Dlaczego składano ci życzenia? Jest jakaś okazja? - pyta.

- Nie, nie ma żadnej - odpowiadam, nie patrząc na niego.

20

Kiedy wczesnym popołudniem wracam do domu, uderza mnie zapach szarlotki. Zastaję też kartkę z życzeniami od rodziców: Najserdeczniejsze życzenia. Szkoda, że nie możemy być razem. Wkrótce się zobaczymy.

Stawiam kartkę na kominku. Spostrzegam, że jest wiadomość na sekretarce. Włączam przycisk i dobiega mnie niski głos brata. Zdejmuję kurtkę, robię herbatę, odwirowuję pranie,

odświeżam się w łazience, raz po raz włączam sekretarkę. Głos Robina rozbrzmiewa nieprzerwanie.

Z łazienki słyszę, że dzwoni telefon. Nie podnoszę od razu słuchawki, czekam, aż się włączy sekretarka. W chwilę później pokój wypełnia radosny głos Jeanine:

- Cześć, Sabinę, wszystkiego najlepszego! Wpadnę dziś wieczorem do ciebie. Chyba że masz inne plany, które zaczynają się na przykład na O. Daj mi znać albo wyślij SMSa, bo zaraz idę na zebranie. I jeszcze coś. Szukałam w Internecie na stronie Zaginieni. Przypadkiem natknęłam się na stronę poświęconą Isabel, stworzoną przez jej ojca. Pomyślałam, że chciałabyś o tym wiedzieć!

Czy chcę wiedzieć? Znika radosny nastrój. Opadam bezsilnie na krzesło. Biorę leżącą koło komputera komórkę i wysyłam Jeanine SMSa: Idę dziś wieczorem na kolację z Olafem. Zaproszę także Zinzy. Masz ochotę przyjść?

Wysyłam, po czym włączam komputer. To trwa chwilę. Wchodzę do Internetu i z niechęcią otwieram stronę Zaginieni. Prawie natychmiast pojawia się twarz Isabel, otoczona wieloma czarnobiałymi i kolorowymi zdjęciami. Klikam na jej zdjęcie, widzę tekst zawierający szczegóły jej zniknięcia, a także zdjęcia podejrzanych, zatrzymanych w przypadkach innych zaginięć. Jedna z osób w sposób szczególny przyciąga moją uwagę. Jest to blondyn około trzydziestki. Na pociągłej twarzy wokół ust rysują mu się głębokie, przedwcześnie postarzające go zmarszczki.

Czytam zamieszczony obok tekst. Sjaak van Vliet, skazany za zabójstwo Rosalie Moosdijk, zgwałconej i zamordowanej na wydmach w Callantssoog latem 7 roku. Zmarł w więzieniu, nie złożwszy żadnych zeznań dotyczących innych zaginięć, z którymi go kojarzono.

Od jednego ruchu myszy znika nieprzyjemna twarz. Surfuję dalej. Zauważam link na stronę opracowaną przez ojca Isabel. Otwieram. Imię Isabel zajmuje całą szerokość ekranu. Z prawej strony widać jej ostatnie zdjęcie, zrobione prawdopodobnie w ich ogrodzie.

„To jest nasza córka Isabel Hartman. Zaginęła bez śladu 8 maja 5 roku. Miała 14 lat. Od tamtej chwili nie mieliśmy o niej żadnych wiadomości. Stworzyliśmy tę stronę w nadziei, iż pomoże nam odszukać ślad prowadzący do naszej córki. Prosimy każdego, kto wiedziałby cokolwiek o jej zginieciu, aby się z nami skontaktował.

Luuk i Elsbeth Hartman”.

Klikam dalej. Znajduję relację z dnia jej zaginięcia. Po raz ostatni widziano ją z koleżanką M. o drugiej po południu. W tym momencie ślad się gubi. Otwieram kolejny link. Widzę plan drogi ze szkoły na wydmy. I wtedy coś zaczyna się dzieć w mojej głowie. Słyszę

szum wiatru w koronach drzew. Jasne, pełne życia obrazy pojawiają mi się przed oczyma, jak bąbelki powietrza uciekające na powierzchnię wody.

Jakbym brała udział w filmie, w którym gram główną rolę, nie znając swego tekstu.

Czuję sprężysty mech pod nogami, kłują mnie gałązki. Pod drzewami panuje mrok, lecz dostrzegam polanę.

Nie wiem dlaczego, ale ogarnia mnie lęk. Jakbym nosiła w sobie tajemnicę, która nie chce być ujawniona.

Na skraju piaszczystej polany zatrzymuję się, ukryta pod zieloną kopułą.

Stawiam krok. Stop! Ani centymetra dalej. Muszę zatrzymać ten film. Jest jednym z tych, które się zaczynają zupełnie niewinnie. Szybko jednak pojawia się w nich coś nieoczekiwanego, okropnego.

Wyłączam film, zanim zaprowadzi mnie zbyt daleko. Zamykam stronę o Isabel, wyłączam komputer.

Idę do kuchni i drżącymi rękami nalewam sobie kieliszek wina. Jeden kieliszek - usiłuję oszukać sama siebie. Piję do dna, wolno, z zamkniętymi oczyma. Wino spłukuje mi gardło, a lęk zasnuwa się przynoszącą spokój mgłą. Zamroczone winem, idę do dużego pokoju i osuwam się na kanapę.

To ci się udało, Sabine: wino przed południem. Rozwiązanie twoich problemów.

Mimo iż chętniej bym poleżała, idę do kuchni zrobić sobie kawę. Stoję obok bulgoczącego ekspresu i przyglądam się spływającemu do dzbanka ciemnobrązowemu strumyczkowi. Obrazy z przeszłości nie opuszczają mnie. Jestem ciągle w lesie. Stoję nieruchomo na skraju polany. Gwałtownie potrząsam głową. Nalewam sobie kawy, zanim dzbanek się napelni.

Po mocnej kawie przytomnieję. Z zadowoleniem stwierdzam, że zniknęły męczące obrazy. Mimo to jestem przekonana, że kiedyś będę musiała ten film obejrzeć do końca.

Dzwoni telefon. Tym razem natychmiast podnoszę słuchawkę.

- Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam - śpiewa mi ktoś głośno do ucha. Trzymam słuchawkę w bezpiecznej odległości, śmieję się.

- Robin!

- Wszystkiego najlepszego, siostró! Jak ci mija dzień? Nie słyhać dźwięków zabawy.

- Wszyscy są jeszcze w pracy, przyjęcie ma się odbyć wieczorem.

Będzie nas tylko troje, ale tego już nie mówię.

- Szkoda, że nie mogę być z tobą, ale mam dobrą nowinę. Za dziesięć dni uporam się z robotą i przyjadę na jakiś czas do Holandii.

- Naprawdę? To fantastyczne. Nie masz pojęcia, jak tu jest pusto. Wszystkich wymiotło za granicę.

- Dajesz sobie radę? - pyta Robin z troską.

- Ależ tak.

- A co teraz robisz?

- Piję kawę, zagądam do Internetu.

- Nadal pracujesz na pół etatu?

Zastanawiam się przez chwilę, co chciałabym mu opowiedzieć. Ostatecznie mówię:

- Tak.

- Co się stało?

- Nie rozumiem.

- Wydałaś mi się jakaś przygnębiona.

Przed Robinem nie da się niczego ukryć. Łatwiej mi opowiedzieć o wszystkim niż usiłować owijać w bawełnę. Zdam krótkie sprawozdanie ze swego tryumfalnego powrotu do banku. Imię Renée pada wyjątkowo często.

Daleko w Anglii Robin wzdycha głęboko.

- I co teraz?

- Muszę stamtąd odejść, i to jak najszybciej. Wypowiedzenie pracy związane jest jednak z wielkim ryzykiem. Musiałabym szukać innej.

- No tak...

Zapada cisza.

- Mam też coś weselszego do zakomunikowania. Wiesz, kto jest od niedawna moim chłopakiem? - zagaduję.

- Masz chłopaka? - pyta Robin z zainteresowaniem. - Kto to taki?

- Olaf.

- Niemożliwe! - Robin jest wyraźnie zaskoczony - Mieszka w Amsterdamie?

- Tak i też pracuje w banku. Tu się spotkaliśmy.

- Aha, przypadkowo - mówi Robin.

- Nie jesteś zachwycony.

- Dawniej byliśmy dobrymi przyjaciółmi, lecz w klasie maturalnej nasze kontakty się rozluźniły. Nie wiem, co mu było, ale zachowywał się zawsze zbyt głośno, zbyt nachalnie. Nie pozwalał sobie nic powiedzieć, kiedy wychodziliśmy gdzieś razem. W knajpie zawsze wszczywał kłótnie. W pewnej chwili zaczęło się to tak często powtarzać, że przestała mnie bawić ta znajomość. Od tego momentu straciliśmy ze sobą kontakt.

- Nic o tym nie wiedziałam - mówię zdziwiona. W ogóle do mnie nie dotarło, że Olaf był agresywny.

- Być może to tylko taka przejściowa faza - łagodzi Robin. - Był kiedyś wyjątkowo nerwowy; miejmy nadzieję, że mu to przeszło.

- Zgadnij, co odkryłam niedawno - szybko zmieniam temat. - Choć to raczej moja przyjaciółka ją znalazła: stronę internetową o Isabel.

W słuchawce zapada cisza. Trwa tak długo, że czuję się zmuszona przerwać milczenie.

- Jej zniknięciu był też ostatnio poświęcony program telewizyjny Zaginieni. Wkrótce się odbędzie spotkanie klasowe. Wiesz, Robin, ostatnio dużo o tym myślę.

- Nie rób tego, spróbuj się oderwać - mówi z westchnieniem Robin.

- Nic na to nie poradzę. Zaczynam sobie przypominać szczegóły.

Znowu zapada cisza.

- Konkretnie co takiego?

- Tego nie mogę ci dokładnie powiedzieć. To są strzępy wspomnień, które donikąd nie prowadzą.

- Pojawiły się teraz, tak ni stąd, ni zowąd, po tylu latach?

- Pojawiały się już wcześniej, ale nigdy nie chciałam ich do siebie dopuścić - wyznaję.

- Czyli wiesz więcej, niż wtedy ujawniłaś, czyż nie tak? Zawsze to podejrzewałem, rodzice zresztą też.

- Nie potrafię ci powiedzieć. Być może wiem coś więcej, ale czy to teraz takie ważne? Wiesz, o czym mnie jeszcze chciał przekonać Olaf? Podobno byłeś zakochany w Isabel.

- Ja? Absolutnie! Co mu przyszło do głowy? To była fajna dziewczyna, o to nie ma się co spierać. Wiedziałem jednak, jak postępuje wobec ciebie. Kiedy wieczorami wychodziłem, spotykałem ją w Vijverhut, ale nic szczególnego się tam nie działo.

- Coś się jednak zdarzyło?

Robin wzdycha.

- No tak, któregoś wieczoru się całowaliśmy. Przez jakiś czas w ogóle do mnie nie docierało, jakim była człowiekiem, nie zdawałem sobie sprawy z jej prawdziwej natury. Kiedy to dostrzegłem, natychmiast z nią zerwałem. Ostrzegałem jeszcze Olafa, co to za wiedźma i że go na pewno rzuci.

- Jak to: rzuci go?

- Przecież chodził z nią przez jakiś czas. Był bardzo zakochany.

Robi mi się nieswojo.

- Nie wiedziałam. Dlaczego mi o tym nie powiedział?

- Ej, dziewczyno, przecież to wszystko śmiechu warte. Nie chciał pewnie grzebać w przeszłości, by ciebie nie odstraszyć. Nie zwracaj sobie głowy.

Chcę iść za jego radą, lecz kiedy odkładałam słuchawkę, opanowuje mnie nieprzyjemne uczucie.

- To nie było nic poważnego, trudno nawet było nazwać nas parą - mówi Olaf. - Od czasu do czasu umawialiśmy się, to wszystko. Wydaje mi się, że Robin myli mnie z Bartem. Czyż to nie Bart chodził przez dłuższy czas z Isabel?

- Nie - odpowiadam krótko.

Siedzimy w restauracji: Olaf, Jeanine, ja i Zinzy. Wysłałam także do niej SMSa. Siedzimy razem w lokalu, gdzie nie ma stolików, lecz tylko jeden długi stół z ławami, zupełnie jak w średniowieczu. Dawno nie czułam się tak dobrze jak w tej chwili, w otoczeniu najlepszych przyjaciół.

- Policja długo go przesłuchiwała, ponieważ był jej ostatnim chłopakiem - dodaje Olaf.

- Policja? - pyta zaciekawiona Zinzy.

- Dużo osób przesłuchiwali? - chcę wiedzieć.

- Tylko te, z którymi przestawała. Niczego to nie przyniosło.

Zapada cisza.

- To miło, że twój brat wraca. Stęskniłaś się za nim? - pyta Jeanine.

- Zawsze byliśmy bardzo blisko - przyznaję.

- Czy wiedział, że Isabel tak ci zatruwała życie?

- Kiedy tylko mógł, czekał na mnie po lekcjach. Jeśli kończyłam wcześniej, czekałam na niego w pokoiku woznego.

- Jak ten człowiek się nazywał? - usiłuje sobie przypomnieć Olaf.

- Groesbeek - odpowiadam.

- No jasne, Groesbeek, co ja się z nim nie naużerałam. Zawsze mnie przyłapał, kiedy chciałem wagarować. Wydawało mi się wtedy, że na początku roku szkolnego uczył się na pamięć planu lekcji.

- Pewnie tylko paru największych wagarowiczów - mówi Jeanine.

- Mieliśmy dawniej dyrektora, który też wydawał się wszystko wiedzieć. Sprawiał wrażenie czarownika, a on pewnie potrafił z naszych twarzy odczytać niedozwolone zamiary. Nie mogliśmy wtedy tego zrozumieć.

- Nigdy nie wagarowałam, nie potrafiłam się na to zdobyć - mówi Zinzy.

- Mnie się to znakomicie udawało. Znałam na pamięć menu baru za rogiem - odpowiada Jeanine.

Wyglądam przez okno; właśnie przejechała jasnozielona furgonetka. Dokładnie taką samą jeździł pan Groesbeek.

- Sabinę, obudź się! - Jeanine macha mi pod nosem kurzym udkiem.

Spoglądam na siedzących.

- Pan Groesbeek zabierał nas furgonetką do domu, kiedy wiatr wiał z prędkością dziewięciu w skali Beauforta. Zatrzymywał się na skraju drogi, ładował rowery do środka. Mógł ich dużo pomieścić. Czasami odwoził nas i wracał po innych.

- To miło z jego strony - mówi Zinzy.

- Mieszkał gdzieś niedaleko? - pyta Olaf.

- W Callantsoog - odpowiadam, znowu wyglądając przez okno. Różne myśli przebiegają mi przez głowę.

Furgonetka. Jasnozielona.

Czy nie stałam wtedy za nią na skrzyżowaniu? Wtedy, kiedy skręciłam, a Isabel pojechała prosto? Furgonetka także pojechała prosto. Stałam za nią, bo nie chciałam, żeby Isabel mnie dostrzegła. Ile takich furgonetek jeździło wtedy po Den Helder?

- Czy Groesbeek był przesłuchiwany przez policję? - zadaję głośno pytanie.

Rozmowa potoczyła się w innym kierunku; moje pytanie wzbudza konsternację. Wszyscy patrzą na mnie zdziwieni.

- Nie wydaje mi się. Dlaczego mieli by go przesłuchiwać? Był w ciągu dnia cały czas w szkole - odpowiada Olaf.

- Nie zawsze; czasami musiał odwiedzić do domu ucznia, który się rozchorował, albo zrobić zakupy.

Zapada cisza.

- Nie znosił takich uczniów jak Isabel - dodaje Olaf.

- Masz rację - zgadzam się i znowu wyglądam przez okno.

- Kto to jest, ta Isabel? - chce się wreszcie dowiedzieć Zinzy.

Następnego dnia rano potrzeba mi całej siły woli, by wsiąść na rower i pojechać do banku. Na ołowianych nogach wchodzę w obrotowe drzwi, mijam korytarz i idę do windy. Dźwięk zamykanych drzwi brzmi jak zamknięcie bramy więziennej. Cichy szum urasta do głośności alarmu.

Winda zatrzymuje się z lekkim szarpnięciem. Drzwi się otwierają. Stąpam po ciemnoniebieskiej wykładzinie w stronę sekretariatu, a każdy krok jest krokiem więźnia, którego wypuszczono warunkowo i który wraca, aby odsiedzieć karę.

- Dzień dobry - mówię od progu.

Renée nawet nie odwraca głowy. Margot rzuca mi szybkie spojrzenie, po czym pochyla się nad biurkiem.

- Dzień dobry, Sabine! Bardzo było miło wczoraj wieczorem - mówi serdecznie Zinzy.

Renée patrzy zaskoczona. Zinzy odwzajemnia się wyzywającym spojrzeniem.

Bogu dzięki, Zinzy... Gdyby ciebie nie było, zwariowałabym. Rozumiem teraz, jak w dawnych czasach czuli się trędowaci. Jeszcze chwila i wcisnęliby mi drewnianą kołatkę do ręki.

Przez cały ranek otacza mnie przygnębiająca cisza. Rozmowy cichną, kiedy się zbliżam. Wszyscy wymieniają znaczące spojrzenia, a nowe zadania z hukiem lądują na moim biurku.

Przychodzę z teczką pełną listów do wysłania i widzę Renée i Margot pijące wspólnie kawę. Głowy pochylone ku sobie; słyszę swoje imię, potem imię Zinzy. Na ułamek sekundy zmieniają się przede mną w Isabel i Miijam. Obraz szybko znika.

- Chciałabym na chwilę przeszkodzić... Mam teczkę pełną listów; muszą być wysłane przed dziesiątą - zwracam się do nich przyjacielskim tonem.

- No i co z tego? - pyta Renée.

- Wydaje mi się, że trzeba mi pomóc; inaczej nie będą wysłane na czas.

Renée spogląda na zegarek.

- Jeżeli będziesz pracowała szybciej niż zwykle, na pewno zdążysz.

Patrzę na nią w milczeniu, po czym zabieram się do pracy. Ledwie zdążyłam, i to tylko dzięki temu, że pobiegłam na pocztę. Po powrocie zastaję koleżanki nad pudełkiem z ciastkami. Tessa ma urodziny.

Winda zatrzymuje się z lekkim szarpnięciem. Drzwi się otwierają. Stąpam po ciemnoniebieskiej wykładzinie w stronę sekretariatu, a każdy krok jest krokiem więźnia, którego wypuszczono warunkowo i który wraca, aby odsiedzieć karę.

- Dzień dobry - mówię od progu.

Renée nawet nie odwraca głowy. Margot rzuca mi szybkie spojrzenie, po czym pochyla się nad biurkiem.

- Dzień dobry, Sabine! Bardzo było miło wczoraj wieczorem - mówi serdecznie Zinzy.

Renée patrzy zaskoczona. Zinzy odwzajemnia się wyzywającym spojrzeniem.

Bogu dzięki, Zinzy... Gdyby ciebie nie było, zwariowałabym. Rozumiem teraz, jak w dawnych czasach czuli się trędowaci. Jeszcze chwila i wcisnęliby mi drewnianą kołatkę do ręki.

Przez cały ranek otacza mnie przygnębiająca cisza. Rozmowy cichną, kiedy się zbliżam. Wszyscy wymieniają znaczące spojrzenia, a nowe zadania z hukiem lądują na moim biurku.

Przychodzę z teczką pełną listów do wysłania i widzę Renée i Margot pijące wspólnie kawę. Głowy pochylone ku sobie; słyszę swoje imię, potem imię Zinzy. Na ułamek sekundy zmieniają się przede mną w Isabel i Mijam. Obraz szybko znika.

- Chciałabym na chwilę przeszkodzić... Mam teczkę pełną listów; muszą być wysłane przed dziesiątą - zwracam się do nich przyjacielskim tonem.

- No i co z tego? - pyta Renée.

- Wydaje mi się, że trzeba mi pomóc; inaczej nie będą wysłane na czas.

Renée spogląda na zegarek.

- Jeżeli będziesz pracowała szybciej niż zwykle, na pewno zdążysz.

Patrzę na nią w milczeniu, po czym zabieram się do pracy. Ledwie zdążyłam, i to tylko dzięki temu, że pobiegłam na pocztę. Po powrocie zastaję koleżanki nad pudełkiem z ciastkami. Tessa ma urodziny.

Wszyscy śpiewają; uroczyście składają jej życzenia. Właśnie kończą, kiedy wchodzę.

- Gdzie byłaś tak długo? Tak daleko jest do poczty? - pyta Renée.

Siedzi na brzegu mojego biurka, zasłanego mało przyjemnymi zleceniami. Stos faktów, nieczytelne notatki, kasety z tekstami do przepisywania na maszynie.

- Poczęstuj się - zachęca Wouter.

Pudełko wypełnione jest papierkami, resztkami bitej śmietany i owoców. Nie ma ciastek.

- Nie doliczyłam się - przeprasza Tessa.

21

Pan Groesbeek mieszkał dawniej w Callantsoog. Przeprowadził się do domu przy wąskiej uliczce w dzielnicy portowej w Den Helder. Trochę na wycucie udaje mi się w południe zaparkować samochód przed jego domem. Domy nie mają ogródków, wchodzi się

prosto z chodnika. Brzydka matowa szyba zasłania wnętrze domu, a tabliczka z czarną sylwetką czworonoga i napisem „Uwaga, zły pies” ostrzega potencjalnych włamywaczy.

Poniżej napisane jest: J. Groesbeek.

Dzwonię.

Mam wrażenie, że nikogo nie ma w domu, ponieważ przez dłuższą chwilę nic się nie dzieje. Dzwonię jeszcze raz, słyszę szuranie za drzwiami i zrzędcący głos:

- Już idę.

Zgrzyt klucza w zamku i drzwi się otwierają. Skurczony mężczyzna, odziany w ciemnoniebieski sweter i szare spodnie, przygląda mi się niechętnie. W tym spojrzeniu jest cały pan Groesbeek. Tym spojrzeniem witał dawniej spóźnialskich. Włosy z szarych stały się białe; powiększyła się łysina.

Twarz przypomina mapę, na której zaznaczone są kontury rzek. Wygląda inaczej, niż go zapamiętałam. A jednak to jest pan Groesbeek.

- Znowu? Już przecież zbieraliście?

Marszczę brwi, nie rozumiejąc, o co chodzi.

Zauważa, że nie mam nic przy sobie.

- Myślałem, że zbieracie na fundację prowadzącą walkę z astmą. Kręcę głową przecząco, uśmiechając się przyjaźnie.

- Wydaje im się, że mogą oszukiwać starszków, bo ci i tak niczego nie zapamiętają. Ja jednak dobrze im się przyjrzałem.

- Jestem tego pewna, panie Groesbeek.

Patrzy na mnie nieufnie.

- Co to za spoufalanie się. Nie znam pani. Czego pani tu szuka?

- Chciałabym pana o coś zapytać.

Staje się podejrzliwy.

- Czy pani jest z policji? Albo może z gazety?

- Ależ skądże! Chodziłam do szkoły, w której pan był woźnym.

- Nie musi mi pani tego opowiadać; wiem, gdzie pracowałem.

- Chodziłam więc do pana szkoły. Może mnie pan pamięta? Sabinę Kroese.

Przygląda mi się, nawet nie próbując ukryć braku zainteresowania.

- Wkrótce odbędzie się spotkanie wszystkich klas - ciągnę dalej.

- Wiem z gazety.

- Pójdzie pan na nie?

- Dlaczego miałbym pójść?

- Czy nie byłoby panu miło spotkać się z byłymi uczniami? Groesbeek wzrusza ramionami.

- Nie wiem, co w tym przyjemnego. Wszyscy wiedzą, kim jestem. Uważają, że zrobił się ze mnie zrzędlawy dziadek. Dlaczego miałbym im brać to za złe? Widzę samych dorosłych, których nie mogę rozpoznać. Co w tym miłego?

- Nie znajdzie się nikt, kogo by pan chętnie wspominał?

- Moja panno, do szkoły chodziło tysiąc pięciuset uczniów. Każdego roku przybywało nowych twarzy.

- Rozumiem.

- Widzi pani!

- Mimo wszystko chciałabym, byśmy przypomnieli sobie pewne sprawy. Zbieram historyjki, anegdoty, interesujące szczególiki o kolegach, którzy chodzili do szkoły razem ze mną. Chciałabym przygotować coś w rodzaju zeszyciku, który można będzie kupić podczas spotkania.

Groesbeek nie wydaje się specjalnie zainteresowany.

- Czy mogę wejść? - pytam grzecznym, choć zdecydowanym tonem.

Odwraca się, wzruszając ramionami. Zostawia drzwi szeroko otwarte, więc biorę to za zaproszenie. Idę za nim do dużego pokoju. Pokój sprawia wrażenie ciasnego; zatłoczony jest ciemnymi meblami. Zaduch taki, że aż się prosi, żeby otworzyć okno. Jednym spojrzeniem ogarniam przyczynę tego zaduchu: koty. Jest ich chyba z pięć, usadowionych na parapecie. Szóstego dostrzegam zwiniętego w kącie. Jeden leży na niskim stoliku obok kanapy, drugi ociera mi się o nogi. Mam uczulenie na sierść kota. Jeśli któregoś pogłaszczę, na skórze pojawiają się mi swędzące plamy, jakbym była zakażona nieznanym wirusem.

- Napije się pani herbaty?

- Chętnie.

Odsuwam kota na bok.

Pan Groesbeek znika na dłuższą chwilę w kuchni. Słysząc stukanie filiżankami i gwizd czajnika. Siadam na krześle w pobliżu drzwi. Kot wskakuje mi na kolana, domagając się głaskania. Miauczy rozdzierająco i patrzy na mnie z wyrzutem. Koty mnie okropnie denerwują, nie znoszą ich oczu. Wydają się czytać w moich myślach, same zastanawiając się jednocześnie, czy podrapać, czy dać się głaskać.

Tak jak ten okaz, który wbił we mnie przymrużone zielone ślepia. Zwierzęta muszą wiedzieć, kto jest panem.

- Uciekaj! - cedzę przez zęby.

Kot skacze na stolik w chwili, kiedy pan Groesbeek pojawia się z dwiema porcelanowymi filiżankami i stawia je, sięgając po stojące na kredensie pudełko tanich cukierków. Czekolada, pobieląca ze starości, przykryta jest warstwą kurzu; grzecznie odmawiam.

- Nie lubi pani? On za to bardzo. - Wskazuje na kota siedzącego na stoliku. Kot kontroluje zawartość pudełka, liże je, po czym odwraca się z pogardą.

- Czyli ma pani na imię Susanne?

- Nie, Sabinę. Często mi pan pomagał, kiedy miałam kłopoty. Kleił mi pan dętki, odwoził mnie do domu, kiedy bardzo wiało. - Waham się przez chwilę. - Pozwalał mi pan nawet wychodzić przez okno z pana pokoiku, żebym mogła uciec przed tamtymi.

Pan Groesbeek nie reaguje. Pije łyk herbaty, przyglądając mi się znad filiżanki.

- Nie pamięta pan? - pytam wprost.

Odstawia filiżankę, głaszcząc kota na stoliku, tuż nad moją filiżanką. Opada do niej kocia sierść.

- Całkiem możliwe, że na to przyzwaliałem.

- Fakt, że to pan był woźnym w naszej szkole, miał dla mnie wielkie znaczenie - mówię poważnie. Przez chwilę wydaje mi się, że przejrzał moje lizusostwo. Tymczasem jego twarz po raz pierwszy rozjaśnia się uśmiechem.

- Herbata wystygnie. Może jednak cukierka?

- Nie, bardzo dziękuję.

Kot obwąchuje jeszcze raz pudełko. Pan Groesbeek przegania go.

- Uciekaj, Nina, to nie dla ciebie. Mówiąc szczerze - ciągnie - zapomniałem mnóstwo szczegółów z dawnych czasów. Chociaż jeszcze się dobrze orientuję. Nie mam demencji, ale ciągle zapominam. Czy to dzisiaj ktoś przychodzi z wizytą, czy może jutro. Czy wysłałem wnukom życzenia na urodziny, gdzie położyłem lekarstwa.

Milknie, głaszcząc dwa koty, które mu siedzą na kolanach. Szare spodnie pokrywają się białymi i czarnymi włosami.

- To jest nie takie łatwe, rozumiesz Susanne. Oczywiście, że nie rozumiesz. Jesteś jeszcze za młoda.

- Rozumiem pana lepiej, niż się panu wydaje.

- Czasami siedzę na kanapie i czekam, aż mnie żona zawoła na obiad. - Wskazuje na zdjęcie w srebrnej ramce stojące na komodzie. - Antje zmarła pięć lat temu, nie, to już minęło sześć.

Marszczy brwi, liczy w myślach, znowu marszczy brwi i głaszcząc koty.

- Około sześciu lat - uściśla.

- Czy pamięta pan Isabel? Tę, która zaginęła?

- Ona miała na imię Antje - poprawia mnie.

- Mam na myśli uczennicę: Isabel Hartman.

- Hartman - powtarza Groesbeek.

- Chodziła do mojej klasy - przypominam mu. - Chorowała na padaczkę. Kiedyś nawet zawiózł ją pan po ataku do domu.

- Widziałem ostatnio program w telewizji, to straszna choroba.

- Czy pan ją pamięta?

- Przypominam sobie tylko twarze, imion nie pamiętam.

Wyciągam zdjęcie Isabel z torebki, kładę przed nim. Przygląda mu się, nie zmieniając wyrazu twarzy. Jeden z kotów wskakuje na stół prosto na zdjęcie. Wyciągam je spod pazurów i podaję panu Groesbeekowi.

- To straszne - mówi.

- Co jest w tym takiego strasznego?

Groesbeek czyni bezradny ruch, otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć. Namyśla się, marszczy.

- To straszne - powtarza.

- Co takiego strasznego?

- Padaczka. Wydaje się, jakby umierali. - Zastyga w skurczu z otwartymi ustami, chcąc mi pokazać objawy choroby.

- Czy pan ją kiedyś widział w takim stanie? - pytam. Sama nie mogę sobie przypomnieć, żeby Isabel dostała ataku padaczki w jego obecności.

Pan Groesbeek zajmuje się kotem, który siedzi mu ciągle na kolanach, i przemawia do niego pieszczotliwie jak do maskotki.

- Koty to niesamowite zwierzęta - mówi z dumą. - To moi najlepsi przyjaciele. Nie mogą jednak pójść ze mną do domu spokojnej starości. Nie, tego wam nie wolno. Jego głos brzmi jak głos matki uspokajającej niemowlę.

- Przypomina pan sobie chyba, że Isabel zniknęła bez śladu. - Rozpaczliwie próbuję odwołać się do jego pamięci, trzymając przed sobą zdjęcie Isabel.

- Słyszysz, Nina - pan Groesbeek zwraca się do kota. - Podobnie jak Lies. Też jej więcej nie ujrzeliśmy.

Odkładam zdjęcie.

- Co zginęło, nie powróci - mówi pan Groesbeek.

- Ma pan rację - dodaję nieprzekonana.

- Czasami nigdy ich nie odnajdują. Wtedy wiadomo, że nie żyją.

Zamykam torebkę, patrzę na zegarek.

- Muszę już iść. Dziękuję, że poświęcił mi pan chwilę i...

- Nie ma sensu ich szukać, są bardzo dobrze ukryte.

- Do widzenia. Miło mi było pana znowu zobaczyć. Dziękuję, sama wyjdę.

Wychodząc, rzucam okiem w stronę ogródka. Wysoki płot z wszystkich stron, teren zaniedbany, wysoka trawa. Pod płotem usypana ziemia, jakby ogromne krecie kopce.

Pan Groesbeek widzi, że się przyglądam.

- Antje nie żyje - mówi.

Pochylam głowę ze współczuciem. Natychmiast pojawiają się koło mnie cztery koty, które chcą wyjść razem ze mną. Groesbeek podnosi się.

- Anne, Belle do mnie. - Zagania je z powrotem do pokoju. Stoimy sami w korytarzu.

- Ile pan ma kotów? - pytam.

- Sześć. Uwielbiam koty. Nie znoszę ludzi, którzy lubią psy, a pani?

Stoi blisko mnie; to nieprzyjemna bliskość. Czuję woń starego mężczyzny, widzę łupież na łysej głowie. Zasłania sobą drzwi wejściowe. Uśmiecham się blade.

- Ja tak samo.

Potakuje, ustępując mi z drogi. Szybko się wymykam.

- Niech mnie pani jeszcze odwiedzi - zwraca się do mnie serdecznie.

Kiwam głową, uśmiecham się, szybko wsiadam do samochodu, lecz po chwili się rozmyślam. Parkuję za rogiem i wysiadam. Głupio mi się wciskać w wąskie przejście, żeby pójść na przespiegi z tyłu domów. Odliczam posesje, zatrzymując się przed ogródkiem pana Groesbeeka. Delikatnie naciskam klamkę starej furtki. Jest zamknięta. W milczeniu oglądam wysokie sztachety płotu. Wyglądają na tak zmurszałe, że nie odważam się na nie wspiąć. Kontener na śmieci wydaje się lepszą drogą. Trochę za wysoki, lecz kiedy go kładę na boku, mogę zajrzeć przez płot. Jeśli Antje dbała kiedyś o ogród, to widać, że już nie żyje od paru lat. Żadnego kwiatka, same chwasty. Nawet góry usypanej ziemi są nimi porośnięte. Czyżby to były klomby? Mają tę samą wysokość. Wszędzie nieporządek.

Przejeżdża chłopiec na rowerze, przygląda mi się zdumiony, kiedy zeskakuję na dół. Ustawiam kontener z powrotem. Uśmiecham się do chłopca i wracam do samochodu. Swędzą mnie ramiona i łydki. Drapię, pojawiają się czerwone plamy. Najchętniej wróciłabym do domu, weszła pod prysznic i splukała z siebie kocią sierść. Ale nie w tej chwili. Muszę jeszcze coś załatwić.

Wzdycham zrezygnowana; nawet powietrze wpadające przez okna nie przewiewa kociej woni. Odjeżdżam.

- Powinna była pani nas uprzedzić - mówi surowo redaktorka z „Heldersche Courant”.

- Przygotowalibyśmy te dokumenty.

- Bardzo mi przykro. Nie pomyślałam. Czy nie mogłabym ich teraz zobaczyć? Specjalnie przyjechałam po nie z Amsterdamu - mówię.

Kobieta spokojnie bierze za słuchawkę.

- Niek, czy nie mógłbyś przysłać na górę teczek z wycinkami o zaginionych? Jeśli pani może kwadrans poczekać... - zwraca się do mnie, wysłuchawszy odpowiedzi kolegi.

- Naturalnie, wyjdę na papierosa. Gdyby pani była uprzejma mnie zawołać.

Spogląda na mnie, dając mi do zrozumienia, że ma jeszcze coś innego do roboty, jednak przytakuje. Wychodzę. Zapalam papierosa. Usiłuję oczyścić spódnicę z kociej sierści. Po dziesięciu minutach ktoś puka do okna. Idę za kobietą do pomieszczenia z długimi rzędami teczek archiwalnych. Z boku stoją stoły, na których można je rozłożyć. Młody człowiek wskazuje na leżącą na jednym z nich opasłą teczkę.

- Oto wycinki. Zaginięcia minionych dwudziestu lat.

Dziękuję i zasiadam za stołem. Zostaję sama. Otwieram kartonową oprawę. Dociera do mnie zapach farby drukarskiej i butwiejącego papieru. Przerzucam poźółkłe wycinki.

Znaleziono zamordowaną dziewczynkę Brak śladu po szesnastoletniej AnneSophie Liset, gdzie jesteś?

Wzruszający apel rodziców zaginionej dziewczynki.

Czytam wszystkie. Większość dotyczy dalekiej przeszłości. Uderza mnie jednak wspólna im atmosfera paniki i bezradność wobec trudnej do pojęcia sytuacji. Przyglądam się uśmiechniętym twarzom na zdjęciach, fryzurom, które wyszły z mody, i młodzieńczej bez trosce.

Od roku 0 zaginęło dziesięć dziewczynek, w samym Den Helder i okolicach trzy. Czterech nigdy nie znaleziono, reszta została zamordowana. Zgwałcona i uduszona. Znaleziono tylko jednego zabójcę: latem 7 roku Sjaak van Vliet zgwałcił i udusił na wydmach w Callantsoog szesnastoletnią wówczas Rosalie Moosdijk. Sprawcę schwytano po pół roku intensywnych poszukiwań. Przyznał się do zabójstwa. Przypominam to sobie, ale jakim cudem? Chyba coś o nim ostatnio czytałam. Zamyślam się. Już wiem: na stronie internetowej o Isabel zamieszczono artykuł o Sjaaku van Vlicie.

Przeoglądam dalej. Wiem, czego się mogę spodziewać, czuję jednak zgrozę na widok czarnobiałej twarzy Isabel. Studiuję zdjęcie przez chwilę, wracam do artykułu o Rosalie.

Zaginęła latem 7 roku, chodziła do naszej szkoły. Czyżby istniał związek między jednym a drugim zaginięciem? Policja brała to pod uwagę. Świadczą o tym artykuły o Sjaaku van Vlicie na strome poświęconej Isabel. W końcu brakowało pewnie dowodów.

Odskakuję przestraszona na widok młodego człowieka. Nie zauważyłam, kiedy się zbliżył.

- Czy mogłabym skserować te wycinki? Najchętniej wszystkie.

Młody człowiek wskazuje mi stojącą w kącie kopiarkę.

- Dziesięć centów za stronę - mówi.

Zabieram się do kserowania. W domu wszystko sobie spokojnie przeczytam. To całkiem możliwe, że niektóre dziewczynki zostały napadnięte przez tego samego sprawcę. Być może uda mi się coś odnaleźć. Patrzą na wyskakujące z kopiarki kartki.

Policja wzywa mieszkańców do pomocy w poszukiwaniach Niny Zaginięcie Isabel zagadką dla policji Poszukiwania Liset utknęły w martwym punkcie.

Kopiarka pracuje, przeglądam artykuły. To zastanawiające, że trzy z zaginionych dziewczynek chodziły do mojej szkoły: Nina, Lydia i Isabel. Pozostałe pochodziły z północy Holandii. To znaczy, że sprawca mieszkał w tej okolicy. Chowam kartki do torebki. Kieruję się ku wyjściu i mam wrażenie, że kartki parzą mnie, podpowiadając rozwiązanie.

22

Wyjechałam z Den Helder, nawet tego sobie nie uświadamiając. Odruchowo chcę nacisnąć pedał hamulca, ale w ostatniej chwili się rozmyślam. Patrzą w lusterko wsteczne. Nikogo za mną nie ma; nikt nie nadjeżdża z przeciwka. Czas na szybkie działanie.

Zwalniam, gwałtownym ruchem skręcam kierownicę, zawracam. Kołami zahaczam o pobocze, jadę jednak z powrotem do Den Helder.

Wyłączam dudniące radio, usiłuję uporządkować myśli. Głowa mi pęka. Czuję, jak krew pulsuje mi w skroniach. Mój Boże, i ja byłam w tym domu! Pytałam o Isabel, a potem jeszcze rozmawiałam o byle czym. A on mi na to pozwolił! Czyżby naprawdę zapomniał? Czyżby to mnie miało uwolnić od męczących myśli?

Oblewam się zimnym potem. Nie potrafię sama tego rozwiązać. Muszę iść na policję. Choć wcale się do tego nie rwę, tym razem chcę ich poinformować. Najpierw jednak trzeba coś sprawdzić.

Znowu parkuję samochód w wąskiej uliczce, tym razem dalej, tak by go nikt nie zauważył. Dzwonię pod numer siedem. Otwiera starsza pani, sąsiadka pana Groesbeeka, o

sympatycznej twarzy babci. Na pewno ma wnuki, które rozpieszcza, albo w każdym razie bardzo chciałaby je mieć.

Starsza pani patrzy z pytaniem w oczach:

- Słucham?

Spoglądam na szyld na drzwiach.

- Pani Takens? - Uśmiecham się przeproszająco. - Właśnie odwiedziłam pani sąsiada, pana Groesbeeka. Był woźnym w mojej szkole, a ja zbieram historyjki z tamtych czasów.

- To bardzo miłe - odzywa się spontanicznie pani Takens.

- Chciałabym napisać coś o panu Groesbeeku. Wielu kolegów i koleżanek dobrze go pamięta. Miło byłoby wiedzieć, jak mu się teraz żyje.

- Nic pani nie opowiem - odpowiada zdecydowanie pani Takens.

- Jeśli Joop będzie sam chciał coś opowiedzieć, to opowie. Nie przyłożę ręki do rozgłaszania plotek.

- Ależ to nie o to chodzi! Pan Groesbeek wiele mi opowiedział. Mam na myśli jego koty. Ma ich tyle!

Pani Takens reaguje mniej entuzjastycznie.

- Uznałam to za oryginalne, że noszą imiona byłych uczennic. Wyjątkowo oryginalne! Chciałam je wymienić w moim artykule.

- Pani wymaga ode mnie, bym znała imiona jego kotów? Dlaczego pani nie zapyta sama?

- Pan Groesbeek zasnął. Musieliśmy przerwać rozmowę, bo był bardzo zmęczony. Nie chciałam mu przeszkadzać. Sądziłam, że pani, jako sąsiadka, będzie znała ich imiona. Wydaje mi się, że jednego z nich nazwał Nina?

- Tak, jest jeszcze Anne, Lydie i Belle.

- Belle? - Wyjmuję z torebki notesik. Szybko zapisuję imiona.

- Więcej nie pamiętam. Ma ich tyle - zamyśla się pani Takens.

- Co wieczór je woła; jest jeszcze Roos, ale ostatniego naprawdę nie pamiętam.

- Nie szkodzi, zadzwonię jeszcze do pana Groesbeeka. Bardzo serdecznie pani dziękuję.

- Miło mi było. Powodzenia! - Pani Takens uśmiecha się i zamyka drzwi.

W samochodzie czytam uważnie kopie wycinków prasowych. Nie wszystkie tytuły wymieniają imiona dziewczynek; pojawiają się one w tekście. Przepisuję je obok tych, które mam już w notesiku.

Zaraz potem odjeżdżam w kierunku komisariatu policji.

Posterunek zniknął. Znajdował się dawniej w centrum. Byłam tam kiedyś, zameldować, że skradziono mi rower podczas jarmarku. Stał zresztą zaparkowany tuż przy komisariacie. Widzę siebie, jak z Lisą wchodzimy do środka. Na tablicy informacyjnej w poczekalni wisi zdjęcie Isabel na plakacie, a obok zdjęcia innych zaginionych.

Lisę poznałam w czwartej klasie liceum, następnego roku po zniknięciu Isabel. Usiadła koło mnie i od razu zostałyśmy przyjaciółkami. W tej klasie mogłam wreszcie odetchnąć; nie było już grupy narzucającej reguły zachowania. Rok bez dogryzania i nieprzyjemności z powodu Isabel zupełnie mnie zmienił. Tamta paczka bez dowodzącej nią Isabel nie miała powodu dręczyć mnie dalej.

Kiedy jesteśmy młodzi, nosimy w sobie wiele osobowości, ale tylko jedną z nich zgadzamy się zaprezentować otoczeniu. Wszystkie inne trzymamy ukryte, a okoliczności umożliwiają nam wybrać tę jedną. Całymi latami byłam Sabinę numer jeden, która nie dopuszczała do głosu Sabinę numer dwa. Choć ta druga rozpaczliwie domagała się uznania. Ta druga Sabinę ruszyła do akcji w czwartej klasie liceum i przytłumiła Sabinę numer jeden. Arogancka w klasie, w stosunku do nauczycieli swobodna, na granicy bezczelności - nawet jeśli jej zachowanie było przez nich tolerowane - ekstrawertyczka, wesoła i żywa, Sabinę numer dwa była bardzo lubiana. Lisa podobnie. Stanowiłyśmy dobraną parę. W połowie ostatniego roku Lisa przeprowadziła się i nasz kontakt osłabł. W chwili obecnej noszę w sobie coś z jednej i drugiej Sabinę.

Jeżdżę dookoła, wreszcie widzę przechodnia, otwieram okno i pytam:

- Gdzie mogę znaleźć posterunek policji?

Kobieta w średnim wieku pochyła się ku mnie.

- Na Bastiondreef. To kawałek drogi!

Wyjaśnia mi, jak mam tam dojechać. Dziękuję i zawracam. Znam Bastiondreef. Leży niedaleko od Lange Vliet. Po dziesięciu minutach parkuję samochód przy wyjątkowo ładnym budynku.

Przyglądam się harmonijnej sylwetce, po czym wchodzę do środka. Nie ma tłoku. Przede mną czeka mężczyzna, który chce zgłosić stłuczkę. Cierpliwie czekam, słuchając dokładnego opisu, gdy tymczasem przywołuje mnie inna policjantka. Podchodzę do kontuaru.

- Chciałabym złożyć doniesienie - mówię. Policjantka wyciąga formularz.

- W związku z czym?

- To może zabrzmie dziwnie, ale chodzi mi o Isabel Hartman i jej zaginięcie przed dziewięcioma laty. Czy to nazwisko coś pani mówi?

Policjantka potakuje, przyglądając mi się badawczo.

- Chodziłam tutaj do szkoły - mówię dalej. - Do jednej klasy z Isabel. Zaginęła już dawno, wydaje mi się jednak, że znam nowe szczegóły.

Policjantka, jej koleżanka i mężczyzna patrzą na mnie. Ja na nich.

- Fabienne, czy nie pamiętasz, kto swego czasu zajmował się sprawą Isabel?

- Rolf - odpowiada Fabienne.

- Czy może pani chwilę poczekać? - pyta policjantka.

Kiwam głową i odchodzę na bok. Po jakimś czasie policjantka przywołuje mnie ruchem dłoni. Otwiera drzwi, prosząc bym poczekała tu na pana Hartoga, który pojawi się wkrótce wraz z dokumentami.

Zadowolona, siadam i czekam.

Po chwili drzwi się otwierają i wchodzi inspektor. W każdym razie zakładam, że to inspektor Rolf Hartog, który zajmował się sprawą Isabel. Jest wysokim brunetem z nieprzyjemnymi wypryskami na karku. Na pewno niezonatym. W przeciwnym razie nie nosiłby zielonego krawatu gryzącego się z jasnoniebieską koszulą. Trzyma w ręku plik dokumentów. Drugą rękę wyciąga ku mnie:

- Rolf Hartog. Z kim mam przyjemność?

- Sabinę Kroese.

- Nie mogę pani podsunąć krzesła, ponieważ już pani siedzi. - Śmieje się z własnego żartu. Wtóruję mu.

- Może kawy?

- Chętnie.

Kładzie dokumenty na stole i wychodzi. Nie ma go przez dłuższą chwilę; zaczynam żałować tej kawy. Przyglądam się dokumentom. Wyciągam po nie rękę, kiedy drzwi się otwierają.

- Przykro mi, że to tak długo trwało, ale termos był pusty. - Wchodzi, postukując filiżankami. Stawia je na stole i siada naprzeciw mnie.

- Czyli pani, panno Kroese, twierdzi, że zna pani nowe szczegóły dotyczące zaginięcia Isabel Hartman?

- Być może są to nowe szczegóły - poprawiam. - Wydają mi się ważne, dlatego chcę panu o nich donieść.

- Słucham z zainteresowaniem. Przed chwilą przejrzałem jeszcze całą teczkę, choć dobrze ją znam. Pani twierdzi, że była zaprzyjaźniona z Isabel Hartman; nigdzie jednak nie napotkałem pani nazwiska.

- Nie byliśmy zaprzyjaźnione; chodziłyśmy do jednej klasy. Kiedyś, dawniej, można było o nas powiedzieć: przyjaciółki, ale nasze drogi się rozeszły; wie pan, jak to bywa. W szkole podstawowej byłyśmy nierozłączne, w szkole średniej już nie. W momencie, w którym zniknęła, nie miałyśmy ze sobą kontaktu. Mimo to jej zaginięcie poruszyło mnie do głębi. Tak długo się znałyśmy...

Hartog kiwa głową.

- Rozumiem.

- Wkrótce odbędzie się spotkanie klasowe; być może to powód, dla którego tak mnie zajmuje Isabel. Widzę ją w snach; przypominam sobie sprawy, które wymazałam z pamięci. Dlatego też zapewne przypomniał mi się pan Groesbeek.

Patrzę badawczo na Hartoga, lecz ten nie zmienia wyrazu twarzy.

- Zastanawiam się, czy pan Groesbeek był kiedykolwiek przesłuchiwany?

- Tak. - Hartog nawet nie musi zaglądać do dokumentów.

- Przyniosło to cokolwiek?

- Panno Kroese, jakie nowe szczegóły chce mi pani zakomunikować?

- To ma coś wspólnego z panem Groesbeekiem. Był woźnym w naszej szkole. Porządny, ale dziwny człowiek, głośny i grubiański, i...

- Waham się chwilę, lecz Hartog zachęca do dalszego opowiadania.

- Był trochę inny niż wszyscy. Nie wiedziałam, czy mogę się przy nim czuć bezpieczna, kiedy byłam z nim sama, rozumie pan. Nie obmacywał nas, zawsze jednak prawie do tego dochodziło. Miał zwyczaj odwozić uczniów do domu w czasie złej pogody.

Zapada cisza. Hartog pokasłuje, przysłaniając usta dłonią.

- Wiemy o tym. To był też powód, dla którego przesłuchiwaliśmy go. Pan Groesbeek oświadczył, że w dniu zniknięcia Isabel nie wyjeżdżał ze szkoły. Nauczyciele i uczniowie potwierdzili to.

- Pan Groesbeek raz po raz opuszczał główny budynek szkolny. Jeździł w różne miejsca furgonetką. Nie zawsze siedział w swoim pokoiku. Trudno było stwierdzić, gdzie się akurat znajduje.

Hartog czyta uważnie w papierach.

- Isabel Hartman wyszła ze szkoły o drugiej dziesiątej. Pomiędzy drugą a trzecią pan Groesbeek był w szkole. Potwierdza to wielu świadków.

- Gdzieś w budynku, to znaczy nie w jednym miejscu. W pewnym momencie mógł wyjść na zewnątrz.

Hartog opiera się wygodniej, przeciąga, jakby był bardzo zmęczony. Zamyka teczkę, wzdycha.

- Panno Kroese, jakie są pani informacje?

Nagle patrzy na mnie w skupieniu. Zmęczenie znika w mgnieniu oka; wstępuje w niego nowa energia. Opiera się łokciami o stół i pochyla w moim kierunku.

- Isabel jechała na rowerze z Miijam Visser - odpowiadam. - Byłam pewna, że pojedzie z nią do domu Miijam, która mieszkała na Jan Verfailleweg. Nie wiem dokładnie, pod jakim numerem. Isabel jednak pojechała dalej w kierunku Ciemnych Wydm. Była tam umówiona przy kawiarence.

Hartog pyta z zaciekawieniem:

- Czy wie pani, z kim była umówiona?

- Niestety nie, skręciłam wcześniej. Nie miałam ochoty wracać razem z Isabel.

Hartog przygląda mi się przez chwilę w milczeniu. Otwiera znowu teczkę. Czyta. Zaglądam mu przez ramię. Dostrzegam parę razy nazwisko Miijam Visser.

- Byliśmy przekonani, że Miijam Visser widziała Isabel ostatnia. W rzeczywistości była to pani.

- Nie, to była ta osoba, z którą była umówiona.

- Oczywiście jeśli przyjmiemy hipotezę zabójstwa - zaznacza Hartog. - Czy widziała pani między wół do trzeciej a trzecią znajome twarze przy kawiarence?

Zaprzeczam.

- Nie było mnie tam; skręciłam na skrzyżowaniu.

Hartog wyjmuje długopis.

- Na jakim skrzyżowaniu?

- Jan Verfailleweg i Seringenlaan. Tam skręciłam.

Hartog notuje.

- Kogo tam pani widziała?

- Raczej, co widziałam. Zieloną, bardzo zakurzoną furgonetkę. Dokładnie taką, jaką jeździł pan Groesbeek.

Hartog przegląda dokumenty.

- O której godzinie była pani przy skrzyżowaniu?

- Skąd mam wiedzieć! To już minęło dziewięć lat. Pamiętam tylko, że wyjechałam ze szkoły od razu po lekcjach. Nie za szybko, musiało być pewnie wół do trzeciej, kiedy tam czekałyśmy.

Hartog zagląda do papierów.

- W tamtej chwili pan Groesbeek wynosił puste termosy po kawie z sali gimnastycznej, w której odbywały się egzaminy.

- Nie może mnie pan przyłapywać na takich drobiazgach. Mógł potem wyjechać. Przypominam sobie, że mnie wyprzedził.

- Dziękuję pani bardzo, panno Kroese. Na pewno wykorzystamy pani informacje. Wiemy, w jakim kierunku pojechała Isabel. To może być ważne.

W jego głosie nie słychać wcale przekonania, że może to być ważne.

- To nie jest sprawa, z którą do pana przyszedłem.

Hartog obejmuje teczkę obiema rękoma.

- A z czym pani przyszedła?

- Pan Groesbeek ma sześć kotów.

Hartog patrzy pytająco.

- Sześć kotów. Byłam dziś u niego, stąd tyle sierści na moim ubraniu.

Hartog czyni niecierpliwy ruch ręką, chce coś powiedzieć, ale go uprzedzam.

- Większość ludzi daje swoim kotom stereotypowe imiona, jak Kicia albo Psotek, rozumie pan. Pan Groesbeek jest oryginalny. Bardziej, niż można by się po nim spodziewać. Nazwał swoje koty zupełnie inaczej...

Hartog ma minę człowieka, który od lat wysłuchuje najbardziej niesamowitych historii i niewiele pozostało mu już cierpliwości, by słuchać kolejnych.

- Panno Kroese...

- Chwileczkę. - Wyjmuję notesik, choć znam te imiona na pamięć.

- Oto imiona kotów: Nina, Lies, Anne, Lydie, Roos i Belle.

Wyjmuję także plik skserowanych kartek i podsuwam je inspektorowi. Imiona dziewcząt, które stały się ofiarami przestępstwa, brzmią: Nina, Liset, Anne Sophie, Lydia, Rosalie i Isabel...

Hartog patrzy na kartki, lecz ich nie dotyka. Zna te imiona; odczytuję to w jego spojrzeniu.

- Ma pani dar spostrzegawczości - stwierdza po chwili milczenia. - To oczywiście nic nie znaczy.

- Nic nie znaczy? Pan Grosbeek nadał swoim kotom imiona ofiar, a w każdym razie podobne!

- To nie jest karalne.

- Oczywiście, że nie jest karalne, ale za bardzo się rzuca w oczy.

- Prostuję się. - Co pan zamierza zrobić?

- Niech pani posłucha. Niewiele mogę zrobić. Nie jest zabronione nadawać zwierzętom domowym imiona osób, które pojawiły się w wiadomościach. To być może się rzuca w oczy, jak pani słusznie zauważyła, lecz w gruncie rzeczy nic nie znaczy. Ludzie często reagują w ten sposób na podobne wiadomości. Najczęściej starsi. Nie mają wiele więcej do roboty niż siedzieć przed telewizorem i w ten sposób dowiadywać się, o tym, co się dzieje wokół nich. Często to jedyny ich kontakt ze światem, od którego czują się odcięci.

- Panie Hartog, Isabel zaginęła dziewięć lat temu. Lydia van den Broek pięć lat temu. Inne zaginięcia zdarzyły się jeszcze wcześniej. Gdyby tu chodziło o sprawy bardzo świeże, mogłabym przyznać panu rację, ale w tym przypadku...

- Roos odnosi się według pani do Rosalie - przerywa mi Hartog.

- To jedyne podobne imię. Rosalie Moosdijk została znaleziona w miesiąc po zaginięciu.

- Wiem. Martwa. Udużona przez niejakiego Sjaaka van Vlieta.

- Jest pani dobrze poinformowana. - Hartog marszczy czoło.

- W takim razie powinna pani wiedzieć, że pan Groesbeek nie ma z tym nic wspólnego. Sjaak van Vliet przyznał się do zabójstwa.

- Być może nie działał sam - usiłuję oponować. - Tylko Rosalie została odnaleziona. Jeżeli van Vliet jest sprawcą także w innych przypadkach, to najprawdopodobniej nie działał sam. Musiał mieć współnika. Kogoś, kto miał dostęp do dziewcząt w tym wieku, kto mógł je zwabić do swojej furgonetki, nie wzbudzając podejrzeń.

Przesuwam się coraz bardziej na brzeg krzesła.

- To wszystko są domysły - przerywa mi Hartog.

- Czyżby śledztwo nie zaczynało się od domysłów? Coś chyba ma pan do zbadania? - pytam rozczarowana.

Hartog spogląda ukradkiem na zegarek.

- Poszukiwania zaginionych przyciągają powszechną uwagę, panno Kroese. Swego czasu wywołały wielkie poruszenie. Ponadto często się pojawiają w telewizji programy, które przypominają te wydarzenia, i to jeszcze parę razy do roku. Wielu ludzi je ogląda, szczególnie starsi, chyba już wspominałem. To się zdarza częściej, niż się pani wydaje.

Przez chwilę nic nie mówię. Dopijam kawę, zamyślam się. Rosalie Moosdijk chodziła do innej szkoły, lecz została zamordowana w Callantsoog, gdzie mieszkał Groesbeek. Czy istnieje związek między jednym a drugim, czy on po prostu tak bardzo przeżył ten fakt? Tak intensywnie, że nadał kotu jej imię? Całkiem możliwe, że znał Rosalie. A inne dziewczynki, które nie pochodziły z Callantsoog i nie chodziły do naszej szkoły?

- Musi być coś wspólnego! - powtarzam uparcie, dzieląc się z Hartogiem swoimi myślami. - Być może zdarza się to często. Mimo wszystko uważam to za nienormalne, że nadał swoim kotom imiona zaginionych dziewcząt. Połowa z dziewcząt chodziła do naszej szkoły!

- Dla mnie to także dziwne. Nie mogę jednak podejrzewać tego człowieka o przestępstwo. - Inspektor wypowiada te słowa tonem uprzejmym, lecz zdecydowanym, oczekując końca męczącej rozmowy.

- Być może miał udział w zbrodni. Może pan sprawdzić, czy nie ma czegoś wspólnego z Sjaakiem van Vlietem? - nalegam. - Wiem, co pan jeszcze może zrobić. Rozkopać ogród pana Groesbeeka. Ma tam dziwnie usypane kopce.

Hartog nie odpowiada. Patrzy tylko na mnie, jakby nie spotkał jeszcze kogoś podobnego. - Na pewno weźmiemy to pod uwagę, panno Kroese, ale niech się pani nie spodziewa zbyt wiele.

- W jaki sposób chce pan to wziąć pod uwagę?

Hartog składa ręce w geście poddania.

- Porozmawiamy z panem Groesbeekiem.

- Czy to nie wystarczający powód, by zrobić rewizję w jego domu? - Nie daję za wygraną. - Nie rozkopie pan jego ogrodu?

- Obawiam się, że nie.

- Pan Groesbeek zapomina już wiele szczegółów. Rozmowa nie wiele przyniesie - ostrzegam.

- Obawiam się, że więcej nie możemy w tej sprawie zrobić - od powiada Hartog spokojnie.

23

Widzę, że do moich drzwi puka Olaf. Dziś są Zielone Świątki. Parkuję w uliczce obok domu po przedpołudniu spędzonym z Jeanine w kawiarni. Dostrzegam go z daleka, wesoło trąbię. Olaf zbliża się do samochodu, czeka, aż zaparkuję.

- Cześć - woła, ledwie otworzyłam drzwi.

- Cześć - odpowiadam zdziwiona.

- Co za przypadek! Nie było mnie w domu całe przedpołudnie.

- Wiem. Próbowaliśmy się z tobą spotkać wielokrotnie.

- Dlaczego nie zadzwoniłeś?

- Dzwoniłem, masz jednak wyłączoną komórkę.

- Wyłączoną? - Wyjmuję komórkę z torebki. - Rzeczywiście! Gapa ze mnie! - Śmieję się, otwierając drzwi, lecz Olaf patrzy na mnie surowo.

- Co się dzieje? - pytam zdziwiona.

- Nic - odburkuje, pchając drzwi. Wchodzi schodami przede mną.

- Nie sądzisz chyba, że umyślnie wyłączyłam telefon. Dlaczego miałabym to robić? - pytam zza jego pleców.

- Nie wiem, może chciałaś spędzić ten dzień sama? - mówi dalej Olaf mało przyjaznym tonem.

Nie wiem, co mam odpowiedzieć. Z jednej strony uważam jego zazdrosny ton za zabawny, z drugiej strony irytuje mnie on. Otwieram drzwi mieszkania, rzucając torebkę na krzesło.

- Chcesz się czegoś napić?

W odpowiedzi wyciąga ramiona i przygarnia mnie ku sobie. W uścisku przygląda mi się.

- Sabinę, czy między nami wszystko w porządku?

Patrzę z pytaniem w oczach.

Jego oczy są blisko moich. Jego oddech łączy się z moim. Uścisk wokół talii dusi mnie.

- Oczywiście - odpowiadam zdumiona.

Olaf oddycha szybciej. Pochyla się nade mną i całuje mnie. Nie jest to przyjemny pocałunek. Zbyt mocny, zbyt agresywny. Kiedy powoli, lecz stanowczo kieruje mnie ku sypialni, odpycham go. Posyła mi spojrzenie pełne złości. Nagle robi mi się nieswojo.

- Chcesz się czegoś napić? - proponuję niepewnie.

- Nie. - Lekkim pchnięciem kieruje mnie do sypialni i rozpina mi biustonosz pod bluzką. Odsuwam go.

- Nie mam ochoty. Mam za sobą ciężki dzień. Napijmy się czegoś, pooglądajmy telewizję.

Rozgniewany popycha mnie. Upadam na łóżko.

- O co chodzi? - cedzi przez zęby.

- O nic. Jestem po prostu zmęczona. Nie możesz mnie po prostu pocałować? Otwórzmy butelkę.

Najchętniej bym go wyprosiła. Coś jednak w jego oczach powstrzymuje mnie.

Olaf przygląda mi się przez dłuższą chwilę. - W porządku - mówi.

Podnoszę się z łóżka i idę do kuchni. Męcę się z korkociągiem. Moje myśli tymczasem krążą wokół jego dziwnego zachowania. Dochodzę do wniosku, że jest po prostu zazdrosny. Boi się zostać odrzucony, ponieważ nie było mnie cały dzień i wyłączyłam telefon. Coś podobnego!

Zdenerwowana, wyciągam korek z butelki i wracam do dużego pokoju. Olaf postawił dwa kieliszki na stoliku. Siedzi rozparty na kanapie. Ciągle jeszcze patrzy zły. Mam ochotę usiąść gdzie indziej, ale nie czynię tego, tylko opadam na kanapę i daję się całować. Teraz znowu jest ciepły i miły, lecz mnie jest się trudno przestawić. Delikatnie go odsuwam i napełniam kieliszki.

Wino zniknęło. Olaf ma już lepszy humor, przytula się do mnie senny.

- Wiesz, czasem chciałbym wierzyć w Boga - mówi jakoś niejednoznacznie.

- Co ci nagle przyszło do głowy? - pytam ze zdziwieniem.

- A, tak jakoś.

- Dlaczego chciałbyś wierzyć w Boga?

- Ponieważ religia katolicka daje oparcie i zapewnia odpuszczenie grzechów.

Odbija mu się. Ponurym wzrokiem patrzy przed siebie.

- A jakie to straszne grzechy miałyby ci zostać odpuszczone? - pytam rozbawiona.

Nie odpowiada. Wyjmuje pudełko papierosów, zapala i wydmuchuje dym pod sufit. Nie znoszę dymu w mieszkaniu. Sama palę, lecz wychodzę zawsze na balkon lub idę do knajpy. To nie jest jednak odpowiedni moment, by go strofować. Znoszę cierpliwie smród tytoniu i patrzę na niego z uśmiechem.

- No to powiedz, jaką to straszną tajemnicę przede mną ukrywasz?

Olaf wzdycha głęboko i wyznaje: - Zrobiłem coś strasznego.

- Co takiego? - pytam zaciekawiona.

Potrząsa głową i odwraca wzrok.

- Każdy z nas uczynił coś, czego później żałuje - rzucam od niechcienia.

- No właśnie, tylko że ja nie żałuję - wyznaje Olaf.

- Ciekawe. - Czuję się lekko zdezorientowana. - W takim razie nie masz nad czym rozmyślać, nawet jeśli to było straszne.

- Wiesz, Sabinę, czasami robimy coś, czego skutków nie umiemy przewidzieć. Coś, co może się źle skończyć, czego nie powinniśmy byli zaczynać. Nikt nie zdoła zrozumieć, że nasze zamiary były zupełnie inne. Nikt. Sprawa jest zbyt poważna.

Czuję zimno rozchodzące się po nogach, potem po całym ciele. Na rękach pojawia mi się gęsia skórka.

Olaf odwraca się do mnie, odsuwa palcem lok, który spadł mi na czoło.

- Nikt, poza tobą. Ty byś zrozumiała - mówi delikatnie.

Nie odpowiadam. Przyglądam mu się tylko z rosnącym przestraczem. Nie chcę, by siedział tak blisko mnie, blokując mi odwrót. Nie chcę, by jego twarz była tak blisko mojej. Nie chcę jego pocałunków. Nie chcę jego pieszczot. O co mu chodzi, na miłość boską? Co takiego straszego uczynił? I czyja muszę o tym wiedzieć?

- Muszę już wracać - mówi niespodziewanie. Wstaje, idzie do ubikacji i siusia, nie zamykając drzwi. Chcę wstać, by odprowadzić go do drzwi. Nie podnoszę się jednak. Być może odebrałby to jako niestosowne; jakbym chciała się go wreszcie pozbyć. Siedzę więc nonszalancko na kanapie i wlewam sobie do kieliszka ostatnią kroplę wina. Olaf czeka w korytarzu.

- No to widzimy się jutro w pracy - mówię nienaturalnie wesołym tonem.

- Jutro jest drugi dzień Zielonych Świątek.

- To miło, dzień wolny.

- Masz jakieś plany? - pyta Olaf.

- Jeszcze nie wiem. Wyspać się - odpowiadam niewyraźnie.

- A potem?

- Potem możemy się umówić - proponuję niepewnie.

- Zobaczymy. Zadzwoń do ciebie, okay?

- Dobrze.

Wstaję z kieliszkiem w dłoni. Olaf całuje mnie, wychodzi. Zamknąwszy za nim drzwi, oddycham głęboko z ulgą. Zastanawiam się, co takiego straszego ma na sumieniu.

24

Nie dzwoni. Cały poniedziałek czekam na jego telefon. We wtorek w słońcu jadę rowerem do pracy. Ledwie przekraczam próg, rozmowy cichną.

Renée, Margot nawet Zinzy patrzą na mnie jak przyłapanie na gorącym uczynku. Nic nie mówiąc, przyglądam się to jednej, to drugiej. Kiedy mam wreszcie wolną chwilę, spokojnie i pewnie wychodzę na korytarz po kawę. Natychmiast pojawia się Zinzy.

- Nie brałam udziału w tych plotkach, naprawdę - mówi poważnie. - Nie chciałabym, żebyś tak sobie pomyślała tylko dlatego, że zauważyłaś mnie, jak stałam obrócona w ich kierunku.

- Okay - odpowiadam. Mówiąc szczerze, nie wiem, co na ten temat sądzić. Tłumaczę to sobie tak, że Zinzy nie ma odwagi publicznie mnie bronić. Ja bym się po prostu odwróciła i

pracowała dalej. Nie patrzę Zinzy w oczy i oznajmiam, że idę jeszcze po ciastko do automatu ze słodyczami.

W drodze do windy napotykam Ellis Ruygveen z działu personalnego.

- Wyglądasz na zadowoloną - mówi Ellis z uśmiechem.

Sama przymuszam się do uśmiechu.

- Ciągle jeszcze problemy z Renée? - pyta.

Spoglądam zdumiona.

- Wouter opowiadał o tym Janowi.

Jan Lighart jest szefem działu personalnego. Czyli tam też o tym wiedzą. Odwracam się niechętnie.

- Hej, głowa do góry! Nie wszyscy lubią Renée tak jak twój szef - mówi Ellis, próbując dodać mi otuchy. - Ubiegała się o pracę w naszym dziale, ale nie zrobiła na mnie dobrego wrażenia.

- Ubiegała się o pracę?

- Jestem w ciąży - śmiejąc się, odpowiada Ellis.

Ogarniam ją spojrzeniem. Rzeczywiście, ma zaokrąglony brzuch.

- Chciałabym przejść na pół etatu, a ponieważ i tak potrzebujemy nowego pracownika, trzeba zatrudnić kogoś na cały etat.

- I o to stanowisko ubiega się Renée? - Odrywam się od drzwi windy i zciekawiona pochylam ku Ellis. - Myślisz, że je dostanie?

- Uchowaj Boże! Najchętniej pracowałabym z tobą. Nie chciałabyś napisać aplikacji? Krew uderza mi do głowy.

- Oczywiście, chętnie to uczynię!

- To napisz jeszcze dzisiaj. Renée jest bowiem jedynym nadającym się kandydatem. Oprócz ciebie.

- Tak bardzo to się znowu nie nadaję. Renée jest kierowniczką sekretariatu.

- Czego kierowniczką? Skąd to wymyśliłaś? - pyta Ellis. - Taka funkcja nie istnieje. To naprawdę cały Wouter, żeby coś podobnego wymyślić! Nieraz już tak robił, chcąc rzucić coś swoim pracownikom na przynętę.

Patrzemy na siebie. Dzień przestaje mi się dłużyć.

- Pracujesz z powrotem na pełnym etacie, więc trzeba by ponownie ustalić parę spraw - mówi Renée z rękoma splecionymi na biurku.

- Twoja postawa w pracy i zaangażowanie muszą się poprawić, musisz... Czy ty mnie słuchasz?

- O co chodzi? - pytam, podnosząc wzrok znad komputera.

- Powiedziałam, że twoja postawa w pracy musi się radykalnie zmienić. Ponadto uważam...

- Mam ochotę na kawę - obwieszczam, odsuwając krzesło. Renée zaniemówiła. Ze złośliwym zadowoleniem nalewam sobie kubeczek przy automacie w korytarzu. Kiedy wracam, zastaję Renée nieporuszoną.

- Sabine - mówi zimno. - Rozmawialiśmy.

- Nie, to nie była rozmowa. Usiłowałaś mi zmyć głowę. To coś zupełnie innego. Oficjalnie nie masz nade mną żadnej władzy, nie zamierzam więc ciebie wysłuchiwać. Pojmujesz?

Przysuwam krzesło i upijam łyk kawy.

Renée wstaje.

- Idę do Woutera - obwieszcza lodowatym tonem.

Śmieję się.

Już po szóstej, wszyscy się zbierają do domu, ja jeszcze się szwendam po biurze. Kiedy wreszcie zostaję sama, piszę aplikację i życiorys. Drukuję, usuwam z komputera, wkładam dwie kartki papieru do koperty i udaję się do działu personalnego. Ellis już nie ma. Jest jeszcze Jan. Widzę jego marynarkę, nie ma go jednak w pokoju. Kładę kopertę na klawiaturze jego komputera.

Wieczorem dzwonię do Olafa, o wszystkim mu opowiadając.

- Dostaniesz tę pracę, zobaczysz - mówi pewnym głosem.

- Skąd to przekonanie? - pytam z uśmiechem.

- Wybór między tobą i Renée jest zupełnie prosty. Nie obawiaj się, że ona ci przeszkodzi - oświadcza.

Staram się mu uwierzyć.

Pojawiają się teraz bezustannie: przebłyski, fragmenty wspomnień, obrazy z najciemniejszych zakamarków pamięci. Nachodzą mnie w najdziwniejszych momentach. Nie potrafię im się oprzeć. Zawsze je dotychczas odsuwałam, lecz teraz jestem starsza. Tyle już minęło czasu, muszę sobie z nimi dać radę.

Czuję wiatr we włosach. Ręce spoczywają na kierownicy roweru. Pedaluję jak szalona, słyszę siebie ledwie łapiącą oddech; czuję brak tlenu, ból w piersiach. Popycha mnie strach, podobny do niespodziewanego podmuchu wiatru. Nie ustępuję, już prawie padam. Przy każdym błysku przed oczyma naciskam mocniej na pedały.

Zastaję dom pusty. Nie ma motoroweru Robina ani samochodu. Mama pewnie pojechała do szpitala.

Wbiegam na górę do swojego pokoju. Strach nie może do mnie dotrzeć przez gęstą zasłonę, w którą się spowijam. Jednak uczucie lęku i przerażenia zagnieżdża się we mnie na dobre.

Chodzę w kółko, nie zdając sobie sprawy z obsesyjnego charakteru tego spaceru. Dopiero w chwili, kiedy znika zasłona i mój dziecięcy pokój, dostrzegam znajome mieszkanie i się zatrzymuję.

Wolno podchodzę do komody. Uważnie przyglądam się sobie w wiszącym nad nią, kupionym na pchlim targu lustrze.

Nie wyglądam na młodą kobietę, która nosi w sobie przygniatą tajemnicę. Chyba że spojrzę prosto w oczy, z których jakby uleciało życie. Oczy są lustrem, w których się przegląda dusza. Przyciskam nos do tafli i wpatruję się. Niebieskie oczy patrzą na mnie, nie zdradzając tajemnicy.

„Nie musimy rozwiązywać problemów, musimy znaleźć ich przyczynę - mawiała moja pani psycholog, kiedy byłam jej pacjentką. - Twoja podświadomość zna wszystkie odpowiedzi. Wszystko, co tobą kieruje, jest tam zapamiętane. Musisz sobie to po prostu uświadomić. Jestem pewna, że spoczywa w tobie coś ukrytego. Nie mogę tego z ciebie wydobyć. Na to sama musisz dać przyzwolenie”.

Swego czasu wysłuchałam tych słów bez większego zainteresowania, teraz przypominam sobie wszystkie, co do jednego. Bezradnie spoglądam dokoła. Moje mieszkanie nagle wydaje mi się przytłaczająco ciasne. Chwytam torebkę i zbiegam ze schodów. Odjeżdżam rowerem.

Jest ładnie i ciepło. Świeże powietrze i słońce przynoszą mi ukojenie. Znika uczucie bólu w piersiach. Hałas miasta brzmi znajomo i uspokajająco. Zsiadam z roweru przed biblioteką przy Prinsengracht, przypinam go na wszystkie trzy zamknięcia. Jeśli gdzieś mam znaleźć odpowiedź na moje pytania, to chyba tylko w tej bibliotece. Siedzę w dziale psychologii aż do zamknięcia. Kilka książek o funkcjonowaniu pamięci przeglądam na miejscu. Czytam, wybieram, kseruję, sporo zabieram ze sobą. Wracam rowerem do domu. Siadam na balkonie z filiżanką herbaty i zaczynam czytać. Gdzie się znajduje świadomość? - brzmi pierwszy tytuł. To pytanie też sobie zadaję. Czytam o korze mózgowej, o komórkach nerwowych, o półkulach mózgu. Najwidoczniej jednak nie można odpowiedzieć na to pytanie, pozostając tylko w dziedzinie biologii. Świadomość jest procesem neurologicznym. Jak utwór muzyczny, wykonywany w różnych miejscach - twierdzi amerykański neurolog

Antonio Damasio. Proszę sobie wyobrazić orkiestrę złożoną z wielu muzyków. Skąd dokładnie dochodzi muzyka?

To mnie tak bardzo nie interesuje. Kartkuję, szukając nurtującego mnie tematu.

Pamięć.

Zainteresowana, zaczynam dokładnie czytać.

Wspomnienia są tworam, które żyją i umierają wraz z nami. Uważajcie zatem na sformułowania w rodzaju: „Pamiętam, jakby to było wczoraj” - ostrzega psycholog Michael Ross.

To, że pamięć potrzebuje bodźca, wiedział już William James w dziewiętnastym wieku - czytam parę stron dalej. „Wyobraź sobie, że milczę przez chwilę, a potem się domagam: Przypomnij! Przywołaj!”.

Czy moja pamięć byłaby mi posłuszna i przywołała dowolny obraz z przeszłości? Na pewno nie. Moja pamięć wpatrzyłaby się przed siebie i zapytała: - A co w zasadzie chcesz, abym przywołała?

„Pamięć nie przypomina sobie niczego na zawołanie; reaguje jedynie na bodźce. Nie pytaj tego, kto sobie właśnie coś przypomniał, co naprowadziło go na ślad. Rzadko uda mu się nazwać ten dobrze ukryty znak, który go na ten ślad naprowadził”.

Przeoglądam dalej, lecz oczy zaczynają się ślizgać po zdaniach.

Jeśli zaczynamy szukać wspomnień, które odeszły w niepamięć, wступujemy w pewną domenę psychiki, nazwaną wyparciem. Termin wyparcia zakłada energię użytą przez świadomą jednostkę. Zwolennicy tej teorii wierzą, że możliwa jest obrona osoby świadomej przed emocjonalnie zbyt obciążającymi przeżyciami, dzięki eliminacji pewnych doznań i emocji.

Nasz stan ducha pozwala otwierać drzwi, lecz czasem je zamyka. To zjawisko nazywa się amnezją.

Pewna część pamięci, pamięć jawna, nie przypomina sobie tych doznań. Inna pamięć, nazywana ukrytą, funkcjonuje samodzielnie i przypomina o dramatycznym przeżyciu w formie snów lub stanów lękowych.

Wyparcie nie jest dobrowolnym wyborem. Jest wynikiem złożonej sytuacji, w której zarówno emocje, jak i doznania psychiczne i fizyczne przekraczają granice wytrzymałości. Nie decydujemy się świadomie usunąć jakiś obraz z pamięci; to się po prostu dzieje samo. Wyparcie chroni nas. Jest to sposób, w jaki nasza osobowość broni się przed czymś, czego nie potrafiłaby znieść”.

Wszystkie powyższe stwierdzenia i wnioski są udokumentowane prawdziwymi wydarzeniami. Czytam i jest mi coraz bardziej nieswojo. Odkładam książkę, biorę filiżankę ze stoliczka i piję łyk herbaty. Głęboko w sobie słyszę głos, który mi mówi, że przed laty zobowiązałam się do milczenia.

Nocą, leżąc w łóżku, sprawdzam swą pamięć. Zamykam oczy, otwierając się na wszystko, co miałabym w sobie wyprzeć. Nie udaje mi się. Mam wrażenie, jakby była we mnie ukryta jakaś zjawą, która macha do mnie, wskazując kierunek. Sprawia ona, że przez moment wydają się bliska celu. W ostatniej chwili jednak zjawą znika bez śladu.

Być może zdołałabym sobie coś przypomnieć, gdybym się bardziej postarała. Nie mam jednak odwagi. Za każdym razem, kiedy ciemności się rozjaśniają i pojawia się jakiś blask w przeszłości, wymykam się tchórzliwie swoim snom. Tym odkrywającym prawdę snom, które kończą się wraz z jutrenką, pozostawiając mnie zlaną potem.

Wstaję śmiertelnie zmęczona. Pada. Po gwałtownej ulewie zniknął upał minionych tygodni. Deszcz wyzwolił zapachy skwerów. Szybko wsiadam do samochodu, włączam wycieraczki, usiłując coś dojrzeć na drodze. Jestem trochę spóźniona. Wchodzę do banku, gdzie zastaję wszystkich otrzepujących płaszcze i parasole.

Przeglądam pocztę nieobecna. Nienawistne spojrzenia kolegów i koleżanek spływają po mnie jak krople deszczu po szybie. Spoglądam w swoją stronę, jakbym stała obok siebie. Widzę siebie samotną i odizolowaną. Moja psycholog nauczyła mnie pocieszać samą siebie. Radziła mi odszukiwać i wspierać tę samotną i nieszczęśliwą Sabinę, jaką byłam dawniej. Uczyniłam tak. Odszukałam tę dziewczynkę na ulicach Den Helder i na podwórku szkolnym.

A teraz widzę ją w przebieralni obok sali gimnastycznej. Bierze prysznic później niż inni, by zachować trochę intymności. Koleżanki ignorują ją jak zwykle, przebierają się, głośno rozmawiając. Nikogo już nie ma, kiedy ona się wychyla spod prysznicza i przemyka do przebieralni.

Na zewnątrz słychać gwar, jest przerwa. Za pięć minut zacznie się lekcja i pojawi się następna grupa na gimnastykę. Owinięta niewielkim ręcznikiem, usiłuje stłumić ogarniającą ją panikę. Oczyma przebiega drewniane ławki i wieszaki. Nie tylko koleżanki zniknęły, lecz także jej ubranie. Nie ma dżinsów ani białej kamizelki, ani kurtki, ani butów, brak nawet stroju gimnastycznego. Biegnie w panice do przebieralni, lecz nigdzie nie znajduje swego ubrania.

Wraca korytarzem do sali, woła nauczyciela. Nie ma odpowiedzi. W końcu wpada do pokoiku, gdzie przechowywane są piłki do koszykówki, kije hokejowe i rzeczy zagubione.

Grzebie wśród zapomnianych strojów gimnastycznych, wyciąga koszulkę i spodenki, które na szczęście pasują. Bez butów opuszcza szkołę bocznym wyjściem, co jest surowo wzbronione.

W tej chwili rozbrzmiewa dzwonek i podwórko pustoszeje. Biegnie do roweru i spostrzega swoje ubranie rozrzucone po podwórku. Podarte i podeptane, w błocie. Podnosi po kolei nową kurtkę, ulubione dżinsy, buty i pociętą białą kamizelkę.

Wkłada brudne ubranie, obserwowana z wielu okien. Wsiada na rower i odjeżdża. W domu nie ma nikogo. Wrzuca dżinsy do pralki. Szczotką czyści buty, namoczone w ciepłej wodzie z proszkiem. Przygląda się dziurom w białej kamizelce i rozdarciom w kurtce. Wyrzuca i kamizelkę, i kurtkę.

Wszystko powraca jak żywe.

Robin zabrał ją później na motorze do miasta, żeby jej kupić nową kurtkę. Brat pojawił się w domu niespodziewanie i zastał ją pochylającą się nad podartym ubraniem.

- Nie mów mamie - poprosiła, kiedy wrócili z miasta. - Ma teraz tyle kłopotów z tatą w szpitalu.

Skinął głową z napiętą twarzą i przygryzionymi wargami. Zamknęła się w swoim pokoju, położyła na łóżku, pytając siebie, w czym zawiniła, że Isabel tak jej nienawidzi. Nie potrafiła znaleźć przyczyny.

Do dziś nie mogę jej znaleźć. Najprawdopodobniej odznaczałam się bezbronnością, która czyniła ze mnie ofiarę. Paczka Isabel próbowała, na rozmaite sposoby, zranić mnie jak najmocniej. Nie stawiałam oporu. Zamykałam się w sobie coraz bardziej i próbowałam, kompletnie wyizolowana, przetrwać szkołę.

Do dziś coś mi staje w gardle, kiedy o tym myślę.

- Co byś powiedziała tej samotnej dziewczynce? - pytała mnie psycholog.

- Powiedziałabym, że to nie trwa wiecznie. Uspokoiłabym ją i pocieszyła.

- Uczynić to. Obejmij ją i przytul.

Czyniłam to wielokrotnie od tamtej chwili. Przynosiło ulgę. Nie od razu, lecz w danym momencie potrafiłam się oderwać od dziewczynki. Potrafiłam zobaczyć siebie jako inną, dojrzałą Sabinę, pocieszającą tę młodszą.

Teraz nie chcę już pocieszać. Domagam się odpowiedzi.

25

W biurze nie umiem się jeszcze skoncentrować. Muszę wrócić do Den Helder. Bez żadnych wyrzutów sumienia zwalniam się w południe pod pretekstem złego samopoczucia.

Bo i czuję się źle, wyczerpana wspomnieniami. To zadziwiające, jak wiele ich powraca. Mam wrażenie, jakby pojawił się magnes przyciągający jedno wspomnienie do drugiego.

Nie potrafię zatrzymać puszczonego filmu; nawet nie próbuję. Znam tę historię, domyślam się końca. Nie mam jednak pewności.

Zabieram ze stołówki kubek mocnej kawy, wyjmuję kluczyki i odjeżdżam. Usiłuję jak najspokojniej jechać w kierunku Den Helder. Mam włączone radio. Nucę cicho, mój głos brzmi niepewnie. Po godzinie jazdy jestem w centrum. Od razu jadę na plac Bernarda, wyjmuję radio, wkładam je do torebki i wychodzę. Na prawo znajduje się teatr Kampanje, naprzeciw biblioteka. Dawniej moje miejsce schronienia na długie i samotne wolne godziny. Wchodzę do znajomego budynku schodami na piętro, siadam przy stole i wyjmuję swój pamiętnik. Przewracam kartki, niektóre fragmenty czytam.

Po pewnym czasie dziewczynka pojawia się koło mnie.

- Musisz mi pomóc - proszę.

Przygląda mi się dużymi niebieskimi oczyma, nic nie mówiąc.

- Nie możesz wiecznie milczeć - naciskam.

Odwraca ode mnie wzrok.

- Widziałaś ją. Nie tam, na skrzyżowaniu, tylko później. Dlaczego to przemilczasz?

Dlaczego nie chcesz powiedzieć, co widziałaś?

Milczy. Blond włosy spadają jej na oczy.

- Może się trochę przejedziemy? - proponuję.

Jeździmy w kółko. Padało cały ranek teraz wychodzi słońce. W Den Helder panuje cisza. Miasto wygląda na wymarłe. Jest drugi czerwiec; wakacje jeszcze się nie zaczęły. Wszyscy siedzą zamknięci, to w klasach, to w biurach.

Jedziemy Middenweg w kierunku szkoły, mijamy rzędy błyszczących rowerów. Nie zatrzymuję się, jedziemy na Jana Verfailleweg. Zapala się czerwone światło, hamuję. Patrzę przed siebie, milczę. Milczy także dziewczynka. Usiłuję zagłębić się w jej myśli, dzielić jej wspomnienia.

- To było tutaj - mówi. - Tu stała furgonetka, a tam ja czekałam na rowerze. Isabel stała z przodu. Nie widziała mnie.

Przytakuję.

W chwilę później zapaliło się zielone światło. Isabel pojechała prosto. Furgonetka wyprzedziła ją, a ja skręciłam w prawo - opowiada dziewczynka.

- Isabel jechała najpierw w Seringelaan, a potem dalej, w kierunku Ciemnych Wydm - dodaję.

- Była umówiona na randkę - mówi dziewczynka.

Serce zaczyna mi szybciej bić, zamykam na chwilę oczy.

- Z kim była umówiona? - pytam lekko schrypniętym głosem.

- Nie wiem. Nie wymieniła żadnego imienia, a ja nikogo nie widziałam.

- Widziałaś jednak, jak wchodzili do lasu, śledziłaś ich - mówię z naciskiem.

Dziewczynka się odwraca.

- Ależ nie, skąd ci to przyszło do głowy? - broni się.

- Możesz mi to opowiedzieć - mówię tonem bardziej przyjaznym i cierpliwym, niżbym chciała. - Wiem, dlaczego ich śledziłaś. Wiem, czego się bałaś. - Patrzę w jej stronę, ona jednak ignoruje moje spojrzenie.

- Co takiego straszego zobaczyłaś, że nie chcesz tego opowiedzieć nawet mnie? - pytam łagodnie.

Milczy.

Zapala się zielone światło. Jadę prosto. To tak nie działa. Muszę spróbować innego sposobu.

Ciemne Wydmny pojawiają się przed nami jak ponure pasma górskie na horyzoncie. Dopiero po chwili, kiedy już jedziemy wzdłuż lasu, wydają się bardziej dostępne. Światło słoneczne wpada przez gęste korony drzew, rozpraszając cień, oświetlając ścieżki między wysokimi pniami. Pod lasem biegnie ścieżka, na której spotkać można zarówno biegaczy lub cyklistów, jak i spacerowiczów. Na tarasie kawiarenki siedzą młodzi ludzie. Dopiero kiedy wjeżdżam na położony za nią parking, dostrzegam rosnące zdenerwowanie dziewczynki. Obraca pierścionek i na przemian spogląda lękliwie przez okno bądź wbija wzrok we własne buty.

Wyciągam kluczyki ze stacyjki.

- Idziesz ze mną?

Mój głos brzmi przyjaźnie, lecz zdecydowanie. Jest to głos kogoś, kto nie toleruje sprzeciwu. Otwieram drzwi, lecz dziewczynka nie rusza się z miejsca.

- Chodź, pójdziemy razem - nalegam.

Po dłuższym wahaniu wysiada. Zamykam samochód. Przechodzimy przez ulicę, kierując się w stronę lasu. Obok farmy dziecięcej wchodzimy w jego głąb. Od czasu do czasu mija nas jakiś biegacz. Idziemy ścieżką wzdłuż stawu z kaczkami, obok wieżyczki obserwacyjnej, i dalej, gdzie kręte ścieżki gubią się, dochodząc ku wydmom.

Dziewczynka zatrzymuje się nagle. Ja także staję, patrzę na nią.

- To było tu?

Po raz pierwszy patrzy mi prosto w twarz dużymi niebieskimi oczyma.

- Zaczęli się kłócić - szepcze. - Strasznie kłócić. Uderzył ją, złapał za ramiona i mocno nią potrząsał. Znowu uderzył, lecz ona mu się wyrwała i zaczęła uciekać. W tym kierunku - wskazuje na gęste zarośla.

Patrzę we wskazane miejsce. Jest tutaj tak pusto, tak cicho; musiało być podobnie tamtego wiosennego dnia. Wpatruję się w daleki punkt i próbuję przenieść w czasie. Dzień jest ciepły, właśnie wyszłam ze szkoły. Poniedziałkowe popołudnie, najgorszy dzień tygodnia. Weekend minął, a do piątku daleko. Spędzam to popołudnie w bibliotece; za chwilę znajdę się przed rzędami półek z książkami, które przeniosą mnie w inny świat. Nie ma mnie jednak w bibliotece, śledziłam Isabel, która weszła z jakimś mężczyzną do lasu, a teraz doprowadza do okropnej kłótni w tym odludnym miejscu.

Widzę siebie stojącą z rowerem obok ścieżki. Otacza mnie, niemal przydusza, gęsta zieleń. Wszędzie krzaki, gałęzie, pnie. Tych dwoje na leśnej ścieżce nie może mnie widzieć. Nawet wtedy, kiedy Isabel wrywa się agresywnemu towarzyszowi, który krzyczy za nią.

Schodzę ze ścieżki i usiłuję się przedostać przez gąszcz, jeszcze większy niż dziewięć lat temu. Tak jak wtedy podążam za Isabel. Nie widać napastliwego towarzysza. Odszedł? Czy czeka na nią w innym miejscu, by odciąć jej drogę?

Idę w kierunku polany, znam tę drogę na pamięć. Wystarczy pójść za tą zjawą w otchłaniach mojej pamięci, by znaleźć się tam, gdzie nigdy nie chciałam dotrzeć. Las się przerzedza, piasek wydmy tłumi moje kroki, i oto polana. Drzew jest coraz mniej. Stoję przy zboczu wydmy. To tu, w cieniu dwóch drzew, to owo piaszczyste miejsce przede mną. Jaskrawy blask słońca oślepia mnie. Przysłaniam oczy, robię krok do przodu i dostrzegam leżącą Isabel. Jej ciemne włosy kontrastują z jasnym piaskiem.

W samochodzie, wracając do domu, zastanawiam się nad tym wspomnieniem. Mam dziury w pamięci, nie są one jednak ani czarne, ani bez dna. Tylko otacza je gruba błona, którą usiłuję przebić. Całą mocą usiłuję ją przeniknąć. Jeszcze mi się to nie udaje.

Wjeżdżam w ciemności tunelu Wijker. Kiedy się z niego wydostaję na światło dzienne, zostawiam za sobą Den Helder i wszystko, co mnie z nim łączy.

Wracam do znanej codzienności i witam z poczuciem ulgi tablice z napisem Bos en Lommer*, jakbym uniknęła wielkiego niebezpieczeństwa.

Szukam przez prawie kwadrans miejsca do zaparkowania. Wciskam w końcu swój niewielki samochód między dwa inne, przesuwając jeden z nich zderzakiem. W porządku, nic innego nie da się zrobić.

Otwieram drzwi, idę w kierunku mojej uliczki. Na widok mieszkania, które spokojnie na mnie czeka, ogarnia mnie dziwne uczucie. Słońce odbija się w szybach, wysyłając sygnały ostrzegawcze.

Moje kroki na schodach brzmią inaczej niż zwykle. Przyłapuję się na tym, że idę coraz ciszej, że serce o mało mi z piersi nie wyskoczy z wysiłku. Nieufnie spoglądam na drzwi.

Czy ktoś tu był?

Naciskam klamkę, drzwi są zamknięte. Przekręcam lducz i otwieram je na oścież. Jak bohaterka filmu ostrożnie i z uwagą przyglądam się wejściu. Nie znoszę łatwych do odczytania splotów akcji w kryminałach, w których bohaterka, mimo że przewiduje niebezpieczeństwo, wchodzi do ciemnego, splądrowanego domu. Nie dociera do niej, że mogłaby poszukać broni, zadzwonić na policję albo po prostu zapalić światło.

W moim mieszkaniu nie jest ciemno, nie jest ono splądrowane, ktoś w nim jednak był.

Piękny bukiet czerwonych róż w wazonie widać już od progu. Nie wygląda niebezpiecznie. Mimo to zwlekam z wejściem. Podejrzewam tylko jedną osobę o ten romantyczny gest. Skąd miał jednak klucz. Z mieszanymi uczuciami podchodzę do stołu, odwracam przyczepioną do róż karteczkę. Tekst jest mniej poetyczny, niż oczekiwałam: Zadzwon do mnie, Olaf.

* Dzielnica Amsterdamu.

26

- Sabine, jesteś w domu? Gdzie ty się podziewasz! Zadzwon do mnie, jak tylko usłyszysz wiadomość! - Zinzy wydaje się zaniepokojona i zdenerwowana. Patrząc na róże od Olafa i trzymając jego karteczkę w ręku, odsłuchuję sekretarkę.

Numer wskazuje, że Zinzy dzwoniła z biura. Czuję ból brzucha, silniejszy jeszcze niż na schodach, kiedy pełna obaw skradałam się do swego mieszkania. Cholera, zwolniłam się z powodu choroby. Przez chwilę powtarzam swoją wymówkę: „Całe popołudnie leżałam w łóżku. Nie, nie słyszałam telefonu. No może raz, ale zbyt źle się czułam, żeby podejść. Już mi lepiej. Nie wiem, co mi było”.

Spoglądam na zegarek. Jeszcze nie ma szóstej. Dzwonię do biura, odbiera Zinzy.

- Cześć, tu Sabine. Słuchaj, leżałam prawie całe popołudnie w łóżku...

- Och, Sabine, dobrze, że dzwonisz - przerywa Zinzy. - Renée miała wypadek.

Nie mogę powiedzieć, by mnie to bardzo przestraszyło. Moja pierwsza myśl to: dobrze jej tak. Muszę się bardzo zmobilizować, by stłumić tę pierwszą reakcję i zatroskanym tonem zapytać:

- Niemożliwe! A co się stało?

- Wybuchł pożar w jej mieszkaniu. Miała dziś wolne przedpołudnie i właśnie brała prysznic. Duży pokój i korytarz były już pełne dymu. Otworzyła więc drzwi balkonowe w kuchni i wyskoczyła na chodnik.

Zapada cisza. Zrobiło to jednak na mnie wrażenie.

- I co teraz? W jakim jest stanie?

- Mieszka na pierwszym piętrze, więc mogła zaryzykować. Nie wiem, co jej jest, wiem tylko, że dzwonili właśnie z oddziału intensywnej terapii.

Z przerażeniem i niedowierzaniem rozglądam się dookoła.

- Czy jej życiu zagraża niebezpieczeństwo?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że chcemy ją jutro odwiedzić, jeśli w ogóle będzie można. Niewykluczone, że tylko rodzina dopuszczana jest do łóżka.

Zinzy nie pyta, czy zamierzam także pójść, a ja jej tego nie sugeruję.

- Uznałam, że powinnaś o tym wiedzieć - mówi Zinzy. - Wszyscy o tym mówią. Żle by było, gdybyś przyszła jutro do pracy jak gdyby nigdy nic.

- Masz rację, dziękuję, Zinzy.

- Do jutra, Sabinę.

Odkładam słuchawkę, lecz widzę, że sekretarka nadal miga światelkiem. Jeszcze jedna wiadomość. Głos Olafa wypełnia pokój: Witaj, piękna! Sądzę, że znowu jesteś w Den Helder. Chciałem ci dać znać, że o tobie myślę i uważam, że za rzadko się widzimy. Jak ci się podobają kwiaty? Jeśli chcesz mi osobiście podziękować, to jest okazja. Dziś wieczorem o siódmej w Walem!

Przyglądam się kartce w ręku. Po jego agresywnym zachowaniu w niedzielę nie bardzo mam ochotę. Postanawiam jednak dać mu jeszcze jedną szansę.

Walem to modna restauracja na Keizersgracht. Jest to długie, wąskie pomieszczenie o granitowej podłodze, nowoczesnie urządzone, w którym stoliki są zawsze zajęte. Raz tam byłam. Krzesła mają nie za wygodne, lecz jedzenie serwują dobre, a atmosfera jest miła.

Oczekuję, że Olaf będzie siedział z różą w zębach przy zarezerwowanym stoliku, jednak nie widzę go wśród rozmawiających i jedzących gości. Nonszalancko, jakbym chciała zamówić coś do picia i na nikogo nie czekała, siadam przy barze. Biorę z tacy miętusa i rzucam ukradkowe spojrzenie na zegarek. Zaczynam się denerwować. Piętnaście po siódmej. I tak nie byłam punktualnie, ale jego jeszcze wcale nie widać. Nie znoszę niepunktualnych mężczyzn.

Odwracam się, jednym szarpnięciem otwieram drzwi i wpadam prosto na Olafa.

- Cześć! Byłaś już przede mną? - woła radośnie.

- Owszem - odpowiadam zła.

Olaf obejmuje mnie, przytula i całuje w usta.

- Za rzadko się widzimy - mówi poważnie. - Musimy to zmienić.

- Wchodzimy?

- Zarezerwowałaś? Jest pełno.

- Znajdziemy jakieś wolne miejsce. Olaf otwiera drzwi, którymi o mało nie dostaję w twarz, i wbiega wielkimi susami do środka. Mnie zostawia po prostu na ulicy.

- Dziękuję - wołam za nim. Nie słyszy mnie. Idę posłusznie, rozglądając się. W wąskim przejściu wszystkie stoliki są zajęte, lecz bliżej drzwi na taras jakaś para właśnie kładzie pięćdziesiąt euro na talerzyku. Olaf rzuca się w kierunku tego stolika, prosto przed nosem starszego małżeństwa, które już od dobrej chwili bezradnie rozgląda się dookoła. Z rozbijającym uśmiechem kładzie rękę na poręczy krzesła, zwracając się do młodych ludzi:

- Wychodzicie, prawda? To znakomicie się składa.

Dziewczyna przy stoliku uśmiecha się i wstaje.

- Ale tłok, niech pan siada. Chodź John, zapłacimy przy barze.

Waham się, lecz Olaf już usiadł.

- Może państwo... - zagaduję. Lecz małżeństwo już się oddala.

- Siadaj, chcesz się czegoś napić?

- Chętnie, białego wina.

- Frascati?

- Jeśli tu mają.

- Na pewno. Powiedz: nie byłaś zaskoczona, kiedy dziś wróciłaś do domu? - Jego oczy błyszczą.

- I to jak! Bardzo jestem ciekawa, jak wszedłeś?

- Twoja sąsiadka z góry po prostu dała mi klucz.

Postanawiam się rozmówić ze swoją sąsiadką.

- Wrzuciłem go z powrotem do jej skrzynki. Podobał jej się mój romantyczny bukiet - mówi Olaf.

- Mnie także. To bardzo miło z twojej strony. - Przymuszam się do uśmiechu.

Co się ze mną dzieje? Dlaczego zniknęła ciepła, przyjemna atmosfera, która wcześniej panowała między nami? Dlaczego siedzę na brzegu krzesła, szukając tematu do rozmowy?

- Słyszałeś już, co się przydarzyło Renée? - pytam.

- Ten pożar to normalne.

- Jak to normalne?

- Po prostu, bo się dobrze składa.

Patrzę na niego, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

- Chciała przecież dostać tę pracę w dziale personalnym - wyjaśnia Olaf. - Ellis opowiadała, że miała wyznaczony termin rozmowy kwalifikacyjnej z Janem. Teraz nic z tego nie będzie. Ty dostaniesz tę pracę, bo nie ma innych kandydatów.

- Przedwczesny wniosek. Można przecież przełożyć termin rozmów kwalifikacyjnych.

- Jeśli się również przełoży urlop macierzyński Ellis...

- I poród... - śmieję się. - Masz rację, wkrótce musi zapaść decyzja. Wiesz na pewno, że nie ma innych kandydatów?

- Ellis twierdzi, że nie. Nie wiem, czy Jan nie ma kogoś na oku. Zakładam jednak, że omówił wszystkie kandydatury z Ellis. To ona będzie z nimi współpracowała.

- Właśnie.

Przeglądam kartę; myślami jestem gdzie indziej. Nie widzę problemu we współpracy z Ellis. Sympatyczna dziewczyna. Przeszkadza mi fakt, że Renée zdoła w ten sposób usunąć mnie z sekretariatu.

- Wypadła z obiegu na dłuższy czas. Jak sobie poradzimy, u licha, bez pani kierownik?

- Jesteście zgubieni - śmieje się Olaf.

Kelner, modnie ubrany chłopak, sprząta stolik i przyjmuje nasze zamówienie. Wybieram sałatkę Cezar z tatarskim, Olaf spaghetti. Pojawia się nasze wino, wznosimy toast.

- Byłaś dzisiaj w Den Helder? Czego tam ciągle szukasz? - pyta.

- Zaczynam sobie przypominać fragmenty z przeszłości. Pomaga mi pobyt w Den Helder; za każdym razem wiem więcej - odpowiadam.

- Chcesz tego?

Przyglądam mu się zdumiona.

- Denerwuje mnie, że nie pamiętam rzeczy ważnych - ciągnę.

- Wcale nie wiesz, czy są ważne. Tak ci się tylko wydaje - mówi Olaf.

Widzę jego twarz, która nagle staje się niedostępna, prawie rozgniewana.

- Na litość boską, dlaczego? - pytam go.

Z westchnieniem odstawia kufel piwa na stół.

- Nie lubię po prostu tego grzebania w przeszłości. Co się zdarzyło, to się zdarzyło i basta. Dzisiaj każdy doszukuje się w przeszłości czegoś traumatycznego, co musi być

leczone. Trzeba się samemu poznać, zagłębić we własnych emocjach, nie ukrywać. Co za bzdura! Skoro jest ukryte, niech tam pozostanie!

Olaf rzuca spojrzenie w moim kierunku i widocznie zauważa, że nie jestem wdzięcznym słuchaczem, bo dodaje łagodniej:

- Żyjemy tu i teraz, Sabine. Co nam daje odgrzebywanie spraw z przeszłości?

- Prawdę! - odpowiadam.

Przez chwilę zapada pełna napięcia cisza, kelner przynosi nasze dania, a kiedy odchodzi, Olaf wraca do tematu.

- I czy ta prawda uczyni cię szczęśliwszą? - pyta. - Czy to określi twoją egzystencję, jeśli będziesz wiedziała, co się przydarzyło Isabel?

- Tego nie wiem.

- A ja wiem: nie zmieni niczego! Wywoła tylko przykre wspomnienia, lecz nie przywróci Isabel.

Milknę, nie mam ochoty rozmawiać na żaden temat z Olafem. ¡Szkoda, dobrze by było z nim powspominać, przeżył wszystko z bliska. Rozmawiamy o byle czym, jest miło. Nie opuszcza mnie jednak uczucie rozczarowania.

Rezygnujemy z deseru i jedziemy rowerami przez miasto. Olaf odprowadza mnie do domu, lecz nie zapraszam go do środka. Całujemy się przy drzwiach wejściowych. Opieram się o nie plecami. Usta Olafa wędrują ku mojej szyi, jego dłonie pod moją sukienkę. Pozwalam mu na to przez chwilę, choć przeszkadza mi jego natarczywość. Staram się odsunąć go gestem jak najbardziej przyjaznym.

- Jestem śmiertelnie zmęczona - usprawiedliwiam się. - Będę szczęśliwa, jak się położę do łóżka.

Olaf się najeża.

- Zmęczona? O co chodzi? Czym jesteś tak zmęczona?

- Pracą... no i przedpołudniem spędzonym w Den Helder.

- I dlatego nie możesz się napić ze mną nawet kieliszka wina?

Mój wyraz twarzy potwierdza, że to niemożliwe.

- Sabine, jest dopiero dziesiąta!

Nie podoba mi się jego podejrzliwy wzrok.

- Przykro mi, innym razem - odwracam się ku drzwiom.

- Nawet jeden kieliszek? Przytulnie u ciebie. Obiecuję, że nie zostanę długo - nalega Olaf, całując mnie w kark.

Wiem, że to tylko pretekst. Uśmiechając się, potrząsam przecząco głową. Widzę w jego oczach hamowaną złość. Choć może mi się tak tylko wydaje?

Przyglądam mu się z uwagą, jego twarz się uspokaja.

- Kiedy cię znowu zobaczę? - pyta.

- Może jutro? - proponuję.

- U mnie w domu. Coś ugotuję. Na co masz ochotę?

- Na pieczoną kurę.

- Pieczoną kurę? Jak to się przyrządza? - krzywi się zakłopotany.

Śmieję się, całując go.

- Tylko się z tobą droczyć, to nie ma znaczenia. Niech będzie niespodzianka.

- Śpij dobrze. - Jeszcze raz mnie całuje, po czym przekłada nogę przez ramę i czeka, aż wejdę. Uśmiecham się, posyłam mu całusa i zamykam za sobą drzwi.

Wchodzę schodami na górę. Zatrzymuję się w korytarzu, nasłuchując. Pani Bovenkerk ma siedemdziesiąt lat i trochę nie dosłyszy. Lubi wieczorem do późna oglądać telewizję. Kupiłam sobie koreczki do uszu, żeby się chronić przed głośnymi reklamami, których dźwięk rozbrzmiewa nawet na klatce schodowej. Teraz także słyszę entuzjastyczny głos polecający jedzenie dla kotów. Czyli jeszcze nie śpi. Wchodzę na drugie piętro. Pukam.

- Pani Bovenkerk? To ja, Sabinę - mówię uspokajająco.

Kocia reklama zostaje gwałtownie przerwana. Słychać dźwięk zakładanego łańcucha i przekręcanego klucza. Pani Bovenkerk wygląda przez szparę w drzwiach.

- To ty, Sabinę?

- Przepraszam, że tak późno, ale chciałam panią o coś zapytać.

Drzwi się otwierają.

- Chodź, dziecko, do środka, nie stój w przeciągu. Okropnie się przestraszyłam tego pukania.

- Przykro mi bardzo. - Wchodzę do jej zagraconego mieszkania. Rzuca się w oczy szafa zastawiona porcelanowymi figurkami i obrazkami zapłakanych cygańskich dzieci, ściana pełna pożółkłych fotografii.

- Miałam właśnie zamiar podgrzać sobie kubek mleka, może chcesz?

- Nie, dziękuję. Chciałam panią bardzo prosić, by nie dawała pani nikomu więcej mego klucza. Ani przyjaciołom, ani narzeczonemu, ani nikomu.

Pani Bovenkerk patrzy na mnie zdumiona.

- Oczywiście, że nie. Nigdy bym tego nie zrobiła.

- Dziś w południe dała pani jednak klucz Olafowi.

- Olafowi?

- To młody człowiek, z którym ostatnio chodzę. Wysoki, przystojny blondyn.

- O, to sympatyczny mężczyzna, ale nie aż tak, żeby był zdolny wyłudzić ode mnie twój klucz.

- Ale dziś w południe...

- Nie widziałam twego chłopaka, choć byłam cały dzień w domu.

Patrzę zdumiona.

- Jest pani pewna? Miał kwiaty?

- Nikt do mnie dzisiaj nie pukał - odpowiada stanowczo starsza pani. - Nawet jeśli by prosił, nie dostałby klucza. Co ty sobie myślisz? Nie jestem taka łatwowierna. Ostatnio był tu ktoś z banku, jak twierdził. Niby że są w obiegu fałszywe karty bankowe i chciałby sprawdzić moją. Niech pan lepiej skontroluje swoje szare komórki, poradziłam. Zatrasnęłam mu drzwi przed nosem. Może jestem stara, ale nie głupia!

Ogarnia mnie niemiłe uczucie. Nie, pani Bovenkerk na pewno nie jest głupia. Uśmiecham się, głośno pytając:

- To jak w takim razie wszedł?

- Wszedł do twego mieszkania?

- Tak, kiedy przyszłam, zastałam na stole wazon z bukietem czerwonych róż. Powiedział, że poprosił panią o klucz, po czym wrzucił go z powrotem do pani skrzynki.

- Twój przyjaciel jest wielkim kłamczuchem.

Sięgam po komórkę i dzwonię do Olafa. Po dłuższym czekaniu odpowiada sygnał poczty głosowej. W zdenerwowaniu wyłączam telefon.

- Bądź ostrożna - mówi pani Bovenkerk. - Nie można ufać mężczyznom, którzy wchodzą nieproszeni do twego mieszkania, nawet jeśli przynieśliby tysiąc róż. Willa w owczej skórze. Tacy jak ten młody człowiek, który dziś wieczorem dobijał się do twoich drzwi. Zeszłam ze schodów i pytam: Może mi pan łaskawie powiedzieć, co pan tu wyczynia? Przestraszył się nie na żarty. Wymamrotał coś i poszedł sobie.

Nie wiem, czy dam radę przyjąć w spokoju kolejne tego rodzaju wiadomości. Dreszcz przebiega mi po plecach.

- Mężczyzna? Przy moich drzwiach? I co on tam robił?

- Szarpał klamką. Dzwonił. Przystawiał ucho do drzwi. Nieprzyjemny facet. Zastanawiałam się nawet, czy nie wezwać policji, ale sobie poszedł.

- Powiedział coś? Jak wyglądał? Stary czy młody?

- Młody, w twoim wieku, może trochę starszy. Ciemny blondyn.

Kto to mógł być? To nie był Olaf, a poza nim nie znam zbyt wielu mężczyzn, a już na pewno nie takich, którzy przystawiają ucho do drzwi i szarpią za moją klamkę.

Nerwowo przekładam klucze.

- Proszę pani, gdyby pani usłyszała coś podejrzanego pod moimi drzwiami, krzyki albo dobijanie się, czy byłaby pani tak uprzejma i wezwała policję?

Pani Bovenkerk patrzy zza przymkniętych niebieskich oczu.

- Oczywiście. Tak zrobię. Jeden krzyk i wzywam policję.

- Dziękuję pani. Ociągając się, wychodzę na korytarz. Pani Bovenkerk wychyla się nieufnie przez balustradę.

- Wszystko w porządku? - woła z góry. - Zostanę tutaj, dopóki nie wejdiesz. A jeśli coś się stanie, to wołaj.

Odczuwam komiczność sytuacji. Przygryzając wargi, otwieram drzwi.

Moje mieszkanie wita mnie ciemnością i ciszą. Zapalam światło i od razu czuję się u siebie, w znajomej przystani.

- Sabinę, wszystko w porządku? - dochodzi głos z góry.

- Tak. Dobranoc, pani Bovenkerk.

Zamykam drzwi, zasuwam łańcuch, łącząc go dodatkowo z zamkiem. Przez chwilę stoję nieruchomo w dużym pokoju, po czym stawiam krzesło kuchenne przy drzwiach wejściowych. Oparcie wchodzi dokładnie pod klamkę. Uspokojona, idę do łazienki. Rozbieram się, kładąc komórkę na wyciągnięcie ręki na kafelkowej obudowie prysznic. Dopiero wtedy wchodzę pod ciepły strumień i stoję tam długo, podnosząc twarz, o którą rozpryskuje się woda.

27

W biurze jest przyjemnie cicho. Paru kolegów i parę koleżanek odwiedza Renée, która leży na oddziale intensywnej opieki ze złamaną nogą i pękniętą śledzioną. Nie można się szybko spodziewać jej powrotu.

Znalazła się tam, ponieważ się nałykała zbyt dużo dymu i to zaszkodziło jej płucom. Teraz jest już lepiej.

Podpisałam się na tej idiotycznej kartce, przedstawiającej mysz z ogromną zagipsowaną nogą. Rzuciłam okiem na kolosalny koszyk z owocami, który zniknął wraz z Margot, Tessą i Royem.

- Poszli sobie; jaka przyjemna cisza - mówi Zinzy. - Chcesz kawy?

Nie czekając na odpowiedź, wychodzi do automatu. Wraca z kawą z mlekiem dla mnie i kawą z cukrem dla siebie. Stawia plastikowe kubeczki, siada, kładąc nogi na biurku.

- Ktoś do ciebie wczoraj dzwonił - mówi.

- Tutaj, do biura?

- Tak, jakiś mężczyzna.

Gorąca kawa przelewa się z kubeczka, plamiąc mi brzydko białe spodnie. Nie zwracam jednak na to uwagi. W napięciu patrzę na Zinzy.

- Mężczyzna?

- Tak, koło południa. Powiedziałam, że z powodu choroby zwolniłaś się do domu. Według niego nie było cię tam.

- Jak się nazywał? - pytam jak na przesłuchaniu.

- Przykro mi, nie mam pojęcia. Chyba się nawet nie przedstawił. Dziwne.

Spogląda na mnie zatroskana.

- Coś się stało? Ktoś ci się naprzykrza?

Podnoszę bezradnie ręce.

- Wczoraj wieczorem jakiś obcy mężczyzna był pod moimi drzwiami; mówiła mi sąsiadka. Szarpał za klamkę i przykładał ucho do drzwi.

- Coś podobnego! - woła Zinzy, pochylając się ku mnie. - I co dalej? - dodaje tonem kogoś oczekującego sensacji.

- Moja sąsiadka jest przytomną osobą; przegoniła go. - Upijam łyk kawy: - Śniło mi się to w nocy.

- To niesamowite! Też by mi się śniło! Nie masz pojęcia, kto to mógł być? - pyta Zinzy ze zgrozą.

Patrzę ponuro przed siebie. Myślałam całą noc, ale naprawdę nie wiem.

- Może to ktoś z tamtych czasów? Ktoś, komu się nie podoba, że jesteś ciągle w Den Helder, szukając śladów z przeszłości? - pomaga mi Zinzy.

Patrzę na nią z lękiem.

- Też sobie o tym myślałam. Odwiedziłam ostatnio woźnego naszej szkoły. Przypomniało mi się parę spraw. Chciałam je sprawdzić.

Zinzy patrzy znad kubeczka.

- I co takiego sobie przypomniałaś?

Opowiadam jej o furgonetce pana Groesbeeka, o lesie, o nieprzyjemnym uczuciu, które mnie ogarnia, kiedy się w niego zagłębiam.

- Nie wygląda na to, żeś sobie wszystko wymyśliła - mówi Zinzy.

- Na pewno nie, ale jest dość niejasne. Jasne jak słońce jest natomiast moje odkrycie u pana Groesbeeka.

Wyjmuję wycinki gazet z torby biurowej, do której je włożyłam, chcąc koniecznie pokazać Zinzy.

- Wszystko zaginione dziewczęta - mówię do przeglądającej kopie Zinzy.

- A to są imiona kotów pana Groesbeeka. - Wyjmuję notesik, w którym je wypisałam na pierwszej stronie.

Zinzy czyta i porównuje z wycinkami.

- Coś podobnego!

- Gdyby jakiś starszy człowiek dobijał się do moich drzwi, mogłabym to zrozumieć, ale tak... Młody człowiek...

- Skąd wiesz, że był młody?

Zinzy miesza kawę, nie odrywając wzroku od wycinków.

- Tak mi powiedziała pani Bovenkerk, moja sąsiadka - uściślam.

- A w jakim wieku jest pani Bovenkerk?

Zinzy podnosi wzrok i przesuwa kartki w moją stronę.

Chowając je do torby, zastanawiam się:

- Może ma z siedemdziesiątkę?

- W tym wieku pięćdziesięcioletni mężczyzna też jest młody. A może to był jego syn albo wnuk? Odwiedził go wnuk i Groesbeek opowiedział mu o tobie - fantazjuje Zinzy.

Dzwoni telefon. Z niechęcią odwracam się na krześle i podnoszę słuchawkę. Wypowiadam zwykłą formułkę, swoje imię, i nagle słyszę radosny głos:

- Jak się masz, siostrzyczko? Jesteś zavalona robotą?

Podskakuję tak gwałtownie, że przewracam filiżankę z kawą, która się rozlewa na biurku.

- Zupełnie się ciebie nie spodziewałam! Twój głos brzmi tak, jakbyś był blisko.

- Bo jestem. Wróciłem do Holandii. Do swojego starego mieszkania.

- Jesteś znowu w Amsterdamie? Fantastycznie! A ja muszę pracować cały dzień i nie mogę się zwolnić. Cholera! Nie możemy się umówić dziś wieczorem?

Nadbiega Zinzy z brudną ścierką i zaczyna wycierać moje biurko.

- Ja też mam dużo roboty. I wiele problemów w pracy, ale nie będę ci tym teraz głowy zawracać. Wpadłem zresztą wczoraj do ciebie, ale cię nie zastałem. Czekałem chwilę, aż tu nadchodzi jakaś starucha z kijem bejsbolowym w ręku. Uciekłem, tak się przeraziłem.

-

Wybucham śmiechem.

- Dobrze mnie pilnują.

- Czyli jesteśmy umówieni dziś wieczorem? Może pójdziemy coś zjeść?

- Z przyjemnością. Gdzie?

- Na przykład na Nieuwmarkt, do restauracji obok dawnej bramy miejskiej?

- Okay. Spotykamy się o siódmej! Bardzo się cieszę!

Kiedy odkładam słuchawkę, napotykam zaciekawione spojrzenie Zinzy.

- Znowu randka? Masz ostatnio powodzenie, Sabinę.

- To był mój brat. Okazuje się, że to on stał pod moimi drzwiami.

- To się przynajmniej szczęśliwie wyjaśniło - mówi Zinzy.

- O rany! Zapomniałam, że się umówiłam z Olafem dziś wieczorem. Miał mi coś ugotować. Cholera!

Otwieram pocztę i wysyłam Olafowi mejla: Przykro mi bardzo, ale nie mogę przyjść do ciebie dziś wieczorem. Nadrobimy to kiedy indziej. Uściski. Sabinę.

Jego odpowiedź pojawia się prawie natychmiast: Skoro tak być musi.

Spoglądam na te kilka słów oniemiała.

- Też mi umiejętność godzenia się z odmową. Będzie się musiał chłopak jeszcze dużo nauczyć.

Zinzy potwierdza.

Jakże się cieszę, widząc brata. Robin czeka już w restauracji. Wstaje, kiedy mnie spostrzega. Obejmujemy się, całujemy w policzki i mocno przytulamy. Spędzamy cały wieczór w wyjątkowo miłej atmosferze. Śmiejemy się, jemy, rozmawiamy, pijemy i wspominamy.

- Pamiętasz, jak wróciłeś kompletnie pijany do domu? Zarzygałeś całą łazienkę.

- Pamiętam. Spałaś obok i się zbudziłaś. O trzeciej w nocy z wiadrem ciepłej wody szorowałaś wszystko, żeby tato i mama nic nie spostrzegli. Byłem ci za to bardzo wdzięczny.

- Pomagałeś mi zawsze w matematyce i fizyce. Odprowadzałeś do domu po szkole, by mnie bronić przed tymi strasznymi dziewczynami. To było naprawdę miłe.

- Czyli dochodzimy do wniosku, że jesteśmy idealnym rodzeństwem - śmieje się Robin. - Było mi ciebie brak...

- Mnie także. Dlaczego musicie wszyscy wyjeżdżać? Nie moglibyśmy być tu razem?

Robin przytakuje, unika mego wzroku. Nagle sztywnieje.

- O co chodzi? - pytam zaniepokojona.

- Oj, powinienem ci to od razu powiedzieć. Jestem tylko przejazdem w Holandii. Zamieszkać ostatecznie w Londynie.

- Co takiego?

- Wiedziałem, że cię to nie uszczęśliwi. Jest mi bardzo przykro, siostrze. Spotkałem tam sympatyczną dziewczynę.

- Mandy.

- Sama wiesz, jak to się dzieje.

Wzdycham przygnębiona.

- Fantastycznie. Zostanę tu zupełnie sama.

- Jak to sama, przecież masz Olafa.

Wzruszam ramionami. Mam Olafa? Być może tak. Nie jestem jednak pewna, czy on ma mnie.

- Jak się układa między wami? - pyta Robin.

- Sama nie wiem. Jest przystojny, miły. Ale ma też takie cechy charakteru, do których trudno mi się przyzwyczaić.

Robin potakuje.

- Mówiłem ci. Olaf jest niezmiernie towarzyski i miły, ale tylko tak długo, jak długo wszystko idzie po jego myśli. Nie troszczy się o żadne formy towarzyskie. Czasami aż wstyd bierze, chociaż można się z tego śmiać. Jest brutalny w jakiś rozbrajający sposób.

- Pamiętam. Spałaś obok i się zbudziłaś. O trzeciej w nocy z wiadrem ciepłej wody szorowałaś wszystko, żeby tato i mama nic nie spostrzegli. Byłem ci za to bardzo wdzięczny.

- Pomagałaś mi zawsze w matematyce i fizyce. Odprowadzałaś do domu po szkole, by mnie bronić przed tymi strasznymi dziewczynami. To było naprawdę miłe.

- Czyli dochodzimy do wniosku, że jesteśmy idealnym rodzeństwem - śmieje się Robin. - Było mi ciebie brak...

- Mnie także. Dlaczego musicie wszyscy wyjeżdżać? Nie moglibyśmy być tu razem?

Robin przytakuje, unika mego wzroku. Nagle sztywnieje.

- O co chodzi? - pytam zaniepokojona.

- Oj, powinienem ci to od razu powiedzieć. Jestem tylko przejazdem w Holandii. Zamieszkać ostatecznie w Londynie.

- Co takiego?

- Wiedziałem, że cię to nie uszczęśliwi. Jest mi bardzo przykro, siostrze. Spotkałem tam sympatyczną dziewczynę.

- Mandy.

- Sama wiesz, jak to się dzieje.

Wzdycham przygnębiona.

- Fantastycznie. Zostanę tu zupełnie sama.

- Jak to sama, przecież masz Olafa.

Wzruszam ramionami. Mam Olafa? Być może tak. Nie jestem jednak pewna, czy on ma mnie.

- Jak się układa między wami? - pyta Robin.

- Sama nie wiem. Jest przystojny, miły. Ale ma też takie cechy charakteru, do których trudno mi się przyzwyczaić.

Robin potakuje.

- Mówiłem ci. Olaf jest niezmiernie towarzyski i miły, ale tylko tak długo, jak długo wszystko idzie po jego myśli. Nie troszczy się o żadne formy towarzyskie. Czasami aż wstyd bierze, chociaż można się z tego śmiać. Jest brutalny w jakiś rozbijający sposób.

Rozmawiamy jeszcze przez chwilę o Olafie, potem o Mandy, w końcu znowu o przeszłości. O zawale taty. Moich problemach ze szkołą. Reakcji Robina.

- Współczułem ci - mówi poważnie. - Wracałaś ze szkoły błada jak kreda... Myślałem, że coś im zrobię, tym dziewczynom. I pomyśleć, że kiedy wychodziłem wieczorami, zawsze spotykałem Isabel. Flirtującą i wyzywającą. Co za czarownica.

- Jednak cię w końcu zdobyła.

- Tego wieczoru za dużo wypilem. Ona była rzeczywiście niesamowicie pociągająca, Sabinę. Taka uroda nie była dla niej dobra. Wiedziała o tym. Mogła zdobyć każdego chłopaka, jakiego tylko chciała.

- A kogo chciała?

- Wszystkich. Nie wybierała. Trzymała każdego na łańcuszku, rzucała i przyciągała, jak jej się podobało. Cieszę się, że po tym jednym wieczorze zerwałem z nią. Nie dawała mi spokoju od tamtej chwili. Nie mogła znieść, że dałem jej kosza.

- A Olaf? Mówiłeś, że też z nią chodził, ale on zaprzecza. Twierdzi, że to musiał być Bart de Ruijter.

- Przecież to ty z nim chodziłaś - Robin marszczy brwi.

- Może potajemnie się spotykał z Isabel? - mówię. Sama myśl, że mógłby mnie z nią zdradzać, kłuje boleśnie.

- Wiedziałbym o tym - odpowiada Robin. - Bart był bardzo w tobie zakochany.

- Dlaczego w takim razie Olaf twierdzi, że to Bart z nią chodził, a nie on? - pytam głośno samą siebie.

Robin zapala papierosa i zaciąga się głęboko.

- Być może by cię nie urazić. Bardzo cię lubił. Byłaś za młoda i za mało dojrzała, by z tobą chodzić, ale bardzo w jego guście. Nie dziwi mnie, że jesteście teraz parą i że się wypiera związku z Isabel. Po prostu nie chce cię stracić.

Robin podnosi rękę, przywołując kelnera.

- Dlaczego uważa, że nie powinnam nic o tym wiedzieć? Jeśli Isabel traktowała go tak jak mnie, to tym bardziej powinnam. Mielibyśmy przynajmniej wspólny temat. Tymczasem jest między nami przepaść. To naprawdę głupie, że nie mówi prawdy.

- Widocznie mężczyźni są innego zdania na ten temat - kwituje Robin, wzruszając ramionami.

Mijają godziny. Opowiadam Robinowi o przeblyskach pamięci, które ostatnio miewam. O tym, że odwiedziłam w Den Helder pana Groesbeeka, i co u niego odkryłam. Także o moich zagmatwanych wspomnieniach o lesie w dniu, w którym zniknęła Isabel.

- Skąd wiesz, że to ma coś wspólnego z jej zaginięciem?

- Ponieważ wydaje mi się, że ją widziałam, na krótko zanim została zamordowana - wymyka mi się.

Robinowi wypada widelec z ręki. Dostrzegam w jego oczach nie tylko zdumienie, ale i coś, co mogłabym nazwać przerażeniem.

- Nie wiem dokładnie, co się stało. Wiem jednak gdzie i jak - mówię cicho.

Robin patrzy na swój talerz; nagle traci apetyt.

- Byłaś przy tym? - pyta.

Przytakuję.

- Jesteś pewna? To znaczy: nie śniło ci się?

- Często mi się to śni. Sama nie wiem, co o tym myśleć. Co jest wspomnieniem, a co snem. To jest takie zagmatwane - mówię zmęczona.

Robin bierze widelec i mechanicznym ruchem wkłada sobie witlofrolletje* do ust.

- Może powinnaś o tym zapomnieć? To cię zżera od wewnątrz, widzę to.

Uśmiecham się blado.

* Duszona cykoria zawijana w szynkę, zapiekana w sosie beszamelowym z serem - specjalność zarówno holenderska, jak i belgijska.

- Masz rację. Może mi się to wszystko tylko wydaje. Tak łatwo koloryzować wspomnienia i doszukiwać się logiki tam, gdzie jej nie ma.

- To prawda. Zapomnij o tym. - Robin uśmiecha się ciepło i patrzy na mój pusty talerz.

- Masz jeszcze na coś ochotę?

- Napiałbym się chętnie Irish coffee - odpowiadam.

Robin woła kelnera i do końca wieczoru unikamy tematu Isabel.

W środku nocy budzi mnie telefon. Zrywam się w jednej chwili, łapiąc się za serce, które tłucze się tam mocno, jakby moje ciało przeszył dźwięk alarmu. Natarczywe brzęczenie telefonu rozchodzi się w ciemności po całym mieszkaniu. Budzik wskazuje pierwszą dwanaście.

Odgarniam włosy z czoła:

- Sabinę Kroese, słucham.

Cisza.

Nie powtarzam swego imienia; wypowiedziałam je dostatecznie wyraźnie. Dobiega cichy oddech. Dociera do każdej mojej komórki nerwowej.

Odkładam słuchawkę.

Telefon rozlega się znowu prawie natychmiast. Jakkolwiek się tego spodziewałam, znowu się dają wystraszyć. Podnoszę słuchawkę, lecz nic nie mówię. Po drugiej stronie też panuje milczenie.

Aż się prosi, żeby rzucić do słuchawki parę przekleństw. Opanowuję się jednak. Niektórzy tylko na to czekają. Powoli odkładam słuchawkę. Telefon dzwoni po raz trzeci. Wyciągam wtyczkę z gniazdka. Odczep się, kimkolwiek jesteś.

Kładę się na plecach, zapalam nocną lampkę. Usiłuję zasnąć.

Kto to był? Czego ten szaleniec ode mnie chciał? Może go, albo ją, znam?

Z westchnieniem irytacji gaszę lampkę i opadam na poduszkę. Co za idiotyzm! Idź już spać, Sabine. To jakiś szaleniec.

Przypadek.

Nagle ją widzę. Przez parę sekund, w mgnieniu oka: wykrzywioną twarz Isabel. Martwe oczy i twarz nabiegłą krwią. Zamykam powieki, lecz obraz nie znika. Wyskakuję z łóżka, zapalam światło. Jej twarz ciągle mi towarzyszy. Isabel ma głowę odrzuconą do tyłu, oczy zwrócone w stronę nieba. W ciemnych włosach widać ziarenka piasku.

Co to jest? Wspomnienie czy urojenie?

Padam na łóżko, chowając twarz w dłoniach. Ciało Isabel nigdy nie znaleziono, nie mogłam widzieć jej martwej. To musi być mój wymysł. Produkt mojej fantazji.

Ręce mi się trzęsą - jak alkoholikowi, który potrzebuje kielicha. Nie mogę opanować drżenia ani szczęknięcia zębami.

Wstaję, prawie przebiegam przez mieszkanie, ale mój duch jest szybki, dogania mnie. Chodzę w tę i z powrotem, splatając ręce. Wbijam w skórę paznokcie. Otwieram usta, by krzyknąć, lecz zamiast uwalniającego krzyku, przyciskam dłoń i gryzę do bólu.

Włączam znowu telefon, dzwonię do Robina. Nie odpowiada. Długo próbuję. Muszę z kimś porozmawiać. Moje palce same wybierają numer Olafa. Po krótkiej chwili słyszę jego głos.

- Olaf van Oirschot - mówi w półśnie.

- Widziałam ją - szepczę.

- Kto mówi? Sabine?

- Widziałam ją, Olafie.

- Kogo widziałas?

- Isabel.

Cisza trwa nieprzyjemnie długo.

- Jak mam to rozumieć?

- W przebłysku świadomości. Leżała na ziemi, martwa, z włosami w piachu.

Olaf nic nie mówi. Tym razem sama przerywam milczenie.

- Nie wiem, co to było: wspomnienie czy moja fantazja. Nie spałam, naprawdę nie. To pojawiło się nagle. Jak to jest możliwe? Przecież nie mogłam tego widzieć? - Mój głos przechodzi w krzyk.

- Jadę do ciebie.

Rozłączamy się. Siedzę na kanapie, trzęsąc się, z głową wtuloną w ramiona. Po dwudziestu minutach ktoś dzwoni do drzwi. Wstaję, wyglądam zza zasłony, widzę jasną głowę Olafa. Uspokojona, podchodzę do drzwi, otwieram przyciskiem wejście, słyszę kroki na schodach.

- Jak się czujesz?

Olaf idzie ze mną w kierunku kanapy. Siadam, on klęka przede mną. Przygląda mi się uważnie, zatroskany, po czym przynosi mi szklankę wody.

Nie wiem, skąd ludziom przychodzi do głowy, że można się poczuć lepiej, pijąc łyk wody. Nie chcę jednak odtrącać jego troskliwości. Wypijam łyk i ujmuję szklankę obiema dłońmi, jakby to była deska ratunku.

- Ona nie żyje - szepczę.

- Widziałas to? - pyta Olaf, wyjmując mi szklankę z drżących rąk.

- Tak, zupełnie niespodziewanie.

- Nie śniło ci się przypadkiem?

Waham się. Nie, nagle po prostu sobie przypomniałam.

- Czy ktoś przy tobie był? - Olaf potrząsa mną delikatnie. - Czy tę osobę też widziałaś? Powiedz! Widziałaś jeszcze kogoś?

Przyglądam się jego dłoniom z wystającymi białymi kłykciami. Wsłuchuję się w rozkazujący ton głosu.

- Nie, chyba nikogo. Widziałam tylko ją.

Olaf puszcza mnie. Nie mam odwagi spojrzeć na niego. Biorę szklanekę, piję. Dzwonię o nią zębami.

Olaf przygląda mi się długo i uważnie.

- Bardzo cię to ostatnio zajmuje - mówi w końcu. - Może powinnaś dać spokój.

- Chyba masz rację - zgadzam się. Nie mogę oderwać wzroku od jego rąk.

- Nie powinnaś jeździć do Den Helder. Żyjesz tu, mieszkasz w Amsterdamie. Tego, co się zdarzyło, i tak już nie zmienisz.

- Być może dałoby to coś rodzicom, gdyby wiedzieli, co się z nią stało.

- Chcesz się do nich zwrócić z tą informacją, albo do policji? Oprzytomniej Sabine, sama wiesz, jak by zareagowali.

- Tak, wiem.

- Chyba że widziałaś jeszcze coś więcej?

- Nie, tylko ją martwą, leżącą na ziemi.

- Z głową w piachu - dodaje Olaf. - To musiały być wydmy. Ale przecież tam prowadzono intensywne poszukiwania. Z psami, światłem podczerwonym, wszystkimi możliwymi metodami... Gdyby leżała w piachu wydmy, znaleziono by ją.

Nie zawsze. Lydię van den Broek znaleziono po pół roku na terenie budowy nowego osiedla. Krzaków, pod którymi ją zakopano, nie dało się prześwietlić podczerwienią. Psy policyjne były już blisko, lecz pomyliły kierunek wiatru. Dopiero kiedy zaczęto rozbudowywać osiedle, odnaleziono ją.

Nic mu o tym nie mówię.

Olaf bierze mnie pod brodę, zmuszając, bym mu patrzyła w oczy.

- Przestań o tym myśleć - mówi miękko. - Niczego już nie zmienisz. Mam z tobą zostać?

- Nie, nie trzeba, już mi lepiej.

- Jesteś pewna? Skoro już tu jestem... Może znowu zaczniesz ci się coś śnić; mogę cię wtedy obudzić.

Jestem zbyt zmęczona, żeby się sprzeciwiać.

- No, dobrze.

Kładziemy się. Olaf obejmuje mnie ramieniem. Leżę przytulona do niego plecami. Czuję ciężar jego ramienia na sobie i wpatruję się w ciemność.

28

Wszędzie zalega dym, ciemny jak pył węglowy, gęsty jak wisząca mgła. Wypełnia każdy kąt mieszkania, zbliża się do sypialni. Przyglądam się porażona, jak wpełza pod drzwi i zbliża się do mnie. Wiem, że coś muszę zrobić, zadzwonić na policję, wyskoczyć przez okno. Niewidzialne ręce trzymają mnie w łóżku. Chcę się uwolnić, szarpie się. Udaje mi się oswobodzić. Gryzący dym unosi się w mojej sypialni i odcina mi szalenie jedyną drogę ucieczki.

Bezradnie rozglądam się wokoło. Dlaczego w mojej sypialni nie ma nagle okna ani drzwi na balkon? Dziwi mnie to mimo śmiertelnego przerażenia: przecież zawsze mogłam wyjść na balkon.

Dym rozchodzi się błyskawicznie po całej sypialni, za drzwiami słyszę skwierczenie ognia. Krzyczę. Dym wciska mi się do ust, gardła, płuc. Nie chcę umierać! Nie chcę umierać! Nie chcę umierać!

Nagle otwieram oczy. Biały sufit stanowi ogromny kontrast z ciemnością sprzed chwili. Nic nie pojmuję. Rozglądam się - żadnego dymu.

Uspokojona, zamykam oczy i z ręką na piersi uciszam walące serce.

W tym samym momencie czuję dym. Wyskakuję w piżamie na korytarz.

- Cholera! - woła Olaf. Słyszę, jak mu coś spada na ziemię. Jest w kuchni, w samej bieliźnie, pod jego nogami leży spalony tost. Na kredensie dopała się mój stary toster.

Przecieram oczy.

- Co ty tu robisz? Był popsuty, tosty nie wyskakiwały same.

- Dobrze, że mi to mówisz. - Olaf sprząta z podłogi spaloną kromkę. - Chciałem ci zrobić niespodziankę, tosty do łóżka. Szkoda.

- Niespodzianka się udała. Dotarła nawet do mojej podświadomości.

Ziewam, przeciągam się.

- Wezmę prysznic. Nie troszcz się o resztę. Nie jem za wiele na śniadanie. Wiesz, co lubię? Ciemny chleb...

- Z truskawkami - dopowiada Olaf. - Pamiętam, zaraz będzie gotowy, szanowna pani. Proszę się iść myć.

Olaf jest dla mnie taki miły. Znikam pod prysznicem w parze, we wszechogarniającym uczuciu błogości. Usiłuję zrozumieć, dlaczego nie mogę się wobec Olafa otworzyć. Jest pociągający, sympatyczny i zakochany we mnie. Dlaczego nie przyzwalam na to uczucie? Dlaczego nie lubię, kiedy się krząta po kuchni, szuka czegoś na półkach i wdycha powietrze mojego mieszkania? Może przyczynił się do tego Robin, opowiadając o trudnym charakterze Olafa? Rzeczywiście nie zawsze odpowiada mi jego charakter. Tylko że poznałam także Olafa, którego bardzo lubię.

Nucąc, namydlam się żelem o zapachu jabłek. Olaf przynajmniej się nie narzuca. Jaki mężczyzna potrafiłby się powstrzymać w tej chwili i dalej przygotowywać śniadanie zamiast odsunąć zasłonę prysznicza i domagać się czegoś więcej? Prawda, że jestem po prostu szczęściarą, spotkawszy takiego człowieka, tylko jeszcze to do mnie nie dotarło.

- Chcesz kawy czy herbaty? - woła Olaf.

- Herbaty - odpowiadam. Pochylona, suszę włosy. Owijam głowę ręcznikiem i biorę drugi, żeby się nim owinąć sama. - Miałam straszny sen. To na pewno przez te spalone tosty.

- Co ci się śniło?

- W mieszkaniu wybuchł pożar, a ja byłam zamknięta w sypialni. Chciałam uciec na balkon, ale drzwi balkonowe zniknęły. - Z głową owiniętą ręcznikiem idę do sypialni i otwieram szafę.

- Twój sen mógł zostać wywołany tym, co się przydarzyło Renée. - Olaf staje w drzwiach i przygląda mi się. Czuję się jakoś dziwnie zażenowana, jakby pierwszy raz widział mnie nagą. Szybko wkładam biustonosz i majtki, i pierwszą z brzegu białą podkoszulkę. - To jest przyczyna. Podświadomie myślisz o tym, jak mogło dojść do pożaru. To się może zdarzyć w starych domach: zniszczona instalacja elektryczna albo coś innego. Według mnie to był jej telewizor. Był tak stary, że musiał wybuchnąć któregoś dnia.

Olaf się odwraca i idzie do kuchni. Słyszę, jak nastawia wodę na herbatę i włącza ekspres do kawy.

Marszczę brwi, wkładam spodnie w szarobiałe paski.

- Skąd wiesz? Byłeś kiedyś u niej w domu? - pytam.

- Nie, sama mi wspominała - odpowiada.

Usiłuję wyobrazić sobie rozmowę, której tematem staje się stary telewizor. Usiłuję wyobrazić sobie jakąkolwiek rozmowę między Renée a Olafem. Przecież jej nie lubił. Przyglądam się sobie w lustrze z aprobatą. Idę do kuchni i siadam przy małym stoliku pod ścianą. Przede mną leży kromka z truskawkami i stoi kubek herbaty.

Olaf siada naprzeciw, ciągle jeszcze w bieliźnie. Przygotował sobie jajko sadzone i kubek kawy.

- Nie wiedziałam, że tak przyjaźnie ze sobą rozmawiacie.

- Wcale nie rozmawiamy, nie mogę jej znieść. Od czasu do czasu muszę się jednak do niej odezwać, to nieuniknione.

- Prawda. - Patrzę na zegarek. - Musimy się pospieszyć. Za piętnaście minut ma nas tu nie być.

Choć straszne było to, co się przydarzyło Renée, bez niej w sekretariacie panuje spokój. Cisza, królująca tu obecnie, ma inny charakter. W naturalny sposób wracam do swoich dawnych zadań, odebranych mi przez nią. Teraz, znowu na pełnym etacie, jestem doskonale poinformowana o tym, co się dzieje w biurze. Zadania i zajęcia Renée spadły teraz na moją głowę. Po paru dniach zwracają się do mnie pracownicy handlowi i administracyjni. Wahają się, ale w końcu proszą mnie o pomoc.

- W zasadzie uważałam, że Renée za dużo sobie pozwalała, tak ciebie krytykując - mówi Tessa. - Wszyscy tak sądziliśmy. Ani przez chwilę nie wierzyłam w to, co o tobie opowiadała.

Nie odzywam się.

- Co to ja chciałam powiedzieć... - kontynuuje Tessa. - Mam dziś wyjątkowo duże zamówienie, potrzebuję pomocy. Miałabyś chwilę?

- Oczywiście.

- To się może przeciągnąć, nawet do siódmej.

- Nie szkodzi. Daj mi tylko czas do obiadu, żebym mogła skończyć swoją robotę.

- Dobrze. Spotykamy się na obiedzie, tak?

- Okay.

Uśmiecha się, odpowiadam jej uśmiechem, aczkolwiek moje oczy tego nie wyrażają.

Cały rano pracuję jak szalona, by uporać się z zadaniami Renée i swoimi. Ponieważ jest to prawie niewykonalne, resztę kładę na biurku Margot. Zinzę się uśmiecha z ironią.

Nie mam czasu, by odpowiadać na mejle, które Olaf wysyła mi co piętnaście minut. Nawet ich nie czytam. O wpół do pierwszej czeka na mnie przed drzwiami stołówki.

- W ogóle nie odpowiadasz! - wyrzuca mi.

Biorę tacę, on idzie za mną.

- Przykro mi bardzo. Mam takie urwanie głowy, teraz, kiedy nie ma Renée. Chciałeś mnie o coś zapytać? - Kładę na tacy talerz i sztućce.

- Nie, chciałem po prostu z tobą pogadać - burczy pod nosem.

- Przykro mi - znowu przepraszam. - Naprawdę nie mam czasu.

- Może pójdziemy dziś do kina? Na ten film z Denzelem Washingtonem?

- Obawiam się, że będę musiała zostać po godzinach. Nie za długo, ale myślę, że nie dam potem rady pójść do kina. Dawno już nie musiałam tyle pracować.

Olaf milczy. Przyglądam mu się uważnie, kiedy wybiera deser spośród wystawionych za ladą. Sama też się przez chwilę zastanawiam, a wtedy on nagle bierze jogurt brzoskwinowy i szybko idzie z tacą do kasy. Płaci, bez słowa przysiadając się do swoich kolegów.

Wzruszam ramionami, płacę i także przysiadam się do swojego grona koleżanek. Jest miło. Po raz pierwszy zwracają się do mnie i pytają serdecznie, jak mi idzie. Odpowiadam, rozmawiamy. Jestem im potrzebna tak bardzo, jak sama ich potrzebuję.

Tessa siedzi naprzeciw i rozmawia ze mną, jakbyśmy były zaprzyjaźnione od lat.

- Powiedz, chodzisz z tym chłopakiem z działu informatyki czy nie?

Wskazuje wzrokiem Olafa.

- Chyba chodzę, ale nie jestem w gruncie rzeczy tego pewna.

Tessa się śmieje.

- Czyli to nie jest na serio. Zaczęłam się zastanawiać, ponieważ ostatnio umówił się z Renée.

Podnoszę wzrok znad swojej kanapki z serem.

- Naprawdę?

- U niej w domu - mówi Tessa.

Odkładam nóż.

- Ona już od wieków była w nim zakochana. Już kiedy chorowałaś. - Tessa otwiera kartonik mleka i nalewa sobie do kubeczka.

- Czy już wtedy się widywali?

- Nie. On jej nawet nie dostrzegął, to było przykre. I wtedy ty wróciłaś.

Tessa wypija łyk mleka i się mi przygląda.

- Domyślam się, co ci przyszło do głowy. Wiesz, co on kiedyś do niej powiedział: „Nie znoszę kobiet, które zadzierają nosa”. Staliśmy wszyscy obok. Wiedzieliśmy, że za nim szaleje. To było naprawdę przykre.

Mimo to oczy jej błyszczą. Mnie wcale.

- Tak się wyraził? Coś podobnego!

- Ona rzeczywiście zadziera nosa - odpowiada Tessa ze śmiechem.

Potrząsam głową. Przyjaźń to rzecz względna.

- Dlaczego w takim razie ostatnio się z nią umówił, skoro nie chciał mieć z nią nic wspólnego? - pytam głośno.

- To było w ubiegły piątek. Miała jakiś problem ze swoim starym komputerem, narzekała na to. Olaf wszedł i zaproponował pomoc. Tak do tego doszło.

- Czyli w gruncie rzeczy to nie była żadna randka.

- Ona uważała to za randkę.

Zamyślam się, wodząc oczyma po ludziach w przepełnionej stołówce. Przypomina mi się wyznanie Olafa z minionej niedzieli. Głos Tessy dobiega mnie z daleka, jak wszystkie inne rozmowy wokół: niekończący się strumień dźwięków bez znaczenia. To nie jest takie trudne, połączyć parę drucików w starym komputerze, by spowodować na przykład pożar.

Mija chwila, zanim uświadamiam sobie, że wbiłam wzrok w Olafa. Siedzi trochę oddalony od kolegów, połyka wielkie kęsy, ma ponury wyraz twarzy. Jakby wyczuł, że na niego patrzę, rzuca mi spojrzenie przez ramię. Nasze oczy się spotykają. Uśmiecham się, lecz uśmiech zamiera mi na wargach, kiedy dostrzegam lód w jego wzroku.

Kęs sera utknął mi w ustach, nie mogę go przełknąć. Z niechęcią odsuwam od siebie talerz.

- Zaczynamy? - pyta Tessa. - Może nie będzie tak źle z tym zostawianiem po godzinach.

29

Hurra, jestem w swoim żywiole! Minał weekend i po raz pierwszy mam ochotę iść do pracy; czuję taki entuzjazm jak w czasach, kiedy pracowałam z Jeanine. Nawet Wouter to dostrzega. Uśmiecha się do mnie i pozwala sobie na żarty, co oznacza u niego najwyższe uznanie.

- Chciałabym, żeby Renée nigdy nie wróciła - mówię do Zinzy.

Stoimy na dziesiątym piętrze i jemy marsy.

- To jeszcze chwilę potrwa, ale ona wróci - odpowiada Zinzy.

- I wtedy nasza pani kierownik zauważy duże zmiany.

- W gruncie rzeczy ty jesteś teraz kierowniczką. I słusznie, pracujesz tu najdłużej.

- Zinzy, ta funkcja nie istnieje. Powiedziała mi to nawet Ellis z działu personalnego. Renée nie dostaje ani centa więcej; nie ma również żadnego oficjalnego dokumentu. Po prostu zanudzała Wouter, wmawiając mu, że jest potrzebny kierownik, żeby sobie zapewnić pozycję w okresie mojej nieobecności. Wouter dla świętego spokoju nazwał ją kierowniczką.

- Tak też się zachowuje. Powinnaś ją była przyhamować na samym początku.

- Nie chciałam wywoływać wojny. Może to głupio z mojej strony, ale jeszcze nie jest za późno.

Celuję papierkiem od marsa do śmietnika i spoglądam znacząco na Zinzy.

Tydzień mija jak z bicza strzelił. W piątek po południu jestem po prostu wykończona. Wszyscy mają już dosyć i zgodnie z tradycją od czwartej nie możemy się doczekać naszego cotygodniowego drinka. Dwóch kolegów idzie po piwo, wino i coś do pochrupania, reszta czeka, głośno gwarząc w sekretariacie. Dawno już nie brałam udziału w tej imprezie. Kiedy pracowałam na pół etatu, nie było o tym mowy, a wcześniej starałam się jej unikać, udając, że mam coś do załatwienia w archiwum. Siedziałam na końcu korytarza, pochylona nad zakurzonymi teczkami, i z daleka słyszałam wysoki głos Renée, nadający ton rozmowie.

Wydaje mi się, że jest więcej kolegów i koleżanek, których cieszy obecna sytuacja. Sama raczej niewiele mówię. Ten ciężki tydzień tak mnie zmęczył, że z żalem odmawiam zaproszenia na wspólne wyjście do knajpy. Muszę dziś wcześniej iść do łóżka, to pewne.

Właśnie kiedy chcę wyjść, do sekretariatu wchodzi Olaf. Jego oczy szukają mnie. Podchodzi do mnie z szerokim uśmiechem.

- Gotowa na szalony wieczór? - pyta.

- Szczerze mówiąc, wcale nie zamierzałam go spędzać w szalony sposób - odpowiadam, pakując torbę - Chciałam wcześniej iść spać.

- Wcześniej iść spać? W piątkowy wieczór? - pyta pogardliwie Olaf.

- Dlaczego człowiek nie miałby iść w piątek wcześniej spać, jeśli mu to potrzebne?

Twarz Olafa się chmurzy.

- Chciałem iść do Paradiso - mówi z mniejszym entuzjazmem.

- Ależ idź - zachęcam, kierując się ku drzwiom. - Nie musisz przecież wcześniej iść spać.

Wychodzi za mną na korytarz, przytrzymuje mnie, przyciska do ściany, wsuwając rękę pod moje ubranie.

- Szczerze mówiąc, na to właśnie mam ochotę: pójść wcześniej do łóżka - mruczy z ustami przy mojej szyi.

Z lękiem rozglądam się dookoła. Nie przeżyję, jeśli ktoś z kolegów lub koleżanek wyjdzie teraz na korytarz. A już na pewno nie przeżyję rozpinania bluzki.

- Olaf, proszę, jesteśmy w pracy. - Zawstydzona, odsuwam go i zapinam bluzkę.

- No i co z tego? Jeśli im głupio, niech patrzą w inną stronę.

Olaf przyciąga mnie ku sobie i zaczyna mnie gwałtownie całować, jakbyśmy leżeli w łóżku i nikt nam nie przeszkadzał. To nie dla mnie. Być może niepotrzebnie się przejmuję tym, co pomyślą inni, ale nie lubię takich ekscesów w biurze.

Z początku delikatnie próbuję wydostać się z jego objęć, lecz kiedy ten uścisk staje się coraz mocniejszy, gryzę go w wargę.

- Jezus, idiotko!

Puszcza mnie natychmiast, uderzając w twarz. Patrzymy na siebie jak porażeni. Olaf wyciera krew z ust.

- Przepraszam, ale sama tego chciałaś.

- Sama chciałam? Wyraźnie dałam ci do zrozumienia, żebyś mnie zostawił w spokoju. Ty tego chciałeś - syczę. - Wiesz co? Zostaw mnie w spokoju. Nie dzwoń, nie zapraszaj, nie pisz mejli: zostaw mnie. Nie chcę cię więcej widzieć.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem, chce jeszcze coś powiedzieć, ale nie czekam na to. Zarzucam torbę na ramię i wybiegam z korytarza.

- Sabinę! - krzyczy za mną.

Nie oglądam się. Niech sobie idiota wrzeszczy na cały głos. Wszyscy pewnie i tak to słyszą.

Wsadzam ręce pod kran z zimną wodą i patrzę złym wzrokiem w lustro. Policzek, który mi wymierzył Olaf, nie był aż tak mocny, by zostawić ślad, jednak skóra mnie szczypie. Robin miał rację: Olaf ma pewne cechy charakteru, na które trzeba uważać. Mój brat z nim zerwał i ja też to muszę zrobić.

Piję łyk wody, idę do ubikacji i dopiero, kiedy się zupełnie uspokajam, wychodzę na dwór.

Dziś rano była burza. Taki letni deszcz, który przegania upał. Przyjechałam do pracy samochodem. Całe szczęście, bo potem padało cały dzień. Idę po mokrym parkingu, omijam kałuże i wsiadam do samochodu. Wyjeżdżając, dostrzegam za sobą w lusterku wstecznym samochód Olafa.

Marszczę brwi. Czyżby ten wariat na mnie czekał? Wrzucam dwójkę i wyjeżdżam na ulicę. Obserwuję w lusterku czarnego peugeota. Olaf mieszka na południu, powinien od razu skrócić w lewo. Skręca w prawo. Włączam trójkę i zdążam jeszcze przed światłami. Olaf przejeżdża na czerwonych. Puszcza przed sobą parę samochodów, lecz ciągle jedzie za mną. Czego on chce? Dlaczego po prostu nie podszedł na parking, jeśli chciał ze mną rozmawiać?

Wjeżdżam do znajomej dzielnicy, w moją ulicę, i parkuję przed drzwiami. Bogu dzięki.

Olaf blokuje inny zaparkowany samochód, lecz nie wysiada. Przygląda mi się znad kierownicy dziwnym wzrokiem.

Niepewnym ruchem otwieram drzwiczki samochodu, zabieram torbę i spiesznie idę do drzwi wejściowych.

W popłochu przekręcam klucz, pcham szeroko drzwi. Zatrząskuję je za sobą i dysząc, wbiegam schodami na górę.

W zaciszu swego mieszkania czuję się cudownie bezpieczna. Z głębokim westchnieniem wchodzę do przedpokoju i zamykam za sobą drzwi na klucz.

Rzucam torbę na kanapę, idę do kuchni, zrobić sobie herbatę z kopru włoskiego. Zapewnia podobno spokój wewnętrzny, którego bardzo teraz potrzebuję.

Czynię z tego cały rytuał. Zapalam świece na stoliku, na talerzyku kładę kawałki czekolady, tak jak dawniej robiła moja mama. Sama najczęściej wkładam torebkę do szklanki z wrzątkiem i herbata gotowa. Czasem jednak mam ochotę na prawdziwą ceremonię.

Z kubkiem w ręku wyglądam przez okno. Olaf ciągle jeszcze siedzi w niewłaściwie zaparkowanym samochodzie pod moimi drzwiami. Wystawia nonszalancko ramię przez opuszczoną szybę; wzrok ma utkwiony w moim oknie.

Wycofuję się ukradkiem. Siadam po turecku na kanapie. Okay, będzie mi się naprzykrzał. Szybko mu to przejdzie, bo na razie nie zamierzam wychodzić z domu. Niech się pan zastanowi, panie Olafie van Oirschot. Jeśli o mnie chodzi, może pan tam czekać choćby do jutra. Będę miała widowisko.

Tymczasem wcale mi nie do śmiechu. Piję herbatę, która jednak zamiast mnie ukoić, parzy mi usta. Z przekleństwem stawiam kubek na stole i zabieram się do czekolady. Połamałam na talerzyku dwie tabliczki gorzkiej czekolady, raczej dla ozdoby niż z zamiarem jedzenia wszystkiego. Tymczasem talerzyk pustoszeje w mgnieniu oka. Z badań naukowych wynika, że czekolada ma pozytywny wpływ na nastrój. Nie rozumiem, po co wydawać pieniądze na badania, których wyniki są oczywiste. Zastanawiam się, dlaczego nie ma jeszcze czekolady w środkach na depresję, skoro tak dobrze działa.

Niedobrze mi; to niestety są skutki uboczne. Piję wystygłą herbatę. Jest wpół do siódmej, ale nie mam ochoty na kolację. Zrobię sobie później parę tostów, kiedy mój żołądek strawi nadmiar czekolady.

Nalewam do pełna herbaty, włączam telewizor. Po godzinie głodnieję. Idąc do kuchni, wyglądam przez okno. Olaf jeszcze ciągle czeka pod drzwiami; tym razem zaparkował na zwolnionym miejscu.

Nastawiam płytę Robbie Williamsa, śpiewam głośno, fałszując. W kuchni kładę po plasterku sera i szynki na kromce białego chleba.

Come undone! - pokrzykuję. Tost skwierczy przyjemnie w tosterze.

Głośny dzwonek usiłuje mnie zagłuszyć. Podnoszę słuchawkę, lecz to jest natarczywy dzwonek do drzwi.

Olaf. Nie muszę nawet wyglądać przez okno. Wiem, że to on. Widzę go przed sobą w zwykłej pozie, z ręką na futrynie, pochylonego, w postawie niecierpliwego oczekiwania.

Nie reaguję na dzwonek. Dzwoni komórka, widzę jego imię. Wyłączam telefon i nastawiam głośniej Robbie Williamsa, by zagłuszyć dzwonek do drzwi.

Cały wieczór Olaf to stoi pod moimi drzwiami i dzwoni, to trąbi klaksonem, to się nagrywa na sekretarkę. Późno wieczorem, kiedy już się robi ciemno, zauważam, że wreszcie odjechał. Wchodzę pod prysznic. Nie mogłabym chyba zasnąć ze świadomością, że Olaf siedzi tam na dole.

Czy wróci jutro? Nie będę na to czekać. Zadbam o to, by mnie tu cały weekend nie było. Wracam z powrotem do Den Helder.

30

Następnego ranka wychodzę o wpół do dziewiątej, zanim Olaf nieproszony pojawi się pod drzwiami. Spałam niespokojnie tej nocy. Nie pamiętam dokładnie, ale śnił mi się Olaf. Obudziłam się zdenerwowana i boli mnie trochę policzek po wczorajszym uderzeniu.

To się zdarzyło pierwszy i ostatni raz, myślę z goryczą, idąc do samochodu. Wsiadam, włączam radio, stawiam obok kierownicy kubeczek od termosu z gorącą kawą. Do Den Helder trzeba jechać z godzinę; to mi się nie uda bez kawy.

Odjeżdżam, zostawiając za sobą Amsterdam. Jadę do Den Helder. To będzie męczący dzień. Na autostradzie jest na szczęście spokojnie. Niespokojne są jednak moje myśli i z trudnością mogę się skoncentrować na jeździe. Trzymam się prawej strony, staram się nie wyprzedzać i od czasu do czasu popijam kawę.

Niedaleko Den Helder wjeżdżam na przedmieścia, gdzie spędziłam młodość. Niezliczone boczne uliczki i placzki w dzielnicach z lat siedemdziesiątych muszą być udręką dla początkujących listonoszy. Nielogiczna numeracja domów nie pomaga się odnaleźć w tym labiryncie, mimo to wiem bardzo dokładnie, gdzie mieszkała Isabel.

Jest jeszcze wcześnie, dopiero wpół do dziesiątej, ale postanawiam nie czekać. Ogródek przed domem wygląda jak dawniej: długie drewniane skrzynki pelargonii.

Ozdobiona kwiatami tabliczka na drzwiach oznajmia, iż mieszkają tutaj Elsbeth, Luuk, Isabel i Charlot Hartman.

Przyglądam się jej długo, zanim zadzwonię.

Nikt nie wychodzi. Nie liczyłam się z możliwością ich nieobecności, szkoda. Już chcę zawrócić, kiedy drzwi się otwierają. Niewysoka pięćdziesięcioletnia kobieta o ciemnych włosach patrzy na mnie pytającym wzrokiem. Mam nadzieję, że mnie rozpozna. Ona jednak, nie zmieniając wyrazu twarzy, lekko marszczy brwi.

- Pani mnie nie poznaje? - pytam. - Sabinę Kroese.

Pytanie w jej wzroku zmienia się w zdumienie. Elsbeth Hartman przesłania ręką usta.

- Sabinę - szepcze. - Teraz dopiero cię poznałam. Czego tu szukasz? - Być może zdaje sobie sprawę, jak nieuprzejmie to zabrzmiało, bo natychmiast otwiera szeroko drzwi i zaprasza mnie do środka. - Wejdz, proszę, nie wiem zupełnie, co się ze mną dzieje. Jak to miło cię widzieć! Jesteś w tej okolicy przypadkiem?

- Wkrótce ma się odbyć spotkanie klasowe - mówię, wchodząc do wąskiego korytarza.

- Czytałam w gazecie. Wybierasz się tam?

- Jeszcze nie wiem.

Elsbeth idzie do dużego pokoju: ciemne meble, pianino, na którym obie grałyśmy. Mój wzrok zatrzymuje się na wiszącym na ścianie zdjęciu Isabel. Ostatnie zdjęcie klasowe.

- Napijesz się herbaty? - słyszę za sobą.

- Chętnie.

Siadam, zadowolona, że Elsbeth zajmuje się w kuchni herbatą. Może i ona przez moment musi dojść do siebie. Mam chwilę czasu, by się spokojnie rozejrzeć i opanować zalew wspomnień.

Nadchodzi Elsbeth z tacą, na której ustawiła szklany dzbanek z herbatą, dwie filiżanki i talerzyk ciasteczek. Idzie ostrożnie. Odsuwam na bok czasopisma, robiąc miejsce na stoliku. Uśmiecha się do mnie i stawia tacę. Ręka jej lekko drży, kiedy nalewa mi herbaty.

- Co za niespodzianka. Nie do wiary - powtarza.

W jej głosie słyszę pytanie.

- Byłam w pobliżu. Sama nie wiem, dlaczego zadzwoniłam do drzwi, chyba pod wpływem wspomnień.

- To miło z twojej strony. Dawno się nie widziałyśmy. Co u ciebie słyszę?

Piję łyk herbaty, parząc sobie wargi. Cienka porcelana tak dobrze przewodzi ciepło, iż herbata stygnie szybciej niż sama porcelana. Łzy napływają mi do oczu, szybko odstawiam filiżankę. Elsbeth przygląda mi się z uwagą. Panuje napięta cisza.

Zaczynamy mówić jednocześnie i od razu wybuchamy śmiechem. Gestem ręki Elsbeth daje mi znak, bym zaczęła pierwsza. Opowiadam o swoich studiach, o pracy. O mieszkaniu w Amsterdamie. Każdym słowem sprawiam jej ból, jakkolwiek uśmiecha się zachęcająco.

W pewnym momencie nie mogę już tego wytrzymać, nachylam się, obejmując ją ramieniem.

- A co u pani, jak się państwo miewają? - pytam. Patrzę jej prosto w oczy. Uśmiech znika z jej twarzy.

- Ach, co ci mogę powiedzieć - mówi cicho.

W jej oczach pojawiają się łzy. Delikatnie głaszczę ją po ramieniu.

- Na początku mieliśmy jeszcze nadzieję. Wstajesz rano, myślisz: może dzisiaj. Lecz im więcej mija czasu, tym trudniej rano wstać. By wypełnić dzień zajęciami bez znaczenia. Próbowałam później wrócić do normalnego życia, chociażby tylko dla Charlot. Lecz czegokolwiek się tknę, myślę o tym jednym. Wyglądam jej, kiedy idę po zakupy. Kiedy ludzie mnie pytają, ile mam dzieci, nie wiem, czy odpowiedzieć jedno czy dwoje. Każdego roku obchodzimy jej urodziny i wspominamy dzień zniknięcia. - Głos jej grzęźnie w gardle. Spogląda w przeszłość, wypełnioną cierpieniem nie do opisania i brakiem nadziei.

Dopijamy herbatę, pogrążone we własnych myślach. Ze ściany patrzą na nas ciemne oczy Isabel. Mam wrażenie, jakby jej wzrok był skierowany przede wszystkim na mnie, i nie mogę oderwać od niej oczu.

Elsbeth to zauważa.

- Za każdym razem, kiedy spoglądam na jej zdjęcie - mówi - wydaje mi się, że ona nas widzi i pyta, czy już straciliśmy nadzieję, czy zaczęliśmy żyć bez niej. Nie mam odwagi zająć się czymś wesołym, czuję się winna, kiedy się śmieję, i przestaję myśleć o niej intensywnie. Chociaż i tak zawsze towarzyszy moim myślom.

Nie wiem, co mam odpowiedzieć.

- Póki nie zyskasz pewności, czekasz, że któregoś dnia się pojawi przed drzwiami - mówi Elsbeth.

- Nie ma żadnych wiadomości?

- Żadnych. Ciągłe trwają poszukiwania. Ostatnio pokazywano program telewizyjny Zaginieni, a inspektor zajmujący się tą sprawą jest w stałym kontakcie z nami.

- Czy to coś dało?

- Reakcja była masowa, ale nie przyniosła nic konkretnego.

- Tak mi przykro...

Elsbeth się prostuje, dolewa herbaty.

- W każdym razie to miło, że u ciebie wszystko w porządku. Bardzo mnie to cieszy. -
Elsbeth dzielnie się stara, żeby jej głos brzmiał wesoło. - To naprawdę miło zobaczyć ciebie.
Byłaś dla niej tak dobrą koleżanką. Pozwalałam jej jechać do szkoły na rowerze, wiedząc, że
jesteś przy niej, gdyby dostała ataku. Pamiętam, że w szkole podstawowej przeczytałaś
wszystko, co było możliwe, o epilepsji, żeby wiedzieć, jak jej pomóc. Zawsze jej mówiłam,
jakie ma szczęście, że ty jesteś jej koleżanką. Zawsze byłaś przy niej, troszcząc się...

- Pamiętam wycieczkę szkolną do parku rozrywki; miałyśmy chyba po dziesięć lat -
mówię.

Elsbeth się uśmiecha.

- Nie chciałam jej puścić. Za dużo miałaaby wrażeń. Ty jednak przysięgłaś niemalże,
że nie pójdziecie w miejsca najbardziej szalonej zabawy, że będziesz jej przypominać o
lekarstwach i nie zostawisz jej samej. Nawet nie musiałam cię prosić, sama to
zapropnowałaś.

- Dlatego ją pani puściła.

- Słyszałam później od nauczyciela, że cały dzień nie odstępowałaś Isabel ani na krok.
Bardzo go to wzruszyło.

Znowu zapada cisza. Nie patrzymy na siebie. Wspomnienia ciążą nam obu boleśnie.

- Często myślę o Isabel - mówię, nie zdradzając z jakiego powodu. - A już szczególnie
teraz, kiedy przeczytałam o spotkaniu klasowym. Niedługo potem spotkałam kogoś, z kim
Isabel chodziła swego czasu.

- Naprawdę? - dziwi się Elsbeth.

- Olafa van Oirschota. Zna go pani?

- Nazwisko brzmi znajomo, lecz muszę przyznać, że nie znałam wszystkich chłopców,
z którymi chodziła Isabel. Nigdy nie przyprowadzała ich do domu.

- Zawsze szła do Vijverhut, prawda?

- Tak mi się wydaje, i do Mariendal koło Ciemnych Wydm. Dokładnie nie wiem;
chadzała własnymi drogami.

- Była bardzo lubiana. Czy policja nie pytała wtedy, z kim się spotykała?

- Oczywiście, chcieli dokładnie znać imiona wszystkich jej chłopaków. Wszystkich
przesłuchiwano. Nie znałam ich imion, wzięłam więc jej dzienniczek.

- Jej dzienniczek? Nie miała go przy sobie, kiedy zaginęła?

- Zapomniała go. Został na jej biurku.

Ogarnia mnie podniecenie.

- Ma go pani jeszcze?

- Oczywiście. Leży w jej pokoju. Dlaczego pytasz? Chciałabyś do niego zajrzeć?

- Bardzo chętnie.

Elsbeth nie czyni żadnego gestu, toteż czuję się zmuszona to wyjaśnić. Odstawiam filiżankę na szklany blat stolika.

- Powiem szczerze. Całymi latami nie mogłam sobie niczego przypomnieć o dniu, w którym Isabel zaginęła, ale ostatnio wspomnienia wracają. W psychologii nazywa się to wyparciem: coś dotknęło cię tak głęboko, że rugujesz to przeżycie z pamięci; w rezultacie nie potrafisz sobie niczego przypomnieć. Nie wiem dlaczego, ale ostatnio mogę sobie przypomnieć coraz więcej.

W oczach Elsbeth coś błysnęło. Muszę być ostrożna, nie mogę w niej budzić daremnych nadziei.

- To może niewiele znaczyć, ale nigdy nie wiadomo. Usiłuję zebrać wszystkie możliwe informacje o tamtym dniu. A nuż się przydadzą policji.

Elsbeth siedzi wyprostowana. Patrzy przez okno, na zdjęcie Isabel, w końcu na mnie.

- Jak mogę ci pomóc? - pyta cicho.

- Chciałabym zobaczyć jej dzienniczek.

- Chodź.

Elsbeth wstaje, kieruje się ku drzwiom, idę za nią. Wchodzimy schodami na górę, do pokoju Isabel. Wstrzymuję oddech, widząc zamknięte drzwi. Czego się spodziewam? Jej pokoju, który widziałam w ostatniej klasie szkoły podstawowej? Pełnego plakatów ze zdjęciami piosenkarzy, z biurkiem zasłanym papierami, z leżącymi na podłodze otwartymi książkami, z wiklinowymi krzeselkami wokół stolika, przy którym opowiadałyśmy sobie swoje tajemnice?

Elsbeth otwiera drzwi, wchodzimy. W pokoju zmieniono tapetę. Nie ma książek rozrzuconych po podłodze; wszystkie stoją równo ułożone w jej biblioteczkę. Są wiklinowe krzeselka, na stoliku stoi wazon kwiatów.

Biurko, teraz uporządkowane, przysunięto do ściany koło drzwi. Nie mam wątpliwości, że w szufladach leżą wciąż jej zeszyty, długopisy i inne osobiste przedmioty. Mimo wszystko pokój nie wygląda jak mauzoleum. Jest czysty, jasny i posprzątany. Niczego po prostu nie zabrano.

Elsbeth wysuwa szufladę i wyjmuje gruby notes.

- Jest w nim dużo zdjęć - mówi z nerwowym uśmiechem. - Może rozpoznasz niektóre osoby.

- Czy mogę go wziąć ze sobą?
- Ze sobą? - Matka Isabel patrzy na mnie zdziwiona.
- Nie ma sprawy, głupio spytałam; obejrzę na miejscu.

Przyjemniej byłoby mi obejrzeć go w samotności. Elsbeth siada jednak na łóżku i przegląda razem ze mną.

Wolno przewracam kartki, studiuje dokładnie zapiski. Moje oczy wodzą po liście adresów, umieszczonej na samym początku. Równym drobnym pismem zapisane nazwiska, adresy i numery telefonów wszystkich kolegów i koleżanek z klasy. Także Robina i Olafa oraz innych chłopców, których nie znam. Wyciągam swój notesik i przepisuję je. Podkreślam adres Olafa.

Przeoglądam zdjęcia. Wesoła Isabel pośród grupy nieznanych mi młodych ludzi. Zdjęcie zrobione gdzieś w plenerze: wszyscy mają ręce założone na ramiona osoby stojącej obok. Chłopcy są starsi od dziewcząt.

Isabel przy barku z Robinem; oboje trochę zmieszam. Isabel całująca się z Olafem. Isabel w objęciach kogoś mi nieznanego. Zdjęcie paszportowe Olafa. Na następnej stronie śmiejący się Olaf, opalony, na tle morza.

Przerzucam kartki, dochodząc do ósmego maja. Zanotowane są zadane lekcje, a pod spodem równymi małymi literkami: DD10.

Patrzę na Elsbeth.

- Co to znaczy DD10?

- Nie wiem. Policja sądziła najpierw, że o godzinie dziesiątej miała randkę z kimś o inicjałach DD. Nie mogli jednak znaleźć wśród znajomych nikogo o podobnych inicjałach. Później podejrzewali, że to Ciemne Wydmy*, nie mieli jednak pewności.

* Donkere Duinen (nider).

- Szukali tam?

- Tak, z całą ekipą i psami policyjnymi. Nawet helikopterem z promieniami podczerwonymi. Takie promienie pozwalają jednak dostrzec tylko coś na otwartej przestrzeni, na morzu, plaży albo na wydmach. Użyto psów. Ekipie towarzyszyła jednostka wojskowa. Wszystko bez rezultatu. Nawet jeśli przechodzisz koło kogoś bardzo blisko, to i tak możesz go nie zauważyć. Jeśli szukasz cały dzień, to na początku jesteś skoncentrowany, a potem twoja uwaga słabnie. Dlatego powtórzyli całe poszukiwania tydzień później. Bez skutku.

Słucham tylko jednym uchem, zajęta własnymi myślami.

- Nie rozumiem, dlaczego miałyby się z kimś umawiać o dziesiątej. Była wtedy w szkole. Mieliśmy lekcje do drugiej. Isabel nie wagarowała.

- Wiem, policja sprawdzała, że Isabel była na wszystkich lekcjach. Być może umówiła się z kimś na dziesiątą wieczorem; pewnie nigdy tego nie dojdziemy.

Przypatruję się wyraźnemu pismu: na końcu równo podkreślone okrągłe „0”. To jest ważne. Słyszałam w szkole, jak opowiadała, że umówiła się na Ciemnych Wydmach. Nie wiedziałam z kim i mało mnie to obchodziło. To były jej sprawy. Teraz żałuję, że nie słuchałam dokładniej.

- Dziesięć. Co to może znaczyć? Może prowadziła pamiętnik?

Elsbeth kręci głową.

- To nie było w jej stylu. Była zbyt niecierpliwa, zawsze zajęta, w drodze dokądś lub do kogoś - uśmiecha się melancholijnie. - Miała wielu przyjaciół, którym była wierna. To był wielki problem po jej zniknięciu; nikt nie wiedział, gdzie jej szukać.

Ciągle jeszcze przyglądam się dziennikowi Isabel pod datą ósmego maja. Zaczynam pojmować, co można zrozumieć pod cyfrą dziesięć. Czuję, jak wraz z pojawiającą się pewnością sztywnieję cała. Tylko wielkim wysiłkiem udaje mi się zachować wnioski dla siebie. Nie ma sensu niepokoić Elsbeth i rozbudzać w niej nadziei. Biorę torebkę i wstaję.

- Nie chcesz jeszcze herbaty? - pyta Elsbeth.

- Nie, dziękuję, muszę już iść.

Elsbeth przyjmuje to do wiadomości i schodzi za mną na dół.

Żegna się, całując mnie na pożegnanie.

- To miło, że przyszłaś, Sabinę - mówi ciepło.

- Życzę siły - dodaję cicho.

Trzymaj mnie za rękę; nie mogę jeszcze odejść.

- Żeby ją tylko znaleźli - mówi smutno. - Głęboko w sercu nie mam już żadnej nadziei, że żyje. Żeby tylko znaleźli jej ciało, żeby można się było z nią pożegnać.

Patrzę na jej przedwcześnie postarzałą twarz, w oczy, w których błyszczy łzy.

- Ma pani rację. Trzeba ją szybko odnaleźć.

31

W samochodzie uprzytamniam sobie, że nie włączyłam komórki. Od razu to robię i sprawdzam pocztę głosową. Pięć wiadomości. Wszystkie wysłane dziś rano. Wczoraj przed położeniem się skasowałam wcześniejsze. Od razu je odsłuchuję.

9.11: - Sabinę, tu Olaf. Czekam pod drzwiami, ale chyba nie słyszysz dzwonka. Muszę się z tobą rozmówić.

9.32: - Jeździłem przez chwilę dookoła. Ciągle jeszcze śpisz. Nie wiedziałem, że jesteś takim śpiochem. Gdzie zaparkowałaś samochód? Wyjechałaś gdzieś? Zadzwoń do mnie, kiedy to usłyszysz. Jadę teraz do domu.

10.15: - Sabinę, zadzwoń do mnie.

10.30: - Gdzie jesteś? Dlaczego nie włączasz komórki?

10.54: - Jadę do Den Helder, chciałem z tobą miło spędzić dzień, ale musiałybyś zadzwonić. Gdzie jesteś?!

On jest naprawdę niesamowity! Ani skruchy, ani przeprosin...

Patrzę na zegarek: dochodzi jedenasta. Prędko, zanim zdąży zadzwonić, wyłączam znowu komórkę.

U uszach ciągle słyszę chłodny ton jego głosu. Jadę pod pierwszy adres z listy przepisanej z dzienniczka Isabel.

Prins Willem Alexandersinger leży w Gouden Gordel. Jest to zamożna dzielnica; znajdują się w niej stare, wysokie kamienice bogatego mieszczaństwa minionych wieków.

* Singel oznaczał pierwotnie miejsce, w którym płynęła woda, w sposób naturalny lub kanałem. Używano ich jako dróg transportu, z czasem pozostawiono lub zasypano, albo też zbudowano nad nim ulicę. Najśłynniejszy singel w Holandii to amsterdamski Het Singel, pierwotnie granica miasta, obecnie serce starego Amsterdamu.

Nie mam odwagi zaparkować nad wodą. Szukam miejsca z tyłu i wracam nad kanał. Zatrzymuję się pod numerem 32.

Van Oirschotowie, napisane jest na mosiężnej tabliczce obok drzwi.

Dzwonię. Elegancki dźwięk gongu wypełnia korytarz. Prawie natychmiast słyszę kroki i drzwi się otwierają. Starsza pani z pięknymi, upiętymi wysoko siwymi włosami patrzy na mnie z pytaniem w oczach.

- Pani van Oirschot, mama Olafa? - pytam.

- Tak - odpowiada wyczekująco.

- Sabine Kroese, nowa dziewczyna Olafa - wyciągam do niej rękę.

Ruchem pełnym gracji ujmuję moją dłoń i potrząsa nią delikatnie. Rzuca okiem na ulicę.

- Jestem sama - uśmiecham się. - Olaf był zajęty. Akurat wtedy przejeżdżałam. Nie wiem, dlaczego się zatrzymałam, chyba po prostu z ciekawości. Jeśli przeszkadzam, proszę mi powiedzieć.

Uśmiech rozjaśnia jej ładną twarz.

- Skądże znowu, przeciwnie, cieszę się, że przyszłaś. Czasami trzeba ulec takim pragnieniom; dzięki nim powstają przemile sytuacje. Wejdź, Sabine, właśnie miałam sobie zrobić kawy.

- To świetnie - mówię, idąc korytarzem za panią van Oirschot.

- Kroese - mówi, nie oglądając się. - To nazwisko coś mi mówi. Czy już się kiedyś spotkałyśmy?

- Nie - odpowiadam.

- Dziwne...

Wysoki wąski przedpokój prowadzi do oazy światła: dużego pokoju. Lśniący parkiet, gustowne dywany w pastelowych kolorach, ściany pokryte białą sztukaterią, dużo antyku. Na suficie ornament wyglądający na autentyczny dziewiętnastowieczny.

- Cóż za wspaniały dom! - mówię z podziwem.

Pani van Oirschot się uśmiecha.

- To piękny dom, dobrze mi się tu mieszka. Olaf uważa, że jest dla mnie za duży, ale ja nie mam się zamiaru przeprowadzać.

- Ma pani rację.

Siadam we wskazanym fotelu. Mama Olafa siada na kanapie.

- Kawa już się robi. Porozmawiajmy tymczasem. Jak to miło, że Olaf wreszcie ma dziewczynę. Długo jesteście razem?

- Parę tygodni - odpowiadam. - Dlaczego powiedziała pani „wreszcie”? Olaf na pewno miał już wiele dziewczyn.

Pani van Oirschot zaprzecza eleganckim ruchem głowy.

- Olaf nie ma szczęścia do dziewcząt. Jest zbyt krytyczny.

- Koleżanki z pracy bardzo go lubią.

- Nic sobie widocznie z tego nie robi. Dopytuję się czasami o jego kontakty z kobietami, powiedzmy, z czystej matczynej ciekawości, ale to, co opowiada, nie daje mi żadnej nadziei na synową. Jedna się wymądrza, druga jest zarozumiała, trzecia przekonana o własnej urodzie; mogłabym tak długo. Przed paroma miesiącami powiedział mi: „Mamo, wydaje mi się, jakby już nie było dziewcząt, które są po prostu sobą. Nie robią nic innego poza flirtowaniem i uwodzeniem; nie potrafią prowadzić normalnej rozmowy. Chcą zdobywać, a po paru tygodniach przestają się tobą interesować”. Olaf nie może sobie z tym poradzić. Jest miłym, poważnym chłopcem. Żadnym podrywaczem.

- Miał chyba przede mną inne dziewczyny? - indaguję.

- Na pewno, ale nie zdołałam poznać ani jednej, zanim z nią zerwał. Był za każdym razem niezmiernie rozczarowany.

- Wie pani, kim były? Być może znam je.

- Ach dziecko, nie potrafiłabym powiedzieć. Jak już ci wspomniałam, nie poznałam ich, poza jedną: Eline Haverkamp. Mila, inteligentna dziewczyna. Szkoda, że to nie przetrwało. Przepraszam na moment, zobaczę czy kawa już gotowa.

Wstaje, poruszając się z gracją, i idzie do kuchni.

Biorę notes i zapisuję: Eline Haverkamp.

- Wydaje mi się, że znam Elinę - kłamię, kiedy pani van Oirschot wraca z tacą. - Czy ona mieszka w Amsterdamie?

Matka Olafa zastanawia się przez chwilę, lekko marszcząc czoło.

- Nie, wydaje mi się, że pochodzi z Den Helder - mówi. - Studiowali razem w Amsterdamie, lecz ona mieszka tutaj. Ale opowiedz, dziecko, jak wy się poznaliście?

Nalewa kawy, po czym podsuwa talerzyk ze smakowicie wyglądającymi pierniczkami z migdałami. Biorę jeden i przypominam sobie słodczy pana Groesbeeka.

- W pracy - odpowiadam. - Zabawne jest to, że znaliśmy się już wcześniej. Olaf był zaprzyjaźniony z moim bratem Robinem.

- Oczywiście Robin Kroese, stąd znam to nazwisko. Dobrze znałam Robina. Czyli ty jesteś jego siostrą? Co za przypadek! - Z szerokim uśmiechem bierze szczypcę do cukru, wpuszczając jedną kostkę do filiżanki. - Słodzisz, Sabine? Nie? Bardzo słusznie, słodczy nie sprzyja zachowaniu linii. Ty jednak nie musisz się o nic lękać: jesteś bardzo szczupła.

- Pani też - wrywa mi się. - Pani wygląda fantastycznie. Inaczej sobie panią wyobrażałam.

- Tak, a jak o mnie myślałaś?

Czuję, że się czerwienię.

- Mam na myśli... Olaf jest czasem nieokrzesany. Zupełnie inaczej niż pani.

Pani van Oirschot miesza kawę, nie podnosząc wzroku znad filiżanki.

- Rozumiem, co masz na myśli - mówi. - Taki jest Olaf. Odziedziczył po ojcu nieco prostacki sposób bycia. Ale au fond to dobry, serdeczny chłopak. Przyjeżdża do mnie co sobotę w południe. - Rozgląda się zaskoczona. - Dlaczego nie przyjechaliście razem?

- To znaczy?...

- Co sobotę zjawia się tu na obiad. Będzie o dwunastej.

Kawa staje mi w gardle. Rzucam spojrzenie na stojący naprzeciw zegar. Wpół do dwunastej. Dopijam szybko kawę. Chciałam powoli rozwijać rozmowę; teraz nie mam na to czasu.

- Czy pani zna Isabel Hartman?

- Oczywiście, że ją pamiętam.

- Chodziłam z nią do jednej klasy.

- Wiem - odpowiada krótko.

Jestem zaskoczona. Tak bardzo, że nie wiem, o co mam dalej pytać. W zasadzie nie wiem, czego w ogóle oczekuję po tej rozmowie. Chcę informacji? Odpowiedzi? Muszę więc zadawać odpowiednie pytania. Z desperackim spojrzeniem na zegar ciągnę dalej.

- Olaf był bardzo zakochany w Isabel, prawda?

- Wielu chłopców było nią zainteresowanych. Nie lubiłam jej, wykorzystywała ich uczucia. Przyciągała i odtrącała. Ostrzegałam przed nią Olafa. To była jednak ślepa miłość. Długo ze sobą chodzili, do dnia jej zniknięcia. Olaf był załamany, tygodniami nie można się było z nim porozumieć.

- Czy był przesłuchiwany przez policję?

- Oczywiście, tylko nic nie mógł im powiedzieć. Nie widział w ogóle Isabel w dniu jej zaginięcia.

- Nie? A mnie się wydaje, że byli umówieni tego dnia.

- Olaf zdawał wtedy egzamin. Zaraz potem przyszedł do domu. Powiedziałam to również policji.

- Czyli nie poszedł na randkę z Isabel?

Pani van Oirschot się prostuje. Obserwuję, jak zmienia się jej wzrok, a w głosie pojawia się coś, co mi się nie bardzo podoba. Traktuje mnie jak drapieżne zwierzę, które wypatruje ofiary.

Niespokojnie poruszam się w fotelu, patrzę na zegar i przymuszam się do uśmiechu.

- Dziękuję, było mi bardzo przyjemnie, ale już muszę iść. Dziękuję za kawę.

- Zostań. - Jej głos brzmi chłodno i nagle wiem, skąd to zimne spojrzenie u Olafa.

Pochyla się nade mną, dokładnie tak, jak czyni Olaf, i mówi:

- Nie przyszedł się nacieszyć moją gościnnością, prawda?

Nie odpowiadam. Biorę torebkę i lekceważąc jej zaproszenie, wstaję.

- Muszę już iść. Do widzenia.

Jest za dziesięć dwunasta.

- Sabine! - wola za mną pani van Oirschot.

Zatrzymuję się w drzwiach. Podchodzi do mnie, lecz ja się jej nie lękam. Odpowiadam tym samym wyczekującym spojrzeniem. Ta drobna kobieta nie zatrzyma mnie.

Widzę, jak jej wzrok się zmienia. Stoi, splatając dłonie. Milczenie zawisło nad nami jak miecz. Kiedy się wreszcie odzywa, jej pytanie mnie zaskakuje.

- Czy ty naprawdę jesteś jego dziewczyną?

- Byłam nią.

- A on już o tym wie?

Po krótkim wahaniu zaprzeczam.

- Obawiałam się tego - dodaje, potwierdzając swoje przewidywania.

- Czego się pani obawiała?

- Powiedziałam ci: Olafowi trudno utrzymać związek. Nie wiem dlaczego. Eline nie mogła mi tego wyjaśnić. Może ty potrafisz?

Słyszę, jak zegar bije dwunastą.

- Przykro mi, naprawdę muszę już iść. - Odwracam się, prawie biegnąc. Drzwi są zamknięte na łańcuch. Szarpie się z nim przez chwilę, spodziewając się ręki na swoim ramieniu. Kiedy w końcu wypadam na ulicę, słońce świeci mi prosto w twarz.

Przy końcu ulicy słyszę dźwięk głośnego silnika. Powinnam iść w tym kierunku, lecz skręcam na prawo. Nie obchodzi mnie to, czy pani Oirschot mnie obserwuje: zaczynam biec. Samochód się zbliża, i zatrzymuje przed drzwiami, którymi właśnie wybiegłam. Spoglądam za siebie: czarny peugeot. Drzwi są zamknięte, nikt nie wychodzi. Czym prędzej się chowam za rogiem, jakby oczekując, że zaraz ktoś mnie zawoła po imieniu. Lecz za mną panuje cisza. Dla pewności mijam jeszcze parę bocznych uliczek idę szybko wąską ścieżką na skwer i tam oczekuję chwilę. Dopiero kiedy wracam do równowagi, zaczynam szukać samochodu. Mam jeszcze spory kawałek. Szybko wsiadam, blokując drzwi.

Biorę komórkę i sprawdzam pocztę głosową. Znowu sześć wiadomości. Nie odsłuchuję ich, włączam silnik i jadę w kierunku poczty.

32

Haverkamp. W książce telefonicznej nazwisko to zajmuje całą kolumnę. Zaczynam od pierwszego z góry, ale już przy trzecim jestem pod właściwym numerem.

- Eline Haverkamp, słucham - odpowiada młody, dźwięczny głos kobiety.

- Dzień dobry. Mówi Sabine Kroese. Nie znamy się, ale mam wrażenie, że jest ktoś, kogo obie dobrze znamy: Olaf van Oirschot.

Zapada cisza.

- Halo, słyszysz mnie? - pytam, kiedy milczenie zaczyna się przeciągać.

- Tak. Co się dzieje z Olafem?

- Nic takiego, poza tym, że chodzimy ze sobą i...

- Bądź ostrożna - przerywa mi Eline.

- Co takiego?

- Nie jest takim sympatycznym chłopakiem, na jakiego wygląda. Mówię z własnego doświadczenia.

- Dlatego dzwonię. Czy mogłabym do ciebie wpaść?

- Teraz?

- To bardzo ważne.

- No dobrze. Mieszkam w dzielnicy Schooten. Znasz ją?

- Tak, pochodzę stąd. Jestem teraz na poczcie na Middenweg, będę u ciebie za piętnaście minut.

Odwieszam słuchawkę. Przepisuję adres z książki telefonicznej. W chwilę później jadę w kierunku Schooten, podmiejskiej dzielnicy Den Helder. Przypominam sobie, że tu mieszkała dawniej Mijjam.

Ulicę, na której mieszka Eline Haverkamp, znajduję łatwo, i nie mam problemów z zaparkowaniem. Zatrzymuję się przed jej domem. Kiedy zamykam samochód, otwierają się drzwi domu. Stoi w nich młoda kobieta w moim wieku i uśmiecha się do mnie. Przechodzę wąską ścieżką przez ogródek; witamy się u wejścia mocnym uściskiem dłoni.

- Cześć - mówi Eline. - Wejdz, proszę. Nie przewróć się o torby z zakupami, właśnie wróciłam z supermarketu.

- Na cały tydzień, sądząc po ilościach - śmieję się, omijając sprawunki.

- Tak, to prawda. Nie ma innego wyjścia, kiedy się pracuje na okrągło.

- Napijesz się kawy?

- Nie, dziękuję. Dopiero piłam.

Miałabym ochotę coś zjeść. Tego mi jednak nie wypada mówić. Siadam więc w dużym pokoju, rozglądając się wokół. Przytulnie tu, i w moim guście. Dużo pomalowanego na biało drewna i zielonych roślin. Wielka półka z książkami zajmuje prawie całą ścianę.

- Przejdźmy od razu do rzeczy: bądź ostrożna z Olafem - mówi Eline, siadając i zapalając nerwowo papierosa. - Byliśmy z sobą przez rok, lecz tylko przez pół roku był to naprawdę szczęśliwy związek.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - wzrusza ramionami. - Dominował, był zaborczy. Od momentu, kiedy przystałam na to, by zostać jego dziewczyną, uznał mnie za swoją własność. Musiałam mu poświęcać każdą wolną chwilę. Ze swoimi przyjaciółmi nie mogłam już rozmawiać sama, bo zawsze chciał być przy mnie. Kiedy planowałam coś samodzielnie, zaczynał protestować jak małe dziecko. Potrafił przekraczać dozwolone normy, wszczywał kłótnie, przeproszał i zaczynał wszystko od początku. Miło było tylko wtedy, kiedy robiłam dokładnie to, co chciał.

Patrzy na mnie badawczo.

- Jak długo jesteście razem?

- Dopiero parę tygodni, ale znaliśmy się już wcześniej.

- Powiedz jeszcze, jak się nazywasz?

- Sabinę Kroese.

- Znam pewnego Kroese. Ma na imię Robin, jest przyjacielem Olafa.

- To mój brat. Przez niego poznałam Olafa. Jakiś czas temu znowu się spotkaliśmy i od razu wpadliśmy sobie w oko. Nie opuszczało mnie jednak nigdy jakieś dziwne uczucie. Sama nie wiem dlaczego.

- A ja wiem. - Eline się zaciąga papierosem. - Olaf jest nierówny. Klasyczny przypadek atrakcyjnego chłopaka, który się zamienia w tyrana, jeśli go spotka odmowa.

- Czy jest z nim aż tak źle?

- To się niestety może zdarzyć. Im dłużej trwa związek, tym bardziej nie chce ustępować. Rzuć go jak najszybciej, zanim się stanie brutalny.

- Brutalny?

- Bił mnie - mówi Eline. - Nie mocno, ale zawsze... Co to za mężczyzna, który bije swoją dziewczynę. Po pierwszym takim ekscesie chciałam odejść, ale to nie było wcale łatwe. Naprzykrzał się, dzwonił, zamęczał moich przyjaciół, żeby mnie odnaleźli. Zadzwoiłam w końcu na policję. Doszło do procesu, dostał zakaz pojawiania się na mojej ulicy. Tygodniami wydzwaniał i pisał listy z pogrózkami. W końcu dał spokój. Wydaje mi się, że spotka! inną dziewczynę.

Opadam na miękkie poduszki kanapy.

- Chyba się jednak napiję kawy - wyznaję i zapalam papierosa.

Eline uśmiecha się wyrozumiale i szybko wstaje. Nastawia ekspres i opiera się o blat kuchenny, który nas dzieli.

- Przestraszyłam cię?

- Nie, potwierdziłaś to, czego się obawiałam - mówię. - Kiedy chodziliśmy jeszcze do szkoły, Isabel Hartman była jego dziewczyną. Mówi ci coś to nazwisko?

- Kto go nie zna! - Eline opiera się wciąż o blat, kawa bulgocze. - Na dworcu długo wisiały jej zdjęcia. Chodzili ze sobą?

- Nie opowiadał o tym?

- Nie. To dziwne.

- Pewnie, że dziwne, zwłaszcza że oboje jesteście z Den Helder.

Eline gasi niedopałek papierosa w stojącej obok doniczce.

- Byliśmy w jednej klasie, stąd znam Robina. Czyli chodziliśmy do jednej szkoły. To dziwne, nie przypominam sobie ciebie, Sabinę.

- Nie rzucałam się w oczy - odpowiadam z uśmiechem. - Poza tym byłam parę klas niżej.

- To prawda. Chodziłaś do klasy z Isabel?

- Tak.

- Chciałabym wiedzieć, dlaczego Olaf nigdy nie mówił, że dobrze ją znał. Oglądaliśmy kiedyś program telewizyjny Petera R. de Vriesa, w którym omawiano przypadek Isabel. - Eline patrzy przed siebie zamyślona.

- Mnie też nic nie powiedział. Jego matka twierdzi, że po jej zaginięciu był załamany. Podobno nie widział jej tego dnia, ale nie jestem pewna, czy to prawda. Byli umówieni na Ciemnych Wydmach. Wtedy właśnie zniknęła.

Eline odwraca się ku mnie z troską w oczach. Wyjmuje dwa kubki z szafki i nalewa kawy. Podchodzi z kawą do stolika, stawia na nim kubki.

- Sądzisz, że Olaf ma coś wspólnego z jej zniknięciem? - pyta.

- Możliwe. Był ostatnim, który ją widział, ale stanowczo temu zaprzecza.

- Skąd masz pewność, że widział ją ostatni?

- Ponieważ w dzienniczku Isabel jest napisane, że umówili się na Ciemnych Wydmach. Słyszałam, jak opowiadała o tym w szkole. Nie wiedziałam jednak z kim. Do dzisiejszego dnia, kiedy zobaczyłam jej dzienniczek. Zapisała dwie litery 10. Isabel, Olaf - odpowiadam.

- Niemożliwe - zastanawia się Eline.

Spoglądamy na siebie.

- Mogło nie dojść do tej randki - kontynuuje Eline.

- Isabel spodziewała się jednak, że randka się odbędzie - zauważam. - Widziałam, jak po lekcjach jedzie na rowerze w tym kierunku. Jechałam przez jakiś czas za nią. Nie wracała normalną drogą do domu; kierowała się ku Ciemnym Wydmom.

Eline dmucha w gorącą kawę.

- Mimo wszystko nie musiała tam spotkać jego. On mógł po prostu zapomnieć.

- To możliwe, ale mało prawdopodobne. Isabel chciała się z nim koniecznie rozmówić. Z jej rozmów z koleżankami wynikało, że nie cieszy się na to spotkanie. Mówiły, że nie będzie mu to w smak. Na co Isabel stwierdziła, że to jego strata. Sądzę, że chciała Olafowi dać kosza. - Gaszę papierosa i upijam tyk kawy.

- A tego nie wolno robić komuś takiemu jak Olaf - mówi powoli Eline. Przygląda mi się uważnie znad kubka. - Wydaje mi się, że powinnaś pójść na policję.

Parkuję, by przejść się po parku koło mojej dawnej szkoły. Chcę uporządkować myśli. Stojąca woda w stawie, ścieżki i klomby, wśród których spacerowałam dawniej, jedząc kanapkę, napawają spokojem.

Park pełen letniej zieleni wita mnie kojącą ciszą. Wchodzę na ścieżkę, spoglądam na budynek z cegły i czuję się jak nastolatka, która ucieka na wagary.

Nie jestem nastolatką. Mam dwadzieścia cztery lata, pracę, dziury w pamięci i chłopaka, któremu nie mogę zaufać. Co mam robić? Iść na policję? To mój obowiązek, po odkryciu inicjałów w dzienniczku Isabel. Ale czy naprawdę chodzi o Olafa? Nie mogę sobie co prawda przypomnieć innych imion chłopców zaczynających się na O. Nie znałam jednak całego miasta. A może to nie chodzi o chłopca? Znałam jeszcze w tamtych czasach niejaką Olgę.

Ścieżka się rozgałęzia; jedna odnoga prowadzi do części parku gęsto zarośniętej drzewami, druga biegnie wśród pełnych słońca klombów. Wybieram słońce, wystawiam ku niemu twarz, i siadam na ławeczce.

Wzdłuż stawu idzie ktoś z psem. Bawi się z nim. Rzuca kij, za którym pies goni, radośnie szczekając. Kiedy kij przypadkiem ląduje w stawie, pies, niewiele się namyślając, wskakuje między lilie wodne. Słychać śmiech właściciela, głośno rozbrzmiewający nad trawnikami. Śmiech, który jest mi znajomy.

Przyglądam się mężczyźnie z uwagą. Jest mniej więcej w moim wieku, lecz znajduje się za daleko, bym mogła go zobaczyć wyraźnie. Kiedy zaczyna się oddalać, wstaję i niby przypadkiem idę za nim. Ma na sobie dzinsy, jest szeroki w barach, ciemnowłosy i nie za wysoki. Sposób, w jaki się zatrzymuje, ręce w kieszeniach, stopa wystawiona do przodu, przypomina mi coś bardzo znajomego, a mimo wszystko poznaję go dopiero, kiedy się odwraca na środku ścieżki, za wężącym psem.

Serce zaczyna mi bić gwałtownie. Przybyło mu lat, ciemne włosy, spadające mu wtedy na oczy, są teraz krótko przystrzyżone. Nie muszę się ponownie przyglądać, by wiedzieć, kto to jest. Dużo o nim ostatnio myślę i oto stoi przede mną: Bart.

Letni park wstrzymuje oddech, kiedy patrzymy na siebie. Drzewa szumią nad nami cicho i kojąco, ptaki ćwierkają dyskretnie, a słońce świeci łagodnie przez zieloną gęstwinę liści.

Bart. To naprawdę on. Widzę każdy szczegół jego twarzy, niebieskie oczy, ciemne, proste i gęste włosy. Wydaje mi się niższy, niż go zapamiętałam, jest może tylko o głowę wyższy ode mnie. Pamiętam, jak nosiłam płaskie buty, żeby go nie przerastać.

Poznaje mnie? Przygląda mi się długo, zbyt długo, jak na zwykłego przechodnia. Chciałabym coś powiedzieć, ale nie dowierzam swemu głosowi. Poza tym wszystko wydaje się snem, który zniknie, jeśli tylko wyciągnę rękę.

Bart czyni jakiś gest, adresowany nie do mnie, lecz do psa. Uderza się po udzie, przywołując go do siebie. Chce iść dalej, lecz zagradzam mu drogę, uśmiechając się nieśmiało.

- Cześć - mówię, ledwie wydobywając z siebie głos.

To czarodziejskie słowo, magiczne przywitanie, które powinno odświeżyć jego pamięć. Być może mnie rozpozna. W każdym razie staje, uśmiechając się szeroko.

- Sabinę - szepcze.

- Cześć - powtarzam. - Więc poznajesz mnie?

- Wahałem się - mówi Bart. - Do momentu, kiedy się uśmiechnęłaś.

Podchodzi pies, przygląda mi się i wraca w zarośla, domyślając się, że minie chwila, zanim pan będzie miał czas dla niego. Nie ma romantycznego powitania po latach, o którym marzyłam. Stoimy naprzeciw siebie, uśmiechając się. Im dłużej to trwa, tym silniej wracają dawne uczucia. Szczere mówiąc, już po chwili jestem znowu śmiertelnie zakochana...

- Cóż to za przypadek, że cię tu spotykam - mówi w końcu Bart. - Przychodzę z Roverem codziennie, ale jeszcze nigdy cię nie widziałem.

- Nie mieszkam tutaj. Wyprowadziłam się do Amsterdamu.

- Aha, do tego kipiącego Mokum*. Co tam robisz? - pyta zainteresowany.

- Jestem sekretarką - nie brzmi to tak barwnie, jakbym chciała.

- Aha - powtarza Bart.

Pies nadbiega z kijem w pysku, rzuca go u stóp Barta, obwąchuje moją dłoń i wciska mi głowę między stopy.

- Rover, zachowuj się, co to za zwyczaj! - Bart chwyta go za obrozę i ciągnie do siebie, uśmiechając się zażenowany. - Masz ochotę się przejść? W przeciwnym razie będzie się domagał zabawy.

Przytakuję, idziemy razem ścieżką w kierunku gęstych zarośli. Wydaje mi się, że zapanowała między nami atmosfera intymności i nie mogę uwierzyć, że brakowało mi odwagi, by z nim rozmawiać. Mimo to wymieniamy zwykłe formułki, wypowiedane po długim niewidzeniu.

- Co tutaj robisz? Zakładam, że tu mieszkasz? - pytam, usiłując przybrać ton szczerego zainteresowania. Nie jest to takie trudne, bo naprawdę chcę wiedzieć, mimo iż wolałabym zadać mu pytanie o żonę i dzieci.

- Tak, mieszkam tutaj niedaleko, na ulicy Celebes. Jestem dziennikarzem w „Het Noordhollands Dagblad”.

- Udało ci się!

* Mokum to popularna nazwa Amsterdamu, pierwotnie odnosząca się do dzielnicy żydowskiej. Dotarta do niderlandzkiego z hebrajskiego przez jidysz. Holendrzy mają słabość do słów pochodzących z jidysz. Wydana w 6 roku książka Koosjer Nederlands (Koszerny niderlandzki) o żydowskich słowach w języku niderlandzkim liczy stron.

Potakuje, kopiąc niewielki kamień pod nogami.

- Tak, zawsze o tym marzyłem. A co u ciebie słychać? Zakochana, zaręczona, zamężna?

- Ani jedno, ani drugie, ani trzecie - odpowiadam rada, że nie muszę oszukiwać, że jestem wolna, i że to on może teraz wypytywać. W myślach widzę już nas siedzących w zacisznej restauracji w porcie, pochylonych ku sobie, moja dłoń schowana w jego...

Nadbiega pies, wskakuje na Barta. Bart łapie go, przytrzymuje. Mogę się wtedy przyjrzeć jego dłoniom. Trudno nie zauważyć wąskiej złotej obrączki.

- Czyli znalazłeś swoje przeznaczenie - podsumowuję, starając się, żeby mój głos brzmiał radośnie, przybieram jednak zbyt wysoki ton. - Masz wszystko: psa, ciekawą pracę, żonę, dzieci... - Formułuję to jako pytanie, ale Bart nie odpowiada.

- Gdyby tak było... - mówi tylko.

- Jak to: gdyby tak było? - Zaczynam trąkotać, podejmując rozpaczliwą próbę ukrycia swego rozczarowania. - Tego przecież wszyscy pragniemy: dom, ogród, pies. Choć może nie wszyscy, niektórzy nie są do tego stworzeni. Albo po prostu jeszcze niegotowi, prawda? Młodzi ludzie coraz później zakładają gniazdo. Kobiety coraz później rodzą dzieci, często dopiero po trzydziestce. Dawniej było inaczej, ale...

- Trwa mój proces rozwodowy - mówi Bart.

Milknę, gwałtownie przerywając potok słów.

- Och - mówię. - Pragnę, by nie usłyszał entuzjazmu, który usiłuję stłumić. Bart patrzy, nie okazując śladu radości. Ponury idzie obok. Cóż za niesamowita egoistka ze mnie, tak się cieszyć z rozpadającego się czyjegoś związku. Jakby to automatycznie miało znaczyć, że rozpocznie nowy ze mną. Nie na darmo kiedyś ze mną chodził.

- Tak mi przykro. - W geście pocieszenia kładę mu rękę na ramieniu. Mnie samej wydaje się to nieprawdziwe, Bart rozumie to jednak inaczej. Odwraca się do mnie i uśmiecha z wdzięcznością.

- Masz dzieci? - pytam z ciekawością, a wszystko we mnie prosi, by zaprzeczył.

- Dziewczynkę, siedem miesięcy. Umówiliśmy się, że zostanie przy matce, ale co drugi tydzień Kim jest u mnie przez dwa dni; poza tym często ją odwiedzam. - Smutek w jego głosie sprawia, że cichnę, czując się kompletnie bezradna. Serce mi jednak bije mocno z radości. Zaakceptowałabym małe dziecko, niemowlę. Uwielbiam dzieci. Mogłaby do mnie mówić: ciociu Sabinę, i też by mnie polubiła. Kiedy podrośnie, będziemy ją zabierać do Efteling*, a wolny weekend spędzać razem.

Bardzo tego pragnę. Z każdym krokiem po parku, z każdym smutkiem i bólem, który powierza mi Bart, zaczynam wierzyć mocniej, że to możliwe. Będę jego ratunkiem, jego przystanią, jego starą, nową miłością, a on będzie moim zbawieniem. Jesteśmy sobie nawzajem potrzebni.

- Muszę już iść - mówi Bart. - Miałem wolne przedpołudnie, ale zaraz muszę być w redakcji. Cholera, nie wiem w końcu, dlaczego w ogóle jesteś dziś w Den Helder?

- Długo musiałabym opowiadać. - Patrzę mu prosto w oczy, jakby mój wzrok mógł go przymusić do wysłuchania tej opowieści w zacisznej restauracji w porcie.

Patrzy na zegarek, klnie po cichu, widząc, jak Rover jednym susem ląduje w stawie. - Na to już naprawdę nie mam czasu - wyrzuca z siebie, zbiegając nad wodę. - Rover! Do nogi! Chodź tu natychmiast!

Mokry pies wdrapuje się na brzeg i otrzepuje z wody, tak że oboje odskakujemy. Bart całuje mnie w oba policzki.

- Miło cię było zobaczyć, Sabinę. Chętnie bym jeszcze z tobą pogadał. - Patrzy smutno. Odpowiadam tym samym spojrzeniem.

- No cóż, praca czeka.

Niezwykły, zainspirowany baśniami park rozrywki niedaleko s' -Hertogenbosch.

Nie jestem w gruncie rzeczy człowiekiem, który pracę przedkłada nad wszystko; są sytuacje ważniejsze, ale to Bart musi o tym zdecydować.

- Słuchaj - zaczyna nagle, jakby nawiedziła go nowa myśl.

- Słucham - odpowiadam w oczekiwaniu.

- Nie chciałabyś przyjść na spotkanie wychowanków, które się odbędzie wkrótce w naszej szkole?

- Tak, czytałam o tym.

Wyczuwam, do czego zmierza. To niezupełnie to, co planowałam, jednak lepsze niż nic.

- To co, przyjdiesz? - pyta z pewnym napięciem w głosie.

- Oczywiście - odpowiadam z entuzjazmem. - Myślę, że będzie sympatycznie.

- Świetnie, będziemy mogli pogadać - odpowiada zadowolony. - Jak to miło, że mogłem cię zobaczyć. Musisz przyjść na to spotkanie.

- Ależ naturalnie, przyjdę na mur.

Całuje mnie w policzek, odwzajemniam całusa. Żegnamy się, machając i uśmiechając się do siebie. Odwracam się szybciej niż on, spoglądam przez ramię i znowu macham. Macha do mnie z powrotem, zakłada Roverowi smycz i odchodzi. Nie odważam się znowu odwrócić i sprawdzić, czy za mną patrzy, choć o niczym innym nie marzę.

Jeśli chcę go zobaczyć, nie pozostaje mi nic innego jak przyjść na to głupie spotkanie.

34

Idea spotkania absolwentów została zapewne wymyślona przez dobrych uczniów i lubianych kolegów, którym wszystko szło jak z płatka, którzy rządili w swojej szkole średniej jak król lub królowa i bardzo tęsknią za tymi czasami. Marzą o tym, by powróciły owe wspaniałe dni i by jeszcze raz mogli zabłysnąć sławą. Podczas takiego wieczoru otaczają się z powrotem ludźmi, którzy im towarzyszyli, oczekując, że cała reszta będzie stała pod ścianą wykluczona i zignorowana. Tak mi się wydaje. Tak przypuszczam.

Czego więc spodziewa się ta reszta? Co sprawia, że znowu godzi się grać dawne role? Być może fakt, że podczas minionych lat dokonała się w nich zmiana. Nie widzą już siebie jako tych ignorowanych i wykluczanych, i nie są tacy. Chcą zabłysnąć nowo zdobytą wiarą w siebie; opowiedzieć o swoich sukcesach i ostatecznie zamknąć za sobą tamten okres.

Tego dnia, dziewiętnastego czerwca, tuż przed rozpoczęciem wakacji, jadę do Den Helder, zastanawiając się, kim byłaby dzisiaj Isabel. Jak by dziś wyglądała, jakie skończyłaby studia, w jakim pracowała zawodzie?

Cokolwiek by to było, zawsze byłaby pierwsza do zabrania głosu i pierwsza do komenderowania. Pewne cechy nigdy się nie zmieniają. Ja się jednak zmieniłam. Gdyby żyła, też bym się dzisiaj pojawiła na spotkaniu szkolnym.

Ta nagła świadomość zaskakuje mnie. Wyciągam dropa z torebki i zamyślona wkładam do ust. Czyżbym naprawdę dzisiaj mogła stawić czoło Isabel? Czy to być może?

Stawić komuś czoło oznacza nie dać mu wtargnąć do swojej duszy i zranić jej. Ludzie, którzy tego spróbują, są i będą się pojawiali przez całe życie, obojętnie, czy żyją, czy są już martwi. Można ich rozpoznać z daleka, trzeba się mieć przed nimi na baczności i nie powtarzać własnych błędów.

Dochodzi siódma, kiedy dostrzegam wydmy. Widzę złoty żar wieczornego słońca muskającego ich wierzchołki. Rozległe pola ściętych tulipanów oświetlają ostatnie promienie. Budzą wspomnienia o dniach spędzonych na ścinaniu tulipanów, pracy wakacyjnej, którą wtedy początkowo jeszcze wykonywałam z Isabel. W sierpniu w mieście odbywał się jarmark. Miałyśmy obie po trzynaście lat i wieczorem pojechałyśmy tam rowerami. Po godzinach wypełnionych zabawą, z mdłościami po atrakcjach i wacie cukrowej, wróciłyśmy do naszych rowerów. Rower Isabel zniknął. Szukałyśmy godzinę po całym terenie, lecz nadaremnie, nie było go. Przygnębione spoglądałyśmy na siebie, kiedy Isabel zauważyła kolegę, który właśnie zamierzał odjechać na motorze. Wymienili parę słów, po czym Isabel wsiadła na motor, pomachała mi i odjechała. Tymczasem zrobiła się jedenasta i niektórzy uczestnicy zabawy byli już lekko podpićci. Głośno śpiewając i zataczając się między karuzelą a strzelnicą, dostrzegli mnie i ruszyli w moją stronę. W pośpiechu wsiadłam na rower i zaczęłam pędzić z powrotem z miasta, uśpioną Lange Vliet. Było już zupełnie ciemno i kiedy mijiał mnie jakiś motor lub samochód, serce zamierało mi ze strachu. Byłam sama. Mogłam oczywiście zadzwonić po tatę lub Robina, by po mnie przyjechali, ale nie pomyślałam o tym, zaskoczona kompletnie faktem, że moja najlepsza koleżanka po prostu mnie zostawia, i to po tym jak przedtem godzinę szukałyśmy jej roweru.

Można powiedzieć, że byłam zbyt dobrą przyjaciółką. Mama usiłowała rozbudzić we mnie postawę asertywną, nauczyć mnie trochę egoizmu, lecz dla mnie Isabel była przyjaciółką, której błędy zawsze wybaczałam. Za każdym razem.

Zostawiam samochód przy parku, gdzie ostatnio spotkałam Barta, i patrzę na budynek szkolny. Nie mam zupełnie ochoty iść na to spotkanie; jedynie perspektywa zobaczenia Barta powstrzymuje mnie przed powrotem do Amsterdamu.

Z głębokim westchnieniem biorę torebkę, otwieram drzwi i wysuwam opaloną nogę. Bogu dzięki, wyglądam dobrze, lepiej niż kiedykolwiek. Mam na sobie nową zamszową

spódnicę, piękną bluzkę w różnych odcieniach koloru różowego, bardzo pasującą do mojej opalonej skóry. Włosy upięłam spinką. Rzucam okiem w lusterko wsteczne - jestem zadowolona. To ważne. Pełna nowej wiary w siebie zamykam samochód i zdecydowanym krokiem idę do głównego wejścia. Ja im wszystkim pokażę!

Niestety moje pojawienie się nie wzbudza oczekiwanego efektu; przyszedłam za wcześnie. Dużo za wcześnie. Aula jest jeszcze pusta. Lustruję szybko obecnych, ale nie poznaję nikogo. Jest to spotkanie wszystkich klas, obecni więc będą uczniowie innych roczników.

Wędruję z powrotem korytarzem, przeglądając tablicę ogłoszeń, i widzę znajome nazwiska nauczycieli. Wchodzę do toalety. Siedząc w ubikacji, słyszę poszeptywania sprzed lat. Czytam wypisywane na drzwiach obraźliwe słowa pod adresem niektórych uczniów. Serce mi krwawi.

Wychodzę z ubikacji, myję ręce pod strumieniem, nie dotykając kranu, sprawdzam w lustrze makijaż. Wyglądam naprawdę dobrze. Wyprostuj się, biust do przodu, Sabine. Ty to potrafisz!

Wciągam głęboko powietrze i wychodzę. Korytarz wypełnia się powoli ludźmi, których znam z tamtych lat. Wszyscy są starsi i wszyscy mają ten sam melancholijny wyraz twarzy. Rozpoznaję Miijam Visser - mimo jej zaokrąglonej sylwetki. Śmieje się do kogoś przesadnie głośno; na litość boską, co się stało z jej zębami? Jakby jej wystawały z ust. Nagle odczuwam wdzięczność dla, zapinanego wokół głowy aparaciku, który w ostatniej klasie podstawówki wzbudzał powszechny śmiech.

Złośliwym, krytycznym spojrzeniem witam każdego nowego przybysza. Rozpoznaję prawie wszystkich, lecz tylko dlatego, iż wiem, kogo mogę oczekiwać. Na ulicy nie zwróciłabym na nich uwagi. Szukam wzrokiem Barta, ale go nie widzę. Nie zawiedzie mnie; przecież specjalnie dla niego przyjechałam.

- Sabinę Kroese? To naprawdę ty? - Ktoś kładzie mi rękę na ramieniu. Odwracam się machinalnie i patrzę w zupełnie mi nieznaną twarz młodej kobiety w moim wieku.

- Cześć - odpowiadam, uśmiechając się słabo.

- Podejrzewałam, że to ty, ale nie bardzo chciałam uwierzyć. Wyglądasz tak... inaczej!
- mówi kobieta. - To fajny pomysł, takie spotkanie. Kogo już widziałaś?

- Och... - odpowiadam, ociągając się. - Wszystkich po trosze.

- Bart de Ruijter też jest - zwierza mi się w zaufaniu. - Rozmawiałam z nim krótko. Chodziłaś z nim dawniej, prawda? To w dalszym ciągu świetny chłopak, aż trudno uwierzyć.

Nie zastanawiam się dłużej nad tym, skąd wie, że z nim chodziłam, lecz rozglądam się uważnie dookoła.

- Gdzie go w takim razie widziałaś?

Moja niezidentyfikowana rozmówczyni wskazuje w kierunku wypełnionej już teraz po brzegi auli.

- Przy barze. Uciekam, wydaje mi się, że widzę... Tak, to Karin. Coś takiego, Karin, Karin! - woła. Macha ręką i już jest przy barze.

Panuje tłok, a Bart po prostu gdzieś zniknął. Zamawiam wino, odwracam się: przede mną stoi Miijam.

- Jak się masz! - mówi, przeciągając nienaturalnie. - Sabinę, czyż nie tak? Ze też tu przyszałaś!

- Tej chwili nie chciałabym stracić za żadną cenę - odpowiadam. Gdzieś w tłumie dostrzegłam Barta, lecz on mnie nie widzi. Kiedy usiłuję dać mu znaki, znika znowu.

- Widziałaś kogoś? - pyta Miijam. Ubrana jest w niebieski kostium. W klapie żakietu ma wpiętą niebieską kokardę. Uważa zapewne, że to pasuje, tymczasem na mnie całość robi wrażenie wielkanocnej pisanki.

- Barta de Ruijtera - mówię.

Jej twarz wyraża najpierw zaskoczenie, potem zdziwienie, wreszcie szyderstwo. Czegóż ja miałabym chcieć od Barta? Boże, jakby to było miło, gdyby się nagle pojawił i objął mnie ramieniem. Nie widzę go jednak i jeśli nie chcę, byśmy się tego wieczoru ciągle rozmijali, muszę go zacząć szukać.

- To na razie - mówię do Miijam, przerywając potok słów, z których nie dotarło do mnie ani jedno.

Patrzę na prawo i lewo, staję na palcach i o mało nie mdleję, dostrzegając Olafa. Nasze spojrzenia się krzyżują, lecz udaję, że go nie zauważyłam, i próbuję się wmieszać w tłum idący w przeciwnym kierunku.

I wtedy spostrzegam Barta. Stoi w drzwiach, paląc papierosa i rozmawiając z kolegami z klasy. Opanowuje mnie dawna nieśmiałość, zwalniam. Powinnam teraz podjąć decydujący krok: podejść do niego, położyć mu rękę na ramieniu i z uśmiechem pełnym radości i pewności siebie powiedzieć: Bart! Jak miło znowu cię spotkać!

Nie potrafię jednak, po prostu nie mam aż tyle pewności siebie. Mogłoby się zdarzyć, że spojrzy na mnie obojętnie, a wtedy się spalę ze wstydu.

Odwracam się i widzę Miijam stojącą na najwyższym schodku prowadzącym do auli. Jej wzrok błądzi po głowach obecnych, by spocząć na Barcie. Dostrzega potem mnie i jej

szydercze spojrzenie staje się wzrokiem nastolatki sprzed dziewięciu lat. Nie ona jedna przygląda mi się. Niezależnie od tego, co się przydarzyło Isabel, obie dziewczyny stoją teraz złączone starym przymierzem pogardy i drwiny. Odwracam się nagle. Schowana w kącie, stoi dziewczynka. Z opuszczonymi ramionami, nieśmiałym wzrokiem skierowanym na Barta, jak piesek, który czeka, by go pogłaskać.

Wyjdź z tego kąta, wołam na nią w myślach. Głowa do góry! Pokaż, kim jesteś!

Przestraszona, odwraca głowę. Najchętniej potrząsnęłabym nią bardzo mocno, ale jednocześnie ogarnia mnie dojmujący smutek.

Ktoś, przechodząc, oblewa mi buty colą. Niczego nie zauważa, mnie jednak ta lepkość przy nogach przywraca świadomość. Zdecydowanym krokiem podchodzę do wyjścia, kładę rękę na ramieniu Barta i z czarującym uśmiechem mówię:

- Jak się masz, Bart!

Ciągle jeszcze rozmawia z kolegami, lecz kiedy się odwraca, widzę jego rozjaśnioną twarz.

- Sabinę! - Obejmuje mnie ramionami, całuje trzy razy w policzki i radosnym gestem przytula do siebie. Mam nadzieję, że każdy może to zobaczyć.

- Szukałem ciebie - szepcze mi do ucha. - Straszny tłok, prawda?

- Prawda - odpowiadam, czując jego oddech na policzku.

- Wyjdziemy? - proponuje.

- Chętnie - zgadzam się.

Bierze mnie za łokieć i prowadzi na dwór. Wieczór jest ciepły, żadne z nas nie ma wierzchniego okrycia. To dobrze, możemy ominąć szatnię. Kiedy już idziemy chodnikiem i rzucam jeszcze spojrzenie za siebie, dostrzegam Olafa, patrzącego w moim kierunku bardzo dziwnym wzrokiem.

35

- Świeże powietrze - stwierdza Bart zadowolony. Puścił mój łokieć. Idziemy obok siebie w kierunku samochodów. Zastanawiam się, co takiego planuje. Czyżby chciał po prostu wracać do domu?

- Nie pojmuję, dlaczego się tu zjawiłem - mówi, wskazując na budynek szkolny.

- Nie było ci miło zobaczyć kolegów? Lubieś przecież szkołę.

- Tak, tylko od tamtych chwil minęło dziewięć lat, a to mnóstwo czasu. Większości z nich więcej nie widziałem. Z dwoma utrzymuję kontakt, ale do tego niepotrzebny mi zjazd absolwentów. Z góry wiadomo przecież, co się usłyszy: puste słowa. Z każdym trzeba by

omówić minione dziewięć lat, ze wszystkimi na raz. To oczywiście niemożliwe, więc próbujesz się skoncentrować na jednej czy dwóch osobach, inaczej się rozmienisz na drobne. A potem ta sama opowieść. - Bart przybiera znudzony ton i mówi:

- Tak, to prawda, ciągle mieszkam w Den Helder. Jestem dziennikarzem w „Het Noordhollands Dagblad”. Ożeniony, rozwiedziony, jedno dziecko. Tak, to bardzo trudne. Przepraszam, widzisz tam dawnego znajomego? To przecież Peter! Cześć, Peter. Tak, mieszkam ciągle w Den Helder, ożeniony, rozwiedziony, jedno dziecko...

Bart wzdycha; ja się śmieję.

- Wolę rozmowę z kimś, z kim mogę naprawdę porozmawiać - ciągnie. - Co robimy, Sabine? Idziemy się czegoś napić w mieście?

Czuję na twarzy ciepły powiew wiatru. Ostrzega mnie przed duchotą lokalu, zaprasza, by zostać na świeżym powietrzu i cieszyć się letnim wieczorem.

- Miałabym ochotę pójść na plażę - odpowiadam. - Wydaje mi się, że znajdziemy tam otwartą knajpkę.

- Dobry pomysł - pochwała Bart. - Jedziemy.

- Moim czy twoim samochodem? - pytam.

- Samochodem? Przyszedłem tu na piechotę, mieszkam za rogiem.

- W takim razie moim - wskazuję na srebrnego forda ka. - Nie jest zbyt duży, ale skoro ja się mieszczę, zmieścisz się i ty.

- Tak myślę - odpowiada Bart.

Otwieram drzwi, wsiadamy i jedziemy do wejścia na plażę. To za daleko, by iść na piechotę. Samochodem jesteśmy w parę minut.

Większość plażowiczów wróciła już do domu, ale ci, którzy lubią ciszę, przychodzą właśnie teraz.

- Gdybym to przewidziała, wzięłabym ze sobą kostium. Jest jeszcze ciepło. Woda musi być bardzo przyjemna.

- Na zaproszeniu powinno być napisane: prosimy o zabranie strojów kąpielowych - dodaje Bart.

- I dobrego humoru - uzupełniam.

- Zostaną państwo odwiezieni do domu - kontynuuje Bart, po czym oboje wybuchamy śmiechem.

Wdrapujemy się na wydmę, za którą jest plaża, i oto rozciąga się przed nami wspaniały widok na łagodne morskie fale. Czerwono-pomarańczowe słońce spoczywa na ogromnej tafli wody.

- Co za widok.

- Miałaś znakomity pomysł.

Bart bierze mnie mocno za rękę i właśnie w chwili, kiedy nadmiar romantyczności wzbudza we mnie nerwowy śmiech, ciągnie coraz szybciej w dół wydmy. Z radosnym okrzykiem ruszam za nim, ale ponieważ nie nadążam, przewracam się. On przewraca się także, po czym dalej turlamy się razem. Zatrzymujemy się bez tchu w ubraniach pełnych piasku. Czuję się, jakbym miała piętnaście lat.

- To wcale nie było jak w filmie - mówię karcącym tonem.

- To zależy, jaki film się ogląda - zauważa Bart. Przysuwa się bliżej, obejmuje mnie ramieniem, z twarzą blisko mojej. - Komedię czy romantyczny? Jaki wybierasz?

Patrzę w jego intensywnie niebieskie oczy, o których nigdy nie mogłam zapomnieć. - Romantyczny - odpowiadam cicho.

- To się dobrze składa - mówi - bo ten mam przy sobie.

Nachyla się nade mną i całuje mnie. Drobnymi pocałunkami, w dolną i górną wargę. Za każdym razem, kiedy chcę odpowiedzieć pocałunkiem, cofa się delikatnie; w końcu jego usta muskają moją szyję, by znowu zawrócić ku wargom. I tak pozostają. Nie daję mu już szansy na powtórny wędrówkę, obejmuję go mocno ramionami, odwzajemniając z całym przekonaniem jego pocałunki.

Teraz wiem, czego mi tak brakowało u Olafa. I dlaczego jeden pocałunek nie jest równy drugiemu. Nie obchodzi mnie, że mijają nas ludzie, że zapewne oglądają się za nami z uśmiechem albo nawet przystają. Bart jest znowu ze mną i cały świat może się zapaść pod ziemię.

Odrywamy się w końcu od siebie. Zaszlibyśmy za daleko jak na to miejsce. Leżymy spleceni, nie przestając na siebie patrzeć.

- Dlaczego to musiało tak długo trwać? - pyta Bart ostrożnie. - Dziewięć lat! Nie mogę uwierzyć, że jesteś tu teraz tak blisko mnie.

Przeciągam palcem po jego twarzy.

- Tak często myślałam o tobie... - szepczę.

Całuje mój palec.

- A ja o tobie. Sprawiałaś mi ból, odchodząc.

- To dlaczego ty odszedłeś? - Nie chcę o to pytać, ale słowa wymykają mi się z ust.

Bart odrywa wargi od mego palca i przygląda mi się z najwyższym zdumieniem.

- Dlaczego odszedłem? Sama o tym zdecydowałaś. Nie chciałaś mnie po prostu więcej widzieć.

Kręcę głową z niedowierzaniem.

- To niemożliwe.

- Tak to właśnie było! Przychodziłem każdego dnia, rzucałem kamyczkami w twoje okno, dzwoniłem do drzwi. Nie otwierałaś. Nie chciałaś nawet ze mną rozmawiać, wytłumaczyć mi dlaczego. W końcu Robin powiedział mi, że nie chcesz mnie więcej widzieć.

Odrywam się od niego, chwytam za rozrywaną bólem głowę.

- To nieprawda, nieprawda!

Bart marszczy brwi.

- To chyba jednak pamiętasz?

Opuszczam ręce, zaprzeczam.

- Nie, nic sobie nie przypominam. Naprawdę. To na pewno ja zerwałam? Ale dlaczego? Dlaczego to zrobiłam?

Bart przygląda mi się ciągle z niedowierzaniem.

- Jak mogłaś o tym zapomnieć? - pyta, nie rozumiejąc.

Przygryzam wargi, strzepuję piasek z ubrania.

- Tak wiele zapomniałam, zbyt wiele. Nie potrafię tego wyjaśnić: mam luki w pamięci.

- Luki? Jak mam to rozumieć?

- Tak jak mówię: w moich wspomnieniach brakuje wielu fragmentów.

- Od kiedy?

- Od czasu, kiedy zaginęła Isabel. Wydawało mi się jednak, że zatarły się wspomnienia dotyczące samego jej zaginięcia. Nie zdawałam sobie sprawy, że i o tym zapomniałam.

Patrzę na niego, by się przekonać, czy mi wierzy.

- To był taki trudny czas - mówi. - Tyle się wydarzyło. Zaginięcie Isabel, przesłuchania policyjne, media. Cała szkoła stała na głowie. I do tego wszystkiego ty ze mną zerwałaś. Miałem wrażenie, że usunął mi się grunt spod nóg.

Przyglądam się jego twarzy, na której po niedawnej chwili namiętności pojawiło się tyle wspomnień i emocji.

- Kiedy zerwałam? Wtedy, kiedy zaginęła Isabel?

- W tym samym tygodniu. Z dnia na dzień przestałaś chcieć mnie widzieć. Nie pojmowałem dlaczego, ale musiałem się z tym pogodzić.

Opanowuje mnie poczucie winy, nadal jednak nie rozumiem. Dlaczego to zrobiłam? Dlaczego zerwałam z chłopakiem, w którym byłam tak zakochana?

- Przeczytałam parę książek o tym, jak działa pamięć - mówię z wahaniem, bojąc się, że mnie potraktuje jak szaloną. - Podobno można wyprzeć traumatyczne przeżycia. Nie wiem dokładnie, jak to działa, ale można to zrobić, by się samemu chronić. To wygląda tak, jakby zależało to od twojej decyzji, ale jest funkcją podświadomości, która działa bez udziału naszej woli. Myślę, choć nie jestem o tym przekonana, że właśnie to mi się przytrafiło. Musiałam zobaczyć lub usłyszeć coś, czego emocjonalnie nie mogłam znieść. Moja pamięć wyparła to przeżycie. Lecz ono pozostaje gdzieś ukryte, ponieważ ciągle pojawiają się fragmenty.

- Fragmenty pamięci o tym wydarzeniu, które cię tak dręczy? - pyta Bart.

- Pamiętam wszystko dokładnie, wszystko, co miało związek z Isabel i jej zniknięciem - odpowiadam.

Bart pochyla się ku mnie zaintrygowany.

- To nic konkretnego - mówię wymijająco. - Nic, co mogłabym opisać, ponieważ to nie są spójne obrazy, raczej pewne przeczucie...

Bart wyciąga się na piasku, podkładając ręce pod głowę.

- Wiesz, mogę uwierzyć, że pamięć jest do tego zdolna. Podobno przydarzyło się to na Discovery. - Odwraca do mnie głowę, wzrok ma skupiony. - Nie bój się, nie pomyślę, że jesteś szalona, naprawdę nie.

- Okay. - Już się nie waham. Miło jest rozmawiać z kimś, kto cię traktuje poważnie i zna aktorów wydarzeń. - Jestem na Ciemnych Wydmach i widzę, jak ktoś biegnie. Nagle znika. Jadę dalej rowerem, później jednak zawracam. Najprawdopodobniej coś zauważyłam, ale nie wiem co. Schodzę z roweru, idę ścieżką w las. Bardzo ostrożnie, jakby świadoma, że dzieje się coś, co nie powinno się dziać. Las szybko przechodzi w wydmy. Na skraju polany zauważam kogoś i chowam się za drzewami.

Milknę, otrzepując piasek z nóg.

- I co dalej? Co widzisz? - indaguje Bart, kładąc mi dłoń na ramieniu.

- Nic. Słońce mnie oślepia, mrugam, lecz nie widzę wyraźnie. Dalej nie mogę sobie przypomnieć - mówię, patrząc na powracające i odchodzące fale. - Szczerze mówiąc, nie wiem, czy to wspomnienie, czy moja fantazja.

Bart obraca się na bok, opiera na łokciu i patrzy na mnie, przymrużając oczy.

- W sercu jesteś jednak głęboko przekonana, że byłaś świadkiem czegoś strasznego. Czegoś, co się przydarzyło w lesie Isabel. Jedyne, co może przynieść pewność, to zaangażowanie w to policji. Niech szukają. Wiesz, w którym miejscu w lesie to było?

Widzę już siebie siedzącą naprzeciw inspektora Hartoga: Pamiętam, że weszłam w las, a potem na polanę. - A co pani tam zobaczyła? - W zasadzie nic, nawet nie wiem, czy to wspomnienie, czy sen. Dlaczego jednak nie poszuka pan, angażując całą jednostkę policyjną?

Przygnębiona, potrząsam głową, zagrzebując stopy w piasku.

- Nigdy mi w to nie uwierzą. Muszę wiedzieć więcej, uzasadnić, wskazać dokładne miejsce.

- A możesz to zrobić? Wiesz, gdzie to było? - docieka Bart.

- Niestety, jak powiedziałam, niezupełnie.

To jednak nie jest prawda. Mogłabym tam dojść w każdej chwili, ale coś mnie powstrzymuje przed dzieleniem się tą informacją. Bart byłby zdolny zaprowadzić mnie teraz na Ciemne Wydmy, a to ostatnia rzecz, jakiej w tej chwili pragnę.

- Byłam ostatnio u pana Groesbeeka - mówię, by odwrócić jego uwagę.

- U Groesbeeka? A czego tam szukałaś?

- Przypomniałam sobie coś. Zupełnie nagle. Wiem doskonale, że w dniu zaginięcia Isabel jechałam za nią na rowerze. Widziałam, jak czeka na skrzyżowaniu Jan Verfaillweg i Seringenlaan. Nigdy nie pomyślałam o furgonetce, za którą byłam schowana. Zielona i brudna, dokładnie taka jak ta, którą jeździł Groesbeek. Pojechała wtedy w tym samym kierunku co Isabel.

- Ten ktoś ją śledził?

- Nie, wyprzedził, ale to nic nie znaczy. Mógł na nią dalej zaczekać.

Bart siada, zastanawiając się nad tym, co właśnie usłyszał.

- Czy skonfrontowałaś z tą informacją pana Groesbeeka? - pyta.

- Nie, nie wspominałam o tym ani słowem. Nie wiem w zasadzie, po co tam poszłam, czego oczekiwałam. Nie poznał mnie, a imię Isabel też niczego mu nie przypomniało. Odkryłam jednak coś dziwnego.

Bart patrzy z zainteresowaniem. Krótko streszczam rozmowę z panem Groesbeekiem i żywo opisuję spotkanie z jego kotami.

- Nosiły wszystkie imiona dziewcząt: Anne, Lydie, Lies, Nina, Roos, Belle... Lies może być skrótem od Liset, Anne pochodzi od AnneSophie, Lydie od Lidia. Nina pozostaje Niną, Roos oznacza Rosalie, a Belle może być Isabel.

Bart otwiera usta.

- Żartujesz. Naprawdę tak nazwał swoje koty?

- Tak.

- Musisz iść na policję!

- Już byłam. Powiedzieli, że z nim porozmawiają; nie zrobiło to na nich wrażenia.

- Są ślepi czy co? Przecież to wszystko dziewczyny, z którymi coś się złego stało!

Uderza mnie, że od razu widzi związek między jednym i drugim. Nie znałam tych imion, póki nie przejrzałam wycinków z gazety.

- Jesteś dobrze poinformowany - zauważam.

- Czytam wiadomości. - Bart podnosi się i wyciąga do mnie rękę.

- Przejdziemy się?

Daję się podnieść, szczęśliwa, że nie puszcza mojej dłoni. Przez chwilę wędrujemy wzdłuż śladu zostawionego przez przyływ. Bart patrzy na mnie z troską.

- Nie uważam tego za dobry pomysł, Sabinę, żeby iść samej do Groesbeeka. Jeśli rzeczywiście on ma z tym coś wspólnego, mogłaś wpaść w tarapaty.

- Trzymałam się blisko drzwi - mówię.

- Czyli było ci nieswojo. Dlaczego więc tam poszłaś?

- Ponieważ wracają do mnie wspomnienia. Im bardziej się tym zajmuję, tym więcej sobie przypominam. Jedno wspomnienie naprowadza na drugie. Zawsze się domyślałam, że wiem więcej o zniknięciu Isabel; teraz jestem tego pewna.

Rzucam ukradkowe spojrzenie na Barta, który zatrzymuje się wpatrzony w morze.

- Dlaczego ludzie wypierają swoje wspomnienia? - pyta w zadumie.

Nie wiem, czy oczekuje odpowiedzi, czy to tylko pytanie retoryczne. Milczymy dłuższy czas.

- Ponieważ są zbyt szokujące, by można było z nimi żyć - odpowiadam.

- Cóż mogło być tak szokującego? - nie ustępuje Bart.

- Nie wiem - odpowiadam, unikając jego wzroku.

Bart ujmuje mnie pod brodę i zmusza, bym patrzyła mu prosto w oczy.

- A ja sądzę, że wiesz doskonale. A w każdym razie się domyślasz. Dlaczego nie chcesz tego przyznać?

Wzdycham.

- Ponieważ nie jestem pewna.

- Czego?

- Ze byłam świadkiem tego, co się przydarzyło Isabel - odpowiadam niechętnie.

- Też tak sądzę. Ale dlaczego to wyparłaś? Jeśli została zamordowana, rozumiem, że to było straszne: być tego świadkiem. Byłaś śmiertelnie przerażona i w pierwszym odruchu zamknęłaś się na wszystko. Nawet mnie nie chciałaś widzieć. Dlaczego jednak później nie poszłaś na policję? Dlaczego wyparłaś to z taką siłą? - Jego głos brzmi natarczywie, a dłonie

obejmują moje ramię tak mocno, że odczuwam ból. Jego oczy są tak blisko, że nie potrafię odwrócić wzroku; czuję się jak zahipnotyzowana.

- Nie wiem - szepczę. Ale to nieprawda. Zaczynam płakać. Oboje wiemy, że jest tylko jedna przyczyna, dla której, nie chcę dotrzeć do prawdy: ponieważ znałam zabójcę. I był to ktoś, kogo bardzo lubiłam.

Romantyczny nastrój prysnął. Pojawił się inny, bliżej nieokreślony. Bart trzyma mnie mocno za rękę, jakby chciał ją zgnieść.

- To na pewno nie byłem ja, gdybyś sobie tak pomyślała - mówi.

- Bardzo jej nie lubiłem, ale to wszystko.

- Olaf van Oirschot mówi, że chodziliście ze sobą.

- Tak sądzi? W tym samym czasie, kiedy byłem z tobą? Sabine, i ty w to wierzysz! - mówi Bart z goryczą.

To prawda, nigdy niczego nie zauważyłam, ale czy dostrzegamy wszystko, co dzieje się po prostu na naszych oczach?

- Z Isabel, tą podrywaczką - burczy Bart. - Kiedy tylko zauważyła, że jakiś mężczyzna na nią patrzy, od razu próbowała go omotać, pewna, że jej się uda. Mnie też chciała, ale nie zdołała.

Inaczej wyobrażałam sobie nasz spacer po plaży. Wcale nie chcę tego słuchać. Chcę, by wrócił romantyczny nastrój, choć teraz to już raczej niemożliwe.

- Usiłowała mnie zdobyć do dnia, w którym zaginęła. Tymczasem zadowolala się każdym, kto jej podpadł, a było ich wielu - mówi dalej Bart.

Myślę o Olafie, Robinie. Mili, sympatyczni chłopcy, którzy nie potrafili się oprzeć jej wdziękowi. Skąd mogę mieć pewność, że Bart jej także nie uległ? Z perspektywy czasu nie ma to już znaczenia, chyba tylko jako motyw zabójstwa po kłótni dwojga kochanków.

- Dlaczego nasz związek był tajemnicą? - pytam z głupia frant.

- Dlaczego nikt nie mógł o nas nic wiedzieć? Możesz puścić moją rękę? Już mnie zaczyna boleć.

Bart całuje moją dłoń pełen skruchy.

- Czemu nie powiedziałaś wcześniej? - Całuje jeszcze parę razy. - Nasz związek musiał być tajemnicą, ponieważ nie chciałem, żebyś miała kłopoty. Isabel zastawiała na mnie sidła i gdyby dotarło do niej, że jestem w tobie zakochany, zniszczyłaby cię. Wydawało mi się, że to rozumiałaś.

- A mnie się wydawało, że się nas wstydziłeś, bałeś przyznać - odpowiadam. - Byłam jednak tak zakochana, że się z tym pogodziłam.

Bart wzdycha.

- Dlatego ze mną zerwałaś? Mój Boże, jak bardzo można się rozminąć, ufając, że druga strona wszystko rozumie.

Przyjmuję to jako wyjaśnienie rozpadu naszego związku. Nie wiem, po prostu nie wiem, dlaczego z nim zerwałam. Nie mogę sobie niczego przypomnieć. Mogło być wiele przyczyn i tylko jedna oczywista. A w tę nie chcę uwierzyć.

Jak mogę znowu na sto procent zaufać Bartowi, jeśli nie znam naszej przeszłości? Mimo wszystko pragnę tego.

Patrzę na jego wyraźnie zarysowany profil i czuję, że wciąż jestem pod wielkim urokiem tego mężczyzny. To uczucie się nie zmieniło.

W natłoku emocji i wspomnień jest jedynym, któremu mogę zaufać.

Zmęczona, opieram się na jego ramieniu. Natychmiast mnie obejmuje.

- Co teraz? - mówi, opierając brodę na mojej głowie. - Co robimy dalej?

Słońce już dawno zaszło, robi się chłodniej, plaża znika w ciemności.

- Jest mi zimno i czuję się zmęczona - odpowiadam.

- Chcesz wracać do domu?

- To kawałek - mówię wtulona w jego Tshirt.

- Mój dom jest blisko - słyszę ponad swoją głową.

Odsuwam się od niego, lekko go popychając, by mu się lepiej przyjrzeć.

- W takim razie muszę spać u ciebie.

Bart potwierdza skinieniem.

- Spać - dodaję z naciskiem.

- Słyszałem. W końcu pójdziemy spać.

Napięcie znika, uśmiechamy się do siebie i ręka w rękę, opuszczamy plażę. Nie ma już nikogo. Tylko widać z daleka mój samochód. Zapuszczam motor, ruszam i zerkam w lusterko wsteczne. W ciemności pod wydmą niewiele mogę dostrzec, lecz jeśli mnie wzrok nie myli, jedzie za nami ciemny peugeot.

Dodaję gazu, obserwuję ciemne uliczki i włączam prawy kierunkowskaz. Peugeot jedzie za nami w niewielkiej odległości.

Na skrzyżowaniu udaję, że chcę jechać prosto, lecz w ostatniej chwili skręcam w lewo.

- Źle jedziesz! - woła Bart.

- Przepraszam, pomyliłam się.

Wjeżdżam w boczną uliczkę, potem skręcam jeszcze w niewiadomym kierunku, aż Bart się zaczyna niepokoić.

- Co ty robisz? - pyta.

- Miałam wrażenie, że ktoś nas śledzi; przepraszam.

Bart rozgląda się po pustej ulicy i wybucha śmiechem:

- Ach te kobiety! - mówi znacząco.

W drodze do niego nie widzę już śladu po peugeocie. Potrzebuję jednak dłuższej chwili, by Olaf przestał mnie prześladować w myślach.

37

To brzmi rzeczywiście niesłychanie, ale tej nocy po prostu śpimy. Okay, całujemy się, szepczemy, śmiejemy się i długo w noc wspominamy. Leżąc blisko siebie, zapadamy w sen, jakbyśmy nigdy nie byli rozłączeni.

Przebudzenie jest tak inne niż przy Olafie. Leżę odprężona na boku, słucham jego oddechu, chce mi się śmiać z dźwięków, jakie wydaje, i z trudem powstrzymuję chęć pogłaskania go po twarzy. Jest jeszcze bardzo wcześnie. Niech śpi.

Przysuwam się do niego jeszcze bliżej i zasypiam znowu. Kiedy otwieram oczy, widzę jego wzrok utkwiony we mnie.

- Dzień dobry - mówi ciepło.

- Dzień dobry - mruczę, przeciągając się. - Która godzina?

- Jeszcze nie tak późno. Mamy mnóstwo czasu. - Całuje mnie bardzo delikatnie. Czuję, jak się rodzi we mnie pożądanie.

- Mnóstwo czasu na co? - pytam zuchwale, odpowiadając pocałunkami na jego pocałunki.

Bart opiera się na łokciu.

- By naprawić szkodę wyrządzoną w przeszłości. Tak widocznie musiało być, że właśnie teraz cię spotkałem. Pół roku temu miałem jeszcze żonę.

Nie powinien był tego mówić. Znika moje błogie samopoczucie. Możemy odrabiać szkodę, tyle że dzieli nas dziewięć długich lat, w czasie których staliśmy się innymi ludźmi. To nie jest Bart, którego znałam; to mężczyzna, który ma za sobą małżeństwo i jest ojcem małego dziecka.

Bart czyta w moich myślach. Ten dar posiadał już dawniej.

- Sabinę, ja mówię na serio, chyba to rozumiesz? - mówi poważnie.

- Tak... - Uśmiecham się i czuję, jak błogość przegania ponure myśli. - I ja cię traktuję na serio.

Całujemy się. Słońce zakrada się przez zasłonę, przypominając, że wszyscy już powoli wstają, tylko my nadal leżymy. Pożądanie narasta; pocałunki i pieszczoty nagle nie wystarczają. Dźwięk telefonu jest intruzem.

Patrzymy oboje poirytowani na nocny stolik. Bart niewiele sobie robi z natarczywego dzwonka, skupiony ciągle na mnie, lecz w końcu daje za wygraną, obraca się, zrezygnowany, i podnosi słuchawkę.

- Słucham.

Po drugiej stronie słyszę wyraźnie kobiecy głos. Bart słucha, parę razy kiwa głową, jakby ona mogła to zobaczyć, i mówi:

- Rozumiem, nie ma sprawy, zaraz będę.

Po czym odkłada słuchawkę.

Patrzę niespokojna.

- Musisz iść?

- Tak, cholera! - mamrocze, wtulając głowę w moją szyję. - Przepraszam, przepraszam! Chciałem cały dzień zajmować się tobą, ale Dagmar ma grypę, a jej rodzice są na urlopie. Pytała, czy nie mógłbym się zająć Kim, żeby mogła zostać w łóżku i wyzdobrzeć.

- Ach, tak... - mówię.

- Nie mogłem powiedzieć: nie. Kto miałby się zająć naszą małą, kiedy jej matka leży chora w łóżku? - pyta Bart, patrząc na mnie błagalnie.

Nie ma rady, choć mi to nie w smak. Lepiej się od razu przyzwyczaić, a nawet okazać wielkoduszność.

- Oczywiście, musisz iść - stwierdzam wyrozumiale. - Umówimy się innym razem.

- Jesteś wspaniała. - Całuje mnie długo i z wdzięcznością. - Naprawdę, prawdziwy z ciebie skarb. Zjemy jeszcze razem śniadanie, a potem do ciebie zadzwonię. Daj mi swój adres i telefon.

Przy stole wymieniamy adresy i telefony. Bart robi się niespokojny. Chce już iść do córeczki, może też do swojej ex. Kiedyś musieli być w sobie zakochani; pobrali się, są na całe życie złączeni przez córkę. Czyż podobne uczucia nie są obecne zawsze, nawet po rozwodzie?

Zegnamy się długo: jeszcze ostatni pocałunek, jeszcze jeden. Muśnięcie, kiwnięcie, w końcu każde z nas siedzi w swoim samochodzie. Trąbimy wesoło.

Mimo tak gwałtownego końca tej nocy prowadzę teraz z uśmiechem błogości na ustach. Jadę przez centrum, potem w kierunku Noordholland Kanaal. Przypominam sobie, że mam niewłączony telefon. Może Bart wysłał SMSa?

Wyjmuję z torby komórkę i włączam. Odsłuchuję pięć wypowiedzianych natarczywym tonem wiadomości od Olafa. Chce ze mną rozmawiać. Nastrój błogości znika.

- Wariat! - mruczę do siebie.

Muszę mu chyba jeszcze raz dosadnie dać do zrozumienia, że nie jestem nim więcej zainteresowana. Najprawdopodobniej się tego domyśla, skoro stał wczoraj pod wydumą. Jak też przyjął do wiadomości fakt, że poszłam tam z Bartem? Domyślam się, że nie najlepiej.

Denerwuję się przez całą drogę do Amsterdamu i kiedy skręcam w swoją ulicę, nerwowo rozglądam się, czy nie dostrzegę zaparkowanego na chodniku czarnego peugeota.

Parkuję, zamykam samochód, przechodzę przez ulicę. Niespokojna otwieram drzwi wejściowe. Moje kroki brzmią głośno na starych drewnianych schodach, zapowiadając coś nieprzyjemnego. Przed drzwiami mieszkania waham się. Wpatruję się w nie, jakbym się spodziewała, że nawiedzi mnie jakaś nadprzyrodzona moc, dzięki której się dowiem, co mnie czeka za progiem.

Na trzęsących się nogach wchodzę wyżej i dzwonię do pani Bovenkerk.

- Kto tam? - słychać lekko skrzeczący głos.

- To ja, Sabinę. Czy może pani otworzyć?

- Już idę, moje dziecko.

Przestępując z nogi na nogę, rzucam ukradkowe spojrzenia na klatkę schodową. Po chwili drzwi się otwierają i pani Bovenkerk uśmiecha się do mnie.

- Czego ci potrzeba, moja droga?

- Chciałam się dowiedzieć, czy ktoś był pod moimi drzwiami.

- Nikogo nie widziałam, słyszałam jednak bezustannie dzwoniący telefon.

- I nikt nie prosił o mój klucz?

- Nie, nikt, poza tym i tak by go nie dostał.

Uśmiecham się.

- Dziękuję pani. To wszystko, co chciałam wiedzieć.

Zaciekawiona spogląda na mnie.

- Czy coś się stało? Ktoś ci się naprzykrza?

- Trochę tak.

- Zmień zamek - doradza pani Bovenkerk. - I przysuń parę krzeseł pod drzwi; zawsze to robię na noc. Nikt do mnie nie wejdzie, a jeśliby mu się udało, to mam jeszcze pod łóżkiem kij bejsbolowy od mojego wnuka. - Bojowym wzrokiem patrzy na klatkę, jakby oczekiwała napastnika wchodzącego na górę. - Aha, moje dziecko, wyjeżdżam na parę dni do córki. Mam nadzieję, że w tym czasie popilnujesz mi mieszkania.

Być może powinnam u niej zamieszkać, przebiega mi przez głowę, lecz nie zdradzam się z tym.

Uspokojona schodzę na dół, otwieram drzwi mieszkania. Do dużego pokoju wpada słońce i tak dobrze mi znane wnętrze promieniuje ciepłem.

Żadnych kwiatów na stole. Żadnych niespodzianek. Żadnego Olafa.

Czuję, jak opuszcza mnie napięcie, zamykam drzwi na klucz. Prysznic, świeże ubranie, kubek kawy na balkonie.

Nie zwracam uwagi na mrugającą sekretarkę. Dopiero wykąpana podchodzę do telefonu.

- Dzień dobry kochana, piękna Sabinę - słyszę niski głos Barta. - Chciałem ci tylko powiedzieć, jaki jestem szczęśliwy, że mogłem się obudzić koło ciebie dziś rano. Szkoda, że nie mogliśmy razem spędzić tej niedzieli, ale szybko to nadrobimy, dobrze? Nie ma cię teraz w domu, zadzwonię później. - Seria pocałunków kończy wiadomość. Moja twarz rozjaśnia się, by natychmiast stężeć po odsłuchaniu niekończących się wiadomości od Olafa. Obwiniających mnie i złośliwych. Kasuję je wszystkie, zostawiając tę od Barta, żeby ją odtworzyć później. Cały dzień siedzę spokojnie na balkonie, czytając, wieczorem wkładam do piekarnika pizzę. Mam jeszcze pomidory i sałatę, nie muszę wychodzić z domu. Zjadam bogatą w kalorie kolację przed telewizorem, oglądając niezbyt zabawną komedię. Film prawie się kończy, kiedy ktoś dzwoni do drzwi.

Jakby to był alarm, wstaję natychmiast i wyłączam telewizor. Znowu dzwonek, któremu towarzyszy walenie w drzwi.

- Sabinę! Jesteś w domu? Otwórz! To ja.

Olaf.

- Sabinę!

Skamieniała siedzę na kanapie z pilotem, jakbym chciała nim wyłączyć program, w którym on bierze udział. Tymczasem walenie pięścią do drzwi przybiera na sile.

- Sabinę! Otwieraj! - Wściekłość w głosie Olafa przeraża mnie. Skradam się na palcach do telefonu, lecz kiedy chcę wcisnąć klawisz, palce zawisają mi w powietrzu. Jaki to

był numer?? A może? A jaka cyfra przedtem? Cholera, dlaczego pamięć zawodzi mnie w momencie, kiedy najbardziej jej potrzebuję?

Biegnę do sypialni. Torba z komórką leży na łóżku. Komórka mówi mi, że to numer. Trzymam palec na przycisku „dzwoń”. Jeśli wyważy drzwi, nacisnę.

On jednak nie wyważa drzwi. Zapada cisza. Przez chwilę mam nadzieję, że sobie poszedł. Słucham uważnie, wychodzę z sypialni i staję jak wryta. Drzwi są otwarte, Olaf wchodzi do środka z kluczem w ręku.

Jestem w szoku, czuję, jak pulsują mi skronie. Patrzę na niego, jak zamieniona w słup soli. On również staje i trwamy tak bez ruchu naprzeciw siebie.

- Olaf - wymyka mi się w końcu niezbyt inteligentnie.

Przypatruje mi się z przytłaczającym spokojem.

- Skoro jesteś w domu, dlaczego nie otwierasz?

- Nie słyszałam cię - mówię, starając się, żeby zabrzmiało to wiarygodnie. - Jak tu wszedłeś?

Podchodzi do mnie, wymachując mi przed nosem kluczem zapasowym.

- Znalazłem! - odpowiada lodowato. - Już dawno temu.

- Znalazłeś? Masz na myśli: zabrałeś! Nie przypominam sobie, żeby ci go dała. - Biorę mu klucz z ręki pewnym gestem, lecz pod maską pewności skrywa się lęk.

- Tak, zabrałem - mówi spokojnie.

Irytacja goni lęk. Zachować spokój; jest już tutaj, nie rozżłość go. Ma taki dziwny wzrok. Nie dać mu powodu, by wybuchnął.

Zwracam się do niego ze swobodnym uśmiechem.

- Skoro tu jesteś, to może się czegoś napijesz? Piwa?

Jestem już w kuchni. Olaf idzie za mną i staje w drzwiach z założonymi rękami. Nie odrywa ode mnie wzroku. Wiele trudu kosztuje mnie otwarcie butelki piwa. Sięgam po jeszcze jedną, otwieram, odwracam się i podaję mu. Bierze, lecz nie upija ani łyku.

Staram się uciec przed jego wzrokiem.

- Dlaczego nie otworzyłaś? - pyta spokojnie. Kątem oka widzę jednak, jak napinają mu się mięśnie szyi.

- Nie słyszałam cię - powtarzam.

- Co w takim razie robiłaś?

- Miałam na uszach słuchawki od iPod'a - odpowiadam i jak gdyby nigdy nic idę do dużego pokoju. Tam jestem bliżej telefonu. Olaf idzie za mną, pije piwo i przygląda mi się w milczeniu.

- Byłaś ostatnio u mojej mamy - mówi z wyrzutem.

- I co z tego - mówię, zbyt może pogodnie. - Przejeżdżałam tamtędy i pomyślałam, zobaczę, gdzie Olaf dawniej mieszkał. Dowiedziałam się, że nadal mieszka tam twoja mama, więc ją odwiedziłam.

- Po co?

- Po prostu - zdobywam się na zdziwienie. - Przecież to zupełnie normalne wpaść do rodziców chłopaka?

- Wyobrażałem sobie, że pójdziemy do niej razem - ucina Olaf.

- Czasem lepiej jest, by kobiety porozmawiały w cztery oczy.

- A o czym rozmawiałyście? - W jego głosie brzmi podejrzliwość. Zastanawiam się. Matka mogła mu dokładnie opowiedzieć, o czym rozmawialiśmy.

- O tobie, o Isabel, o Eline. Chciałam wiedzieć, jakie jeszcze miałaś dziewczyny. - Uśmiecham się, zawstydzonym uśmiechem zazdrosnej partnerki.

Olaf się odpręża.

- To mógłbym ci sam opowiedzieć.

- Tak - przyznaję. - Uważasz to za takie straszne? Zdecydowanym ruchem przyciąga mnie ku sobie. Nie opieram się, aczkolwiek nie podobają mi się jego oczy.

- Czy było ci dobrze z Bartem? - dopytuje się.

Nie unikam jego wzroku.

- Masz na myśli spotkanie w szkole? Tak, miło było wszystkich zobaczyć.

- Długo nie zostałaś - zauważa Olaf chłodno.

Nie wiem, co mam odpowiedzieć. Dlaczego miałabym cokolwiek mówić? Co go to obchodzi?

- Śledziłeś nas - mówię, przybierając ten sam ton. - Nie zaprzeczaj, widziałam twój samochód. W jakim celu?

Puszcza mnie, a raczej odpycha.

- Ponieważ nie mogłem uwierzyć, że z nim wychodzisz.

- Co jest złego w rozmowie ze starym przyjacielem? Chcieliśmy się przejść po plaży - odpowiadam ze złością.

Zapada milczenie. Mierzymy się wzrokiem, wypróbowując swoją wytrzymałość.

- Chodziłaś z nim dawniej. Robin mi mówił. A teraz się znowu spotkaliście, bardzo to romantyczne. Ale to nie ma sensu, Sabinę, sama dobrze wiesz. Co ten facet dla ciebie znaczył? Chodziliście ze sobą, ale nikt nie mógł o tym wiedzieć. Prawdziwa miłość - śmieje się z sarkazmem.

- Zachowywał tajemnicę, żeby mnie chronić przed paczką Isabel.

Olaf prycha z pogardą.

- Wiesz, co wzbudziłoby mój szacunek? Gdyby publicznie się przyznał, że jesteś jego wybranką. Gdyby gwizdał na całą tę klikę i wprowadził tam ciebie. To powinien był zrobić. Ja bym zrobił!

Wierzę mu, jestem przekonana, że tak. Stoimy już jakiś czas naprzeciw siebie. Wszystko we mnie prosi, by sobie poszedł, lecz zamiast tego on swobodnie spaceruje po dużym pokoju i jednym haustem wypija butelkę do dna. Stawia pustą z trzaskiem na kredensie. Głośno mu się odbija.

- Masz jeszcze jedną?

Znikam w kuchni. Trzęsącymi się rękoma męczę się z otwieraczem. Słyszę, jak chodzi w tę i z powrotem. Przez szparę w drzwiach widzę, że się zatrzymuje przy telefonie i włącza sekretarkę. Z przerażeniem słyszę wypełniający pokój głos Barta: Dzień dobry kochana, piękna Sabiń. Chciałem ci tylko powiedzieć, jaki jestem szczęśliwy, że mogłem się obudzić koło ciebie dziś rano. Szkoda, że nie mogliśmy razem spędzić tej niedzieli, ale szybko to nadrobimy, dobrze? Nie ma cię teraz w domu, zadzwonię później.

Odgłos pocałunków, które rano budziły we mnie wzruszenie, w chwili obecnej sprawia, że sztywnieję i przeklinam sentymentalną chęć zachowania głosu Barta.

Wymykam się z kuchni do przedpokoju, obserwując drzwi do dużego pokoju. Olaf stoi zwrócony do mnie plecami, oparty o komodę, z głową pochyloną, z całej siły usiłując się opanować. Palcem naciska znowu na odtwarzanie, Bart znowu opowiada, jak to wspaniale było, obudzić się koło mnie dziś rano. Olaf gwałtownym ruchem dusi przycisk „usuń” i głos Barta zamiera.

Wpadam do ubikacji, zamykam drzwi. Słyszę, jak Olaf idzie do kuchni.

- Gdzie jesteś? - pyta spokojnym, lecz niebezpiecznie wibrującym tonem.

Przetykam ślinę. Przywołuję się do przytomności.

- W ubikacji! - wołam. - Zaraz przyjdę, weź swoje piwo!

Olaf robi jednak coś innego. Słyszę trzask butelki rozbijanej o kuchenną podłogę i kurczę się w sobie. Jedna tłukąca się butelka robi niesamowity hałas, a cóż dopiero łomot wielu, rozbijanych o szafkę kuchenną. Przeważenie chwyta mnie za gardło. Otwieram ostrożnie drzwi. Olaf właśnie rzuca krzesłem w przeszklone drzwi balkonowe. Wybiegam do przedpokoju, chwytam w pędzie torebkę z sypialni, biegnę do drzwi. Olaf w kuchni za bardzo hałasuje, by mnie usłyszeć. Właśnie tłucze mój serwis. Jednym szarpnięciem otwieram drzwi, wybiegam na klatkę schodową, zatrząskuję je za sobą i przekręcam klucz. To go przez chwilę

powstrzyma, kiedy zauważy, że mnie nie ma. Jest jeszcze w mieszkaniu para zapasowych kluczy, ale najpierw musi je znaleźć.

Zbiegam ze schodów. Jestem na ulicy. Chłód wieczoru owiewa moją rozgorączkowaną twarz. Samochód stoi na szczęście pod drzwiami. Podchodzę szybko, szarpię się z kluczem, wyłączam centralną blokadę i uciekam.

Zadziwia mnie zawsze liczba spacerowiczów, rowerzystów i kierowców samochodów poruszających się po mieście późną nocą. Jest niedziela, ale i w dzień powszedni można spotkać o tej porze taki sam tłum.

Poprawia mi to samopoczucie, nie jestem przynajmniej sama, choć otaczają mnie bywalcy knajp. Oświetlenie ulic, neonowe reklamy i rozjarzone okna lokali uświadamiają mi, że oto jestem w świecie, w którym ludzie uznają noc za czas zabawy.

Wierzę, iż Jeanine w podobny sposób zareaguje na moją wizytę.

Niestety, moje przybycie nie dociera do niej. Dzwonię wielokrotnie do drzwi; moje kroki na schodach dawno już ucichły. W końcu biorę komórkę, znajduję jej numer. Wiem, że trzyma telefon na nocnym stoliku, by mieć go zawsze pod ręką.

Na sekundę przed włączeniem się sygnału poczty głosowej słyszę jej zaspany głos.

- Słucham...

- Jeanine, to ja Sabinę. Stoję pod twoimi drzwiami. Wpuść mnie, proszę!

- Sabinę?

- Otwórz, proszę, drzwi.

- Co cię tu sprowadza?

- Zaraz ci wyjaśnię, otwórz, proszę!

- Już idę.

W oczekiwaniu na nią chowam się w ciemności korytarza, obserwując ulicę. Panuje martwa cisza.

W drzwiach ukazuje się Jeanine z włosami opadającymi na oczy. Patrzy na mnie zaspana.

- Co się stało? Mamy gdzieś iść?

Wchodzę do środka.

- Czy mogę u ciebie spać?

- Ale co się stało? Nie możesz pójść do siebie?

- Olaf szaleje u mnie, tłukąc wszystko w drobny mak.

Jej oczy stają się okrągłe ze zdziwienia. Zachłystuje się.

- Czyżby seks był aż tak zły?

- To nie jest żart, Jeanine. On nie jest tym, na kogo wygląda.

- Opowiadaj! - mówi, wchodząc przede mną do mieszkania.

Staram się streszczać, ale opis w paru zdaniach musi być wyjątkowo barwny, bo Jeanine z niedowierzaniem kręci głową.

- Kto by go o to podejrzewał? Nie masz nic przeciw temu, żeby od razu pójść spać? Po prostu żywcem zasypiam. I nie mam ochoty wdrapywać się na strych po pościel; musisz spać ze mną.

Jest mi wszystko jedno. Rozbieram się i wślizguję obok Jeanine na jej dwuosobowe łóżko. Śpi dalej, jakby się wcale nie zbudziła, tylko w północy wróciła z ubikacji. Sama leżę jeszcze długo, przyglądając się wyłaniającym się powoli z ciemności zarysom mebli i przedmiotów.

W każdej chwili oczekuję, że zadzwoni telefon. Panuje jednak cisza. Może Olaf nie zauważył jeszcze mego zniknięcia. Albo już tutaj jedzie? Może za moment stanie przed drzwiami Jeanine? Albo jutro rano, kiedy wstanę?

Nie wie przecież, gdzie Jeanine mieszka. Odszuka ją. Chyba nie w środku nocy? Nie wie też, że tu jestem, a jutro musi iść do pracy.

Mimo tej próby uspokojenia nie mogę opanować nerwów, nie mówiąc już o zaśnięciu. Wstaję i w ciemności idę do dużego pokoju. Odsuwam zasłony, otwieram okno, siadam i zapalam papierosa, wypuszczając dym przez uchylone okno. Jak mógł zareagować Olaf, kiedy się zorientował, że mnie nie ma? Być może weźmie wolne i zostanie cały poniedziałek w moim mieszkaniu. Nie będę mogła wtedy wrócić. Nie ma rady, cokolwiek by się stało, i tak się spotkamy w pracy. Bylebym tylko nie musiała być z nim sam na sam. Powinnam pójść dziś w nocy na policję! Mój Boże, głupia jestem. Policja by go wyrzuciła, a ja mogłabym wejść do domu.

Zaciągam się i wypuszczam dym za okno. Przez uchylone zasłony obserwuję ulicę. Z każdym upływającym kwadransiem narasta we mnie niepokój. Palę jednego papierosa po drugim. Nie pojawia się jednak rozwścieczony Olaf.

I wtedy dzwoni mój telefon. Podskakuję przerażona, uderzając się łokciem o parapet. Przygryzam z bólu wargi, szukając telefonu w torebce. Na ekranie pojawia się numer mojego mieszkania.

- Słucham.

- Sabinę, tu Olaf. - Jego głos brzmi spokojnie. Nie odpowiadam. - Wiem, że wrócisz - ciągnie dalej tym samym tonem niezmaconego spokoju. - Zostanę tutaj, dopóki nie wrócisz.

- Zupełnie już zwariowałeś? Jeśli do rana nie znikniesz, zadzwonię po policję - wyrzucam z siebie.

- W takim razie jadę teraz po ciebie. Gdzie jesteś? Nieważne, i tak cię znajdę.

Z furią wyłączam telefon. Potrzebuję jeszcze dwóch papierosów, żeby się odrobinę uspokoić. No, proszę, on jest naprawdę wariatem!

Wracam do łóżka, wślizguję się pod kołdrę, ledwie się powstrzymując od przytulenia się do Jeanine.

- A teraz chcę wiedzieć, co się naprawdę wydarzyło - mówi Jeanine, stawiając przy łóżku tacę, z której dochodzą mnie smakowite zapachy. Kawa, jajko na miękko i grzanka z dżemem. Jeanine jest ubrana i umalowana.

- Jak to miło z twojej strony!

Podnoszę się i opieram się o ścianę, wkładając pod plecy poduszkę.

- Mówiłaś przez sen: Olaf, nie rób tego. Coś o Isabel. - Jeanine siada na brzegu łóżka.

- Pozwoliłam ci się wyspać.

- Która godzina?

- Ósma. Muszę iść do pracy.

- Ja też, ale chyba nie pójdę.

Biorę torebkę i sprawdzam komórkę: żadnych nowych wiadomości.

- Jak to jest możliwe? Tak było dobrze między wami - zastanawia się Jeanine.

Jem śniadanie, opowiadając o wszystkim. O moich wątpliwościach co do naszego związku, o natarczywości Olafa, mejlach, niekończących się telefonicznych podchodach, o różach w mieszkaniu, o Barcie i o tym, jak wczoraj wtargnął do mojego domu, korzystając z zapasowego klucza. Opowiadam o swoich wizytach w Den Helder, o randce, jaką miał z Isabel w dniu jej zaginięcia, o doświadczeniach Eline i o ostatniej nocnej rozmowie telefonicznej.

- Nigdy bym Olafa o to nie podejrzewała. - Jeanine nie może ochłonąć z wrażenia. - Naprawdę cię uderzył? Jak to jest możliwe...

- W pierwszym zetknięciu jest uprzejmy i szarmancki, lecz potrafi stać się brutalny - odpowiadam.

- Ale żeby z tego wyciągać wniosek, że zabił Isabel... - powątpiewa Jeanine, jedząc jajko, na które nie mam ochoty.

- Isabel umówiła się z nim przy Ciemnych Wydmach - mówię z pełnymi ustami. - Założmy, że się spotkali przy kawiarence. Potem idą w głąb lasu. Isabel mówi mu, że z nim zrywa. Olaf traci kontrolę nad sobą, bije ją. Ona ucieka, on ją dogania.

- Mógł ją napaść ktoś obcy. Różni ludzie płaczą się po lesie i wydmach.

- To oczywiście możliwe. Dlaczego jednak nie mówi prawdy o tym, co go łączyło z Isabel, i dlaczego nie powiedział policji, że był z nią umówiony?

- Zapytałaś go o to?

- Nie miałam odwagi. Jeśli rzeczywiście się dopuszcza przemoc i ponosi odpowiedzialność za zniknięcie Isabel...

- Masz rację - mówi z namysłem Jeanine. - Mimo wszystko nie podejrzewam go o to.

- On jest dziwny. Kto, na litość boską, nagrywa się cały dzień na sekretarkę, wiedząc, że nie ma mnie w domu.

- Ktoś, kto jest bardzo zakochany.

- Był też bardzo zakochany w Isabel. - Stawiam tacę na podłodze. - Jest jeszcze jeden kandydat, pan Groesbeek.

Jeanine się zaśmiewa, wysłuchując mego sprawozdania o kociej sierści w herbacie i smakowitych cukierkach, którymi mnie poczęstowano. Śmieje się jeszcze, gdy wymieniam imiona kotów, lecz milknie gwałtownie, kiedy mówię, że byłam na policji. Nie wspominam już o innych podejrzanych, których imiona krążą mi po głowie.

- Dużo się nad tym zastanawiasz, prawda? - pyta Jeanine.

- Gdybym tylko mogła sobie przypomnieć, co robiłam na tej polanie... - mówię pogrążona w zadumie. - Dlaczego nikogo nie zaalarmowałam? To wydaje mi się dziwne. Chciałam przede wszystkim zapomnieć. Jedyne wyjaśnienie może być fakt, że znałam zabójcę.

Jeanine wodzi palcem po wzorze kwiatów na pościeli.

- Jesteś pewna, że to są wspomnienia? Być może wszystko ci się po prostu przyśniło. Dlaczego twoja pamięć zatrzymuje się na polanie? To nielogiczne, tak jak sen. Jeśli chcesz opowiedzieć jakiś sen, nie uda ci się, ponieważ składają się one w większości z wrażeń i emocji. Obrazy nie pasują do siebie, wszystko jest niewyraźne, zatarte. Często taki sen powraca, pojawia się jakiś nowy fragment, łączy z innymi i masz wrażenie, że to mogło się przydarzyć w rzeczywistości.

- To mi się nie przyśniło. W śnie pojawiają się niespodziewane momenty, coś, co nie ma z nimi nic wspólnego. Kiedy śnisz, wszystko wydaje ci się logiczne, kiedy się budzisz - śmieszne; albo już nie pamiętasz połowy. To jest coś innego, Jeanine.

- Sądzisz, że sobie jeszcze coś przypomnisz?

- Nie mam pojęcia. Mam nadzieję. Zastanawiam się jednak, jak ma mi to pomóc. Policja nie bierze mnie na serio. Nawet ty mi nie wierzysz.

- Wierzę ci, podkreślam tylko, że możesz się mylić. To, co przed chwilą powiedziałaś, to prawda; sny mogą być bardzo zagmatwane i nielogiczne. To, co ożywa w twojej pamięci, jest chronologiczne i przypomina rzeczywistość. Co powinniśmy w takim razie zrobić?

- Właśnie. Co?

- Powinniśmy pójść na to miejsce w lesie i zobaczyć, czy opis się zgadza.

- Już to zrobiłam. Wszystko się zgadzało. Miejsce w lesie, polana, krzaki jeżyn... Wszystko było tak, jak przewidywałam.

- Okay, w takim razie zostaje tylko jedna możliwość, by się przekonać, czy śniłaś, czy też to prawda.

- Co takiego?

- Samemu przekopać teren.

Na myśl przechodzi mnie dreszcz. Wyobrażam sobie kości Isabel, głęboko w piachu, i nagle ogarnia mnie wątpliwość. Czy coś we mnie w środku nie bawi się ze mną w kotka i myszkę? Czy nie przetwarzam lęków, domysłów, a może nawet pragnień z przeszłości w obrazy, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością? Moje serce mówi, że absolutnie nie mam racji. Rozsądek, że powinnam rozważyć taką możliwość.

Nagle przypomina mi się coś i znika w jednej chwili, jak bańka mydlana, wszelkie wątpliwości co do tego, czy moje wspomnienia są prawdziwe.

To musiało być na krótko po zniknięciu Isabel, ponieważ ojciec leży jeszcze w szpitalu. Jest późny wieczór, schodzę ze schodów, zataczając się w półśnie.

Mama ogląda telewizję, z kieliszkiem wina w ręku. Bez słowa idę do drzwi, wkładam kurtkę.

- Dokąd się wybierasz, córeczko? - pyta zdumiona.

- Idę pomóc Isabel - wyszeptuję.

Mama przygląda mi się.

- Idź spać, kochanie - mówi cicho.

Wybucham płaczem, rękę mam już w rękawie kurtki.

- Ale ona mnie potrzebuje!

Popychając delikatnie, mama prowadzi mnie do łóżka. Zasypiam od razu. Za każdym razem, kiedy mi się nocą coś takiego przydarzało, budziłam się z twarzą mokrą od łez i z rozdzierającym poczuciem winy.

Ktoś dzwoni do drzwi. Mocno i natarczywie. Przerazona wyskakuję z łóżka. Jeanine idzie do kuchni i od razu wraca. Spoglądamy na siebie niepewnym wzrokiem.

Podchodzimy razem do drzwi, wyglądamy na korytarz. Przez matową szybę drzwi wejściowych widać wysoką, masywną sylwetkę Olafa.

- Ubieraj się szybko - mówi zdenerwowana Jeanine.

Biegnę do sypialni i w parę sekund jestem ubrana. Znowu dzwonek. Tym razem Olaf go nie puszcza; ostry dźwięk przecina powietrze jak dojmująca przestroga.

- Tak, tak - woła Jeanine. - Chyba mogę coś na siebie włożyć? - Wypycha mnie przez drzwi do ogrodu. - Uciekaj! Jeśli staniesz na kontenerze na śmieci, będziesz mogła przeskoczyć przez płot. Szybko!

Już mnie nie ma. Jeanine rzuca za mną torebkę. Przekręca w drzwiach klucz. Z ogródka słyszę, jak Olaf wali do drzwi. Podnoszę torebkę, podbiegam do płotu, stawiam stopę na blaszanym pojemniku na śmieci, podciągam się i staję na nim. Jakbym regularnie skakała przez płoty, przekładam nogę ponad najwyżej położoną deską i jestem po drugiej stronie.

Sąsiadka Jeanine, Turczynka, rozwiesza pranie w ogrodzie. Upuszcza prześcieradło do kosza i patrzy na mnie, jakby w ziemię wrosła. Uśmiecham się, biegnąc do furtki. Otwieram i oto jestem na wąskiej uliczce z drugiej strony domu. Uciekam.

39

Dokąd możesz uciec przed kimś, z kim masz wspólnych przyjaciół? Donikąd. Nawet nie mogę iść do pracy. Mogę zrobić tylko jedno: zatroszczyć się o to, żeby było koło mnie pełno ludzi.

Zostawiam samochód przed domem Jeanine, przekonana, że Olaf będzie go pilnował, i jadę tramwajem do centrum. Po drodze dzwonię, uprzedzając, że nie będzie mnie dzisiaj w pracy.

Wysiadam na Leidseplein i szukam miejsca na tarasie kawiarni, za doniczkami. Czekając, aż podejdzie obsługa, sprawdzam pocztę głosową. Żadnej wiadomości od Barta. Patrzę obojętnie przed siebie, stukając telefonem w stół. Dlaczego nie zadzwonił? Jeśli nie nagrał się również na sekretarce w domu, pomyślę, że jest coś nie tak. Mam sama zadzwonić? Nigdy nie dzwoń pierwsza do mężczyzny - mówiła mama. Rada nie do zrealizowania. Playing hard to get - jeśli się tym przejmę, stuknie mi trzydziestka a ciągle jeszcze będę sama.

Parę szybkich przyciśnień palcem i znajduję jego numer. Dzwonię, po czym słyszę: Tu Bart de Ruijter. Nie mogę w tej chwili odebrać. Proszę zadzwonić później albo zostawić wiadomość.

Nie zostawiam żadnej. Kelnerka z wysoko upiętymi włosami i w białym fartuszkach podchodzi do mojego stolika, wyjmując z kieszeni bloczek i patrzy wyczekująco.

- Poproszę kawę z mlekiem.

Kelnerka kiwa głową i znika. Wkładam okulary przeciwsłoneczne, przyglądam się ludziom dookoła, od czasu do czasu rzucam okiem na komórkę, jakbym chciała ją przymusić do dzwonienia. Przynoszą mi kawę. Jakiś narkoman podchodzi do wszystkich stolików z wyciągniętą ręką. Dzwoniąc, przejeżdża tramwaj numer pięć. Oczywiście szybko przebiegam po oknach, bacznie obserwuję przystanek.

Po chwili nadjeżdża dwójka i wysiada z niej wysoki blondyn; idzie w moim kierunku. Wbiegam w popłochu do Grand Café, by w środku stwierdzić, że to ktoś obcy. Z niepewnym uśmiechem patrzę na dziewczynkę, która mi pomogła. Ona zaś patrzy na mnie, odpowiada uśmiechem i odchodzi.

Idę do toalety, przekręcam klucz. Myję ręce, płacę przy barze. Potem wsiadam do pierwszego nadjeżdżającego tramwaju, wybieram miejsce blisko motorniczego, jednak w takiej odległości, by nie mógł słyszeć moich rozmów.

Jedziemy przez centrum Amsterdamu. Tymczasem szukam numeru telefonu policji w Den Helder, dzwonię i prosząc o połączenie z inspektorem Hartogiem.

- Będzie w pracy dopiero w południe - odpowiada dyżurny policjant.

- Czy mogłabym zostawić wiadomość? To pilne - mówię. - Proszę powiedzieć, że dzwoniła Sabine Kroese i że jestem napastowana przez Olafa van Oirschota.

Mimo iż próbuję opanować drżenie głosu, ton jest wyższy niż normalnie. Policjant obiecuje przekazać wiadomość.

Kończę rozmowę. Hartog najprawdopodobniej siedzi w domu z kubkiem kawy i nic sobie nie robi z tej nowiny. Ja w każdym razie próbowałam się z nim skontaktować. Od tego momentu będę go informować o wszystkim, co mi się przytrafia, aż wreszcie się tym zainteresuje. Dziś wieczorem pójdę do jakiegoś hotelu i wtedy jeszcze raz do niego zadzwonię. Jutro muszę być w pracy. Mam nadzieję, że do tego momentu Olaf oprzytomnieje, poza tym czuję się bezpiecznie między koleżankami i kolegami z pracy.

Nie robię zbyt odległych planów. Jeanine ma rację: najlepiej by było pojechać do Den Helder i samemu zacząć kopać w miejscu, w którym widziałam Isabel.

O tym, że jej tam może nie być, nie chcę w ogóle myśleć. W takim przypadku musiałabym się zameldować na oddziale zamkniętym kliniki psychiatrycznej.

Wysiadam i w tej chwili słyszę wesołą melodyjkę komórki. Z przestרחu wykonuję nieokreślony ruch. Rzucam okiem na ekran: rozmówca nieznanym. Pełna podejrzeń odbieram.

- Słucham.

- Czy mówię z panią Sabiiną Kroese? - pyta nieznanym głosem kobiecy.

- Tak - potwierdzam.

- Tu szpital Gemini w Den Helder. Chciałam pani powiedzieć, że wczoraj po południu przyjęto do nas pana de Ruijtera.

- Nie rozumiem. Bart leży w szpitalu?

- Tak, Bart de Ruijter miał ciężki wypadek samochodowy.

- Ale... Jak się czuje, co mu jest? Czy to coś poważnego? Dlaczego dopiero teraz dzwonicie? - wyrzucam z siebie, nie mogąc się opanować.

- Zawiadomiliśmy od razu jego rodzinę; zjawiała się wczoraj natychmiast. Dziś rano jednak pytał o panią. Byłoby dobrze, gdyby pani mogła zaraz przyjść - sugeruje ten ktoś po drugiej stronie, lekarz lub pielęgniarka.

- Dziękuję - mówię zduszonym głosem. - Już jadę. Czy to poważne? Nie powiedziała mi pani jeszcze, w jakim znajduje się stanie?

- Liczne złamania i poważny wstrząs mózgu. Jego stan jest stabilny, ale martwi nas jedno - milczy przez chwilę, ostatecznie mnie dobijając: - Po wyrażeniu chęci skontaktowania się z panią stracił przytomność i dotychczas jej nie odzyskał.

Tak szybko, jak mogę, biegnę na Dworzec Centralny. W biegu udaje mi się wskoczyć do pociągu odchodzącego do Den Helder. Kiedy już siedzę, uświadamiam sobie, że nie mam biletu. Obgryzając paznokcie, siedzę tak godzinę między dudniącymi discmanami i szeleszczącymi gazetami. Chce mi się krzyżeć, kiedy pociąg się zatrzymuje gdzieś w polu przed Anną Paulowną*. Po dziesięciu ciągnących się jak wieczność minutach rusza bez żadnego wyjaśnienia. Ostatecznie staje, skrzypiąc i piszcząc, na stacji w Den Helder. Jestem pierwsza przy drzwiach, wyskakuję i pędzę na przystanek autobusowy.

- Czy pan jedzie do szpitala Gemini? - pytam kierowcę, a ten wskazuje mi odjeżdżający autobus:

- Nie, powinna była pani wsiąść do tamtego.

Chce mi się płakać. Łapię taksówkę, która zawozi mnie pod szpital.

W informacji pytam o Barta i słucham wyjaśnień, jak mam dojść na oddział. W szpitalu jest spokojnie, nie nastąpił jeszcze czas wizyt. Idę do windy, potem ciągnącymi się w nieskończoność białymi korytarzami. Przed laty odwiedzałam tutaj ojca. Skąd mogłam przypuszczać, że pojawię się tu znowu, pełna obaw.

Sala. Przebiegam oczyma numery, zatrzymuję się gwałtownie, widząc nazwisko Barta.

Ostrożnie popycham drzwi, przygotowana na to, że zobaczę aparat denowy lub kroplówkę. Ale nie puste łóżko w jednoosobowej sali szpitalnej.

Wychodzę sprawdzić tabliczkę z nazwiskiem. Zgadza się, lecz gdzie jest Bart? Co się stało?

W korytarzu zatrzymuję pielęgniarkę.

- Przychodzę do pana de Ruijtera, ale jego łóżko jest puste, gdzie on jest?

- Kim pani jest? - pyta pielęgniarka.

- Sabinę Kroese. Dzwoniono do mnie ze szpitala dziś przed południem.

Pielęgniarka zagląda do papierów.

- Pan de Ruijter, przechodząc wczoraj przez jezdnię, został potrącony przez samochód. Jak na te okoliczności jego stan był zadowalający. Pacjent był przytomny do dziś rana, potem jednak stracił przytomność. Obecnie robimy mu rezonans magnetyczny. Damy pani znać, kiedy będzie wiadomo coś więcej.

* Miejscowość w prowincji Noord Holland.

Skinąwszy do mnie przyjaźnie, odchodzi. Zostaję sama. Czuję się przybita.

Skądś dobiega mnie stłumiony szloch. Patrząc w głąb poczekalni i dostrzegam młodą blondynkę. Siedzi zwrócona do mnie plecami, pochylona; płacze. Obok niej w foteliku MaxiCosi leży małe dziecko.

Waham się chwilę. Czyżby to była Dagmar i Kim? Dagmar miała przecież grypę, mówię do siebie, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Grypa czy nie, ja też wyskoczyłabym od razu z łóżka. Zastanawiam się tylko, czy wolno wchodzić na specjalistyczny oddział z grypą.

Nie namyślając się dłużej, wchodzę do poczekalni.

- Dagmar? - pytam.

Odwraca się szybko, oczekując lekarza, twarz ma pełną łez i spuchnięte oczy.

- Tak? - odpowiada, patrząc wyczekująco.

- Nazywam się Kroese. Znam Barta od lat. Spotkaliśmy się w sobotę razem z naszą dawną klasą. Co się stało? - pytam współczująco.

Dagmar jest zupełnie niezainteresowana mną. Zaczyna od razu opowiadać.

- Potrącono go, tam gdzie mieszkam. Niemal przed moimi drzwiami - mówi z goryczą. - Kierowca nawet się nie zatrzymał. Ten bandyta po prostu odjechał, pojmuje pani?

- Czy widziała pani, jak to się stało? - pytam zszokowana.

- Usłyszałam uderzenie, a potem zobaczyłam gwałtownie ruszający samochód. Od razu wybiegłam na ulicę i czekałam przy Barcie do przyjazdu karetki. Robią mu właśnie rezonans magnetyczny.

Dagmar przygląda mi się teraz z większym zainteresowaniem.

- Przepraszam, kim pani jest?

- Sabine Kroese. Znam Barta z czasów szkolnych - powtarzam.

Przytakuje lekko, znowu dręczona własnymi myślami.

Co mam teraz zrobić? Zostać w poczekalni? Oczyma wyobraźni widzę nadchodzącego lekarza, który spotyka nas obie: - Pani jest byłą małżonką pana de Ruijtera, a pani jego nową partnerką; niestety tylko jedna osoba może być obecna na oddziale intensywnej opieki. - Lekarz obrzuca nas wzrokiem, dając do zrozumienia, że same musimy zdecydować, która wejdzie pierwsza. Jakie mam prawo do niego, spędziwszy z nim jedną noc?

Przyglądam się dziecku w foteliku. Jest ładne, podobne do Barta. Nagle strasznie zazdroszczę Dagmar. Może być rozwiedziona, ale zachowa z nim dozągoną wspólnotę dzięki temu miłemu niemowlakowi, jakkolwiek by postanowili o jego przyszłości. Ona chce być z nim z powrotem, wyczuwam to od razu. Pod tym względem nie różni się ode mnie. Jestem gotowa o niego walczyć, ale nie tu, w szpitalu.

Usiłuję wydobyć z siebie słowa pożegnania, lecz Dagmar pochyła się nad dzieckiem, które właśnie zaczęło kwilić.

Opuszczam szpital; jest upał. Powoli idę na przystanek. Już się aż tak nie spieszę, żebym musiała brać taksówkę. Dagmar obudziła we mnie różne wątpliwości; kwadrans oczekiwania na autobus jest dobrą okazją do ich przemyślenia. Czyżby Olaf miał coś wspólnego z wypadkiem Barta? Widział nas razem i jestem pewna, że wie, gdzie mieszka Bart. Czy mam prawo podejrzewać, że na niego wjechał? Nie, choć jest to prawdopodobne.

Biorę komórkę, którą wyłączyłam w szpitalu. Cztery nieodebrane połączenia. Odsłuchuję pocztę.

- Sabinę, muszę z tobą porozmawiać. Zadzwoń do mnie!

- Gdzie jesteś? Muszę ci coś powiedzieć, to bardzo pilne!

- Jesteś na pewno w Den Helder u tego drania. On nie jest dla ciebie, Sabinę. Nigdy nie będzie.

- Zadzwoń do mnie, do cholery!

W chwili, kiedy chcę skasować nagrany głos Olafa, powstrzymuję się. Nadjeżdża autobus, wsiadam. Jest upalnie, jazda trwa niezmiernie długo, w końcu widzę komisariat policji. Naciskam czerwony guzik, staję przy drzwiach. Autobus zatrzymuje się na przystanku obok komisariatu. Wsiadam.

Z niezrozumiałych dla mnie powodów rozmowa z inspektorem Hartogiem okazuje się trudna. Inspektor słucha mnie uprzejmie, nie potrafię jednak nabrać przekonania, że traktuje moje słowa na serio. Siedzę naprzeciw niego w tym samym pokoju co za pierwszym razem, opowiadam o utracie pamięci i o fragmentach, których pojawia się coraz więcej. Hartog wpatruje się we mnie, jakbym była wytworem porażającego eksperymentu. Opowiadam mu o swoim związku z Olafem van Oirschotem, o tym, że Olaf był kiedyś chłopakiem Isabel. Streszczam wypowiedź Eline i relacjonuję to, co mi się z nim przytrafiło.

- Nie może tego ścierpieć, jeśli dostaje kosza - mówię. - Brutalnie potraktował Eline, kiedy chciała z nim zerwać. Poluje na mnie z tego samego powodu i gotowy jest do przemocy. Mógł zabić Isabel w takim samym napadzie szału, kiedy go odrzuciła.

Hartog słucha cierpliwie, w zamyśleniu stukając piórem w blat biurka.

- W czasie ostatniej wizyty podejrzewała pani pana Groesbeeka - przypomina mi.

- Dziś podejrzewam ponadto Olafa - odpowiadam. - Mogli to jednak uczynić wspólnie. To mógł być również ktoś zupełnie obcy. Nie upieram się przy tym, że znam zabójcę. Opisuję jedynie to, do czego sama doszłam. Prawdę mówiąc, nie zdziwiłoby mnie wcale, gdyby zabójcą okazał się Olaf. Jestem także przekonana, że to on potracił wczoraj mego nowego partnera. Wie pan, chodzi o wczorajszy wypadek.

Hartog wydaje się bardziej zaintrygowany.

- Nie było świadków wczorajszego wypadku.

- Olaf miał jednak powód, by potraćić Barta - mówię, pochylając się do przodu, aby zmusić do uwagi inspektora, który się rozparł wygodnie. Jakby mi dawał do zrozumienia, że do niczego mu ta informacja nie jest potrzebna.

W poczuciu frustracji pokazuję mu swoją komórkę, odgrywając słowa Olafa. Słucha uważnie, wciąż z tym samym wyrazem twarzy.

- Przykro mi, że ma pani problemy z byłym partnerem - mówi uprzejmie. - Nie ma w tym jednak niczego, co mogłoby wskazywać na jakikolwiek związek z wypadkiem pana de Ruijtera.

- On wie, że Barta nie ma w domu! - wołam. - Jakby miał się o tym dowiedzieć? Sprawiając, że Bart wyląduje w szpitalu!

- Może po prostu coś przebąkiwał na ten temat - sugeruje Hartog, ciągle jeszcze uprzejmym tonem. - Proszę posłuchać, panno Kroese, rozumiem doskonale, że niepokoi panią zachowanie pana van Oirschota. Mnie również wydaje się ono dziwne. Nie stanowi jednak podstawy do zatrzymania, rozumie pani. Przychodzi pani do mnie z paroma niejasnymi przesłankami i żąda, abym coś zrobił. Na ich podstawie nie mogę jednak podjąć żadnych

działań. Wydaje mi się, iż rozsądniej będzie obgadać całą sprawę, jak ludzie dorośli, i pogodzić się.

- Jeszcze nie skończyłam - przerywam mu.

Z niezmaconym spokojem Hartog kładzie ręce na biurku.

- Co pani chciała mi jeszcze powiedzieć?

Opowiadam mu o wizycie u matki Isabel i o jej dzienniczku. Z zadowoleniem rejestruję zainteresowanie na jego twarzy.

- Isabel była umówiona w dniu swego zniknięcia. Wiedział pan o tym?

Hartog wyjmuje ksero strony dzienniczka z tego dnia.

- Z DD - mówi.

- Nie, z Olafem van Oirschotem. DD oznacza Donkere Duinen - Ciemne Wydmy, a ta dziesiątka poniżej to nie jest cyfra, tylko litery Isabel, Olaf. Chodzili ze sobą, a Isabel umówiła się tego dnia, żeby z nim zerwać. Czy się tak stało, nie wiem. Wiem, że zniknęła wkrótce potem.

Hartog przysuwa do siebie papiery, ogląda kartkę z ósmego maja.

- IO - mówi.

Rozpieram się rękami na krześle.

- Olaf miał powód i okazję ku temu, by coś zrobić Isabel. Jego egzamin z matematyki skończył się około wpół do trzeciej. Dziesięć po drugiej wyszliśmy z Isabel ze szkoły i Isabel pojechała na rowerze w kierunku Ciemnych Wydm.

Hartog przegląda papiery.

- W swoim zeznaniu Olaf van Oirschot mówi, że zaraz po egzaminie pojechał do domu. Jego matka potwierdza to.

Patrzę na niego z góry.

- Isabel Hartman została zamordowana tego dnia. Eline Haverkamp twierdzi, że Olaf stawał się brutalny, jeśli sprawy nie przebiegały po jego myśli.

- Zamordowana? Skąd to przekonanie, że Isabel została zamordowana? - Hartog patrzy na mnie przenikliwie.

- Ponieważ widziałam jej ciało. Latami nie mogłam sobie niczego przypomnieć, lecz niedawno wspomnienie z widokiem jej twarzy powróciło. Została zamordowana, proszę pana.

Ku mojej wielkiej irytacji na Hartogu moje słowa nie robią specjalnego wrażenia.

- I tego wszystkiego pani cały ten czas nie pamiętała? - Udaje mu się wymówić słowo „pamiętała” tak, że brzmi śmiesznie. - A teraz nagle wszystko pani wie. Czy mogłaby mi pani wytłumaczyć, jak to się stało?

Wytrzymuję jego wzrok bez drgnienia powiek.

- Nie wiem, jak to się stało. Może to dlatego, że potrafię sobie w życiu poradzić i wreszcie pogodzić się z prawdą.

- Według pani prawdą jest, że Isabel Hartman została zamordowana.

- Tak, widziałam ją leżącą na ziemi. Przypomniało mi się to zupełnie niedawno. Zobaczyłam ją przed sobą, jakby wszystko to właśnie się wydarzyło. Zobaczyłam jej twarz, szeroko otwarte oczy, piasek w jej włosach... - Wstrząsa mną dreszcz. - Nie rozumiem, jak mogłam zapomnieć.

- Ja też nie, panno Kroese. - Hartog patrzy mi prosto w oczy.

- Według mojej pani psycholog ten mechanizm nazywa się wyparciem - mówię. - Wypieram przeżycie z przeszłości.

Hartog chowa kartkę z dzienniczka Isabel i przygląda mi się uważnie. - Pani chodzi na terapię do psychologa?

Wyprowadził mnie z równowagi.

- Chodziłam na terapię, tak. Niedługo, ale teraz czuję się dużo lepiej. - Zakładam nogę na nogę i staram się sprawiać wrażenie osoby zrównoważonej. - Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie - dodaję. - Nie jestem chora. Zjawisko wyparcia jest ogólnie znanym fenomenem psychologicznym. Nie rozumiem, dlaczego się pan nie cieszy, że moja pamięć znowu pracuje i że mogę panu pomóc w śledztwie.

- Bardzo mnie to cieszy, panno Kroese. - Inspektor zamyka teczkę, rozpiiera się wygodniej w fotelu, i składa dłonie, złączając czubki rozstawionych palców jak lekarz, który analizuje trudny przypadek. - Podsumujmy: była pani świadkiem zabójstwa Isabeli Hartman, przez dziewięć lat nie mogła sobie pani niczego przypomnieć, teraz wspomnienia wracają. Czy dobrze rozumiem?

Wytrzymuję jego spojrzenie.

- Czy widziała pani również, kto zabił Isabel?

- Nie. Jedyne, co sobie przypomniałam, to widok jej leżącej na polanie w lesie. Martwej. - Mówiąc to, uświadamiam sobie, jak musi moje wyznanie odbierać inspektor. Siedzi ze zmarszczonymi brwiami i nagle atmosfera w pokoju staje się nie do wytrzymania.

- Pani nie widziała mordercy?

- Nie.

- Nie może sobie pani przypomnieć, by ktokolwiek inny poza panią był obecny na tym miejscu?

Waham się. We śnie widziałam podchodzącego do niej mężczyznę, lecz czy mogę zaufać snowi? Nie mogę powiedzieć, że sobie przypominałam, mimo to wydaje mi się, że mogę to tak określić. Może Hartog przestanie na mnie patrzeć nieufnie, kiedy mu opowiem o tym mężczyźnie.

- Widziałam postać za drzewami, mężczyznę - mówię.

- Co robił? Szedł? Stał tam po prostu czy podchodził do niej? - Hartog zadaje pytania jak na przesłuchaniu. Miałam nadzieję, że go poruszy ta informacja, która mogłaby oznaczać punkt zwrotny w śledztwie, lecz wydaje się nieprzekonany.

- Najpierw po prostu stał, lecz kiedy ona go dostrzegła, podszedł do niej.

- Czy sprawiała wrażenie przestraszonej? - drąży Hartog.

- Nie - odpowiadam. - Uśmiechnęła się do niego.

Hartog patrzy na teczkę z dokumentami, bawi się piórem.

- Hm - mówi, po czym znowu się pogrąża w milczeniu. - Można by się zastanowić, jak wiarygodne są wspomnienia, panno Kroese. Po latach nabierają innych kolorów.

- Moglibyście zacząć tam kopać - proponuję.

- Kopać? Gdzie?

- Na Ciemnych Wydmach, oczywiście. To trochę skomplikowane, wskazać miejsce, ale mogłabym narysować plan.

Hartog patrzy, nagle zainteresowany tym faktem.

- Niech pani rysuje. - Podsuwa mi kartkę papieru.

Podczas kiedy on dopija kawę, rysuję ścieżki Ciemnych Wydm, które znam na pamięć. Tych mniej uczęszczanych nie przypominałabym sobie tak łatwo; nie bywałam tam ostatnio. Z satysfakcją podsuwam mu kartkę. Oczekiwałam, że wstanie i natychmiast zanieśnie mój plan brygadzie śledczej. Tymczasem on rzuca okiem na rysunek, niezdecydowany. Moja irytacja narasta. O co mu chodzi? Czy sądzi, że ma przed sobą jakąś podekscytowaną nastolatkę, która pragnie zwrócić na siebie uwagę? Sądząc z miny inspektora, myśli te można odczytać z mojej twarzy.

- Zdobyłem trochę informacji o pani, panno Kroese.

- O mnie?

- Tak. Dokumenty związane ze sprawą nic o pani nie wspominają. - Dotyka leżącej przed nim teczki. - Zastanawiam się dlaczego. Chodziła pani do jednej klasy z Isabel.

- Tak - odpowiadam niechętnie.

- Razem chodziłyście również do szkoły podstawowej.

- Tak.

- Nie była pani przesłuchiwana po jej zniknięciu.

- Nie.

- To był poważny błąd z naszej strony. Cieszę się, że zdobyła się pani na odwagę, żeby przyjść teraz do nas.

Patrzę na niego podejrzliwie.

- Szukając dokładniej, dowiedziałem się, że pani kontakty z Isabel były, mówiąc delikatnie, wyjątkowo napięte - stwierdza Hartog konfidencyjnym tonem. Tonem śledczego, który chce uchodzić za przyjaciela, by wydostać z oskarżonego potrzebną informację. Na to mnie nie nabierze.

- Byłyśmy bliskimi przyjaciółkami w szkole podstawowej - odpowiadam.

- Lecz potem już nie. Przeciwnie, Isabel wyjątkowo utrudniała pani życie.

Milczę.

- Była pani regularnie prześladowana i bita przez grupę, której przewodziła. To musiał być dla pani wyjątkowo trudny czas.

- Ach...

Hartog przerywa mi jednak, zanim zdołałam cokolwiek powiedzieć.

- To było tak straszne, że śniły się pani koszmary i nie miała pani odwagi iść do szkoły, prawda? - pyta dalej uprzejmie.

Prostuję się.

- Czy wyniki badań psychologicznych nie są tajemnicą zawodową? - pytam rozzłoszczona.

- Nie, jeśli chodzi o przestępstwo, nie panno Kroese - kontynuuje spokojnie Hartog.

- Mówiła pani również, że brat czekał na panią często na podwórku szkolnym, by bezpiecznie odprowadzić panią do domu. On także nie za bardzo lubił Isabel Hartman, prawda? - Ton Hartoga jest niezmiennie uprzejmy, lecz mnie robi się coraz bardziej gorąco.

- Czy można otworzyć okno? - pytam.

Hartog podnosi się i uchyla okno. Łagodny powiew wpada do środka. Z tęsknotą spoglądam w kierunku tego okna, łączącego mnie ze światem zewnętrznym. Poruszam się na krześle, podnoszę głowę i mówię dobitnie:

- Tak, Robin czekał na mnie od czasu do czasu, i co z tego? Nie widzę związku...

- Zniknięcie dręczycielki musiało przynieść pani ogromną ulgę, prawda, panno Kroese?

Pobrmiewająca w głosie Hartoga insynuacja po prostu mnie rozwściecza. Całym wysiłkiem woli próbuję się uspokoić i mierzę go lodowatym wzrokiem.

- Co chce pan przez to powiedzieć? Że to ja zabiłam Isabel?

- Wcale tego nie powiedziałem. Stwierdzam jedynie fakt. Dla pani zniknięcie Isabel było wybawieniem. - Hartog konstatuje to jako najnormalniejszą w świecie sprawę, ale ja nie zamierzam mu przytakiwać. Wzruszam ramionami.

Wyciąga kartkę papieru.

- Podczas ostatniej rozmowy powiedziała pani, że po wyjściu ze szkoły jechała pani na rowerze za Isabel, która z kolei jechała z przyjaciółką. Kiedy ta skręciła, Isabel pojechała prosto. Pani zachowywała pewien odstęp. Na skrzyżowaniu Jan Yerfailleweg z Seringenslaan skręciła pani, by nie zostać dostrzeżoną. Dlaczego nie chciała pani, by Isabel panią zauważyła?

- To wydaje mi się oczywiste - odpowiadam ponuro.

- Tak się jej pani bała? Nawet kiedy byliście razem, bez grupy?

- A co pan by zrobił? Ot tak, przyjaźnie, stanął koło niej?

- Dlaczego w takim razie śledziła ją pani, skoro bała się pani kontaktu?

- Nie śledziłam jej; musiałam po prostu jechać w tamtą stronę.

- Czy często wracała pani wydmami do domu, panno Kroese?

Potrząsam głową.

- Nie za często, tylko kiedy było ładnie.

Zapada milczenie.

- Czyli skręcając w Seringenslaan, chciała pani uciec przed Isabel - dopytuje się Hartog.

- Tak - odpowiadam.

- Nie śledziła jej pani?

- Nie.

- Mimo to jest pani pewna miejsca, w którym ją napadnięto. Więcej, wie pani, gdzie została zamordowana. I że to nie było przy kawiarence.

- Jechałam obok, zobaczyłam Isabel wchodzącą z kimś do lasu.

- Postanowiła pani jechać za nimi. Dlaczego?

- Chciałam wiedzieć, z kim się umówiła - odpowiadam zniecierpliwiona.

- Czemu?

Wzruszam ramionami.

- Byłam po prostu ciekawa.

Hartog wydaje się przyjmować do wiadomości moje wytłumaczenie.

- I widziała pani, kto to był?

- Zapewne tak, tylko już nie pamiętam kto.

- Czy to był ktoś znajomy? - docieka inspektor.

Zastanawiam się nad tym pytaniem. Czy to był ktoś znajomy? Najprawdopodobniej tak, inaczej nie byłabym tak zaszokowana. Moja świadomość rejestruje, że musiałam być zaszokowana. Dopiero teraz zdaję sobie z tego sprawę.

- Panno Kroese, pytałem panią o coś.

- Przepraszam - mówię wystraszona. - Tak, to zadziwiające, ale jestem przekonana, że znałam tę osobę. Nie pamiętam jednak, kto to był, czy przyjaciel, czy ktoś nieznajomy.

Hartog wzdycha głęboko i pociera czoło.

- Wie pani, dzięki rozmowie z pani psychologiem uświadomiłem sobie, że wspomnienia mogą żyć własnym życiem. Isabel mogła spotkać kogoś znajomego, zatrzymać się na rozmowę, potem zobaczyć panią i razem z panią wejść do lasu.

Moją odpowiedzią jest pełne pogardy spojrzenie.

- I dlatego przypominam sobie, że to był mężczyzna?

- Tego nie wiem - odpowiada spokojnie Hartog. - Prawdę mówiąc, nie przypomina sobie pani zbyt wiele. Pamięta pani, że to był mężczyzna, że go pani знаła, ale nie wie pani, kto to był. Pani pamięć pracuje bardzo wybiórczo, nie uważa pani?

Nie odpowiadam.

- Niech pani spróbuje wyobrazić sobie, że to pani weszła z Isabel do lasu, umówiła się z nią przy kawiarence, ponieważ chciała pani coś z nią omówić. Czy to nie brzmi bardziej realistycznie, panno Kroese?

Założyłam ręce, palce mam splecione; to nie robi dobrego wrażenia. Udaje mi się rozluźnić ręce. Z kogoś, kto przyszedł donieść o przestępstwie, zamieniłam się nagle w podejrzanego. Uprzejme zachowanie Hartoga nie ma nic wspólnego z jego badawczym, przeszywającym mnie wzrokiem.

Wpatruję się z uporem w wyprutą nitkę z mego sweterka, a kiedy zbieram w sobie dostatecznie dużo odwagi, podnoszę wzrok na inspektora.

- Niech pan mnie dobrze posłucha - mój łlos drży lekko. - Nie wiem, do czego pan zmierza, ale nie byłam umówiona z Isabel przy kawiarence ani nie weszłam z nią do lasu. Stało się tak, jak już panu opowiedziałam. Gdyby to pana wersja była prawdziwa, to dlaczego, na litość boską, miałabym tu przychodzić i opowiadać to wszystko?

Trafiłam w dziesiątkę, widzę to po jego twarzy. Odzyskałam pewność siebie.

- Proponuję, by zaczął pan kopać we wskazanym przeze mnie miejscu. Jeśli pan znajdzie Isabel, to wtedy może mi pan opowiadać o wyparciu i pracy pamięci. A jeśli pan

zatrzyma Olafa van Oirschota, to będzie pan miał od razu podejrzanego. Sądzę, że nie zaszkodziłoby tak czy owak porozmawiać z nim chwilę i sprawdzić, czyjego samochód nie jest uszkodzony.

- Może ma pani rację - mówi Hartog.

Zapisuje coś drobnym, niewyraźnym pismem i choć bardzo się wysiłam, nie mogę niczego odczytać.

- Skontaktuje się pan jeszcze ze mną? - pytam, podnosząc się.

Hartog odkłada pióro.

- Może mi pani wierzyć, panno Kroese: jeśli będę miał pytania, będzie pani pierwszą osobą, do której się zwrócę.

Nie podoba mi się ironiczna nuta w jego głosie.

41

Zdenerwowana, idę na przystanek. Nie jestem przyzwyczajona do tego, że kiedy mówię o terapii u psychologa, ktoś patrzy na mnie tak przenikliwie, badawczo. Teraz jestem nawet podejrzana o popełnienie morderstwa z zimną krwią. Tak mnie to wytrąca z równowagi, że nie wiem, co mam robić. Jechać do domu? Do szpitala? Zostać tu? Dokąd mogę pójść? Dopóki policja nie wykorzysta moich informacji, nie mogę się nigdzie ruszyć.

Wsiadam w autobus do centrum. Idę do swojej ulubionej pizzerii na Koningsstraat. Panuje tłok, wiele stolików jest zarezerwowanych. Zadowolam się stolikiem w kącie, gdzie mogę się po prostu ukryć.

Zamawiam pierwsze lepsze danie, dostaję koszyczek z ciepłymi bułeczkami i masło ziołowe. Smaruję bułkę, zastanawiając się, co począć. Mogę zanocować w hotelu; będę wtedy blisko Barta. Czy Olaf zada sobie trud dzwonięcia do wszystkich hoteli w Den Helder? Mogę podać fałszywe nazwisko, ale wtedy będzie pytał, czy w hotelu znajduje się ktoś odpowiadający podanemu przez niego rysopisowi.

Nie przesadzaj, Sabinę, mówię do siebie w myślach. Na pewno tego nie zrobi. Usiłuje po prostu trochę cię postraszyć, a ty uciekasz jak zalękniona gazela.

Pomysł z hotelem w Den Helder podoba mi się. Chcę tak czy owak być blisko Barta; to nie ma związku z moim lękiem przed Olafem. Jutro też zostanę w Den Helder. W południe mogę pójść do Robina, może nawet mogłabym u niego przenocować.

Dzwonię do niego. Długo nie odbiera, w ostatniej chwili przed włączeniem się sekretarki słyszę rzucone spiesznie: - Robin Kroese, słucham!

- To ja. Czy nie mogłabym jutro przenocować u ciebie? - pytam od razu, nie owijając w bawełnę.

- Oczywiście, siostró! - odpowiada wesoło. - Czy coś się stało?

- Opowiem ci jutro.

- A o co chodzi? - w jego głosie brzmi zaniepokojenie.

- To długa historia, wolę ci jej teraz nie powtarzać. Siedzę właśnie w pizzerii w Den Helder. Powiedz, czy Olaf był u ciebie niedawno albo dzwonił?

- Właśnie u mnie był; szuka ciebie.

- Co mówił?

- Pytał, czy wiem, gdzie jesteś i czy bym do niego nie zadzwonił, jeśli się u mnie zameldujesz. Pokłóciliście się?

- Tak. Bardzo cię proszę, żebyś mu nie mówił, że dzwoniłam i że jutro będę u ciebie nocować.

- Dlaczego nie?

- Jutro ci wszystko wyjaśnię.

- Dobrze, do jutra.

Odkłada słuchawkę. Spoglądam znad komórki na stoliki dookoła. Czy mogę zaufać Robinowi? Może jednak będzie chciał próbować w dobrej wierze znowu nas z Olafem zbliżyć?

Lazania dymi przede mną, kiedy przychodzi mi do głowy, że mogłabym zadzwonić do szpitala. Natychmiast sięgam po telefon i wykręcam numer. Proszę rejestratorkę, żeby mnie połączyła z oddziałem, na którym leży Bart. Kolejno słyszę inną rejestratorkę, potem lekarza albo pielęgniarkę, którzy się nie przedstawiają. To nieważne, chcę tylko usłyszeć, jak się czuje Bart. Dowiaduję się z przerażeniem, że był operowany. Rezonans magnetyczny wykazał niewielki zator w mózgu. Wymagało to natychmiastowej interwencji. Na szczęście zabieg się udał. Pacjent leży jeszcze w sali pooperacyjnej, ale wieczorem będzie go można odwiedzić. Czy jestem bliską rodziną? Nie? W takim razie lepiej, żeby przyszła jutro rano. Rodzina pana de Ruijtera i jego żona są przy nim; to zbyt wiele osób na odwiedzinę.

Była żona! - mam ochotę krzyknąć w słuchawkę. Jest jego rozwiedzioną żoną i nie ma do niego więcej praw niż ja.

Przyjmuję to jednak do wiadomości. Nie mam ochoty siedzieć przy jego łóżku razem z rodziną. Jutro rano to zupełnie dobra pora; może będę go miała tylko dla siebie. Wyślę mu SMSa, gdyby mimo wszystko udało mu się wieczorem zajrzeć do komórki, żeby sprawdzić wiadomości.

Parzę sobie język lazanią, zamawiam jeszcze lody i kawę, po czym dzwonię po taksówkę, żeby mnie zawiozła do hotelu Zeeduin przy ulicy Kijkduin. Jestem zmęczona i marzy mi się tylko, żeby wziąć gorącą kąpiel, pooglądać trochę telewizję i wcześniej pójść spać.

To właśnie robię tego wieczoru, śpię jednak niespokojnie w obcym pokoju. Materac jest za miękki, kołdra za ciężka, a zapach obcy. Nie lubię spać w nieznanach łóżkach. Jako dziecko też nie znosiłam spania w innych domach. Uwielbiałam, jak krewni przyjeżdżali do nas, ale niechętnie spałam u nich.

Następnego ranka budzi mnie denerwująco głośny alarm mojej komórki.

Podnoszę się senna i wyłączam go. Dzwonię do pracy w nadziei, że odbierze Zinzy, ale przy telefonie jest Margot. Oświadczam jej, że z powodu nieprzewidzianych okoliczności muszę jeszcze wziąć wolny dzień.

- Znowu wolny dzień? Tak nie można, Sabinę - mówi do mnie wrogo Margot.

- Dlaczego nie? - pytam. - Zostało mi wystarczająco dużo wolnych dni. Być może wezmę je wszystkie naraz. Nie masz na ten temat nic do powiedzenia. - Nie czekając na komentarz, odkładam słuchawkę. Inaczej niż w minionych tygodniach, od razu zapomniałam o pracy. To inny świat, który w moich myślach odgrywa prawie nic nieznaczącą rolę.

Wsuwam się pod kołdrę, by trochę jeszcze podrzemać, lecz ku swojemu zdumieniu zasypiam. Budzę się około wpół do dziesiątej; patrzę spod przymkniętych powiek na zegarek, ostrzeżona jasnym promieniem światła przebijającego się przez grube zasłony. Wpół do dziesiątej! Czas wizyt już się prawie zaczął. Rażno wyskakuję z łóżka i biorę telefon. Cieszę się na widok SMSa od Barta, ale moja radość szybko przechodzi w złość, kiedy czytam: Tęsknię za tobą. Czy mogłabyś mnie odwiedzić dziś wieczorem? Dagmar przychodzi rankami razem z Kim.

No, dobrze, a co ja mam robić do wieczora? - mówię sama do siebie z przekąsem. Zamyślam się, patrząc przez okno na intensywnie niebieskie niebo. Czy Olaf jest już w pracy? Najprawdopodobniej tak; nie miał powodu, by brać wolne. Chyba że ciągle czeka na mnie w moim mieszkaniu.

Dzwonię do siebie, ale nikt nie odpowiada. Dzwonię do pracy i proszę o połączenie z działem informatyki. Zgłasza się Olaf. Natychmiast odkładam słuchawkę; na szczęście w pracy nie wyświetlają się numery rozmówców. Tak mi się przynajmniej wydaje, u mnie w sekretariacie nie ma takiej możliwości.

Biorę prysznic, ubieram się, zdając sobie sprawę, że mój sweterek nie pachnie świeżością. Jadę od razu po śniadaniu do domu. Nie mam teraz czego szukać w Den Helder. Dziś wieczorem przyjadę do szpitala samochodem.

Biorę torbę, idę do restauracji, wybieram stolik przy oknie. Mam widok na wydmy i niebieskie niebo. Kto by pomyślał, w zwykły wtorkowy poranek. W innych okolicznościach cieszyłaby mnie taka okazja, może nawet poszłabym na plażę.

Biorę coś do jedzenia przy bufecie i właśnie kiedy tłukę skorupkę jajka, dzwoni telefon. Na szczęście sala nie jest zapełniona, większość stolików koło mnie jest pusta.

- Słucham, Sabinę Kroese przy telefonie.

- Tu inspektor Rolf Hartog, oficer śledczy z Den Helder. Chciałem pani powiedzieć, panno Kroese, że sprawdziliśmy pani informacje.

- Tak - mówię, wstrzymując oddech.

- Wczesnym rankiem moja brygada wszczęła poszukiwania na Ciemnych Wydmach - kontuuje Hartog.

Serce zaczyna tłoczyć krew tak szybko, że robi mi się ciemno w oczach. Wspieram głowę na jednej ręce, usiłując drugą, równie drżącą, trzymać komórkę przy uchu.

- Chciałbym z panią porozmawiać, panno Kroese.

- Dlaczego? Co się stało?

- Stało się tak, jak pani powiedziała - mówi Hartog poważnie, niskim głosem. - Kopaliśmy we wskazanym przez panią miejscu.

Serce wali mi jak szalone.

- I co? - pytam w napięciu.

- Znaleźliśmy szczątki Isabel Hartman. Nie była zakopana głęboko. Została uduszona.

Pół godziny później jestem znowu na komisariacie. W wielkim pośpiechu zebrałam swoje rzeczy, usiłując jeszcze zjeść w biegu posmarowaną kromkę.

Teraz Hartog podsuwa mi gorącą kawę, patrząc, jak nalewam mleka.

Drzwi się otwierają, wchodzi kobieta w mundurze.

- Inspektor Fabienne Luiting - przedstawia się, podając mi rękę. Przedstawiam się także; pani inspektor siada po mojej lewej stronie.

Mam suche, ściśnięte gardło, wypijam kawę jednym haustem.

- To wielki szok? - pyta Hartog ze współczuciem.

Przytakuję.

- Zawsze istnieje możliwość, że zmyliła panią pamięć - mówi Hartog.

- Tak - odpowiadam bezbarwnym tonem - Biedna Isabel. Była naprawdę wiedźmą, ale na to nie zasłużyła.

- Rzeczywiście była wiedźmą? - podchwytuje inspektor Luiting.

Nie mam ochoty o tym mówić. Zwracam się do Hartoga:

- Czy już zawiadomiliście rodziców?

- Jeszcze nie - odpowiada. - Najpierw chcemy mieć pewność po badaniu szczęki, że to Isabel.

- Została więc uduszona - mówię.

- Tak.

- Jak można to stwierdzić?

- Ma uszkodzoną krtani; to może się stać tylko w przypadku uduszenia.

- Och!

- Czy pani wiedziała, że zginęła w ten sposób? - pyta Hartog.

- Skąd miałabym to wiedzieć - pytam, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

Zarówno Hartog, jak i Fabienne Luiting patrzą mi prosto w oczy. Jakaś groźba zawisła w powietrzu. Nagle się czuję nieswojo.

- Ponieważ pani wiedziała, gdzie ją znaleźć - mówi Fabienne. - To jasne, że była pani w miejscu zabójstwa, zanim Isabel została zamordowana. Widziała ją pani, zanim zwłoki zostały zakopane. To znaczy pani wie, kto to zrobił.

- Zapewne słuszny wniosek. Powinnam wiedzieć, kto to był, jednak nie mam pojęcia. Wydaje mi się, że to był Olaf, ale nie przypominam sobie, abym go tam widziała. Nie wiem, kto jeszcze tam mógł być. - Widzę, jak wymieniają spojrzenia: zacięty wyraz twarzy u Hartoga, rezerwa u Fabienne.

- Zastanawiam się, dlaczego pani tego nie wie. - Hartog zapala papierosa. Mam także ochotę, ale nie mam odwagi poprosić, lękając się, że wezmą to za oznakę zdenerwowania.

- Po prostu zapomniałam - odpowiadam.

- Dlaczego miałaby pani zapomnieć? - Hartog dmucha dymem za siebie, aby mi nie przeszkadzać. Wolałabym, żeby mi dmuchał w twarz; nie widziałby jej wtedy wyraźnie. Jego intensywnie niebieskie oczy sprawiają, że zaczynam się denerwować, jakbym była podejrzana. To uczucie towarzyszy mi zawsze, kiedy mam do czynienia z policją.

Gdy jadą za mną na autostradzie, oczekuję, że mi zaraz wyświetlą znak: „Proszę się zatrzymać”, podczas kiedy oni jadą po prostu w tym samym kierunku. Sprawia to mundur i to badawcze, podejrzliwe spojrzenie właściwe każdemu pohejantowi. Muszę oprzytomnieć, zanim sobie o mnie źle pomyślą.

- Aresztujecie Olafa czy nie? - pytam niecierpliwie.

- Mogłaby nam pani podać adres? - pyta Fabienne.

- Z przyjemnością. - Zapisuję adres Olafa w podsuniętym przez nią notesie. -
Uczyńcie to szybko. Wtedy będę mogła pójść jutro do pracy.

- A gdzie pani pracuje?

Podaję im również adres banku.

- Olaf też tam pracuje, w dziale informatyki. Jest w pracy, bo niedawno odebrał telefon.

Hartog kiwa głową.

- Porozmawiamy z nim.

- On to zrobił. Jestem tego pewna.

- Być może - mówi Hartog. - Nie będzie jednak łatwo cokolwiek mu udowodnić.
Wyciąga wizytówkę z kieszeni marynarki. - To moja komórka, niech pani do mnie dzwoni, gdyby się pani nagle coś przypomniało.

Patrzę na podany numer i od razu go zapamiętuję.

- Czy jeżeli sobie coś przypomnę o sprawcy, to będzie to uznane za dowód?

- Po dziewięciu latach? Jestem pewien, że nie - odpowiada Hartog. - Lecz jeśli będziemy wiedzieli, że to ta osoba, sami poszukamy dowodów.

- Albo zdobędziemy zeznanie - mówi Fabienne. - To musiał być ktoś bardzo silny. Isabel była dobrze zbudowaną dziewczyną. Nie kimś, kogo łatwo można udusić. - Spogląda na moje ręce. Nie, Fabienne, tymi rękoma nie mogłabym po prostu kogoś udusić. Isabel była ode mnie o głowę wyższa i wyjątkowo silna. Zbyt mocny przeciwnik dla kogoś takiego jak ja.

Pozwalają mi odejść, podają rękę, lecz ich uśmiech nie jest szczerzy.

- Jeszcze do pani zadzwonimy - mówi Fabienne.

Podróż do Amsterdamu dłuży mi się nieznośnie. Przez całą godzinę wyglądam przez okno na pola, krowy, perony i rozjazdy. Wsiadam przy Sloterdijk, wsiadam w tramwaj do Bos en Lommer i oto znowu jestem na swojej ulicy. Otwieram drzwi wejściowe, wchodzę schodami na górę.

Moje mieszkanie to jeden wielki śmietnik. Widok otwartych szuflad, wybebeszonych szaf i porozwalanych rzeczy odbiera mi mowę. W kuchni wysypane są na podłogę wszystkie pudełka z zapasami, z szuflady wyrzucone sztućce, opróżniona półeczka, gdzie przechowywałam różne skarby. Śmierdzi piwem, którego kałużę widać na podłodze. Wszędzie leżą odłamki szkła i potłuczony serwis.

Będzie mnie to kosztowało godziny pracy, ale nie szkodzi. Jestem zbyt zdenerwowana, by usiąść spokojnie. Nastawiam głośno radio i zabieram się do roboty. Skoro panuje taki straszny bałagan, mogę się wreszcie wziąć do porządkowania. Biorę z szafki kuchennej rolkę worków na śmieci i wyrzucam wszystko, czego nie potrzebuję. Szybko pojawiają się w korytarzu trzy wypełnione worki.

Co godzinę słucham uważnie wiadomości, lecz nie ma jeszcze żadnej informacji o znalezieniu ciała Isabel.

Dzwoni tylko Fabienne i kiedy rozpoznaję jej numer, serce zaczyna mi szybciej bić.

- Tu Fabienne Luiting. Przesłuchujemy Olafa van Oirschota. Pomyślałam, że chciałaby pani być o tym poinformowana.

Oddycham głęboko.

- Dziękuję, bardzo pani dziękuję.

Wieczorem znowu dzwoni telefon, biegnę odebrać.

- Sabine, to jak, pojawisz się dziś wieczorem? - pyta niecierpliwie Robin.

O kurczę, zapomniałam.

- Robin, przepraszam cię, z tego wszystkiego zupełnie zapomniałam.

- To miło, rzeczywiście.

- Bardzo cię przepraszam, bardzo! Odnaleziono Isabel.

Zapada absolutna cisza. Trwa tak długo, że zaczynam sama mówić.

- Zadzwoniła do mnie policja. Chcieli ze mną rozmawiać.

- Gdzie ją znaleziono? - Głos Robina brzmi wyjątkowo dziwnie.

- Na Ciemnych Wydmach.

- W miejscu, które ci się przypomniało?

- Tak.

Cisza.

- I co teraz?

- Olaf został zatrzymany.

- To niemożliwe. Naprawdę? Przecież to nonsens!

- To nie jest takie bezsensowne. Był umówiony z Isabel przy Ciemnych Wydmach w dniu jej zaginięcia. Nie wiem, czy się tam zjawił, ale tak mi się wydaje. Tam też musiała dać mu kosza.

- To prawda - przypomina sobie nagle Robin. - Kiedy szliśmy razem do sali gimnastycznej na egzamin z matematyki, powiedział mi, że się z nią umówił. Na pewno miał zamiar pójść.

- No widzisz. Oświadczyła, że z nim zrywa, a on stracił panowanie nad sobą.

- Zamordował ją wtedy w lesie, zabrał klucz do zamknięcia roweru, zakopał ją, a rower zostawił przy kawiarence?

- Tak.

- Absolutnie w to nie wierzę. Dlaczego miałby ją zabijać? Bo z nim zerwała? Mało przekonujący motyw.

- Być może dla ciebie. Nie dla mężczyzn, którzy nie mogą znieść faktu, że zostali odsunięci.

Milczymy oboje.

O kurczę, zapomniałam.

- Robin, przepraszam cię, z tego wszystkiego zupełnie zapomniałam.

- To miło, rzeczywiście.

- Bardzo cię przepraszam, bardzo! Odnaleziono Isabel.

Zapada absolutna cisza. Trwa tak długo, że zaczynam sama mówić.

- Zadzwoiła do mnie policja. Chcieli ze mną rozmawiać.

- Gdzie ją znaleziono? - Głos Robina brzmi wyjątkowo dziwnie.

- Na Ciemnych Wydmach.

- W miejscu, które ci się przypomniało?

- Tak.

Cisza.

- I co teraz?

- Olaf został zatrzymany.

- To niemożliwe. Naprawdę? Przecież to nonsens!

- To nie jest takie bezsensowne. Był umówiony z Isabel przy Ciemnych Wydmach w dniu jej zaginięcia. Nie wiem, czy się tam zjawił, ale tak mi się wydaje. Tam też musiała dać mu kosza.

- To prawda - przypomina sobie nagle Robin. - Kiedy szliśmy razem do sali gimnastycznej na egzamin z matematyki, powiedział mi, że się z nią umówił. Na pewno miał zamiar pójść.

- No widzisz. Oświadczyła, że z nim zrywa, a on stracił panowanie nad sobą.

- Zamordował ją wtedy w lesie, zabrał klucz do zamknięcia roweru, zakopał ją, a rower zostawił przy kawiarence?

- Tak.

- Absolutnie w to nie wierzę. Dlaczego miałby ją zabijać? Bo z nim zerwała? Mało przekonujący motyw.

- Być może dla ciebie. Nie dla mężczyzn, którzy nie mogą znieść faktu, że zostali odsunięci.

Milczymy oboje.

- Tak czy owak, nie dojdziemy prawdy o tym, co się wtedy wydarzyło - mówi w końcu Robin. - Dlaczego mielibyśmy się teraz nad tym zastanawiać; to robota policji. Szczerze mówiąc, za grosz nie wierzę w to, że Olaf jest sprawcą.

- Dlaczego nie?

- Znam go. Jest od lat moim przyjacielem.

- Chciałeś powiedzieć: był przed laty twoim przyjacielem. Jak dobrze można kogoś poznać? Prawie we wszystkich procesach, a już na pewno w zbrodniach na tle seksualnym, sprawca jest znajomym ofiary.

- Słuchaj, Sabinę, jeśli Olaf rzeczywiście ma coś wspólnego ze śmiercią Isabel, powtarzam: jeśli ma, to i tak niezwykle trudno będzie mu cokolwiek udowodnić. Nie sądzę, by policja mogła go długo przetrzymywać.

- Będą go trzymać dopóty, dopóki nie złoży zeznania - odpowiadam zdecydowanie. Tymczasem serce tłucze mi się w piersi z niepokoju. Co będzie, jeśli Olaf się nie przyzna? - Muszę kończyć - mówię do brata. - Zadzwoń do ciebie jutro.

- Czyli nie przyjeżdżasz?

- Nie. Będziesz miał mi za złe?

- Ależ skądże, tylko nie siedź długo po nocy. - Przesłał mi całusa przez telefon, po czym odłożył słuchawkę.

Od razu dzwonię do Hartoga. Nikt nie odbiera. Niecierpliwie przestępuję z nogi na nogę, do chwili, kiedy suchy łoś obwieszcza mi, że nikt nie odpowie i że mogę nagrać wiadomość.

- Dobry wieczór, panie inspektorze. Mówi Sabinę Kroese. Chciałam się dowiedzieć, jak przebiega przesłuchanie. W zasadzie chciałabym wiedzieć, czy mogę się spokojnie położyć spać, czy Olaf jest znowu na wolności. Mógłby mnie pan poinformować?

Odkładam telefon i czuję ogarniające mnie zmęczenie. Chciałam jechać do Den Helder, nie wiem jednak, skąd mam w sobie wziąć potrzebną energię. Mój samochód stoi jeszcze przed domem Jeanine.

Z telefonem w ręku sadowię się w trzcinowym fotelu na rozświetlonym balkonie. Dzwonię do Barta; odbiera od razu.

- Mówi Sabinę.

- Kiedy przyjdiesz? - pyta z miejsca.

Uśmiecham się z poczuciem winy.

- Chciałam przyjść dziś wieczorem, ale jestem tak zmęczona, że chyba nie dam rady. Jestem u siebie, w Amsterdamie. Chyba pójdę wcześniej spać.

W jego głosie brzmi rozczarowanie. Tak wielkie, że o mało się nie rozmyślam. Czyżbym rzeczywiście nie mogła tam po prostu pojechać? Masuję pulsujące skronie; głowę rozsadza mi narastający ból. Nie, to nie byłoby rozsądne z mojej strony.

- Przykro mi - mówię. - Mogłabym spowodować niebezpieczną sytuację, gdybym usiadła teraz za kierownicą.

- W takim razie nie rób tego - odpowiada Bart ze zrozumieniem.

- Bardzo mi przykro - przepraszam. - Mam za sobą wyjątkowo dziwny dzień.

- Opowiadaj.

- Może innym razem, nie chcę ci teraz zawracać głowy. Staraj się szybko wrócić do zdrowia, żebyśmy mogli mieć dzień dla siebie. Jak się w ogóle czujesz?

- Nie najgorzej - odpowiada, ale w jego głosie znać zmęczenie i osłabienie. - Tęsknię za tobą.

- A za Dagmar? - pytam.

- Co ma Dagmar z tym wspólnego? - pyta z kolei Bart.

- Widziałam ją w poczekalni szpitala. Była wstrząśnięta. Prawdę mówiąc, odniosłam wrażenie, że pragnie znowu być z tobą. - Wpatruję się w balustradę balkonu i nie mam odwagi doczekać odpowiedzi Barta. Zaraz mi powie, że też żałuje rozwodu. Jestem bezgranicznie szczęśliwa, kiedy zdecydowanym tonem obwieszcza, że nie chce, by Dagmar wracała, a już na pewno nie teraz, kiedy spotkał mnie.

- Jesteś pewna, że nie możesz przyjechać? - pyta jak małe dziecko, które nie może się pogodzić z odmową. - Chociaż dajmy spokój. Wydajesz się zmęczona. Co dziś takiego robiłaś?

- To długa historia. - Nie mam zamiaru niepokoić go opowiadaniem o napastującym mnie Olafie.

- Mam czas - mówi Bart wyczekującym tonem, dając mi do zrozumienia, że go urażę, jeśli nie będę szczerą. Dlatego odpowiadam szybko:

- Znaleziono ciało Isabel.

Informacja wywołuje oczekiwany efekt.

- Co takiego? - woła Bart.

- Na Ciemnych Wydmach, tak jak zawsze mi się śniło - kontynuuję. - Doradziłam policji, by tam zaczęli kopać, i dziś rano miałam od nich telefon. Siedziałam cały dzień w ich biurze. - Przesadzam trochę, ale to tłumaczy moje zmęczenie.

- Cholera - Bart wyraźnie nie może się otrząsnąć. - Wiedzą już, jak ją zamordowano?

- Została uduszona.

Zapada długie milczenie.

- I co teraz? - pyta Bart.

- Trzeba odczekać; szukają dalej - odpowiadam, chcąc uciąć rozmowę.

- Zadzwoń do mnie, jak tylko będziesz coś wiedzieć - prosi Bart. Obiecuję mu to. Po niekończących się pocałunkach i zapewnieniach o miłości, rozłączamy się. Telefon osuwa mi się na kolana, podczas gdy wpatruję się w domy naprzeciwko, rozjarzone zachodzącym słońcem.

W środku nocy budzi mnie ostry głos dzwonka do drzwi. Moje przerażenie jest tak wielkie, że natychmiast siadam i patrzę dzikim wzrokiem wokół siebie. Szukam w ciemności budzika, próbując sprawdzić, czy już się obudziłam, czy to jeszcze sen.

Czerwone cyfry budzika wskazują godzinę piątą rano. Piąta!

Podbiegam do okna. Nie widać czarnego peugeota. Pełna podejrzeń, otwieram drzwi z łańcucha i wychodzę na korytarz. Ciemnymi schodami zbliżam się do drzwi wejściowych, spoglądam przez judasza na nieoczekiwanego gościa.

Olaf.

Serce o mało mi się z piersi nie wyrwie. Jakby miał dar patrzenia przez drzwi, sprawia, że uginają się pode mną kolana. Dzwoni znowu, ale jednocześnie słyszę brzęk kluczy. Boże, on ma przecież klucz do drzwi wejściowych. Dlaczego w takim razie dzwoni? Żeby mnie przestraszyć? Wbiegam schodami na górę, przewracam się w korytarzu, na ślepo wpadam w drzwi mieszkania. Zastanawiające jest to, że nie słyszę żadnego dźwięku. Olaf nic nie mówi, nie słychać jego kroków ani jego oddechu, a mimo wszystko staje nagle za mną. Łapie mnie za ramię, dłonią zakrywa usta, żebym nie mogła krzyczeć, i wpycha mnie do środka.

Zamyka cicho drzwi. Widzę jego wykrzywioną złością twarz tuż nad moją. Usiłuję wydobyć głos ze ściśniętych ust. Puszczam go. Chcę krzyczeć, kogoś ostrzec, narobić hałasu. Lecz cała energia i odwaga po prostu ze mnie wyparowują. Pełna lęku, wycofuję się do dużego pokoju.

- Czyli uważasz, że ja to zrobiłem? - mówi Olaf schrypniętym głosem. - Każesz mnie aresztować, zabrać z pracy jak pierwszego lepszego zbrodniarza. Wiesz, jak długo trzymali

mnie tam na policji? Całą noc! Do jasnej cholery, Sabinę, wiesz, co ja tam znosiłem w tej śmierdzącej brudem i potem klitce? Wiesz, co to znaczy, kiedy patrzą na ciebie, jakbyś nie był wart splunięcia?

Przysuwam się do telefonu, choć wątpię, abym miała szansę dotknięcia go. W ciemności Olaf podchodzi do mnie coraz bliżej.

- Nie, ty nie wiesz tego. Nie pomyślałaś ani sekundy o tym, co to znaczy być wyprowadzanym w kajdankach na oczach wszystkich kolegów! Niech cię szlag trafi!

Kurczę się, nie wytrzymując wybuchu złości w jego głosie. Broń, muszę mieć coś, czym mogłabym się bronić. Szukam ręką na gzymsie kominka i natykam się na ozdobne pudełeczko z ostrym kantem.

- Dlaczego mi to zrobiłaś?

Podchodzi szybko, łapiąc mnie za nadgarstek. Powstrzymuję krzyk, bardziej z powodu pudełeczka, które wypada mi z rąk, niż z powodu bólu nadgarstka.

- Dlaczego? - krzyczy mi w twarz.

Cofam się, lecz on przyciska mnie do kominka. Ogarnia mnie wściekłość i strach. Odpycham go. Stoi parę kroków ode mnie.

- Dlaczego miałabym nie zrobić? - odkrzykuję. - Chciałeś przecież przebaczenia? Miałeś coś strasznego na sumieniu. Po co mi to opowiadałeś? Co ja miałam począć z tą informacją?

Zapada cisza, w której zawisło niebezpieczeństwo. W ciemności nie widzę jego twarzy.

- Renée - mówi ponuro. - Miałem na myśli Renée.

- Co ma z tym wspólnego Renée?

- Chciałem ci pomóc. Ta głupia baba musiała dostać nauczkę. I pomogłem ci, prawda? Teraz jest ci lepiej, kiedy jej nie ma.

Błagalny ton w jego głosie budzi we mnie większe podejrzenie niż jego złość. Wycofuję się w kierunku drzwi.

- Zrobiłeś to dla mnie? - głos mi drży.

Olaf patrzy na mnie dzikim wzrokiem.

- A Isabel? To też dla mnie zrobiłeś? - atakuję, kątem oka lokalizując drzwi. Jeśli teraz się rzucę do ucieczki, może mi się uda.

Olaf wydobywa z siebie odgłos podobny do jęku zranionej zwierzyny. Chodzi po pokoju w tę i z powrotem, co chwila mijając drzwi.

- Nie, idiotko, oczywiście, że nie! Przecież już powiedziałem, że nie mam z tym nic wspólnego! - krzyczy. - Dlaczego nie wierzysz w to, co mówię? Dlaczego nie możesz mi po prostu zaufać?

W pewnej chwili, wykorzystując jego nieuwagę, biegnę do drzwi. Otwieram, stawiam nogę za progiem - i zostaję wciągnięta za włosy z powrotem. Tracę równowagę i przewracam się na plecy. Nie zdołam się podnieść. Olaf zamknął kopniakiem drzwi i okrakiem usiadł na mnie. Jego ręce oplatają moją szyję, nie zaciska ich jednak. Mogę tylko wbić w niego wzrok, niezdolna uwierzyć, że byłby do tego gotów.

- Czyli według ciebie musiało być tak - charczy. - Zamordowałem ją, ponieważ dała mi kosza. To prawda, zerwała ze mną. Byliśmy w lesie. Tak, byłem wściekły, a ona uciekła. Nie szedłem jednak za nią i nie zamordowałem jej.

W ciemności Olaf jest tylko postacią, której głosu nie poznaję. Postacią, która zaciska ręce na mojej szyi.

- To zawsze boli, kiedy rzuca cię ktoś, kogo kochasz. Kocham ciebie, wiesz o tym. Choć może powinienem powiedzieć: kochałem. Dlaczego patrzysz taka przerażona? Naprawdę myślisz, że byłbym gotów to zrobić? Może to prawda? Może masz rację, a ja po prostu kłamię jak z nut? Zastanówmy się, Sabinę. Zobaczmy, gdzie leży granica.

Jego schrypnięty szept mnie alarmuje. Otrząsam się z odrętwienia, szarpnię, usiłując się oswobodzić. Mam wolne ręce, staram się odciągnąć ręce Olafa. On śmieje się cicho. Coraz bardziej ściska moją szyję, zadając ból. Szeroko otwartymi oczyma patrzę na niego, trzymam go za ręce.

- Proszę - szepczę.

- To takie proste - odszeptuje. - Proste i szybkie. Najwyżej minuta. Czy Isabel się broniła? Nie wiem, nie było mnie przy tym. Ty jednak byłaś, kochana Sabinę. Opowiedz, czy trwało to długo? Widziałaś to. Dlaczego nie opowiesz policji, że widziałaś jeszcze więcej i jak wyglądał prawdziwy zabójca? Dlaczego twoja pamięć zabrania ci wyjawić tę informację? Nigdy nie zadałaś sobie tego pytania?

Jego kciuki wciskają mi krtań do środka. To nie brak powietrza czyni uduszenie tak strasznym, lecz ból krtani.

W chwili kiedy ból staje się nie do wytrzymania, w mojej świadomości pojawia się coś, co bardzo długo tkwiło w ukryciu. Myśl burzy się, pół sekundy spóźniona za rzeczywistością. Skórę mam jakby porażoną prądem, serce bije mi szybciej. Wreszcie zrozumiałam. Pasuje ostatni kawałek.

Zanim to do mnie dociera, mija jednak chwila. Patrzę na Olafa przerażona. On się śmieje mrocznie. Wbijam mu paznokcie w twarz, kopię, walę go pięściami w plecy. Kiedy to nie pomaga, próbuję palcami znaleźć jego oczy. Klęka mi na ramionach i wtedy jestem bezbronna.

Nie dusi mnie już. Trzyma ręce na mojej szyi w mocnym uścisku, ale pozwala mi wciągnąć powietrze, żebym doszła do siebie. Słyszę jego przyspieszony oddech, czuję zapach potu i papierosów.

- To nie byłem ja - dobiega mnie jego głos. - Oboje wiemy, że to nie byłem ja, prawda, Sabine?

Wydaję z siebie bulgoczący dźwięk. Uścisk na mojej szyi słabnie.

- Sabine, bądź szczerą wobec siebie. To już nie ma sensu, dalej bawić się w chowanego. Nie byłaś tego świadoma cały ten czas?

Kręcę głową, że nie; moja szyja jest nagle wolna.

- Nikomu nie mogą niczego udowodnić. - Olaf pochyla się nade mną. Czuję najpierw jego oddech, a potem jego wilgotne usta na moich. - Po dziewięciu latach nikomu nie mogą niczego udowodnić. To mógł być ktokolwiek. Wszystko, co mają w ręku, to twoje wspomnienia. Przypominasz sobie, Sabine? Twierdzisz ciągle, że to mnie widziałś wchodzącego w las z Isabel?

- Tak - szepczę. Jego usta są ciągle blisko moich.

- Ja ciebie też widziałem, choć ty tego nie zauważyłaś, nie od razu. Dopiero później, kiedy odchodziłem zły. Widziałem, jak nieudolnie usiłowałaś się schować za drzewem z rowerem. Opowiedz, Sabine, czy Isabel żyła jeszcze wtedy?

- Tak - wykrztuszam z siebie.

- Czyli widziałas, że to ja zabiłem Isabel? No, przyznaj się!

- Nie, to nie byłeś ty - wydobywam z siebie ledwie słyszalnie.

- Był ktoś jeszcze, prawda? - Olaf wydaje dźwięk podobny do syczenia węża.

- Tak. - Wstrząsa mną płacz.

Olaf prostuje się, wbijając we mnie wzrok.

- Zatem wiesz, kto to zrobił?

- Tak.

Olaf uśmiecha się i odrywa ode mnie. Zdejmuje ze mnie kolana, podaje mi rękę, pomagając się podnieść. Jak bezwolna marionetka opieram się o framugę drzwi.

- Praca pamięci jest zdumiewającym zjawiskiem. Pomyślałem sobie, że mogę ci w niej pomóc.

Odwraca się i wychodzi. Choć nic nie zostało powiedziane, wiem, że już nigdy nie przyjdzie. Zataczając się, idę do łóżka, opadam na nie i płaczę jak nigdy dotąd.

- Obawiam się, że nie mamy żadnych dowodów przeciw panu van Oirschotowi - mówi Rolf Hartog. - Ósmego maja skończył pisać egzamin z matematyki dopiero o wpół do trzeciej. Jego matka potwierdza, że wkrótce potem był w domu. To oznacza, że nie mógł w tym czasie spotkać Isabel na Ciemnych Wydmach.

Siedzę na kanapie w szlafroku, z gorącym kubkiem herbaty w jednej ręce, z telefonem w drugiej. Jest dziewiąta rano, poranne słońce kpi sobie z lęku i przerażenia minionej nocy.

- Dlatego do pana dzwonię - mówię ciągle jeszcze schrypniętym głosem. - Pomyliłam się. Olaf van Oirschot nie ma nic wspólnego ze śmiercią Isabel.

Po drugiej stronie zapada pełna zdumienia cisza.

- Och! - dziwi się Hartog. - Skąd nagle taka zmiana?

- Dziś wczesnym rankiem pojawiły się ostatnie brakujące fragmenty całej układanki. Przypomniałam sobie nagle, jak to było; wiem, kto zabił Isabel.

Znów cisza.

- To był ktoś mi nieznan. Klęczał przy niej, kopiąc jak szalony. Isabel nie żyła. Widziałam jej głowę odrzuconą do tyłu, oczy i usta szeroko otwarte. Ten mężczyzna podniósł na chwilę głowę, jakby wyczuł, że go śledzę, nie zauważył mnie jednak. W tym momencie zobaczyłam wyraźnie jego twarz. Bałam się, że mnie dostrzeże, i szybko się oddaliłam.

Milczenie przedłuża się. Słyszę szelest papieru i widzę przed sobą Hartoga robiącego notatki.

- Czy potrafiłaby pani rozpoznać jego twarz, gdybyśmy pokazali pani różne fotografie? - pyta.

- Wydaje mi się, że tak.

Umawiamy się.

Biorę wolne na czas bliżej nieokreślony. Opowiadam Zinzy całą historię jak najbardziej barwnie, po czym dzwonię do Robina. Jest w pracy. Kiedy mu mówię, dlaczego dzwonię, proponuje jednak, że przyjdzie od razu. Pół godziny później jest u mnie.

- Sabinę! - Patrzy przerażony na moją szyję z pręgami. - Jaki bandyta ci to zrobił?

- Olaf. - Siadam wygodniej na kanapie i stawiam kołnierz szlafroka, żeby Robin odwrócił przerażony wzrok od mojej szyi.

- Zabiję go! - woła Robin z pasją. - Czy on zupełnie zwariował? Byłaś już w tej sprawie na policji?

- Nie i nie zrobię tego - odpowiadam. - Olaf nie zabił Isabel. Jestem tego pewna.

- Może nie zabił Isabel, ale o mały włos zabiłby ciebie. Dlaczego nie złożyć doniesienia? Nie rozumiem! Ten szaleniec znowu się tu pojawi.

- Nie przyjdzie - mówię wpatrzona przed siebie. - Nie miał zamiaru mnie krzywdzić. Był po prostu zły, rozwścieczony do białej gorączki. Też bym była wściekła, gdyby mnie ktoś niesłusznie posądził o zabójstwo i musiałabym całą noc spędzić w komisariacie. W pewien sposób mi tym pomógł. - Delikatnie masuję szyję.

- Jak to? - wydusza z siebie Robin, pełen niezrozumienia i wrogości.

- Ostatni brakujący fragment pamięci pojawił się niespodziewanie. Tak jakbym mogła być z powrotem podczas tamtej chwili, kiedy Isabel przeżywała to samo. - Wstrząsa mną dreszcz. Przygryzam wargi, by opanować emocje. - To straszne tak umierać - szepczę. - Naprawdę straszne!

Robin siada na kanapie, obejmując mnie ramieniem.

- Wierzę ci - mówi poważnie. - Dlatego nie uważam za rozsądne puszczać tego szaleńca wolno. Mógł być wściekły; ale to jeszcze nie powód, żeby cię dusić. Pójdziemy razem na policję?

Znużona, zaprzeczam ruchem głowy.

- Sabinę, uważam, że to twój obowiązek. Spójrz tylko! - Delikatnie odciąga mi rękę od szyi, kołnierz szlafroka odchyła się.

- Robin, proszę, daj spokój. Teraz dużo ważniejszy jest fakt, że wiem, kto jest zabójcą.

Robin patrzy na mnie z lekkim przerażeniem.

- Wiesz? To miałaś na myśli, mówiąc o ostatnim fragmencie?

- Oczywiście że to.

Robin musi przetrwać informację, patrzy przed siebie, wreszcie odwraca się do mnie.

- Kto...?

- Ktoś nieznamy - odpowiadam szybko. - To była zupełnie nieznaną mi twarz. Chociaż to nie do końca prawda, skądś ją znam, tylko nie wiem skąd.

Robin przygląda mi się w milczeniu.

- To był raczej młody człowiek - opowiadam. - Blondyn, pociągła twarz, głębokie bruzdy wokół ust. Gdzieś tę twarz widziałam, ale gdzie? Cały czas się zastanawiam.

Robin ciągle mi się przygląda.

- I co teraz? - pyta w końcu.

- W południe jadę do Den Helder. Hartog chce mi pokazać parę zdjęć; może będę mogła kogoś rozpoznać.

Oboje milczymy.

- Zrobić ci kawy?

- Zrób, proszę.

Idę do kuchni, nastawiam ekspres. Kiedy zaczyna bulgotać, siadam z powrotem na kanapie i patrzę na brata. Robin wstał, wygląda przez okno, odwrócony do mnie plecami.

- O czym myślisz?

Nie odwraca się.

- O zabójcy Isabel - mówi.

- Też wiele o nim myślę. Co powoduje człowiekiem? Jak dochodzi do stanu, w którym odbiera życie drugiemu człowiekowi? Jak może z tym dalej żyć? Przemilczać coś takiego?

Robin się nie odzywa.

- Czyta gazety, komunikaty na temat poszukiwań, słucha odczytywanych w telewizji listów błagalnych napisanych przez rodziców. Jak może nie zareagować? Nie odczuwać żalu, skruchy, jedynie strach?

Oczy Robina wciąż spoczywają na mnie.

- Powiedziałaś przed chwilą, że wrócił ci ostatni fragment pamięci.

- Tak. - Oglądam swoje paznokcie, unikając jego wzroku.

- I dziś w południe ujawnisz zabójcę.

- Tak.

- Czy naprawdę chcesz to uczynić? - W głosie Robina brzmi coś, co sprawia, że najchętniej podbiegłabym do niego i rzuciła mu się na szyję. Tkwię jednak w tym samym miejscu, z podciągniętymi kolanami, i nie mam odwagi na niego spojrzeć, nie mówiąc już o objęciu go.

- Muszę - odpowiadam cicho.

- Dlaczego? Jesteś przekonana, że masz rację? Mam na myśli fakt, że twoja pamięć opuściła cię na tak długo. Sama mówiłaś, że często śniło ci się to, co mogło spotkać Isabel. Skąd wiesz, że to, co ci się właśnie przypomniało, nie jest snem? - Robin chodzi po pokoju w tę i z powrotem, z jedną ręką w kieszeni, drugą wymachując jak adwokat na sali sądowej.

- Nie wierzę, żeby to był sen - mówię. - Policja myśli tak samo jak ty. Mam wrażenie, że nie przykładają wagi do moich słów. Sami muszą wiedzieć, jak je wykorzystają. Ja mówię tylko to, co sobie przypominam. Oni sami muszą coś z tym począć.

Zerkam na brata. Dostrzegam na jego twarzy głęboką troskę.

- Chcesz, żebym poszedł z tobą? - pyta.

Odmawiam zdecydowanie.

- Nie, to nie jest konieczne.

- Naprawdę nie?

- Dam sobie radę.

- Tak, to prawda, jakoś tak się dzieje, że zawsze wychodzisz cało z tarapatów - stwierdza.

Podchodzi do mnie i nieoczekiwanie mnie obejmuje. Czuję się niezręcznie. Jesteśmy sobie bliscy, ale nie nawykliśmy do takiej serdeczności.

- Kocham cię, siostrze. - Całuje mnie w policzek.

- Przecież wiem - odpowiadam, uśmiechając się, choć daleko mi do wesołości.

Jest koniec czerwca, ale jakby już było po lecie. Kiedy godzinę później idę do samochodu, ulica pełna jest kałuż. Gwałtowny wiatr przyniósł ochłodzenie. Mogłam włożyć żakiet z apaszką do kompletu. Ukrywa ona plamy na mojej szyi.

Znowu jadę do Den Helder, ale tym razem to Rolf Hartog na mnie czeka. Serdecznie podejmuje mnie kawą i stroopwafels'. Pyta, jak się miewam, po czym przechodzi do rzeczy. W tym samym co przedtem pokoju rozkłada teczki pełne zdjęć.

- Niech pani je spokojnie obejrzy, mamy dużo czasu - mówi. Otwieram jedną z nich i oglądam nieznane mi twarze; wszystkie mają ten sam więzienny wyraz.

- Czy oni wszyscy zostali skazani? - pytam, przerzucając kartki.

- Tak - odpowiada Hartog.

- W takim razie on nie musi się znajdować między nimi - odpowiadam.

* Okrągłe wafle z charakterystyczną „kratką”, polane syropem.

Jeśli zabójca Isabel nie był jej znajomym, to bardzo prawdopodobne, że już wcześniej popełnił podobne przestępstwo.

Hartog podsuwa mi jeszcze jeden kubek kawy. Sam staje przy oknie, zapalając papierosa.

Zachowuję się tak, jakby go nie było, oglądam uważnie każdą stronę. Bruneci, blondyni, kobiety, młode, stare, brzydkie, ładne - przesuwa się przede mną rząd twarzy. Już tracę nadzieję, kiedy nagle wstrzymuję oddech. Hartog odwraca się natychmiast, patrząc na mnie badawczo.

- Ten - mówię, wskazując na fotografię w prawym rogu strony. - To ten mężczyzna. Blondyn, pociągła twarz...

Hartog gasi papierosa w popielniczce i podchodzi bliżej. Patrzy na wskazane przeze mnie zdjęcie. Jest niepodpisane.

- Jest pani pewna? - pyta.

Kiwam głową.

- Widziałam tę twarz. Głębokie bruzdy od nosa aż do samych kątek ust... - Wiem na pewno, to on.

Hartog patrzy na zdjęcie, długo się namyślając.

- Sjaak van Vliet - mówi w końcu.

Przytakuję.

- Musiał tam być. Najprawdopodobniej był świadkiem kłótni Olafa z Isabel. Poszedł za Isabel, kiedy ta uciekła do lasu.

- Czy Olaf van Oirschot pobiegł za Isabel? - pyta Hartog.

Kręcę głową przecząco.

- Początkowo miał zamiar, coś jeszcze za nią krzyczał, w końcu się odwrócił i odszedł. Pamiętam jeszcze, że wciągnęłam w krzaki rower, ponieważ przechodził blisko.

- I wtedy poszła pani za Isabel?

- Tak, rzuciłam rower na ziemię i poszłam za nią.

- Dlaczego?

- Bałam się o nią, to chyba logiczne? - mówię zdenerwowana.

Na twarzy Hartoga maluje się sceptycyzm, jakby inspektor nie do końca wierzył w moją wersję.

- Nie bardzo rozumiem, co tu ma być logiczne. Nie byliście wtedy takimi znowu dobrymi przyjaciółkami.

- Kiedyś jednak byliśmy - odpowiadam.

Hartog milczy i studiuje zdjęcie Sjaaka van Vlieta.

- Policja go chyba zna? - pytam.

Hartog potakuje.

- Nie tylko policja, także szeroka publiczność. Jego zdjęcie było pokazywane wszędzie. Na pewno je pani widziała.

Trudno mi zaprzeczyć, więc kiwam głową.

- Przystępstwa na tle seksualnym, napastowanie... Długa lista wykroczeń. Parę lat temu został aresztowany w związku z zabójstwem Rosalie Moosdijk, dwa lata po zniknięciu Isabel. Uparcie przeczył, jakoby miał coś wspólnego z jej zaginięciem.

Znów skinieniem głowy daję znak, że podążam za myślą inspektora.

- Nie rozumiem: dlaczego nie rozpoznała go pani, wtedy kiedy pokazywano go w telewizji? - pyta Hartog, marszcząc brwi.

- Wydawało mi się, że znam tę twarz, ale myślałam, że to dlatego, że tak często ją pokazywano.

Hartog kładzie zdjęcie na stole i zaczyna się we mnie wpatrywać. Postanawiam, że nie przerwę pierwsza milczenia.

W tym zmaganiu nie będą potrzebne słowa. Wiem, że dam sobie radę, że wytrzymam opanowujące mnie zdenerwowanie i przeszywający wzrok Hartoga.

Inspektor się poddaje. Z westchnieniem opiera się na biurku i pociera czoło.

- Będziemy szukać dalej. Szkoda, że Sjaak van Vliet nie żyje. Zmarł dwa lata temu w Bijlmerbajes. Pewnie pani już o tym wiedziała. Van Vliet nie jest jedynym podejrzanym. Olaf van Oirschot ma alibi. Jest jednak więcej kandydatów. Takich, którzy dobrze znali Isabel. Problem polega na tym, że w tego rodzaju sprawach można podejrzewać każdego, czasem z dużą dozą pewności. Chodzi jednak o dowód.

Niespodziewanie pochyła się ku mnie; mam ochotę odskoczyć w tył.

- Dla mnie sprawa nie jest jeszcze na sto procent zamknięta, nawet jeśli wszystkie ślady wskazują na van Vlieta, panno Kroese. Będę ją prowadził nadal.

Mówię do niego spokojnie, tak że nie drgnie mi nawet powieka: - Jest tak, jak pan mówi, inspektorze, chodzi o dowód.

Przez następne dni gazety pełne są artykułów o tej sprawie. Najpopularniejsze dzienniki podają tytuły:

MOŻLIWE WYJAŚNIENIE ZABÓJSTWA ISABEL HARTMAN.

VAN VLIET SPRAWCĄ?

ZABÓJCA ZNALEZIONY PO DZIEWIĘCIU LATACH?

W jaki sposób rozwikłano sprawę, o tym gazety nie piszą. Niektóre wspominają o niespodziewanym świadku, który przypomniał sobie ważne fakty, nadając nowy bieg śledztwu. Stwierdzono, że Sjaak van Vliet często się pojawiał na wydmach Den Helder i został zauważony w lesie przez świadka podczas kopania dołu, w którym zamierzał ukryć ciało piętnastoletniej Isabel. Świadek o nieujawnionej przez policję tożsamości, nie mógł złożyć wyjaśnień wcześniej. Przed dwoma laty Sjaak van Vliet popełnił samobójstwo w więzieniu, w którym odsiadywał karę dożywocia za zabójstwo Rosalie Moosdijk.

Czytam wszystkie gazety, wycinam artykuły. Przeczytałam je tyle razy, że znam na pamięć. Kładę je na grilu na balkonie i podpalam zapalką. W ciągu minuty nie pozostaje z nich nic, tylko zwęglone kawałki papieru, które się rozpadają za dotknięciem palca.

Skończyło się.

Biuro nie jest przyozdobione na powrót Renée, wszyscy jednak witają się z nią serdecznie. Siedzę za biurkiem i patrzę spokojnie, trzymając ręce na kolanach. Ludzie powoli się rozchodzą na swoje miejsca, robi się luźniej, wreszcie możemy na siebie spojrzeć. Nie wstaję.

- Witaj, Renée - mówię. - To dobrze, że już się lepiej czujesz.

- Dziękuję. - Przenosi wzrok ze mnie na biurko, za którym siedzę.

- Jak zauważyłaś, siedzę znowu na swoim dawnym miejscu - kontynuuję. - To miejsce w kącie nie było dla mnie, jako prawej ręki Woutera, odpowiednie.

- Prawej ręki Woutera? - powtarza jak echo Renée.

Potakuję grzecznym skinieniem.

- W praktyce i na papierze. Takie było zapotrzebowanie podczas twojej nieobecności.

Pozostajesz oczywiście kierowniczką sekretariatu.

Jest to jednak funkcja niższa od mojej. Nie muszę tego nawet tak wyraźnie formułować, by Renée zrozumiała. Mija chwila, zanim odzyskuje mowę.

- Myślałam, że przejdziesz do działu personalnego - wybąkuje.

- Wouter miał lepszą propozycję - odpowiadam.

Jeszcze raz skłaniam uprzejmie głowę w jej kierunku, po czym zabieram się do roboty. Renée stoi przez chwilę pośrodku sekretariatu jak skamieniała, otwiera usta, chce coś powiedzieć. W końcu się odwraca i zajmuje miejsce przy biurku w kącie. Daleko ode mnie.

Zinzy siedzi naprzeciw mnie i przygląda się błyszczącymi z podniecenia oczyma:

- To ci się podoba? - szepcze.

- W gruncie rzeczy wcale nie - odpowiadam. - Zbyt dobrze wiem, co się czuje w takich chwilach.

Zinzy marszczy brwi, nie spuszczać ze mnie wzroku.

- No dobra, może ci się choć trochę podoba - mówi z przekąsem. - Nie mogę zrozumieć, dlaczego odchodzisz - ciągnie Zinzy, wzruszając ramionami. - Teraz, kiedy wreszcie ci się udało, rezygnujesz z pracy? Nie masz nawet innej.

- Nie potrzebuję innej pracy. Bardzo mi to odpowiada: przez jakiś czas nic nie robić. Podróżować i żyć z zaoszczędzonych pieniędzy. Po prostu z dnia na dzień.

- Sprzedałaś swoje mieszkanie?

- Tak. Z początkiem przyszłego tygodnia nie ma mnie tu.

- Co będziesz robić?

- Jeszcze nie wiem. Najpierw chyba pojedę do rodziców, na południe Hiszpanii. Wiesz, jak tam teraz gorąco. Ponad trzydzieści stopni.

- Cudownie - wzdycha Zinzy.

- Potem zatrzymam się na jakiś czas u Robina, w Londynie. A potem zobaczę. Zawsze marzyła mi się podróż dookoła świata.

- Nie wiem - mruczy pod nosem Zinzy. - Gdybym miała tyle pieniędzy...

Śmieję się.

- Tak jakbym ja je miała. Zarobię gdzieś. Jeśli będzie trzeba, zmywając naczynia. Niestraszne mi to.

Zinzy patrzy na mnie pełnym uwielbienia wzrokiem, w którym się z rozkoszą zanurzam.

- I ty to zrobisz, prawda? Każdy marzy o tym, żeby móc wszystko zostawić i po prostu wyruszyć, ale ty to po prostu robisz. Fantastycznie, Sabinę. Zorganizuję dla ciebie wieczór pożegnalny.

- Nie, nie rób tego, proszę. Nikomu jeszcze nie powiedziałam, że odchodzę.

- Nikomu?

- Poza Wouterem, oczywiście. Chciałabym, żeby tak zostało. - Patrę przelotnie na Renée. - Chciałabym, żeby przez jakiś czas niektórzy trwali w przekonaniu, że nigdy nie wypuszczę tego biura z ręki.

Epilog

Napisałam do Barta list, w którym wyjaśniam, iż jestem tak wytrącona z równowagi, że nie mogę się z nim jakiś czas widywać. Może nawet już nigdy, ale o tym teraz nie zdecyduję. Wiem już, dlaczego wtedy z nim zerwałam, dlaczego nie zaakceptowałam żadnej przyjaźni i nie dopuściłam do siebie ani ułamka szczęścia.

Gdybym mogła zmienić przeszłość, uczyniłabym to z całą pewnością.

Isabel zmarła przeze mnie. Odwróciłam się od niej w momencie, kiedy mnie potrzebowała. Jak mogę sobie pozwolić na to, by być szczęśliwa, skoro z mojego powodu jej życie się skończyło? Muszę się z nią pożegnać. Muszę powiedzieć, jak bardzo mi żal. Tego nie mogę uczynić na cmentarzu, na którym została pochowana. Muszę wrócić na miejsce, gdzie się to wydarzyło.

Tydzień przed wyjazdem do Hiszpanii jadę do Den Helder na Ciemne Wydmy. Parkuję przy kawiarence na skraju lasu i idę w znane sobie miejsce. Pod drutem kolczastym, przez gęste zarośla.

Dziewczynka idzie za mną jak cień. Płacze.

- Dlaczego to robisz? Czy to ma jakiś sens? Sprawa została zamknięta. Co chcesz sobie jeszcze przypomnieć?

- Nic - odpowiadam, rozgarniając gałęzie. - Wiem wszystko.

- Zapomnij znowu! - błaga dziewczynka. - Zrobiłaś to już raz wcześniej. Czy to nie był właściwy wybór?

- Nie uczynię tego po raz drugi - odpowiadam.

- Dlaczego w takim razie przychodzisz tu jeszcze? Czego tu szukasz?

Jesteśmy już na polanie, patrzemy na krzaki jeżyn.

- Przychodzę się pożegnać - mówię cicho. - Powiedzieć, jak bardzo żałuję.

Dziewczynka odwraca głowę.

- Mnie nie jest przykro.

- A mnie bardzo - mówię do niej cicho - i tobie też. Nie chciałaś tego. Byłaś w desperacji, a tłumiona latami wściekłość jest straszną bronią.

Dziewczynka odwraca wzrok.

- Do tego nie trzeba być nawet silnym.

Spogląda na mnie, oczy ma pełne łez.

- Wcale tego nie chciałam - mówi ochryłym głosem. - To się po prostu stało samo, bez mojej woli.

Widzę, jak podchodzi do miejsca, gdzie przybiegła Isabel, przerażona napadem złości Olafa. Kiedy zobaczyła, że ten jej nie goni, poczuła zbliżający się atak padaczki. Ruszyła wtedy w kierunku przebiegającej między drzewami polany, żeby się nie pokaleczyć o otaczającą roślinność i zasłonić przed wzrokiem ciekawskich.

Szłam za nią, parę razy straciłam ją z oczu, pomyliłam drogę. Dlaczego za nią szłam? Nie mogę sobie tego wytłumaczyć. Może być tylko jeden powód: moja nadzieja, że kiedyś znowu wszystko między nami się ułoży. Marzyłam, że znowu będziemy razem, we dwójkę, bez nacisku całej jej kliki, że odnajdę dawną Isabel. To był powód, dla którego przeciskałam się przez krzaki i szukałam, aż do momentu, kiedy straciłam ją z oczu.

W pewnej chwili stanęłam na skraju polany i ujrzałam ją. Od razu zrozumiałam, co się stało: właśnie minął atak padaczki. Nie mógł trwać długo, był za to wyjątkowo silny. Błada i wyczerpana, oparła się o drzewo.

Trwałam nieruchomo za pniem drzewa, ze słabą nadzieją, że cienie drzew mnie zasłonią. Ona jednak, jakby przeczuwając moją obecność, odwróciła się i popatrzyła mi prosto w twarz. Nie poruszyłam się, ona także. Mierzyłyśmy się wzrokiem w milczeniu, jakby

opadły z nas przeżycia minionych lat, wszystko to, co się między nami wydarzyło. Istniał tylko szmer wiatru wśród drzew, ciepły piasek i siła naszych myśli i emocji.

Któraś z nas musiała to milczenie przerwać. Nie mogłyśmy tak patrzeć na siebie w nieskończoność. Właśnie chciałam coś powiedzieć, kiedy dobiegły mnie cicho i z trudnością wypowiedzane słowa:

- Czy ty nie masz już dość?

Spojrzałam na nią nierozumiejącymi oczyma.

- Czego dość?

- Chodzić za mną i mnie ratować?

Nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć.

- Widziałam, jak wchodzisz w las - przyznałam w końcu.

Isabel uczyniła ręką w powietrzu gest bezsilności, zamknęła oczy i oparła głowę o pień drzewa. Widać było, że wraz z atakiem opuściły ją wszystkie siły. Tak jak z drzewa, o które się oparła, wyciekła żywica.

- Już ci lepiej?

Podeszłam do niej parę kroków, wchodząc tym samym na małą piaszczystą polankę, która nas dotychczas dzieliła.

Isabel otworzyła oczy, potrząsając głową.

- Ty się nigdy nie zmienisz, prawda? - spytała zmęczonym głosem. Rozejrzałam się bezradnie wokół siebie, nie rozumiejąc, do czego zmierza. Stałam tak, z opuszczonymi rękoma.

- Popatrz na siebie. Do czego można cię jeszcze doprowadzić, Sabine?

- Dlaczego nie zostawisz mnie po prostu w spokoju? - poprosiłam. - Nie musimy być przyjaciółkami jak dawniej, ale czy nie mogłabyś mnie po prostu zostawić w spokoju?

Isabel nie zareagowała. Czyżby wspomnienie dawnych czasów przywołało w niej obraz naszych wspólnie spędzonych godzin, naszych wakacji?

- Jak się czuje twój ojciec? - spytała.

- Jakby cię to cokolwiek obchodziło.

Wzruszyła ramionami.

- Twój ojciec jest w porządku, twój brat zresztą też.

Sposób, w jaki to wypowiedziała, przyprawił mnie o dreszcz. Spojrzałam na nią uważnie.

- Zerwałam z Olafem, z Bartem też. Myślę jednak, że Robin ma na mnie oko.

Ton irytacji w jej głosie przeszedł w pogardę.

Głęboko we mnie rozbudziło się coś, czego nie mogłam już stłumić, jak bańka powietrza, która w gotującej wodzie musi się wydostać na powierzchnię.

Oczy zwięzły mi się, złość opadła mnie jak dzikie zwierzę, wbijając we mnie pazury. To zabolalo, tym bardziej że wiedziałam, iż Isabel ma rację. Robin był lojalny i kochał mnie jak brat. Był jednak chłopakiem. Widziałam, jak na nią patrzył, kiedy nie wiedział, że go obserwuję. Chciała go i go zdobędzie.

Chłód rozprzestrzenił się we mnie od serca po całym ciele. Isabel się roześmiała, widząc moją twarz. Chciała się ruszyć, lecz zmęczone ciało odmówiło posłuszeństwa. Upadła. Nie zaofiarowałam jej pomocy, jak uczyniłabym jeszcze minutę wcześniej.

- Będziesz się musiała przyzwyczaić, że to na mnie czeka na podwórku szkolnym, a nie na ciebie - powiedziała złośliwie.

Rzuciłam się na nią. Uczyniłam to tak szybko, że nie miała nawet szansy się obronić.

Miałam przed oczyma ciemne plamy; obiema rękoma złapałam ją za szyję i zaczęłam zaciskać. Nie było lęku w jej oczach, tylko zdziwienie, ale to się szybko zmieniło.

Nie mogła się bronić, kiedy ja zaciskałam coraz mocniej. Nie wymagało to prawie wysiłku. Usiłowała stawiać opór, byłam jednak silniejsza.

Szeroko otworzyła oczy, a ich wyraz stał się błagalny, podobny do mojego przez te minione lata.

Gdyby atak padaczki nie był tak silny, nie byłaby osłabiona i mogłaby się bronić. Teraz przestała oddychać, zanim zrozumiałam, że to już koniec, dalej zaciskając ręce.

Po jakimś czasie jej ciałem przestały targać wstrząsy, a oczy pozostały dziwnie we mnie wpatrzone.

Oprzytomniałam. Pełna obrzydzenia puściłam jej gardło, przyglądając się jej martwej twarzy i swoim rękoma, które były do czegoś takiego zdolne. Nie mam pojęcia, jak długo tam siedziałam, z wyciągniętymi rękoma. W pewnym momencie dotarło do mnie, co uczyniłam, i zaczęłam się trząść. To nieprawda. Ja tego nie zrobiłam. To była inna Sabinę, ktoś, kogo nie znałam. Ktoś, kto okazał inicjatywę i dokonał tego: zacisnął gardło Isabel. To nie byłam ja. To nie było do mnie podobne.

Ta inna osoba we mnie nie opuściła mnie jeszcze, przejęła pałeczkę. Widziałam ją przeszukującą otoczenie, widziałam, jak wraca z kawałkiem twardego plastiku i zniszczonym znakiem drogowym. Użyła ich jako łopaty do wykopania jak najgłębszego dołu pod krzakami jeżyn. Zdumiona zobaczyłam, że wyjmuje klucz do zamknięcia roweru z kieszeni spodni Isabel i ciągnie jej ciało do tego dołu. Wrzuciła tam też jej torbę i kurtkę i przysypała wszystko piaskiem.

Ledwie się dowlokłam do swego roweru, otepiała i przygłuszona tym, co się wydarzyło. Ta druga Sabinę myślała jednak praktycznie. Odczepiła rower Isabel przy kawiarence i prowadząc go jedną ręką, dojechała na dworzec. Pozostawiony z kluczykiem, długo nie mógł tam stać.

Potem mnie opuściła. Musiałam sama wracać do domu. Droga wzdłuż Lange Vliet dłużyła się niemiłosiernie. Choćbym nie wiem jak szybko pedałowala, twarz Isabel nie opuszczała mnie. Myśli tłoczyły się w mojej głowie. Całe ciało drżało; nie mogłam uwierzyć. To było sedno sprawy: nie chciałam uwierzyć, że jestem zdolna do tak okrutnego czynu. To przyniosło rezultat. Nie wiem, jak to możliwe, ale po paru dniach sama uwierzyłam, że nigdy nie byłabym zdolna uczynić coś podobnego.

Powoli się odwracam i idę między drzewami z powrotem w kierunku ścieżki. Jestem sama.

Dziewczynka zniknęła na dobre. Już jej nie potrzebuję. Dostrzegłyśmy obie to, co było widoczne, a jednocześnie tak dobrze ukryte. Nie przypuszczam, bym była zdolna ukryć to po raz drugi, ani w Hiszpanii, ani w Londynie, ani na końcu świata.

Spróbuję jednak.